



FELIKS W. KRES
PÓŁNOCNA GRANICA

Feliks W. Kres

Północna granica

Północna granica

Jego Godność L. N. Miven Nadtysięcznik-Komendant
Wojskowych Okręgów Wschodnich honor-setnik
Gwardii Armeckańskiej w Torze

Wasza Godność,

zaufanie, jakie żywisz do mej wiedzy, mam za powód do dumy. Muszę jednak, Panie, powiedzieć, że jestem mocno zdumiony — a i przerażony! — niewiedzą człowieka, który od lat, jak rozumiem, stoi na granicy dwóch potęg. Powiem tylko, że w pierwszym odruchu wziąłem Twój list, Panie, za jakiś żart niesmaczny i dziwny, bo w głowie nie chciało mi się pomieścić, iż sprawy tak dla mnie oczywiste, mogą być dla kogoś niepojęte i tajemnicze. Nie zrozum mnie źle, Wasza Godność, wcale Cię nie obwiniam. Obwiniam raczej siebie, a zarazem tych wszystkich, których wraz ze mną zwykło się określać wspólnym mianem mędrców-Przyjętych. Oto list Waszej Godności pozwolił mi przejrzeć na oczy. Jest wstydem i hańbą, Komendancie, iż pozwala się, by żołnierze Waszej Godności walczyli i umierali w imię czegoś, czego wcale nie pojmują. Ale jakże ludzie, których rzemiosłem jest wojna, mają pojąć cokolwiek, skoro głupcy, zwani przez nich mędrkami, siedzą tysiąc mil dalej i nie kwapią się z udzieleniem choć okruchów swej wiedzy? Rozpoczynam więc to pismo szczerą prośbą o wybaczenie. Otóż, Panie, masz prawo żądać wiadomości ode mnie tak samo, jak ja mogę żądać od Ciebie obrony. Spieszę naprawić moje zaniedbanie. Uwzględnij jednak, Wasza Godność, że list, choćby nawet niezwykle obszerny, w żaden sposób nie pomieści wszystkiego, co można by powiedzieć na interesujące Cię tematy. Z konieczności więc wyjaśnienia będą niebywale ogólne, choć może przez to bardziej przejrzyste.

Tak więc, Panie, trzeba najpierw, byś wiedział, że Aler

wcale nie jest jakąś „złą potęgą”, jak mniemasz. Rozumiem, że trudno pojąć to żołnierzowi, który przywykł za wrogie uważać wszystko, co przychodzi z tamtej strony granicy. Zauważ jednak, Panie, że „wrogie” wcale niekoniecznie znaczy „złe”... Był Aler potęgą bardzo podobną do tej, która stworzyła nasz świat, więc nijaką, bo zrównoważoną. Przecież Złote i Srebrne jego Wstęgi są czymś niezmiernie w swej naturze podobnym do Jasnych i Ciemnych Pasm Szerni. Lecz w naszym świecie zaistniał Aler jako siła obca — i dlatego wroga. Światów takich jak Szerer można znaleźć zapewne na Bezmiarach setki, a na pewno dziesiątki. Być może świat, ponad którym rozpościerały się Wstęgi Aleru, został mu odebrany przez inną siłę — nikt tego nie wie, Wasza Godność. Dość, że Aler przebył niezmierzone odległości nad pierwotnym przestworem Bezmiarów, nim dotarł tutaj i wszczął wojnę z Szernią, próbując wyprzeć ją znad ziem Szereru. Wodna pustynia, jaką są Bezmiary, jest wyraźnie zabójcza dla potęg takich jak Szerń albo Aler; popatrz tylko, jak bardzo słabną (a na koniec zupełnie znikają!) siły Szerni, w miarę oddalania się od lądu! Spójrz więc Panie na Aler jak na wycieńczonego rozbitka, który walcząc z topielą ujrzał naraz małą łódkę, zajęta przez jedną osobę i niezdolną do pomieszczenia drugiej. Ów wycieńczony rozbitek, niekoniecznie przecież będący nędznikiem, w desperackiej próbie ocalenia życia rzucił się na wypoczętego wioślarza — i walkę o miejsce w łodzi nieuchronnie przegrał. Tak właśnie, Komendancie, większość Przyjętych wyobraża sobie przyczyny, dla których doszło do wojny między Alerem a Szernią — choć oczywiście posłużyłem się zaledwie niedoskonałym przykładem. Od zakończenia zmagania potęg minęły tysiąclecia, a skutki oglądać możesz, Panie, w Grombelardzie, którego popękane niebo na zawsze zostało osłonięte chmurami, zaś zdruzgotane, ociekające wiecznym deszczem góry nie przywodzą na myśl nic, co mógłbyś znać skądinąd. Pokonany Aler zepchnięty został nad północne, pustynne rubieże

kontynentu — i trwa tam do dziś, o czym wiesz, Panie, równie dobrze, jak ja... Nie wiadomo, dlaczego Szerń nie zniszczyła wrogiej potęgi całkowicie, ani nie wypchnęła jej z powrotem nad Bezmiary. Być może wymagałoby to dalszej długotrwałej wojny, w wyniku której zagładzie uległyby następne krainy Szereru. W istocie jednak powody, dla których Szerń odstąpiła skrawek swego świata obcej, pokonanej potędze, nie są znane nikomu. Przestrzegam, Panie, przed próbami przypisania Szerni jakichkolwiek intencji, bądź uczuć, takich weźmy, jak litość dla pokonanego wroga. Ciemne i Jasne Pasma są przecież tylko przepotęźną, ale ślepią siłą — i wszystko, co za sprawą owej siły się dzieje, wynika z samej jej natury, nie zaś świadomego zamiaru. Były więc jakieś powody, zapisane w treści Pasm Szerni, ale jakie to powody — nie dojdziemy. Oszczędzę Waszej Godności zbędnych rozważań na ten temat; przecież bardziej, niż przyczyny, obchodzą Cię skutki? Pomówmy więc o tym, co najbardziej zajmuje strzegącego granicy żołnierza.

Otóż, Panie, jak się przypuszcza, te gatunki Szereru, które zostały obdarzone rozumem, mają stać na straży współistnienia Szerni i świata. Rozum to zjawisko łączące cechy przynależne dwóm różnym bytom — bo będąc przypisany do życia, a więc czegoś, co zostało stworzone, przynależy zarazem do sił sprawczych, mając przecież własną siłę tworzenia. Ta ostatnia cecha sprawia, że rozum niezwykle upodabnia się do Pasm i powiela zawarte w nich treści; zauważ przecież, Panie, że mając możliwość czynienia zarówno dobra jak i zła, jest rozum zjawiskiem „nijakim — tak jak istota Szerni, składająca się z Pasm Ciemnych i Jasnych. Lecz Szerń jest siłą ślepią i dlatego równowaga, w jakiej trwają Pasma, prawie nigdy nie ulega zachwianiu, a jeśli nawet tak się dzieje, to natychmiast zostaje samoistnie przywrócona — i dociekanie, dlaczego tak jest, ma tyleż samo sensu, co pytanie o to, czemu poziom wody w dwóch połączonych naczyniach zawsze jest taki sam. Tymczasem w

przypadku rozumu utrzymanie właściwych proporcji zła i dobra w dużej mierze zależy od świadomości — i nic tu się nie dzieje „samo przez się”, zaś instrumenty, przy pomocy których te proporcje mierzymy, są bardzo niedoskonałe. Teraz wyjaśnię Ci, Panie, czemu służą owe wiadomości: otóż Aler, posiadłszy swój skrawek pustyni, stworzył tam własne istnienia — kalekie i ułomne, bo tylko takie mogły być dziełem wstrząśniętej, częściowo zniszczonej potęgi, w której zawodzi znany nam już mechanizm samoistnego wyrównania poziomu cieczy w naczyniach — jeśli zostać przy tym przykładzie — zarazem zaś nie ma świadomości, która mogłaby jakoś ową samoistność zastąpić. Wydaje się, że Srebrne, to znów Złote Wstęgi zyskują dominację w sposób najzupełniej przypadkowy, jedynym zaś stanem, który nie zdarza się prawie nigdy — jest stan choćby względnej równowagi.. Powstały więc roślinne i zwierzęce gatunki albo wręcz niezdolne do istnienia (bo niezdolne do obrony i walki o przetrwanie), albo znowu niestęchanie drapieżne, które wytępiwszy najpierw to wszystko, co nie zdołało się obronić, teraz wyniszczają się nawzajem. Spośród owych gatunków dwa zostały wybrane do noszenia rozumu — tak jak na naszych ziemiach Szerń wybrała ludzi, koty i sępy. Alerskie gatunki rozumne nazwano Złotymi i Srebrnymi Plemionami — choć oba dostały rozum przy wyraźnej dominacji Złotych Wstęg. Wygląda jednak na to, że w przypadku gatunku, który zwiemy Srebrnym Plemieniem, dominacja ta nie była aż tak wielka. Czym konkretnie różnią się te gatunki wiesz, Wasza Godność, lepiej ode mnie, jak sądzę.

Teraz pragnę rozwiązać, Panie, twoje wątpliwości dotyczące przeniesienia wojny na terytorium Aleru. Przyznam, że już sam ten pomysł wzbudza trwogę. Musisz przecież wiedzieć, Wasza Godność, że to niemożliwe, a ja dodatkowo twierdzę, że nigdy możliwe nie będzie. Najpierw zrozum, że pod niebem Aleru przetrwało to tylko, co miało w sobie dość niszczącej siły, by przetrwać, względnie zyskało rozmiary tak monumentalne (drzewa, pnącza!), że już dla samej

wielkości zniszczyć tego zwyczajnie niepodobna. Musiałeś przecież widzieć zwierzęta, jakie czasem przychodzą z tamtej strony granicy. Przed niepowstrzymaną inwazją ratuje Armekt to tylko, że alerskie gatunki są wyraźnie o wiele bardziej zależne od życiodajnej — dla nich — siły Wstęg, niż szererskie gatunki od Pasm Szerni. Pod naszym niebem nie mogą się rozmnażać, zaś ich siły życiowe uciekają niezwykle szybko, czyli inaczej mówiąc — następuje przedwczesne starzenie i śmierć. Nie inaczej dzieje się w przypadku Złotych i Srebrnych Plemion, ale przecież owe gatunki wcale nie chcą osiedlać się na ziemiach armektańskich, czynią tylko krótkotrwałe wyprawy dla łupów. Szererski rozum wydaje się być nierozzerwalnie związany z dość znaczną długością życia. Udało się to także w przypadku rozumu powołanego przez Aler — i tym samym dwu, czy nawet trzykrotnie szybsza ucieczka sił życiowych, podczas pobytu na ziemiach Armektu, nie jest dla Alerczyka zbyt wielką ofiarą, gdy w grę wchodzi, powiedzmy, wyprawa trwająca tydzień. Można by zatem sądzić, że uczynienie północnego Armektu „ziemią niczyją” zlikwidowałoby problem wiecznej wojny raz na zawsze. Kłopot w tym, że po pierwsze są to najżyźniejsze ziemie Twego Kraju, Panie, a po wtóre nie wiemy, do jakich ofiar i wyrzeczeń naprawdę zdolny jest alerski wojownik, czyli — inaczej mówiąc — jak dalekie i długotrwałe wyprawy gotów jest przedsięwziąć.

Pójdźmy dalej, Panie. Otóż zawieszono ponad światem Szerń i Aler rozdzielone są szerokim pasem „nieba niczyjego” — ale czasem sięgają tam ich wpływy. To tłumaczy, dlaczego bojowa sprawność Twych żołnierzy nie zawsze jest taka sama. Pobyt pod obcym niebem nie pociąga u nas takich następstw, jak u gatunków alerskich; przecież jednak żołnierze nie mogą czuć się dobrze, gdy nad głowami mają Wstęgi zamiast Pasm. Oto zresztą kolejny i najważniejszy powód, dla którego wtargnięcie na terytorium Aleru nigdy nie będzie możliwe. Dla kota, którego rozum jest chyba nieudany dziełem Szerni — być może. Ale nie dla

człowieka. Zauważ Panie, że koty wyraźnie nie są zdolne do zagłębiania się w sprawy takie, jak natura Pasm Szerni (czy, sięgając bliżej, choćby wyższa matematyka). Szerń jest dla nich zjawiskiem jak powietrze lub ogień, więc oczywistym — i nic więcej. Siły sprawcze Szerni są dla kota niemal identyczne w swej naturze z niszczącymi siłami ognia, na przykład. Nic z owych sił nie wynika, oprócz gołego faktu. Wyjaśniam to dlatego, że wielka armia złożona z samych kotów mogłaby pewnie podjąć próbę wyniszczenia wroga na jego własnym terenie; dziwna skaza umysłu, jaką jest u kota niezdolność do pojęcia spraw niekonkretnych, zdaje się go ochraniać przed wrażeniem „obcości”, tak dokuczliwym dla ludzi, gdy dostaną się pod wpływ Aleru. Nie znam jednak siły, która mogłaby skłonić koty do wydania świętej wojny czemuś, co wcale ich nie obchodzi. Pojedynczy kot, a może dziesięć lub sto kotów, może czynić to albo tamto; przecież masz kocich żołnierzy, Wasza Godność? Ale pojmij różnicę: otóż Armektańczycy są narodem broniącym własnego kraju, podczas gdy kot — to tylko najemnik. Przecież nie ma kocich narodów, ani nawet kocich języków, nie ma też nic, co kot uznałby za swój kraj — jest mieszkańcem świata po prostu, co zresztą nawet nie dziwi zważywszy, iż koci rozum pojawił się wówczas, gdy Szerer już od dawna urządzony był na ludzką modłę. Musisz więc zrezygnować, Wasza Godność, z myśli o przeniesieniu wojny na alerskie ziemie, z powodów zarówno militarnych, jak i naturalnych. Armektańska armia ludzi nie dokona podboju Aleru. Już sam cień Wstęg, kładący się czasem w przestrzeni „niczyjego nieba” sprawia, że Twoi żołnierze, Komendancie, stają się apatyczni i mniej waleczni — pomyśl więc, jakim byliby wojskiem pod samymi Wstęgami?

Wróćmy jeszcze do pogranicza. Rzeczywiście, Panie, nie mylisz się sądząc, że granica jest ruchoma. Jej przemieszczanie się to proces niezwykle powolny, ale czasem zdarzają się poruszenia dość wyraźne, a nawet gwałtowne. To właśnie Czas Przesunięcia, o który, Panie, pytasz. Aler

bądź Armekt mogą w ciągu miesiąca lub dwóch tracić wtedy (albo zyskiwać) całe mile terenu. Są to jednak przemieszczenia krótkotrwałe, a ściślej: im dalej i gwałtowniej przesunie się granica, tym prędzej powróci do wcześniejszego położenia. Żałuję, Wasza Godność, ale nie słyszałem, by ktokolwiek umiał przewidzieć nadchodzące Przesunięcie. Mógłbym oczywiście podzielić się z Tobą przypuszczeniami własnymi, a także innych Przyjętych — ale są to właśnie tylko przypuszczenia, pozbawione jakiegokolwiek wartości dla dowódcy, pragnącego zwiększyć szansę swych żołnierzy.

Na sam koniec zachowałem, Wasza Godność, sprawę, która mnie prawdziwie intryguje: mam na myśli owe dziwne wieści, rozpowszechniane przez żołnierzy, którzy, jak mi piszesz: „odkrywali przedziwnie wymowne rysunki na tarczach zabitych wrogów i wysnuwali z nich całe historie”. To szczególne, Panie. Otóż być może słyszałeś, że stwórcza rola Szerni jako takiej zakończyła się w momencie powołania świata oraz gatunków roślinnych i zwierzęcych. Rozum, nadany kolejno ludziom, kotom i sępom, jest już dziełem nie całych Pasm, lecz wydzielonej z nich żywej części. Owa żywa część Szerni, symbolizująca wszystkie jej treści, jest zarówno istotą, jak i czystą sprawczą potęgą. W języku starogrombelardzkim zachowało się jej imię brzmiące: Rongolo Rongoloa Kraf, czyli Wielki i Największy Uśpiony. Otóż musisz wiedzieć, Wasza Godność, że dotąd przyjmowano, iż Aler dając rozum swoim gatunkom, uczynił to bezpośrednio, mocą całej swej treści, więc inaczej, niż Szerń. Niezwykle zajmujące są zatem opowieści Twoich żołnierzy, tym bardziej że, jak zapewniasz, są wśród nich tacy co znają kilka słów z języka Alerów. Nie potrafię powiedzieć, czy alerskie rysunki-legendy o Bogu-Dawcy Mądrości mogą mieć oparcie w rzeczywistych wydarzeniach. Jest to, Panie, możliwe. Nie widzę żadnych powodów, dla których Aler nie mógłby wydzielić ze swej treści istot-potęę sprawczych, podobnych do Rongola Krafa. Lecz zaznaczę, iż

jakkolwiek jest to możliwe, to jednak wysoce nieprawdopodobne. Na przestrzeni wieków nigdy o czymś takim nie słyszano.

Bądź zdrow, Wasza Godność. Wierzę, iż zapisawszy owe karty, odrobiłem chociaż część zaniedbań, będących udziałem moim i tych wszystkich, którzy stale pogrążeni w swoich rozważaniach, nieledwie zapomnieli o świecie, który ich wydał i który — wciąż idąc naprzód — nie czeka, aż za nim nadążą.

— z Grombelardu

Kreeb-lah'agar (Przyjęty przez Pasma)

Część pierwsza. Kręgi Arilory

1.

— Zabiegałem o stałą załogę dla tej wioski, tam powinna kwaterować dziesiątka piechoty. Ano, stało się. Pewnie spotkasz patrole z Alkawy. Możliwe, że natkniesz się nawet na jakiś większy oddział, oni też nie są głusi ani ślepi. Działaj wtedy podług uznania... ale nie życzę sobie, by doszło do awantur. Zrozumiałeś? Podsetnicy z Alkawy bez słowa przejdą pod twoją komendę, natomiast setnicy będą się z tobą wyklócać. Jesteś moim zastępcą, i na swoim terenie, ale znów oni należą do Alkawy, której podlegamy. Nie ustalicie starszeństwa. Ustąp zatem. Nie zamierzam znowu tłumaczyć się za ciebie. Jeśli dojdzie do wspólnych działań z alkawczykami, powściągnij ambicję. Śpisz, Rawat? Słyszysz co mówię?

Niezbyt duża, nawet trochę ciasna izba, bez żadnych wątpliwości należała do samotnego mężczyzny (lub samotnych mężczyzn) — panował w niej bowiem swoisty ład, jakiego nie ścierpi żadna kobieta. Każda rzecz znajdowała się nie tam, gdzie „wypadało”, ale tam, gdzie najbardziej była pod ręką. Cynowy kubek stał obok zarzuconej jakimiś futrami ławy. Wojskowy płaszcz i krótki kożuszek (ten ostatni nie używany od zimy) wisały na kołku wbitym tuż przy futrynie drzwi; oczywiście były tam zawadą, ale znały swoje miejsce, wisały tam zawsze i koniec. Na zbitym z prostych desek stole leżało, obok jakichś zapisanych inkaustem stronic, pół bochna czerstwego, czarnego chleba i gomółka sera, dalej zaś skórzany pas, do którego przypięta była pochwa. Obnażony miecz najwyraźniej służył do krajania sera, bo okruchy przylgnęły do ostrza. Pod stołem stały wysokie, skórzane buty jeźdźca, zupełnie nowe. Świece znajdowały się w prawym, zaś krzesiwo i hubka w lewym bucie. Uchylone drzwi pokazywały wewnątrz drugiej izby, będącej chyba sypialnią dwóch ludzi. Ściśle, dwóch mężczyzn. Z pledów, które miały okrywać posłania, uczyniono coś w rodzaju kobierców na

podłódze. A jednak, pomimo pozorów bałaganu, dość było odwiedzić te izby trzykrotnie, by poczuć się jak u siebie; wszystkie należące do

gospodarzy przedmioty zawsze byty stawiane, wieszane i kładzione dokładnie w tych samych miejscach. Taki bałagan — to ład...

Izby należały do setnika-komendanta Erwy, jednej z armektańskich stanic na północy, oraz jego zastępcy.

— Śpisz, Rawat? — powtórzył komendant, wysoki i potężny, jasnowłosy mężczyzna, liczący lat mniej więcej czterdzieści. — Czasem myślę, że naprawdę powinieneś wreszcie objąć własną stanicę, zamiast siedzieć tu i marnować się na stanowisku zastępcy.

Trzydziestoletni lub trochę starszy oficer, średniego wzrostu, dobrze zbudowany, odwrócił spojrzenie od okna. Miał na sobie prostą kolczugę, wyłożoną na szeroką, czarną spódnicę do kolan, na nogach zaś mocne buty — takie same jak te pod stołem. Kolczugę okrywała niebieska narzuta z oznaczeniami setnika legii; biało zakończone, wycinane w trójkątne zęby rękawy, a także dolny skraj tuniki, dodatkowo odgródzone były od niebieskiej całości ciemnoszarym paskiem honorgardzisty. Istotnie, dziwiło, że oficer tej rangi, zamiast ubiegać się o samodzielne stanowisko dowódcze, woli brać w Erwie niższy żołd.

— Nie śpię, Ambegen. Słyszę — powiedział, przesuwając dłonią po krótkich, czarnych włosach. — Ambicję powściągnę. A lepszego zastępcy nie znajdziesz, bo poza tą ambicją niewiele mam wad...

— Z tą ambicją to nie taka prosta sprawa — przerwał tamten. — Ja wiem, Rawat, czego ty się boisz: tego, że objąwszy komendanturę, będziesz musiał siedzieć w obrębie palisady, zamiast hasać po stepie. To rozumiem. Ale z drugiej strony męczysz się przecież, słuchając moich rozkazów. Nie bardzo wiesz, czego byś chciał, i to jest cały twój problem.

Rawat przygryzł czarnego wąsa.

— Ilu dasz mi ludzi? Zaległo krótkie milczenie.

— Trzydziestu, nie więcej — rzekł wreszcie Ambegen, doskonale wiedząc, że to dwa razy za mało. — Wybierz najlepszych. Wystarczy ci ośmiu konnych? Rawat potarł podbródek.

— Wolałbym więcej.

— Dobrze, weź dwunastu. Czterech muszę mieć tutaj... to nawet mniej, niż trzeba do patroli. No i zabierz kota, rzecz jasna. Nic mi po nim w obronie palisady, a ty będziesz miał świetnego zwiadowcę.

Rawat znowu odwrócił się ku oknu. Rozpięte w ramach błony dawno popękały i mógł widzieć żołnierzy na majdanie.

— Gostar z czterema szkoli nowych toporników w Alkawie i chyba już zostanie tam na dobre, bo na setkę ciężkozbrojnych mają tam zaledwie czterech dziesiętników. Podpisałeś jego przeniesienie? Ano właśnie. Ośmiu poszło z wozami po odzienie i żywność... Czterdziestu pięciu na wyprawie... Gdy odejdę, zostanie ci dwudziestu kilku. Jeśli jakaś zgraja przejdzie rzekę, to po tobie. Nie obronisz się.

— Ano, chyba nie.

Znów zamilkli.

Zwiadowcy Alerów obserwowali stanicę prawdopodobnie bez przerwy. Niemal zawsze, gdy znaczniejszy oddział wojska wychodził w pole, osłabione załogi zmuszone były odpierać nocne szturmy na wały i palisady. Niedawno omal nie padła Alkawa, trzy razy większa od Erwy, po sąsiedzku położona główna stanica okręgu. Przypadek sprawił, że wysłani przeciw dużej zgrai jeźdźcy wrócili wcześniej i — niespodzianie uderzywszy na oblegających — rozbili ich w drobny mak. Ale z broniącej częstokołu piechoty mało kto został przy życiu, odsiecz przybyła dosłownie w ostatniej chwili. Gdy przysłano uzupełnienia — nowych żołnierzy nawet nie miał kto podszkolić... To dlatego Erwa posłała tam swojego dziesiętnika i paru doświadczonych legionistów. Rawat dopiero co wrócił z Alkawy. I wciąż jeszcze był pod wrażeniem zniszczeń, jakich doznała ta naprawdę silna placówka.

— No to jak? — zapytał. — Wezmę trzydziestu ludzi, a potem, myślisz, że gdzie z nimi wrócę? Na pogorzelsko, grzebać trupy? Żeby jeszcze było co grzebać! Jak dostanie was Srebrne Plemię, to pewno coś tam pozdejmuję z pali i krzyży. Ale jak przyjdą złoci...

— Złoci nie potrafią zdobywać palisad, to już prędzej zjedzą ciebie w polu... Co mi tu wygadujesz? O co chodzi? Nie chcesz iść? Puścili już z dymem wioskę, jutro pewnie...

— Chcę iść! Ale chcę także mieć dokąd wracać. Daj mi wszystkich konnych, całą szesnastkę, i kota. Piechurów zatrzymaj, tylko przeszkadzają mi w stepie.

Ambegen uśmiechnął się lekko.

— Zaczynamy od początku, tak? Posłuchaj, Rawat, jesteś znakomitym dowódcą jazdy...

Zastępca zachnął się.

— Nie przerywaj mi. Jesteś aż zbyt dobry do tej wojny. Marzą ci się wielkie szarże, zajmowanie tyłów wrogim wojskom, przejmowanie taborów. I gdyby o to chodziło, nie znalazłbym lepszego od ciebie. Ale chodzi o upilnowanie paru wiosek. Nie zależy mi na tym, żebyś wygrał wojnę, bo to niemożliwe. Zależy mi na tym, żeby nie spłonęło więcej domów. Przestań! Nie zamierzam słuchać tych bzdur! — zawołał z nagłym gniewem. — Nie jestem dowódcą jazdy, ale mam pojęcie, do czego jest zdolna, a do czego nie! Co z tego, że łatwiej ich odnajdziesz? Co z tego, że łatwiej odskoczysz? Nie uderzysz otwarcie na zgraję, bo cię wdepczą w ziemię razem z tymi szesnastoma ludźmi! Będziesz krążył wokół, tu urwiesz pięciu, tam dziesięciu, w końcu ich zniechęcisz do wyprawy, ale zanim to nastąpi, pójdą z dymem następne dwie wioski. Albo trzy lub cztery, jak nie będziesz miał szczęścia. Nie! Weźmiesz trzydziestu ludzi, w tym przynajmniej dziesięciu ciężkozbrojnych. To i tak za mało, ale masz przynajmniej jakieś szansę. Twoja głowa w tym, żeby znaleźć tę zgraję i zmusić do walnej bitwy. Jednej bitwy, po której to, co z nich zostanie, na łeb na szyję pogna byle dalej od wiosek, których bronisz. Jak wszyscy przy tym położycie głowy, to trudno, za to wam płacą. Koniec! Powiedziałem.

— Topornicy są po to, żeby bronić stanic. Od biegania za Alerami jest jazda.

— Ale jazda poszła w pole dwa dni temu i słuch po niej zaginął. Weźmiesz więc to, co jest.

— Słuch zaginął po jeździe, bo dałeś ją...

— Wiem, komu ją dałem, Rawat.

— Stanice...

— Stanice wzniesiono tu po to, żeby bronić wiosek, nie stanic. Koniec, powiedziałem!

Rawat zamilkł. Od dwóch lat był ze swoim dowódcą szczerze zaprzyjaźniony, niemniej wiedział, kiedy może pozwolić sobie na spory, a kiedy musi posłuchać rozkazu — czy mu się to podoba, czy nie.

— Zrobię co do mnie należy — powiedział. — Pchnij gońca do Alkawy, może przynajmniej przytelepią się te ich szkuty z paroma łucznikami. Bo jazdy to mają akurat tyle, co my.

— Zrobię tak.

Rawat pokręcił głową i wyszedł.

Stanąwszy na majdanie, skinął na przechodzącego nieopodal żołnierza.

— Wołaj mi podsetnika.

Żołnierz pobiegł spełnić rozkaz.

Rawat czekał, zastanawiając się nad składem oddziału. W Erwie sprawy miały się tak, jak w większości przygranicznych stanic: podział na półsetki bądź trzydziesiątne kliny, a tym bardziej — w przypadku większych garnizonów — na złożone z klinów lub półsetek kolumny, był najzupełniej formalny. Uzupełnienia z głębi kraju przybywały dość regularnie, ale składały się z żołnierzy różnych formacji, nie dających się wpasować w sztywne ramy organizacyjne. Regulaminy przewidywały, że połowę żołnierzy garnizonu winni stanowić jeźdźcy, resztę zaś, w równych proporcjach, piesi łucznicy i ciężkozbrojni tarczownicy-topornicy, choć były oczywiście odstępstwa od tych norm. Uzupełnienia przysyłano na podstawie raportów sporządzanych przez komendantów stanic (właśnie taki raport Rawat zawiózł, dopiero co, do Alkawy, by po zatwierdzeniu przesłano go dalej). Ale gdy nowi żołnierze docierali na miejsce, dane o stratach zawarte w raportach były już zwykle mocno przedawnione. Przede wszystkim jednak podjazdowa wojna, sprowadzająca się do gonitw po stepach i lasach, rządziła się innymi prawami, niż regularne bitwy w polu, gdzie tysiące ludzi koniecznie należało ująć w jednolite pod względem liczebności i uzbrojenia oddziały. Pod Północną Granicą lepiej sprawdzały się doraźnie formowane grupy, w których liczba żołnierzy poszczególnych formacji dobierana była w zależności od potrzeb. Zwykle też pozostawiano wychodzącym w pole oficerom wolną rękę w zakresie doboru ludzi. Zwykle — ale oczywiście nie wtedy, gdy było to zwyczajnie niemożliwe. Rawat mógł co najwyżej zżymać się na los, który sprawił, że pod jego nieobecność w stаницy komendę nad wychodzącą w pole jazdą objął kto inny (ech — i kto?!), jemu zaś przypadło w udziale dowodzenie oddziałem złożonym w większości z piechoty. I to piechoty ciężkiej, świetnej do miażdżących uderzeń i przydatnej w obronie stanic, lecz zupełnie niezdolnej do długotrwałego bieganina po wertepach. Dla lekkiej jazdy, a nawet pieszych łuczników, wielkie chłopy w kirysach, z nabiodrkami, w półzamkniętych hełmach, w kolczych rajtuzach

wzmocnionych nakolankami z potężnymi tarczami i tęgimi toporami... słowem całe to chodzące żelastwo — było niczym kula u nogi.

Ale cóż? Rację miał Ambegen: na czele szesnastu jezdnych dało się najwyżej prowadzić małą wojnę szarpaną, obliczoną raczej na znużenie, niżli wyniszczenie przeciwnika. Mogło to oznaczać wydanie mieszkańców paru wiosek na rzeź...

Zamyśliwszy się, Rawat nie od razu zauważył zbliżającego się podsetnika. Uniósł głowę, gdy tamten był tuż.

— Zbierz mi ludzi, wszystkich — powiedział, nim oficer otworzył usta. — Wychodzimy.

Wkrótce stał przed równym, zwartym szykiem. Na początku jazda, potem kilka kroków przerwy — i piechota.

— Wychodzimy — rzekł krótko; wszyscy wiedzieli, co to znaczy. — Potrzebuję trzydziestu ludzi. Najpierw ochotnicy.

Jezdni, dla których monotonne patrole wokół stancy były tyleż męczące, co nudne, bez wyjątku postąpili do przodu. Z piechoty zgłosiło się czterech. Zawsze tak było. Piechurom nie chciało się wyciągać nóg w forsownych marszach, woleli siedzieć w obrębie palisady, grać w kości, czasem dłubać przy naprawie umocnień... Rawat starannie wybrał dwunastu jeźdźców i czternastu pieszych, do których zaraz dołączyli ochotnicy. Skoro tak czy owak nie mógł mieć szybkiego oddziału, postawił na siłę: pośród wyznaczonych było aż dwunastu toporników.

— Osiemdziesiąt do stu głów, ale może być i więcej — rzekł zwięźle. — Wieści są jak zwykle przesadzone, trudno na nich polegać. Spalona została umocniona wioska, mężczyźni wybito, kobiety pokaleczono, ale zginęły tylko nieliczne. Oszczędzono dzieci. Mówię o tym bo chcę, żebyście wiedzieli, że tym razem idziemy do bitwy, nie na polowanie.

Żołnierze wymienili spojrzenia. Z tego, co powiedział setnik, wynikało, że czeka ich przeprawa ze Srebrnym Plemieniem, nie Złotym. Srebrni wojownicy wydawali się mieć coś w rodzaju sumienia: rabowali i palili, ale rzadko mordowali bez potrzeby. Byli jednak — właśnie wojownikami, podczas gdy Złote Plemiona składały się z dzikich bestii, u których trudno było odnaleźć bodaj ślad rozumu. Walka ze złotymi była znacznie łatwiejsza, bo nie chodziło o nic więcej, jak tylko o wymordowanie hordy krwiożerczych, ale głupich pół-zwierząt, nie wiedzących co to taktyka, plan, czy współdziałanie.

— Jeśli są jakieś pytania — rzekł Rawat — to teraz. Odezwała się Bireneta, wysoka, tęga dziewczyna o sile konia:

— Czy nadal nie wolno obcinać tych wspaniałych jaj, panie?

Gruchnął śmiech. Srebrni Alerowie rzeczywiście mieli męskie narządy nadzwyczaj dobrze rozwinięte; swego czasu Bireneta poucinała zabitym te „trofea” i cały ich pęk zawiesiła na palisadzie stancy. Mięso zgniło i zaczęło śmierdzieć, wówczas Rawat zabronił podobnych praktyk w przyszłości.

— Nadal — odparł, starając się zachować powagę. Uciszył żołnierzy. — Inne pytania? Nie było.

— Dobrze. Pójdzie osiem koni jucznych. Oprócz tego każdy ma mieć żywność dla siebie na trzy dni. Przygotować się. Wymarsz zaraz po posiłku. Wszystko.

Zaczęli się rozchodzić. Zatrzymał jeszcze dwóch mężczyzn i skinął na kota, który ze zwykłą dla dyscypliny pogardą wylegiwał się pod palisadą, zamiast stanąć w szyku razem ze wszystkimi. Nie było na to rady. Kocur przyłazł leniwie. Oczywiście, pomimo oddalenia, świetnie słyszał, co i o czym mówiono.

— Dorlot, twoje zadanie jak zwykle — rzekł setnik. — Wyrusz wcześniej, choćby zaraz, jeśli nie jesteś głodny. Idź na południowy wschód, do tej spalonej wioski, to była ta grombelardzka, wiesz, której nazwy nie sposób wymówić — miał na myśli wieś założoną przez osadników z Drugiej Prowincji; rzadko, ale zdarzały się i takie. — Ruszę w tym samym kierunku. Wróc po własnych śladach, a znajdziemy się.

Kot stał nieruchomo, uniósłszy ku dowódcy żółte ślepie. Potem ruszył dalej, tak jak przyszedł, leniwie, nawet słowem nie potwierdzając, że odebrał rozkaz. Płynnym kocim truchtem dotarł do palisady po przeciwnej stronie, niż znajdowała się brama, bez wysiłku wlaźł na częstokół i zniknął. Rawat znał koty wystarczająco długo i dobrze, by wiedzieć, że cała ta nonszalancja żadną miarą nie wynika z lekceważenia osoby dowódcy... Czworonożni kosmaci zwiadowcy byli znakomitymi żołnierzami i świetnymi towarzyszami broni. Jeśli zaszła taka potrzeba, potrafili działać w zespole — ale najlepiej sprawdzali się wykonując samodzielne zadania. Nie miało jednak sensu — i było rzeczą zupełnie beznadziejną — wdrażanie ich do zwykłej wojskowej dyscypliny... Jeszcze zanim Dorlot znalazł się na szczycie palisady, Rawat przeniósł

spojrzenie na niewysokiego, szczupłego mężczyznę z krzywymi nogami jeźdźca. Żołnierz obracał w dłoniach, to znów wtykał między zęby krótką, niezgrabną fajkę. Pomimo, iż wygasła, rozsiewała wokół zapach wręcz porażający.

— Masz dwóch ludzi więcej, niż przewiduje regulamin, Rest — powiedział setnik. — Poradzisz sobie?

Dziesiątnik zamrugał oczami i znowu wyjął z ust fajkę, wyciągając rękę tak, jakby chciał ją podać dowódcy. Rawat cofnął się odruchowo, ale żołnierz uśmiechnął się zrozumiawszy, że pytanie było żartem. Setnik rzadko żartował.

— Podziel jakoś ludzi na trójki, wyznacz trójkowych. Ty, Drwalu, to samo z piechotą — nazwane Drwalem chłopisko z niedźwiedzimi barami i szerokim pasem topornika, wyprostowało się służbiście... co sprawiło, że Rawat musiał jeszcze wyżej zadrzeć głowę. — Masz ludzi z dwóch różnych formacji, ale lepiej ich nie mieszaj. Niech trójki będą lekkie i ciężkie, nie mieszane, to się nie sprawdza. Też wyznacz funkcyjnych... Aha, tylko żadnej kobiety, jak poprzednio. To był głupi pomysł i nie powtarzaj go więcej. Najlepiej obie łuczniczki wsadź do jednej trójki, pod komendę Astata. Łatwiej będzie mieć je na oku... Wszystko.

— Tak, panie.

Żołnierze odeszli niespiesznie. Rawat przez długą chwilę patrzył, jak flegmatycznie zdużają w kierunku budynków mieszkalnych. Drobnego dowódcę jazdy wyglądał u boku topornika jak mysz przy borsuku. Setnik zastanawiał się przez chwilę, skąd bierze się ta powolność, nowi żołnierze jej nie mieli, ale z czasem „stygli” prawie wszyscy. Chodzili niespiesznie, mówili powoli, żuli tak, jakby kęsy rozrastały im się w ustach, wszystko robili dokładnie, bez pośpiechu. Ale tylko w obrębie palisady, potem ta powolność zniknęła. Mogło się wydawać, że podczas pobytu w stancy odkładają siły „na później”. Na wyjście.

Zresztą — on sam także nie był wyjątkiem...

Stojąc na majdanie, zobaczył niosącą juki Birenetę. Chód miała trochę niezgrabny, stopy stawiała palcami do środka. Gdyby nie wzrost i tusza, byłaby wcale niebrzydka. Miała regularne rysy twarzy, a kędzierzawe, długie włosy, choć ujęte w niedbałe węzły, rozburzoną falą spływały do połowy pleców.

Nie lubił kobiet w legii. Chociaż były z reguły znakomitymi

łuczniczkami — bo przyjmowano do wojska tylko takie. Przecież nikomu nie zależało na słabym i marudnym żołnierzu, który przeciętnie strzelał. Przymykano więc oko na niedostatki tężyzny i krzepy, lecz w zamian żądano chociaż strzeleckich umiejętności na naprawdę wysokim poziomie. Rawat umiał docenić te umiejętności... ale jednak niechętnie widział kobiety w bitwie. W stancy to co innego. Pewna ilość żołnierek, nie broniących zbyt gorliwie niewinności, była niewątpliwie potrzebna. Chociaż Biremeta była dobrym żołnierzem nie tylko, hm, w stancy... Musiał to przyznać. Dziwna kobieta, nie bojąca się nikogo i niczego. Odebrano jej stopień dziesiątnika i przeniesiono do Erwy z Alkawy, po tym, jak wyrznęła swojego dowódcę w łeb tarczą, nazwawszy go najpierw tchórzem. Bezpodstawnie zresztą. Widać miała „zły dzień”. Bolesne krwawienie. Żołnierz.

Pogodził się jednak z obecnością kobiet w pieszych formacjach lekkich. Ktoś taki, jak Biremeta, mógł służyć i w topornikach. Ale kobieta w jeździe — nie, tego nie rozumiał. I tym bardziej gniewał go fakt, że gdy tkwił w Alkawie, jego konni łucznicy dostali się pod komendę — właśnie kobiety! Pełen niechęci i najgorszych przeczuć szczerze bał się o swoich ludzi.

Chociaż, tak naprawdę, bardziej byli to jej ludzie...

Zniecierpliwiony i rozdrażniony napływającymi myślami, poszedł do siebie. Wyjął ze skrzyni pas z mieczem, zabrał łuk i strzały, a po krótkim namyśle także lekką włócznię. Jako oficer, bardzo rzadko używał tej broni. Teraz jednak miał tak mało jazdy, że każdy dodatkowy grot mógł przydać się podczas szarży. Dorzucił jeszcze rękawice i sakwę z paroma drobiazgami. Drugą, pustą, przeznaczył na żywność. Na wierzchu położył hełm — otwartą łebkę lekkiej jazdy. Dorzucił pelerynę. Potem poszedł do stajni wybrać konie.

*

Zanim wyruszyli, podzielili się, jak kazała tradycja, swoimi kłopotami, każdy też wyłożył swoje zastrzeżenia i żale do innych, jeśli miał takie w sercu. Przed wymarszem winny ustać wzajemne niechęci; nie wolno brać utajonej złości bądź urazy na niebezpieczną wyprawę. Armektańczycy byli przekonani, że Niepojęta Arilora — Los Wojenny — odwraca się od tych, którzy stając w zbrojnym szeregu, żywią skrywany żal do towarzyszy broni. Czasu było mało, ale znaleźli parę chwil, by usiąść

półnago w wielkiej izbie jadalnej, napić się wina, pozartować. Także i Rawat zajrzał na krótko, odłożył na bok swój stopień; był dowódcą tych ludzi i miał wkrótce szafować ich życiem, teraz jednak stary obyczaj nakazywał mu zrównać się z nimi i pokazać, że wobec wojny i Wyroków Arilory wszyscy żołnierze są równi, bez względu na pełnione funkcje. Miał na sobie pancerz i nie zdejmował go już, ale przepił do legionistów i zdobywszy się na szczerłość, mruknął coś półgębkiem o palącej tęsknocie za żoną, której nie widział od roku. Docenili to, bo — zamknięty w sobie — prawie nigdy nie pokazywał innej, niż spokojna i nieprzenikniona, twarzy.

Był pośród tarczowników Grombelardczyk, krępy, jasnowłosy mężczyzna, potężny jak jego topór. Najpierw, bardzo słabo znając armektański język, nie mógł pojąć dziwnych tradycji i zwyczajów. A i później, gdy przyswoił sobie znaczny zasób słów, nie bardzo rozumiał, co próbuje mu się wytłumaczyć... Wszystko wydawało mu się prostsze, niż widzieli to nowi towarzysze broni. Była walka i śmierć — własna albo wroga. Naraz kazano mu wierzyć, że los i szczęście wojenne można obrócić przeciw sobie, bądź pozyskać. Powiadano, że wojna to jeszcze jeden dziwny byt, zawieszony między światem a Szernią, byt najpotężniejszy ze wszystkich, bo i sama Szerń mu podlega... Że wojna to coś żywego, złośliwego albo łaskawego... Grombelardczyk nie mógł tego pojąć. Gorszyła go i trochę niepokoiła symboliczna nagość żołnierzy przed wymarszem, będąca dowodem czystości sumienia i myśli. Ale teraz siedział razem z innymi, drapiąc szeroką, włochatą pierś i pociągając wino z kubka. Raz przełamawszy uprzedzenia ujrzał, że takie jednoczesne obnażenie ciała i duszy czyni wobec towarzyszy dziwnie bezbronnym — ale przez to wzmacnia do nich zaufanie... Wszyscy spośród zgromadzonych w izbie mieli jakieś swoje problemy i urazy, tak jak nagość skrywane na codzien. Odsłonięcie się, czasem, było potrzebne i mądre. Nawet, jeśli trudno było przejąć wiarę w moc Arilory...

Tuż przed opuszczeniem stancy, na majdanie, wszyscy konni usiedli w krąg na ziemi dotykając jej dłońmi by — piękny zwyczaj jazdy — pomilczeć przez krótką chwilę i poprosić w myślach Niepojętą Panią — swoje szczęście wojenne — o możliwość dotykania ziemi zawsze tak, dłońmi, łagodnie i chętnie, nigdy zaś krwawym czołem po upadku z konia.

Rawat pierwszy wyjechał poza bramę. Żołnierze ruszyli jego śladem. Najpierw szła piechota, ciężka i lekka, potem jazda, dostosowując tempo do równego kroku prowadzących. Wyszli jak na paradzie, trójkami, równo. Dopiero, gdy brama zamknęła się za nimi, rozluźnili szyk.

Rawat zatrzymał konia, oddział minął go. Nie będąc widzianym, pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech. Martwił go mieszany skład oddziału — ale krzepił duch, bojowa sprawność i prezencja żołnierzy. Ciężkozbrojni, w odsłoniętych kirysach, z krótkimi mieczami w okutych żelazem pochwach, nieśli tylko swoje topory i nieduże torby z prowiantem. Łucznicy, w narzuconych na kolczugi tunikach, prezentowali się mniej groźnie, ale bardziej zawadiacko, ze sterczącymi u ramion białymi pierzyskami strzał, w srebrzystych kapalinach na głowach. Wreszcie jazda na gorącokrwistych kasztanach, w lekkich lamelkowych pancerzach lub kolczugach, okrytych tunikami takimi jak u łuczników, z włóczyniami w tulejach przy siodłach, a łukami i strzałami w sajdakach. Ostatnia trójka prowadziła juczne konie, obciążone dodatkowo — nieporęcznymi i zbędnymi w marszu — tarczami ciężkiej piechoty. Zamigotały, tonące w błękitnych prostokątnych polach, srebrne gwiazdy Wiecznego Cesarstwa.

Szli wzdłuż lasu, dalej rozciągał się step, ale na horyzoncie znowu majaczyła ciemna linia drzew. Tereny północnego Armektu były niczym olbrzymia szachownica: pole, las, pole, las, gdzieś — niczym samotna szachowa figura — wieś albo stacja, żadnych dróg, wschód, zachód, północ, południe, tocząca się po niebie żółta kula słońca... Dopiero w środkowym Armekcie, na Wielkich Równinach, lasów było mniej, za to na południowym wschodzie przy dartańskiej granicy, rozciągały się ogromne puszcze. Ale najżyźniejsze ziemie Armektu leżały właśnie tutaj, przy granicy z Alerem. Zrazu nie miał ich kto bronić... Skłócone armektańskie królestwa i księstwa, nawet tak potężne, jak Wielkie Księstwo Riny i Rapy, czy Królestwo Trzech Portów, wobec nieustannych wojen toczonych z sąsiadami, nie były w stanie należycie zabezpieczyć północnych swoich granic. By zaludnić pogranicze, należało najpierw roztoczyć nad nim ciągłą kontrolę i dozór; bez stałych garnizonów, mogących zapewnić jaką taką opiekę wsiom, nie było nawet co myśleć o osadnictwie. Dopiero zjednoczenie Armektu stworzyło ku temu możliwości. Jeszcze przed nastaniem imperium, zgodnie z

królewskim edyktem, osadnictwo na prawie północnym zapewniało ośmio-, dziesięcio-, a nawet piętnastoletni okres wolnizny, w zależności od bliskości granicy. Jednak opieka wojska wciąż była słaba i niepewna, co powodowało, że zamiast rzeki ciągnących na północ osadników, płynął tylko wąły strumyczek. I dopiero po nastaniu imperium — Armekt uzyskał odpowiednie możliwości i środki. Odnowiono dwie potężne twierdze, Tor i Rewin, będące pozostałością po wewnętrznych armektańskich waśniach; pomnożono stаницe. Poprawione prawo północne gwarantowało, po upływie okresu wolnizny, niewysokie i stałe świadczenia na rzecz imperialnej szkatuły: plon z piątej części łana. Wyprzedano część dóbr cesarskich, nakładając na nowych właścicieli obowiązek obrony nabytych ziem — wynikało to zresztą z logiki faktów: ktokolwiek chciał czerpać zyski z nowych gruntów, musiał ich bronić przed Alerami, bo zgliszcza nie przysparzały złota. Ryzyko związane z osiedleniem się zmalało, zaś warunki były dość korzystne, by znalazło się sporo chętnych do podjęcia wyzwania. Ziemi było w bród, każdy obrabiał jej tyle, ile chciał. Wydawano zezwolenia na wyrąb lasów i wywózkę drewna, którego brakowało w południowym i środkowym Armekcie, a jeszcze bardziej w Grombelardzie; było to drewno konkurencyjne wobec dartańskiego, bo tańsze. Chętnie wydawano też koncesje myśliwym. Zyski osiągnięte dzięki zagospodarowaniu nowych ziem powoli zaczęły przewyższać straty, jakie ponosiło Cesarstwo dla utrzymania przygranicznych garnizonów.

Jednak żołnierska służba na pomocy była bardzo trudna, zaś życie w wioskach ciągle jeszcze niepewne...

Zamyślony Rawat jechał na samym końcu oddziału. Po jakimś czasie otrząsnął się nieco. Żołnierze żartowali, pośród ciężkozbrojnych rozbrzmiewały śmiechy. Setnik ponaglił nieco konia. Wyprzedziwszy jazdę i łuczników, znalazł się wkrótce blisko Birenety, idącej w drugiej trójce, obok Grombelardczyka. To wokół niej skupiały się śmiechy. Miała na głowie hełm; Rawat nie poznałby dziewczyny, gdyby nie usłyszał głosu:

— .. dlatego bitwę lubię. Tak, naprawdę lubię. Ale bieganie po tych trawach? To nudne. Tego jebanego biegania nie lubię.

— Gadanie. Toczy się, że nadażyć nie sposób — idący z tyłu Doltar, najstarszy żołnierz w stаницy, trzasnął obróconym na płask żeleźcem

topora potężny, osłonięty kolczugą zad dziewczyny. Żart, choć raczej niewyszukany, spodobał się nadzwyczajnie. Pośród śmiechów i dogadywań poczęto grzmocić się po zbrojach styliskami toporów. Szyk popękał, ale Rawat nie przerywał zabawy; owszem, rad był, że żołnierzom dopisuje humor. Wysunął się na czoło, nie chcąc bierną a natrętną obecnością psuć tego, w czym ani chciał, ani mógł uczestniczyć. Usłyszał, jak za jego plecami rozbawieni ciężkozbrojni poczęli, dla odmiany, docinać pieszym i konnym łucznikom:

— Ile to niosą tych patyków z pierzem, no popatrz... Potem rzuca takimi patykami, rzuca, rzuca... Wtem: masz, trafił i zabił.

Znowu rozbrzmiał śmiech. Śmiali się na równi kpiący i wykpiwani. Jak to zwykle bywa, żołnierze różnych formacji tradycyjnie rywalizowali ze sobą; zwłaszcza lekkozbrojni, bardziej cenieni w Armekcie, skłonni byli patrzeć nieco z góry na „rębajłów”. W garnizonach dochodziło nawet do bójek — ale tylko czasem... bo wielkoludy chętnie wybijały łucznikom głupotę z głów przy pomocy zydli i ław. Zabraniano takich rzeczy, ale za niezłośliwe przytyki nikt nie zamierzał karać.

— Topornik jak dąb — podjął Doltar natychmiast, gdy śmiech ucichł.
— Topór, tarcza... Co grunt, to grunt... Idziesz, zamach i trup, odpychasz tarczą, zamach, trup! Obijają się o ciebie jak o dąb...

— Z jednej strony, z drugiej strony — podchwycił któryś z łuczników — a ty jak dąb: obeszcząć cię mogą, zanim wyjrzysz z tej swojej skorupy.

— Ja już takiego mocarza ustrzeliłam — oznajmiła Agatra, niechybna łuczniczka — co to niby dąb i topór, a jak co do czego, to dzidę miał za krótką... A do tego miękka.

Ryk śmiechu zagłuszył przekleństwo topornika.

— Jak to było? Hej, Doltar? — bezlitośnie nalegała Agatra.

Uśmiechnął się nawet Rawat.

*

Na nocny biwak rozłożyli się w malutkim zagajniku. Niewielkie ognisko posłużyło do zagotowania zupy z mięsa i fasoli, potem je zgaszono. Rawat wyznaczył czaty i zarządził odpoczynek nocny. Obszedł posterunki, potem usiadł pod drzewem.

Włóczęga po lasach i stepach była stratą czasu. Wiedział, że na pewno nie odnajdzie zgrai w ten sposób. Złote Plemiona działały bezmyślnie, jak ogień, który niszcząc wszystko — szaleje tak długo, aż zostanie ugaszony

lub zabraknie mu żeru. I tak samo jak znajduje się ogień, znalazłby też złotą sforę: idąc tam, gdzie dymy i łuny... Ale Srebrne Plemię robiło inaczej: wypuściwszy zagony, uderzało na wioskę lub dwie wioski — po czym wsiąkało w lasy i stepy. Szukaj wiatru w polu. Alerscy wojownicy mogli siedzieć cicho w byle zagajniku, czekając aż ustanie mrówcza biegania wojska. Mogli wypłynąć zniemacka dwadzieścia albo trzydzieści mil dalej. Mogli też wrócić pod ogołoczone z załóg stаницe. Mogli zrobić cokolwiek. Pojawić się nagle w samym środku Armektu. Coś takiego zakrawało nieledwie na cud... a przecież zdarzyło się kiedyś. Mała srebrna zgraja przekradła się przez gęste oczka sieci, utworzonej z przygranicznych strażniczych placówek. Nie wpadł na jej ślad żaden z licznych konnych patroli. Nie dostrzegli mieszkańcy żadnej wioski, nie dojrzał żaden myśliwy, nie zauważyli przypadkowi podróżni... Zgraja wypłynęła dopiero pod Riną, w samym centrum jednego z najgęściej zaludnionych okręgów Armektu. Nikt nie wiedział, czego Alerowie szukali tak daleko. Łupów? Krwi? Jednego i drugiego mogli mieć po drodze aż nadto...

Teraz zaczęło się tak samo: zgraja sforsowała niezbyt szeroką, lecz głęboką, dość wartko płynącą Lezenę — i nie została dostrzeżona przez gęsto rozstawione posterunki wartownicze. Jednak zaraz potem dała o sobie znać...

O świcie, a najdalej przed południem, powinien zjawić się Dorlot. Setnik był pewien, że kot zdążył obieć szmat terenu. Wcale nie musiał zauważyć zgrai, mógł natknąć się na jej ślad. To by wystarczyło.

Ale mógł też przybiec z niczym.

Rawat zastanawiał się, czy powinien wtedy iść do Trzech Wsi, jak sobie pierwotnie zamierzył. Nazwa była myląca; rzeczywiście miały tam kiedyś powstać trzy duże wioski, zgrupowane wokół małej stаницy. Lecz zasadźca z jakichś przyczyn wycofał fundusze, zrywając umowę lokacyjną. W efekcie wzniesiono tylko jedną dużą osadę u stóp wzgórza. Wieś leżała na południe od „grombelardzkiej” osady, którą zgraja zdążyła spalić. Gdyby Alerowie ruszyli w głąb Armektu, trafiliby prosto do Trzech Wsi. Tylko, że wcale nie musieli ruszać w głąb Armektu...

Rawat nie wiedział, co robić. Postanowił czekać na Dorlota, a gdyby ten wrócił z niczym — odejść bardziej na południe, rozsyłając konne patrole. Mógł w ten sposób przeczesać znaczną część terenu. Reszta

zależała od wojennego szczęścia.

Zwinęli obóz jeszcze przed świtem i wyruszyli w takim samym porządku, jak dnia poprzedniego. Wolno... Rawata zaczęła złościć nieporadna, kulawa włóczęga. Nie czekając dłużej na Dorlota, wysłał na zwiady trzy dwukonne patrole. Ponieważ w otwartym terenie nie trzeba było bać się zaskoczenia, rozkazał by piechota złożyła, swoje bagaże i część broni na grzbietach koni jucznych, którym ubyło nieco ciężaru (zjedzono dwa posiłki). Sakwy z żywnością i topory, bądź kołczany, na pozór nie ważyły zbyt wiele, jednak setnik doskonale wiedział, że po przejściu dziesięciu mil w zbroi, pod wysokim słońcem, można zmienić zdanie. Skoro mógł jakkolwiek ulżyć swym żołnierzom — czynił to. Konie, idąc stale stępa, mogły sprostać większemu niż zwykle obciążeniu.

Koło południa zrobili krótki postój i ruszyli dalej. Przemierzyli nie więcej, niż milę.

— Dorlot wraca, panie! — zawołała bystrooka Agatra, wskazując daleko przed siebie.

Rawat osłonił oczy dłonią, ale minęło kilka dobrych chwil, nim dostrzegł maleńki punkcik.

— Na pewno?

— To on, panie, nikt inny. Na pewno.

Oddział zatrzymał się bez komendy. Teraz już wszyscy obserwowali ciemną kropkę.

— Ale... — rzekła z napięciem Agatra, wytyczając wzrok — on chyba ranny... Biegnie na trzech łapach.

Rawat zaniepokoił się. Łuczniczce można było wierzyć, znał niezwykłą bystrość jej oczu.

— A dalej, za nim? — zapytał. — Nikt go nie ściga? W milczeniu kręciła głową, przepatrując otwartą, lekko pofałdowaną przestrzeń stepu, aż po majaczącą na południu smużkę lasu.

— Nie — odparła wreszcie. — Nikt.

Obserwowali poruszający się wolno punkcik. Zbyt wolno jak na kota.

— Ciężko mu — powiedział ktoś niegłośno.

— Rest, wyskocz — polecił setnik.

Dowódca jazdy ścisnął kolanami boki konia. W chwilę później pędził galopem po równej, porośniętej trawą przestrzeni. Koń i jeździec zmaleli, przemieniając się w zwartą plamę. Mrużąc oczy, obserwatorzy widzieli

spotka-nie plamy z punkcikiem. Zlały się w jedno. Potem plama zaczęła szybko rosnać, by na powrót stać się koniem i jeźdźcem. Kocur leżał na karku wierzchowca, zabawnie wczepiony pazurami w łęk kulbaki. Nie miał na sobie kol-czugi ani mundurowej tuniki, koci zwiadowcy używali ich niechętnie. Wielkie grombelardzkie gadba nosiły niekiedy kocie pancerze kolcze — ale gadba były wojownikami, zdolnymi czasem stanąć do otwartej walki z człowiekiem, szczególnie w nocy... Dorlot należał do tirsów, kotów sporo mniejszych, za to szybszych, trzy razy lżejszych od gadba i zręczniejszych.

— Co tam, Dorlot? — zapytał setnik, gdy kot zeskoczył na ziemię. — Jesteś ranny?

— Byłem w spalonej wsi — odparł krótko zapytany; koci głos brzmiał trochę niewyraźnie i właściwie nieprzyjemnie dla ucha, przywodził na myśl niski, nieco ochryply pomruk. — Zgraja siedzi w lesie — Dorlot wytłumaczył, gdzie. — Posłali paru swoich na przespiegi — krótko opisał drogę, którą obrali zwiadowcy. — Wzdłuż Suchego Boru.

Agatra przyklęła i obejrzała ranną łapę.

— Przypadek, drobiazg — rzekł kot. — Zwykły cierń, Agatra. Dzikie psy zagnały mnie w krzaki.

Bezpańskie zwierzęta były plagą tych okolic. W tym roku jakby rzadziej dawały znać o sobie, ale wystarczyło, by Alerowie spalili jeszcze parę wsi... Głodne kundle nie brały się znikąd.

Rawat zarządził dalszy marsz.

— Odpoczywaj, Dorlot. Weź jucznego.

Agatra wzięła kocura pod łapy i wsadziła na grzbiet obciążonego bagażami konia. Zwiadowca starannie wybrał sobie miejsce między pakunkami. Okręcił się w jedną, potem w drugą stronę. Lubił leżeć porządnie, nawet podczas podróży. Rawat, jadąc obok, cierpliwie obserwował pedantyczne kocie poczynania.

— Powiedziałem wszystko, setniku — rzekł zwiadowca. — Duża zgraja, ale żeby wejść między nich i policzyć, musiałbym czekać do nocy. Alerowie to nie ludzie, mają oczy i uszy, którymi patrzą i słuchają. Pożałowałem czasu na podchody, lepiej było iść śladem zwiadowców. Pokaleczyłem się o kolce i siedziałem trochę na drzewie, psy były duże, więc wlałem bardzo wysoko.

Potem nie mogłem zleźć, chociaż poszły. Jak zląłem, ruszyłem z powrotem, bałem się, że wyjdziecie prosto na zgrają. Ale zwiadowcy Alerów poszli tak, jak powiedziałem: na południe, wzdłuż skraju Boru. Nie męcz mnie, panie. Wypoczęty zwiadowca jeszcze ci się przyda, a zmęczony doradca ci na nic.

Rawat skinął głową. Nie zwrócił uwagi na Agatrę, która wyłamała się z szyku i szła przy koniu Dorlota. Nie przerywając marszu i co chwilę niespokojnie zerkając na dowódcę, czy nie każe jej wracać do szeregu, próbowała obwiązać zranioną przez cierń kocią łapę. Setnik ścisnął kolanami boki konia i wysunął się na czoło pochodu. Nadał tempo. Oddział przyspieszył.

Szybkim marszem zdążali prosto na południe. Rawat dobrze znał okoliczne tereny i nie potrzebował żadnych innych wskazówek niż te, których udzielił mu Dorlot. Zgraja zamierzała wejść w ciasninę między dwoma lasami. Uznał, że najprostszym posunięciem będzie zabiec jej drogę. Musiał zatoczyć łuk, by nie natknąć się na powracających alerskich zwiadowców, ani na samą zgraję. Był przekonany, że plemię wyruszy natychmiast po ich powrocie; nie posyła się szpiegów po to, by następnie czekać, aż przyniesione przez nich wieści stracą swoją wartość...

Las, na skraju którego ukryli się Alerowie, nazywany był Suchym Borem; zgraja zamierzała go obejść od zachodu, zapewne po to, by uniknąć wykrycia przez patrole z niedalekiej Alkawy. Rozpościerał się na znacznej przestrzeni, wysuwając w step liczne jęzory. Rawat nie wierzył, by alerscy jeźdźcy przebijali się przez gęsty i zwarty, obficie podszyty Suchy Bór. Sądził raczej, że — podobnie jak zwiadowcy — podążą jego skrajem. Niewidoczni na tle lasu, sami mieliby w ten sposób świetny widok na równinę, nie mówiąc już o łatwości i szybkości poruszeń. Rawat chciał osiągnąć skraj Suchego Boru w punkcie, który zgraja będzie musiała minąć dopiero następnego dnia. Nie chciał nocnej bitwy. Problem polegał na tym, że musiał dotrzeć na miejsce jeszcze przed nastaniem nocy. Step nie wszędzie wyglądał tak samo, a pod lasem wręcz należało liczyć się z obecnością jakichś nierówności, starych wiatrołomów... Setnik nie zamierzał wdawać się w bitwę w terenie, którego nigdy wcześniej nie widział. Przecież, gdyby jego wyliczenia zawiodły, mogło jednak dojść do nocnej walki. Wtedy byle wykrot, byle

dziura, mogły sprowadzić katastrofalne następstwa wobec znacznej liczebnej przewagi i ruchliwości przeciwnika.

Dowódca legionistów był głęboko przekonany, że Srebrne Plemię, raz wyruszywszy, nie spocznie, póki nie dotrze do celu. Alerowie nie potrzebowali snu... czy też raczej — nie sypiali tak, jak istoty szerserskie. Wszystko, co żyło po tamtej stronie granicy, odpoczywało inaczej. Zmysły w pewien sposób czuwały. Alerski wojownik, śpiąc, mógł wykonywać proste, powzięte przed zaśnięciem czynności, takie na przykład jak marsz, lub jazda wierzchem. Mógł też w pewnym stopniu kontrolować swoje poczynania, choć wolniej i mniej dokładnie, niż na jawie. Czynność tak niewyszukana, jak zdążanie ku wytkniętemu celowi, skrajem lasu, bez trudu mogła być kontynuowana w trakcie snu.

Minęli niedużą wieś. Chłopi przywykli do widoku konnych patroli, ale większy oddział prawie zawsze zwiastował kłopoty. Rawat posłał do wieśniaków żołnierza z ostrzeżeniem. Zwykle, po wykryciu zgrai, do zagrożonych osad kierowano oddziały piechoty, zaś teren przeczesywała tylko jazda. Tym razem, chłopi musieli radzić sobie sami.

Setnik zastanawiał się, czy dobrze wyliczył czas przemarszu, jednak przyspieszyć nie mógł. Już teraz tempo było prawie mordercze dla piechoty. Rawat z niepokojem patrzył na ciężkozbrojnych. Było późne lato, ale słońce, które tutaj, na północy, zwykle niezbyt doskwierało, od paru dni zalewało step nieustannym blaskiem. Bezlitosne promienie rozgrzewały blachy do tego stopnia, że topornicy wręcz piekli się w swoich zbrojach. Spod głębokich hełmów spływały strugi potu. Nikt już nie żartował w szeregach. Setnik widział, że utrzymując takie tempo, zwyczajnie wykończy ludzi. Jeśli miał mieć z ciężkozbrojnych jakiś pożytek w bitwie (a byli — bagatela! — główną jego siłą), to musiał coś wymyślić.

Wybrał najlepszego jeźdźca i rozmówił się z nim krótko. Chciał wiedzieć, czy alerscy zwiadowcy wrócili do zgrai. Wkrótce żołnierz co tchu w końskiej piersi gnał na wyznaczony posterunek.

Gdy po pewnym czasie wrócili (zresztą z niczym) konni zwiadowcy, których rozesłał jeszcze przed południem, Rawat zatrzymał oddział. Wierzchowce dotrzymujące kroku piechocie nie były zdrożone; trochę gorzej miały się konie zwiadowców. Nie zważając na to, setnik posadził toporników za jeźdźcami, sam także bez ceregieli podzielił grzbiet

zwierzęcia z wielkim Drwalem. Polecił zwalić na ziemię bagaże z dwóch jucznych i starannie kryjąc niezadowolenie — kazał siadać na oklep półżywym ze zmęczenia łuczniczkom. Pyskata Agatra tym razem trzymała język za zębami, nawet nie próbując podważyć decyzji dowódcy; pierwszy rzut oka na jej towarzyszkę, młodziutką Elwinę, wystarczał. Dziewczyna lada chwila gotowa była zemdleć. Przez pół dnia dotrzymując kroku roslym mężczyznom, zmuszona była po prostu biec. Jeźdźcy chwycili cugle luzaków. Rawat, zawsze dbający o to, by żołnierze lekkiej piechoty — nierzadko przecież towarzyszący jeździe — umieli choć jako tako trzymać się na koniach, miał powód do satysfakcji. Był pewien, że łuczniczki mu nie pospadają.

Zwierzęta ruszyły ciężkim kłusem. Czterej łucznicy, uczepleni strzemion, biegli obok. Jezdni wzięli od nich nawet miecze i hełmy.

Do skraju lasu dotarli tuż przed zmierzchem. Żołnierze rozjuczyli i rozsiodłali konie, pobrali swoją broń i pokładli się na ziemi, niedaleko za linią pierwszych drzew. Tylko kilku zjadło suchy posiłek. W tym czasie Rawat posłał Dorlota w kierunku, skąd mogła nadciągnąć zgraja, sam zaś, wraz z dowódcami jazdy i piechoty, obiegł teren. Było już niemal całkiem ciemno, gdy wezwał dodatkowo Astata, trójkowego łuczników. Żołnierz był śmiertelnie znużony.

— Zaraz pójdziesz spać, Astat — obiecał setnik. — Dzisiaj warty trzymać będzie tylko jazda. Ale teraz słuchaj, co powiem, bo za chwilę nie będziemy nic widzieć.

— Tak, panie.

— Tam, przed skrajem lasu, jest rów. Co tam rów... Właściwie płytkie zagłębienie, wyłobione pewnie przez spływającą deszczówkę, nic więcej. Dla ciebie będzie fosą. Zaraz, już za chwilę, weźmiesz wszystkich łuczników i zaprowadzisz na skraj lasu, na wprost tego miejsca. Widzisz, gdzie? To dobrze. Walczyć będziemy za dnia... tak przynajmniej myślę. Ale jeśli zgraja dotrze tu szybciej, to do bitwy może dojść w nocy. Dorlot uprzedzi nas odpowiednio wcześniej. Jeśli to będzie noc, to całe zadanie twoje i twoich ludzi polega na tym, byście przepuścili straż przednią, a potem posłali zgrai tyle strzał, ile tylko się da. Powinien być księżyc, widziałeś dzisiejsze niebo. Gdy zobaczysz Alerów na wprost siebie — strzelaj. O nic więcej się nie martw. Zrozumiałeś?

— Tak, panie.

— Ale najprędzej bić się będziemy za dnia. Wtedy inaczej. Masz siedzieć w krzakach i ujawnić się dopiero wtedy, gdyby plemię zaczęło uciekać w twoim kierunku. Kazałem ci zapamiętać to wgłębienie. Nie zatrzyma ich, ale zmyli krok wierzchowców i wykorzystaj to. Jeśli narobisz zamieszania w tej „fosie”, to być może, przy pomocy tych sześciu łuków, zdołasz ich jakoś powstrzymać; gdyby uciekali, to nie chcę żeby wleźli do lasu. Gotowi nam potem zrobić jakąś niespodziankę. Poczekaj, to jeszcze nie koniec. Powiedziałem ci, jak to widzę, ale polegam na tobie, Astat. Możliwe, że nie będę w stanie przekazać odpowiednich rozkazów. Ale nie po raz pierwszy jesteś pod moją komendą, znasz mnie i będziesz wiedział, co począć, by zgadzało się z moimi intencjami. Początek bitwy wyobrażam sobie tak... — krótko przedstawił plan zasadzki, po czym dodał: — Polegam na tobie, powtarzam. Pytania?

— Nie, panie. Zrozumiałem wszystko.

— Zabieraj ludzi, przygotuj broń i spać.

— Tak, panie. Łucznik odszedł.

Było już całkiem ciemno. Rawat oparł dłonie na ramionach swoich dziesiętników.

— Wy też zrozumieliście?

— Tak, panie. Dobry plan.

— Gdybym zginął, dowodzenie przejmuje Rest. Ale tylko do końca bitwy, potem całością dowodzisz ty, Drwalu. W oddziale jest więcej piechoty, niż jazdy i lepiej, żeby dowodził piechur. Wszystko.

Niedługo potem pojawił się jeździec na śmiertelnie zmęczonym koniu. Zatrzymali go wartownicy, inaczej minąłby kryjówkę oddziału. Rawat przyjął meldunek. Zwiadowca widział powracających do zgrai, wysłanych na przeszpiegi Alerów. Sam pozostał niezauważony. Wyglądało na to, że plemię nie wpadnie w zasadzkę przed świtem. Wciąż jednak istniała możliwość, że zgraja podjęła marsz jeszcze przed powrotem zwiadowców. Setnik nie bał się zaskoczenia. Jakies półtorej mili dalej, drzemał na skraju lasu kosmaty wartownik, którego uszy, pomimo płytkiego snu, czujnie obracały się ku wszystkim obcym dźwiękom, żółte oczy zaś gotowe były rozbliśnieć w każdej chwili. I mrok nie był dla nich przeszkodą.

2.

Powracając do stancy jazdy witano z nieskrywaną ulgą i radością. Już z daleka było widać, że oddział nie bardzo ucierpiał. Gdy karne trójki wjeżdżały przez bramę na majdan, okazało się, że nie zginął nikt. Konie jeźdźców były bardzo zdrożone, paru żołnierzy miało jakieś rany, ale powierzchowne. Tak czy owak, świadczyły o stoczonych walce...

Komendant Erwy pojawił się na majdanie, gdy oddział, sformowany w zwarty trójszereg, był już gotowy do przeglądu. Dowodzący oficer w stopniu podsetnika zeskoczył z siodła i zdjął hełm — pokazując dwudziestotrzyletnią, zmęczoną twarz kobiety o dość przeciętnej urodzie. Zwróciwszy się ku podkomendnym, kobieta zawołała ochryple:

— Raport!

Ucichły rozmowy. Jeźdźcy zastygli; tylko ten i ów targał nieco wędzidłem, próbując zmusić do posłuchu zdrożonego, wietrzącego wodę i znajomą stajnię konia.

Zbliżywszy się do setnika, dowodząca oddziałem złożyła tyleż krótki, co nieregulaminowy meldunek:

— Powrót, komendancie. Siedmiu pokaleczonych. Rozbiłam złotą zgraję, osiemnaście łbów. Wyrżnięci do nogi, nic nie uszło.

Jeden z „pokaleczonych” zemdłał właśnie i byłby spadł z konia, gdyby nie przyskoczył z boku jakiś łucznik.

_ Zwolnij ludzi — polecił Ambegen. — I chodź do mnie.

Kobieta zwróciła się ku swoim i wydała parę rozkazów. Zmęczeni żołnierze ciężko zsiadli z koni. Obejrawszy się, czy komendant odszedł dość daleko, podsetniczka wycelowała palec w jednego z dziesiętników.

— Moi ludzie nie mdleją, kiedy składam raport. Zapamiętaj to sobie, bo przestaniesz być dziesiętnikiem...

Funkcyjny, prowadzący już konia do stajni, zatrzymał się. Nagle na zgaszonej, szarej od bezsenności twarzy pojawił się jakiś grymas. Legionista wypuścił wodze z dłoni i zbliżył się szybkim krokiem.

— To są ludzie setnika Rawata, nie twoi! — cisnął jej szeptem prosto w twarz. — Nikt nie będzie popisował się dla twojej przyjemności, suko

jedna... Pamiętaj.

Zamierzyła się, rozwścieczona. Chwycił ją za rękę.

— Zaraz puszczę, a wtedy uderz... — wysyczał. — No już. Wszyscy patrzą, dalej. Uderz, pani. Komendant też chętnie popatrzy...

Zerknęła ku Ambegenowi. Rzeczywiście patrzył. Opuściła rękę.

— Odbędziemy jeszcze wspólnie kilka wyjść... — obiecała.

Odwróciła się i odeszła, zagryzając usta. W gniewie jej twarz — rzecz dziwna — wyraźnie wyładniała; z rysów wychynęła jakaś pierwotna, ale i bardzo zmysłowa drapieżność. Tę kobietę najlepiej było oglądać — chyba w bitwie. A może jeszcze... gdy była z mężczyzną?

— Cóż to za scenę widziałem? — chłodno zapytał setnik.

— Niedokończoną — odparła tak samo. — Zostałam wezwana...?

— Zostałaś wezwana, podsetniczko, bo jestem komendantem tej stancy. I jeśli mi się spodoba, to będę cię wzywał dwadzieścia razy dziennie, tylko po to, by odprawić bez słowa.

Przełknęła nauczkę dość gładko; owszem, nawet lekko się uśmiechnęła. I natychmiast — niewypowiedzianie zbrzydła.

— Tak, panie — powiedziała. — Przepraszam. Od trzech dni prawie nie spałam.

Skinął głową i pokazał, by weszła do jego kwatery.

— Gdzie Rawat? — zapytała nagle, gdy tylko znaleźli się w środku. — Jeszcze w Alkawie? Dlaczego tu tak mało żołnierzy?

Rzeczywiście musiała być zmęczona i śpiąca, bo zwykle ogarniała wszystko w mgnieniu oka. Ambegen usiadł przy stole.

— Wyszli — poinformował.

— Ale co się stało? — indagowała nerwowo. — Jak: wyszli? Rawat... z piechotą?

— Jazda była z tobą, Tereza! — niecierpliwie przypomniał setnik. — Rawat wziął to, co zostało. Przestań wreszcie! Usiądź i poczekaj na to, co powiem, a potem najlepiej idź spać! Niepodobna z tobą wytrzymać!

Patrzyła badawczo. Po krótkiej chwili rozłożył ręce.

— Tak... ja też jestem zmęczony — przyznał, już spokojniej. — Usiądź. Zrobiła, co powiedział.

— Co to była za zgraja? — zapytał. — Ale krótko i bez upiększeń. A tym bardziej przechwałek.

— Osiemnastu złotych, dzień drogi stąd na zachód. Szłam za nimi bez

przerwy, uciekali i kręcili się w kółko, więc zrobiłam małą obławę. Polowanie z nagonką. Znalazłam dobre miejsce...

Była znakomitym żołnierzem. Słuchał niezbyt uważnie, więcej myśląc o niej, niż o tym, co mówiła. Tak, naprawdę świetnie dowodziła jazdą... Uważał (i miał do tego podstawy), że w Erwie spotkało się dwoje najlepszych dowódców konnicy spośród wszystkich, jacy służyli pod Północną Granicą. Dla niego był to ogromny atut... ale czasem także przekleństwo. Tych dwoje rywalizowało ze sobą, nawet o tym nie wiedząc. Żadne nie przyznałoby się do tego. To, i właśnie umiejętność dowodzenia jazdą, były wszystkim, co ich łączyło. Poza tym — same różnice. Rawat wymagał od żołnierzy rzeczy wręcz niemożliwych, ale robił to jakoś... od środka. Nie tyle stał nad nimi, co pomiędzy nimi. Był jednym z nich, legionistą, czuli to, a jednocześnie nie potrafili i nie chcieli odebrać mu należnego szacunku i podważyć autorytetu. Właśnie: odebrać szacunku, bo go tym szacunkiem — obdarzali. Tereza inaczej: ona ten szacunek wyrywała swoim jeźdźcom z gardeł. Bali się jej i szanowali, czy tego chcieli, czy nie. Ambegen dopiero co był świadkiem zajścia na majdanie; nie słyszał słów, ale widział, że dziesiętnik zaatakował i zapewne obraził podsetniczkę. Bo był zmęczony. Komendant dałby sobie uciąć rękę, że żołnierz, gdy tylko odeśpi swoje, będzie żałował tego, co powiedział w gniewie. „Wściekła suka”, czy nawet „złośliwa dziwka”, jak ją między sobą nazywali, wcale nie była jedną z nich, jak Rawat. Przeciwnie. Nie znosiła oporu; w marszu, na wyprawie, wszystko robiła po swojemu, nie słuchała niczyich rad, wyciskała z ludzi i zwierząt siódme poty, nie liczyła się z nikim i z niczym, prawie jej za to nienawidzili... Tylko że, koniec końców, okazywało się, iż znowu wszyscy wrócili do stancy. Półprzytomni ze zmęczenia, głodni i spragnieni, zwyczajnie chorzy od wściekłych galopad, czasem ranni lub po prostu... pobici przez Terezę. Ale wszyscy.

Wojna pod komendą Rawata była niebezpieczną, lecz barwną przygodą. Wojna pod komendą Terezy — szarą, ciężką pracą... Rawat kusił los — i wygrywał, i odnosił błyskotliwe sukcesy. Tereza losu nie kusiła. Ona wydawała mu rozkazy, był jakimś... dziesiętnikiem czy trójkowym w jej oddziale. Trzymała go za łeb jak każdego ze swoich funkcyjnych; trzymała za łeb i tłukła płazem miecza po plecach tak długo, aż zaczynał wypełniać polecenia. Dziękowała mu kopniakiem i

zmuszała do dalszych wysiłków. Bez dyskusji.

Żołnierze to widzieli. I umieli docenić. Choć czasem... byli nazbyt zmęczeni. Jak ten tam, dziesiętnik na majdanie.

— Wystarczy — powiedział Ambegen — wiem co trzeba. Rawat wyszedł wczoraj... — zwięźle opowiedział, jak miały się sprawy. — W nocy wokół stancy było spokojnie, ale nad ranem coś się zaczęło dziać. Wróciłaś w samą porę, Tereza.

— Trzeba iść za Rawatem! — rzekła i przekonał się, że nie bardzo zwracała uwagę na to, co do niej mówił. — Z piechotą nie odszedł daleko... Dogonię go, rozbijemy zgraję i wrócimy.

Rozmowa nie miała sensu. Ambegen musiałby powtarzać każde słowo trzy razy.

— Nie — uciął. — Twój żołnierz pospadają z koni, o ile będą mieli z czego spadać... Wierzchowców na zmianę nie ma, a te, co przyprowadziłaś, są prawie zajeżdżone.

— Znajdzie się parę! Niektóre mogą...

— Nie! — powtórzył głośnie. — Na Szerń, cóż to za wredny los sprawił, że mam podkomendnych, którzy stale próbują być mądrzejsi ode mnie! Koleżeńskie układy nie sprawdzają się tutaj... Idź spać, Tereza, wkrótce noc, a w nocy możesz mi być potrzebna. Koniec, powiedziałem!

Wstał.

Miała mniej wycucia niż Rawat i — jak to zwykle bywa — nie umiała przyjąć od zwierzchnika tego, co sama narzucała swoim podkomendnym.

— Wezmę chociaż dziesięciu, na najlepszych koniach. Przecież zostało trochę jazdy w stancy? Chociaż kilku?

— Spać.

— Jeśli wyruszę zaraz... — podniosła głos. Wyszedł z za stołu i pochwycił ją za oficerską tunikę.

— Jeszcze słowo, a zedrę to z ciebie — ostrzegł z gniewem, jakiego nie oczekiwała. — Będziesz czyścić stajnie, albo pomagać w kuchni... Zanim w Alkawie rozpatrzą twoją skargę (a wątpię, czy pozytywnie!), miną dwa miesiące. Przez ten czas będziesz sprzątać końskie gówna... lub gotować, jak cię znam, podobnie wyglądające i pachnące rzeczy... Pomyśl. Nie będzie hasania po stepie.

Znowu wyładniała. Wyrwała się, odwróciła i wyszła. Drzwi huknęły, aż zatrzęsł się budynek.

Ambegen omal nie ruszył za nią. Ale zatrzymał się w pół kroku, zgrzytnął tylko zębami i roztarł mocno dłonie. W rozmowach z podkomendnymi nigdy nie uciekał się do pogrózek. Był szczerze rozeźlony, że zmusiła go do tego. Powoli wrócił na miejsce za stołem. Usiadł, wsparł łokcie na blacie i mocno przetarł twarz.

Był Grombelardczykiem. Każdy, kto poważnie myślał o karierze wojskowej, prędzej albo później musiał trafić tutaj, pod Północną Granicę. Imperium objęło cały Szerer i — oprócz Alerów — nie miało żadnych zewnętrznych wrogów. Służba w prowincjach polegała głównie na patrolowaniu miejskich ulic... W Grobelardzie ganiano górskich rozbójników, na Bezmiarach straż morska ścigała okręty pirackie, w środkowym Armekcie osaczano czasem watahę Jeźdźców Równin... Ale prawdziwa wojna toczyła się tylko tutaj i każdy, kto myślał o czymś więcej niż patent setnika legii, musiał spędzić parę lat na pograniczu. Dla Armektańczyka nie było to może takie trudne. Ale Grombelardczyk najpierw długo musiał uczyć się niezwykle skomplikowanego, armektańskiego języka, bo Kinen — uproszczona jego wersja, rozpowszechniona w całym Wiecznym Cesarstwie — tutaj nie wystarczała. Potem jeszcze należało pojąć zdumiewające, dziwaczne, niezrozumiałe, czasem sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, obyczaje i tradycje tego kraju. Na szczęście w wojsku prawie wszystkie krążyły wokół Niepojętej Pani Arilory, bo inne żołnierz odrzucał, przechodząc z jednego świata do drugiego (wojna była przecież „innym światem”, w rozumieniu Armektańczyka!). Ale najtrudniejsze było obcowanie z ludźmi. Z Armektankami i Armektańczykami. Dziki temperament cór i synów Równin był trudny do okiełznania. Wybuchał tyleż często co nagle, przemieniając zdyscyplinowanych oficerów, funkcyjnych czy na koniec prostych żołnierzy, w niesfornych awanturników, na których trzeba było krzyczeć, jeśli nie chciało się ich bić. Ambegen wierzył, że poradzi sobie po swojemu, ale coraz bardziej tęsknił do sumiennych twardych górali, których miał pod komendą w Grombelardzie. Z tymi tu — łucznicami... czasem nie wiedział co począć.

Choć przecież mieli i zalety. Były też dobre strony ich trudnych do pojęcia obyczajów. Nikt nigdy nie wypomniał mu jego pochodzenia, choć powszechnie w Armekcie Grombelardem gardzono... W oczach Armektańczyków — żołnierz był tylko żołnierzem, nikim i niczym

więcej. Wcześniej mógł być chłopem lub księciem... Gdy został legionistą, tamto przestawało się liczyć. Stopień wojskowy, pełniona funkcja, okazane tchórzostwo bądź męstwo. Tylko to miało znaczenie.

Tereza znalazłszy się w swojej kwaterze, na złość Ambegenowi uznała, że wcale nie jest śpiąca. Tłukła się po niedużych, zagraconych izbach jak wściekła. Podsetnik pieszych łuczników, dobry kolega, którego lubiła i z którym czasem sypiała, nie doczekał się odpowiedzi ani na powitanie, ani na próby nawiązania rozmowy. Wreszcie, właściwie oceniwszy jej nastrój, wstał z posłania, na którym się wylegiwał, nałożył buty i wyszedł. Była mu za to wdzięczna.

W drewnianym kubku znalazła śmierdzące męskie onuce i rozwścieczona do reszty, rozdeptała naczynie na miazgę. Czasem miała dosyć tego niechlujnego towarzystwa. Stanica nie zapewniała specjalnych wygód ani żołnierzom, ani oficerom; wszyscy podsetnicy dzielili dwie niewielkie izby, z których jedna była sypialna. Nikomu nie przeszkadzało, że kobieta mieszka i sypia razem z mężczyznami. Nagość i wszelkie sprawy cielesne uważane były w Armekcie za coś normalnego. Zresztą nawet gdyby było inaczej, zgłaszająca się do legii dziewczyna musiała wiedzieć, że będzie traktowana jak każdy inny żołnierz, nie dostanie mniej jedzenia, niż mężczyzna, ale też nie będzie więcej wody do mycia — słowem: nie czekają jej ani specjalne przywileje, ani dodatkowe obowiązki. To, że przy naborze raczej nieprzychylnym okiem spoglądano na mężatki i dziewice, było sprawą drugą... Nie złościło jej więc ani to, że musi mieszkać z innymi podsetnikami, ani to, że oczekuje się od niej, iż czasem będzie z nimi sypiała. Po prostu niekiedy lubiła być sama. I mieć coś własnego (na przykład drewniany kubek), którego te świnię nie użyją jak swojego. Nie była specjalnie towarzyska. Nużył ją wszelki zgiełk, a nawet — bywało — zwyczajne rozmowy.

Pokręciła się jeszcze trochę. Odpięła pas z mieczem, zdjęła tunikę, potem kolczugę, wreszcie przesywanicę i koszulę. To samo zrobiła ze spódnicą, płóciennymi nogawicami i butami, rozrzucając je wszędzie dokoła. Miała mocne łydki, silne uda i okrągłe, ale zwarte biodra. Stała przez chwilę, nieco bezmyślnie drapiąc wilgotny, czarny zarost między nogami, potem zaczęła czochrać włosy pod pachą. Była brudna, spocona, wszystko ją swędziało i marzyła o porządnej kąpieli. Lecz zmęczenie przeważyło; odłożyła mycie na wieczór. Znalazła świeżą koszulę.

Założywszy ją, ulokowała się na niewygodnej pryczy krzyżując nogi w kostkach. Oparła dłonie na kolanach, a plecy i głowę o ścianę. Myślała, marszcząc brwi i przygryzając usta.

W takiej stancy jak Erwa, było miejsce dla zaledwie pięciu oficerów. Oprócz komendanta — zastępca z żołdem podsetnika (nawet jeśli był setnikiem, jak Rawat) i jeszcze trzech inni podsetnicy, przypisani do klinów jazdy, tarczowników i pieszych łuczników. Któryś z ostatniej trójki zawsze był dowódcą tytularnym — zależało to od tego, z jakiej formacji wywodził się zastępca komendanta. Jeśli z jazdy, to on przeważnie brał konnych łuczników na

wyprawę. Podsetnik, nominalnie dowodzący jazdą, nawet jeśli mu towarzyszył, niewiele miał wtedy do gadania. Ale przeważnie zostawał ów nieszczęśnik w stancy dowodząc jakimś tuzinem jeźdźców, niezbędnych do stałej służby patrolowej... Niewdzięczna psia służba.

Zastępcą Ambegena był Rawat. A ona takim właśnie niepotrzebnym dowódcą lekkiej jazdy.

Nie znosiła Rawata. Nie znosiła z całej siły, z głębi duszy. Marzyła o wielkiej, druzgocącej klęsce, poniesionej przez tego pyszałka, zapatrzonego w siebie durnia, który nie dostrzegał w niej ani znakomitego żołnierza, ani koleżanki z kadry dowódczej, ani kobiety, ani... W ogóle jej nie dostrzegał! Była tylko powietrzem, i to chyba powietrzem śmierdzącym, bo unikał jej jak tylko mógł! Gdybyż wreszcie przegrał którąś ze swych wypraw, wytracił niepotrzebnie żołnierzy, a potem wrócił i musiał opowiedzieć, jak został pobity. Marzyła o tym, wyobrażała sobie tę chwilę. Dobierała w myślach słowa, których musiałyby użyć, składając raport, i wtedy gdzieś, pod żołądkiem, wzbierało gorące, intensywne uczucie błogości, graniczącej ze zmysłową rozkoszą. Gdyby przegrał... gdyby został pokonany. Pobity, upokorzony.

Ale przecież... nie teraz. Nie teraz, na Szerń! Nie teraz!

Wzięła ze stancy więcej ludzi, niż to było niezbędne. Upojona jedną z rzadkich okazji do samodzielnego dowodzenia w polu, wzięła nie tylko swoich trzydziestu ludzi, ale i część rezerwowego klina komendanta stancy. Ambegen nie sprzeciwił się, to prawda. Od pewnego czasu Srebrne Plemiona siedziały cicho, po bitwach zebranych przy oblężeniu Alkawy. Nic nie zapowiadało, że granicę przekroczy tak silna srebrna zgraja. Przekroczyła jednak! I Rawat wyruszył w pole, prowadząc z sobą

piechotę. Piechotę! Brakowało jazdy, bo mu ją zabrała... Jeśli Rawat przegra, będzie musiała wziąć to na siebie. Nie ubędzie mu chwały, spokojnie złoży raport o przegranej bitwie, od czasu do czasu patrząc na nią. Ani słowem nie wspomni o tym, że zabrała w pole dwa razy więcej jeźdźców, niż trzeba. Opowie o błędach, jakie popełnił, usiłując zgrać współdziałanie trzech, zupełnie nie przystających do siebie, w warunkach podjazdowej wojny, formacji... Popatrzy na nią dłużej... i być może z aprobatą skinie głową dowiedziawszy się, że na czele pięćdziesięciu jeźdźców, dzielnie i sprawnie, bez strat własnych, wytłukła osiemnastu złotych Alerów...

— A-a-a...! — powiedziała niegłośnie swym ochrypłym od komend głosem, przymykając na chwilę powieki. — A-a-a...! Uderzyła potylicą o ścianę.

— A-a-aaaa!

3.

Dorlot pojawił się, gdy słońce już zdążyło wyrzeć spoza lasu. Biegł, ale bynajmniej nie gnał na łeb na szyję.

— Mamy sporo czasu — wyjaśnił setnikowi. — Ruszyłem się jeszcze przed świtem i szedłem tak długo, aż ich zobaczyłem. Są teraz o dobre dwie mile. Ale pół mili stąd step wycina w lesie zatokę. Nawet jeśli pójdą po cięciwie łuku, to raczej nie zobaczymy ich wcześniej.

— Straż przednia?

— Nie ma straży przedniej.

Tego Rawat nie oczekiwał. Liczył się z koniecznością zniszczenia wysuniętej grupki kilku, bądź nawet kilkunastu jeźdźców, co było możliwe, bo łuczników konnych i pieszych miał razem osiemnastu. Wiadomość, że Srebrne Plemię nie wysunęło ubezpieczenia, była tyleż dobra, co... niepokojąca. Srebrni wojownicy nie zanedbywali takich rzeczy.

— Pewien jesteś? — zapytał, chociaż nie powinien. Kot oczywiście był pewien — i obraził się.

— No dobrze — rzekł setnik, poirytowany. — Przygotuj toporników. Potem idź do łuczników Astata i siedź z nimi. Wszystko.

Dorlot odszedł, milcząc wyniośle. Dowodzenie takim żołnierzem wymagało nie lada opanowania — i doprawdy nie każdego dowódcę było na nie stać. Niektórzy wręcz protestowali przeciw oddawaniu im pod komendę kocich zwiadowców, pomimo ich niewątpliwej przydatności. Spośród wszystkich oficerów Erwy, tylko on jeden chętnie brał z sobą Dorlota. Były jednak chwile, gdy szczerze tego żałował..

Straż przednia... Na zmianę planów było już za późno, zresztą trudno rezygnować z bitwy dlatego, że... wróg zaniebdał wysunięcia awangardy. Rawat cierpliwie czekał, aż zgraja ukaże się przy leśnym cyplu, który Dorlot określił jako początek zatoki.

Wreszcie doczekał się.

— Na koń — rzucił przez ramię do stojących za plecami, skrytych między pniami żołnierzy. — Spokojnie — dodał po chwili, bo

przedwczesne ukazanie się któregokolwiek z legionistów mogłoby zepsuć cały plan. — Jeszcze czeka-my, spokojnie.

Zgraja dość szybko posuwała się skrajem lasu. Rawat z napięciem czekał, aż Alerowie miną miejsce, gdzie byli przyczajeni topornicy. Odetchnął, gdy zgraja przeszła, nie dostrzegłszy niczego podejrzanego. Wyraźnie już widział sylwetki jeźdźców i niosące ich, niesamowite wierzchowce, które aż trudno było zwać zwierzętami... Po raz drugi wstrzymał oddech, gdy plemię znalazło się na wysokości kryjówki Astata. I znów — udało się!

Zgraja liczyła dziewięćdziesięciu, a może i stu jeźdźców. Szacunki, czynione jeszcze w stancy, potwierdziły się bardzo dokładnie.

„Teraz!” — rzekł w myślach setnik. „Drwalu, chłopie, zakuty łbie toporniczy... Teraz, no!”

Dziesiątnik nie zawiódł. Rawat palnął się pięścią w udo widząc, jak w odległości dwustu kroków za plecami Alerów spomiędzy drzew wynurzają się osłonięte tarczami sylwetki ciężkozbrojnych, sprawnie formując szyk. Nie za-uważono ich! Minęła chwila — i wzdłuż skraju lasu przetoczył się potężny okrzyk ruszających śladem zgrai toporników. Zaskoczenie było nawet większe, niż Rawat sobie życzył, zgraja bowiem minęła już kryjówkę pieszych łuczników, na wprost której chciał stoczyć bitwę. Astat powinien teraz przesunąć nieco ludzi... Bojowy okrzyk piechoty rozbrzmiał w samą porę; dziesiątnik ciężkozbrojnych miał głowę na karku!

Zgraja pospiesznie zmieniała front, jednocześnie próbując rozwinąć skrzydło w stronę stepu. Atakująca garstka musiała być w oczach Alerów złożona z jakichś szaleńców! Uderzenia ciężkiej piechoty Alerowie zwykle przyjmowali w miejscu i pieszo — ale nie przy takiej dysproporcji sił! Bez żadnych większych przygotowań plemię ruszyło do kontrataku, spełniając najskrytsze życzenia Rawata. Setnik pochylił włącznie.

— Maaarsz-kłusem-marsz!

Wysunęli się ze skraju lasu bez żadnych dodatkowych komend, równo, sprawnie, znakomicie, sformowali podwójną linię, zwracającą się frontem ku zgrai. Żołnierze na zataczającym łuk skrzydle puścili konie wyciągniętym kłusem, ci bliżej lasu szli wolniej... Wyrównali! Rozbrzmiał okrzyk ruszającej do szarży lekkiej jazdy — przeciągły, rozfalowany,

stopniowo narastający. Wdrożone do jazdy w szyku wierzchowce nie wychodziły z linii. Kontratak Alerów przeciw topornikom rozpadł się w pierwszej fazie: kilku jeźdźców nie dojrzało, ani nie dosłyszało, nowego niebezpieczeństwa i dalej pędziło ku ciężkozbrojnym, inni wstrzymywali swoje pokraczne wierzchowce, wyrzaskiwano jakieś rozkazy, ostatnie szeregi znowu zmieniały front, szykując się przeciw pędzącej armektańskiej jeździe, gorączkowo próbowano sformować szyki do obrony przed nieoczekiwanym, dwustronnym atakiem. Zapanowało nieuchronne zamieszanie i... szybko narastało, przechodząc najśmielsze oczekiwania Rawata! Jakiś alerski wierzchowiec, popychany przez inne, przewrócił się widocznie, bo w centrum zgrai powstał bezładny, splątany kłęb... Rawat pociągnął swych jeźdźców do galopu. Tak, jak przed chwilą próbował w myślach skłonić toporników do wyjścia na równinę, tak teraz liczył na Astata. Miał nadzieję, że trójkowy odnajdzie się w płynnej sytuacji, zapomni o rozkazach... Okazja była jedyna! Kotłująca się przed samymi nosami łuczników ciżba stanowiła najwdzięczniejszy cel na świecie! Kilka strzał...

Astat pojął co należy robić. Pędzący na czele swoich jeźdźców Rawat nie mógł dostrzec śmigających pocisków — ale ujrzał alerskie wierzchowce, miotające się i zrzucające wojowników na ziemię. Ze skraju lasu śmigała strzała za strzałą, wszystkie celne, bo nie mogło być inaczej! Zgraja skłębiła się do reszty — i wówczas z dwóch stron, prawie jednocześnie, nie przeszkadzając sobie nawzajem, uderzyli topornicy Drwala i jeźdźcy Rawata!

Niewiarygodnie mało czasu upłynęło od momentu, gdy ciężkozbrojni wyszli na równinę — do chwili, gdy jednocześnie z szarżującą jazdą uderzyli na wroga. Topornicy musieli przebiec tylko dwieście kroków; jezdni najwyżej pięćset. Dokonanie w tym czasie dwóch zwrotów i sprawne rozdzielenie sił na dwa fronty przerosło możliwości zgrai — bo przerosłoby możliwości najlepiej wyszkolonych i dowodzonych wojsk świata. Wykorzystanie liczebnej przewagi okazało się zupełnie niemożliwe; wojownicy, którzy mogli tę przewagę zapewnić, miotali się, uwięzieni wewnątrz kłębu, szpikowani strzałami przez łuczników Astata. Atakowana zewsząd zgraja zrazu prawie nie stawiała oporu. Groty armektańskich włóczni zmiotły z wierzchowców kilku jeźdźców, desperacko próbujących przejść do kontrszarży, po czym wbiły się w

beładny tłum. Rozpędzone armektańskie rumaki, cięższe i silniejsze od alerskich zwierząt, obaliły pierwsze szeregi. Z drugiej strony topornicy, pozostawiwszy za plecami porąbane trupy tych paru Alerów, którzy zbyt późno poniechali kontrataku, zwarli trójkątny szyk na powrót i teraz grzmocili jak w bęben, rozwalając wierzchowcom łby, druzgocząc toporami kolana i biodra jeźdźców, spychając wielkimi tarczami ryczący tłum rannych i ogarniętych paniką. Przepadali w tym tłumie ci, którzy jeszcze mogli i chcieli stawić opór. W przeciwieństwie do konnych łuczników Rawata, których największym atutem był impet uderzenia, siła natarcia toporników nie malała. Słabe oszczepy Alerów nie radziły sobie z tęgimi tarczami i grubymi blachami napierśników. Ciężkozbrojni (zdarzało się) brali czasem ciężki od ruchliwych i zręcznych srebrnych wojowników — ale wtedy, gdy ci mogli swą ruchliwość i zręczność wykorzystać. Nie mając czasu i miejsca, by odszukać słabe punkty zakutych w zbroje ludzi, Alerowie beznadziejnie próbowali zatrzymać gniołący ich, żelazny mur, bodąc go nieledwie na oślep swym prymitywnym orężem — i wciąż napotykali tylko tarcze, kirysy, lub ciężkie, głębokie hełmy, skrywające niemal całe twarze przeciwników. Rawat i jego konni, z łatwością zniszczywszy samo obrzeże kłębu, teraz mozolnie walczyli mieczami i z coraz większym trudem powstrzymywali wroga, przeszedłszy z ataku do wysilonej obrony. Topornicy ciągle szli naprzód, chociaż coraz wolniej, bo opór jednak tężał, a zabici i ranni wojownicy (tym bardziej zaś pokaleczone, miotające się beładnie zwierzęta) utrudniali dostęp do dalszych szeregów.

Szałę zwycięstwa przechylili łuczniczy.

Liczebna przewaga Alerów była przygniatająca. Utraciwszy, w zabitych i rannych, bez mała połowę wojowników, zgraja wciąż dwukrotnie górowała nad atakującymi. Sama masa walczących sprawiała, że zgniecenie ich jednym uderzeniem było niemożliwe. Lecz ci co tkwili w środku gromady, nie bardzo mieli pojęcie, jakie właściwie siły ich gromią. Gdy na obrzeżach wojownicy, siłą zmuszeni do obrony życia, po prostu zaczęli odpierać ciosy — ci w środku wciąż widzieli tylko zabijanych z łuków towarzyszy. Ranione strzałami wierzchowce rzucały się jak wściekłe, czyniąc zamęt niemożliwym do opanowania. Wciąż nadlatywały nowe pierzaste pociski, jeden za drugim, niewiarygodnie szybko, nieprzerwanie; mogło się wydawać, że niewidzialnych łuczników

jest nie sześciu, a sześćdziesięciu. Uwięzieni między armektańską jazdą a topornikami Alerowie wyprysnęli na boki, wymykając się spomiędzy dwóch wrogich linii. Część rzuciła się w stronę stepu; duża gromada runęła ku drzewom. Zyskawszy swobodę ruchu, srebrni wojownicy mogli z łatwością przeskrydlić krótkie linie legionistów — i sytuacja uległaby odwróceniu. Lecz żaden alerski dowódca nie panował nad przebiegiem bitwy, nikt nie był w stanie odpowiednio podzielić sił, wskazać, kto i gdzie powinien uderzyć. Mogliby to najwyżej uczynić wojownicy samorzutnie — lecz do takich manewrów potrzebne było świetnie zorganizowane wojsko, złożone z żołnierzy o bardzo wysokim morale, potrafiących samodzielnie ocenić sytuację i podejmować samodzielne decyzje. Alerska zgraja nie spełniała żadnego z tych warunków. Wojownicy zwyczajnie uciekali i nie byli w stanie nawet posłuchać rozkazów, choćby i miał je kto wydać. Pomimo to siedzący w krzakach Astat nie zamierzał przeciągać struny. Zgraja została rozbita i, wobec szczupłości sił własnych, nie miało sensu zmuszanie niedobitków do dalszej rozpaczliwej obrony. Dlatego dowódca łuczniczków pośpiesznie usunął swoich ludzi z drogi czmychających Alerów. Przesunawszy żołnierzy trochę w bok, pozostawił resztki zgrai topornikom i jeźdźcom, sam zaś wysunął nieco w głąb lasu dwóch łuczniczków — jako ubezpieczenie na wypadek, gdyby Alerom zachciało się wrócić na plac boju. Straciwszy wdzięczny cel, jakim było skłębione centrum zgrai, Astat zmienił taktykę: zamiast całego mnóstwa wyrzucanych na chybił trafił, byle prędzej, strzał, poczęły śmigać ze skraju lasu skupione, starannie mierzone wiązki, wypuszczane ku pojedynczym celom. Zleciał na ziemię pierwszy uciekający stepem wojownik, potem drugi i trzeci; w tle tych śmierci kładł się bolesny, niesamowicie brzmiący skrzek ranionych alerskich wierzchowców. Dostawszy w ten sposób paru uciekinierów, łucznicy przestali strzelać — brakło celu. Kończyły się także strzały, a roztropnie było zachować choć kilka na... wszelki wypadek.

Po stłumieniu resztek oporu, tarczownicy i jeźdźcy „gasili” pobojuwisko: toporami rozwalano łby oszalałym z bólu zwierzętom, docinano mieczami, bądź przyszpilano do ziemi grotami włóczni, niezdolnych do obrony wojowników. Milkły zawrozenia i wrzaski, zamierały ostatnie niezdarne poruszenia. Pole bitwy zgasło.

Łucznicy wyszli z lasu, lecz Astat natychmiast zawrócił „męską”

trójkę — w dalszym ciągu mieli ubezpieczać oddział. Rawat dojrzał to — i uspokojony — rozkazał zebrać rannych i zabitych legionistów. Zeskoczył z siodła. Zmęczony, powoli przemierzał plac boju. Robota ciężkozbrojnych prawdziwie go zdumiała, choć widział w życiu niejedno. Rzadko jednak miał pod komendą toporników. Zdawał sobie sprawę, jak znaczna jest siła uderzeń ciężkiej piechoty, wszakże co innego zdawać sobie sprawę — a co innego zobaczyć... Niesamowicie porąbane trupy zaścielały ziemię. Wielu wojowników obalono razem z wierzchowcami; wciąż jeszcze „siedzieli” na ich grzbietach. Ręce i nogi zabitych nierzadko ledwie-ledwie połączone były z resztą ciała. Głowę jednego rozrąbano równo na pół — topór zatrzymał się dopiero na szyi.

Obejrzawszy dzieło ciężkozbrojnych, setnik pobiegł spojrzeniem tam, gdzie z ciał zabitych sterczały, skierowane we wszystkich kierunkach, biało opierzone promienie strzał. Większość trafionych Alerów trzeba było dobić, lekkie pociski łuczników nie miały dużej mocy. Lecz w środku ciasnego szyku, ranny wierzchowiec lub jeździec czynił więcej zamieszania, niż trup... To nie liczba zabitych, lecz właśnie zamieszanie i bałagan, przesądziły o wyniku bitwy.

Rawat pokręcił głową. Nigdy nie chwalił żołnierzy za to, że spełnili swoje obowiązki, wykonując pracę, za którą im płacono. Nie uczynił tego i teraz. Jednak przez krótką chwilę patrzył na Astata... i chudy łucznik wręcz urósł od tego spojrzenia, czując szczery podziw, uznanie i szacunek dowódcy.

Obok trójkowego stała malutka, piętnastoletnia Elwina. To była jej pierwsza bitwa, ba! po raz pierwszy w życiu widziała Alerów... Posłała w tłum wiele strzał — a teraz mogła z bliska obejrzeć to, co trafiała. Była przestraszona. Rawat dawno już zdążył zapomnieć, jakie wrażenie wywierają na człowieku — i chyba każdym szererskim stworzeniu — istoty z tamtej strony granicy. Od trupów wojowników i ich zwierząt biła obcość niemal... namacalna. Przetykając ślinę, dziewczyna spoglądała na leżącego u jej stóp alerskiego rumaka; Rawat był pewien, że prędzej zrobiłaby... cokolwiek, niż dotknęła istoty, na którą właśnie patrzyła. Zwierzę, mniejsze od konia, okryte było delikatnym, nitkowanym, czarnoszarym włosiem, wyglądającym jak pleśń. Nie miało kopyt, nogi przypominały raczej psie łapy, ale dziwnie pogrubione na końcach, sękaty i bezkształtne, pełne dodatkowych przegubów i stawów; setnik

wiedział, że niektóre z nich blokują się lub uruchamiają, w zależności od tempa poruszeń zwierzęcia, a także terenu, po którym szło. Znacznie wyższy w kłębie niż w zadzie, wierzcholec sylwetką przywodził na myśl żubra, był jednak delikatniejszy. Wyszczzerzone zęby, spomiędzy których sączyła się żółta, podbarwiona krwią piana, nie przypominały zębów roślinożercy — tym bardziej jednak nie mogły być kłami drapieżnika. Rozbity toporem łeb pozbawiony był czegokolwiek, co przypominałoby uszy. Oczy, osadzone między podwójnym, grubym fałdem skóry, tkwiły w jakiejś białoróżowej galarecie i sprawiały wrażenie, jakby mogły wypłynąć przy lada poruszeniu łba. Jednak najbardziej niesamowity i... w jakiś sposób... złowieszczy, był wygląd samych gałek ocznych. Były to ludzkie oczy. Najzwyklesze, niebieskie, ludzkie oczy. Nie istniały żadne różnice.

Dziewczyna zwymiotowała. Rawat udał, że tego nie widzi.

— Są bardzo wytrzymałe i ruchliwe, ale niezbyt szybkie, choć mogą długo biec — rzekł podchodząc. — Poruszają się ciszej niż konie i są lepsze w lesie. Do szarży mało przydatne, za słabe i za lekkie, a przy tym nieposłuszne. Alerowie nazywają je „fehfs”, czy jakoś podobnie, zbyt trudno to powtórzyć... Mówimy o nich „wehfety”. Dobrze się spisałaś, łuczniczko — dorzucił na koniec, odchodząc. — Jestem bardzo zadowolony.

Czynił odstępstwo od swych zasad, ale dziewczyna potrzebowała tego.

Na skraju lasu złożono sześciu zabitych. Nieco dalej opatrywani byli ranni. Najbardziej ucierpiała jazda, tarczownicy okazali się odporniejsi na alerskie dzidy. Choć srebrni wojownicy mieli także trochę armektańskiej broni. Oczywiście zdobycznej...

Bireneta i Doltar prowadzili Grombelardczyka. Nie miał hełmu, zdarto mu go w walce. Z zalanej krwią twarzy patrzyło tylko jedno oko, nos był złamany i rozdarty, czoło rozcięte na znacznej długości. Przy skroni wisiał strzęp żywej skóry. Posadzono topornika wśród pozostałych rannych. Chyba nie czuł bólu, wodził dokoła ocalałym okiem, jakby pytając, co się stało, kim jest i gdzie się znajduje. Ale spośród rannych najbardziej ucierpiał jeden z jeźdźców: smukłe ostrze alerskiej dzidy przebiło kolczugę i utkwiono w brzuchu, po czym — drzewce pękło. Rawat znał się na ranach... a zresztą nie trzeba było

znawcy. Legionista — niezbyt urodziwy, zawsze trochę ponury, młody chłopak — umierał. Rawat odbył z nim wiele wypraw. Usiadł obok, wziął żołnierza za rękę i ojcowskim ruchem, palcami przeczesał mu włosy na głowie.

— Mój koń, panie... dobity? Męczył się... Dobity?

— Dobity.

— To dobrze, panie. Dobry koń. Dobry żołnierz, panie... legionista. Nie trzeba żeby się męczył... Prawda, panie?

— Nie męczy się, synu... Śpij.

Żołnierz przymknął oczy, uściśnął dłoń dowódcy — i umarł.

Rawat raz jeszcze rozgarnął mu włosy i powstał.

Na poboju rozbrzmiały okrzyki i śmiechy żołnierzy. Rawat ujrzał dwóch toporników, wydobywających spod trupów — ranną Alerkę... Srebrne Plemiona zabierały samice na wyprawy. Wiązało się to z jakąś tradycją... właściwie nikt nie znał powodów, krążyły tylko różne domniemania. Dość, że każda ruszająca na wyprawę zgraja zabierała Alerkę. Jedną, czasem dwie.

Samica trochę odbiegała wyglądem od wojowników. Miała jaśniejszą skórę, żółtobrązową, a na twarzy niemal całkiem żółtą. Poza tym nie było większych różnic. Głowa i twarz na pierwszy rzut oka miały bardzo wiele cech ludzkich. Alerka mogłaby nie być... wstrętna. Ale tylko wtedy, gdyby była martwa... Twarz wyróżniała się szeroko rozstawionymi oczami i podłużnym kształtem; nieruchoma nie budziła odrazy. Jednak skóra okrywała mięśnie działające zupełnie inaczej, niż ludzkie — i mimika tej twarzy była do tego stopnia obca, że wręcz przerażająca i odpychająca. A nawet gorzej — bo ta „inność” zdawała się burzyć cały ustalony porządek rzeczy, wywoływała prawie niemożliwy do opanowania odruch nienawiści i gniewu, do głowy przychodziła tylko jedna myśl: zabić! Zniszczenie, strącenie tej twarzy w niebyt było jedynym sposobem na... przywrócenie jakiejś równowagi.

Żołnierze oglądali zdobycz. Alerka miotła się w potężnych ramionach toporników, ruchliwe, cienkie wargi układały się w najdziwniejsze kształty, odsłaniając bardzo małe i drobne, różnokształtne zęby. Długi, brunatnoczerwony język ociekał ogromnymi ilościami rzadkiej śliny, u Alerów był to objaw strachu. Stworzenie wyło i krzyczało coś w swoim rozedrganym, niezrozumiałym języku.

Rozzłoszczony szamotaniną wielki topornik wyrwał Alerkę z rąk towarzysza tak, jakby wyrwał pogniecioną szmatę, po czym, nie puszczając szczupłego, opatrzonego dodatkowym łokciem ramienia, zakręcił się wokół własnej osi, zawinął drobnym ciałem nad głową i wyrzwał nim o ziemię. Oszołomiona uderzeniem i bólem samica gramoliła się bezładnie, jak mucha bez skrzydeł i połowy nóg. Wyłamane ze stawu, zdruzgotane w kilku miejscach ramię, wyglądało tak, jakby przyczepiono je do niewłaściwego ciała.

— Zabić to! — polecił Rawat. — Przygotować się do wymarszu!

Ale żołnierze bawili się jeszcze. Chciano pokazać Elwinie, jak wygląda „alerska dziewczyna” — tak jakby blada, wciąż walcząca z nudnościami łuczniczka miała ochotę oglądać nowego, tym razem żywego potwora. Przetoczono samicę na grzbiet, zdarto resztki skórzanego odzienia, odsłaniając trzy pary sterczących jak kamyki sutków, wieńczących płaskie, położone blisko siebie piersi.

— Kończyć! — powtórzył setnik. Podeszli Bireneta i Doltar.

— Już! — wrzasnęła toporniczka. — Po zabawie!

Rozepchnęła żołnierzy, pochyliła się, chwyciła Alerkę za gardło i powlokła jak szmacianą kukłę w stronę skraju lasu. Doltar trzema ciosami topora odrąbał niewysoko zawieszoną gałąź. Bireneta chwyciła dwukrotnie mniejszą od niej, wciąż jeszcze oszołomioną, słabo wierzgającą Alerkę za kark i między nogami, po czym nabiła brzuchem na sterczący z pnia kikut konara. Okrwawione drzazgi wyszły plecami. Buchnęła szkarłatna posoka, puściły mięśnie trzymające mocz. Nadziana, jak robak na patyk, samica wyła skrzekliwie, kurczowo ściskając ręką tkwiący w ciele konar; drugie ramię, połamane, wisiało bezwładnie, kołysząc się w rytm podrygiwań. Po chwili wierzganie osłabło. Na ziemię coraz obficie skapywała krew. Charkotliwe, niewyraźne skrzeczenie było jedyną oznaką, że Alerka jeszcze nie skonała.

— Dobrze, dosyć! — raz jeszcze powiedział Rawat. — Do wymarszu!

Nie przepadał za takimi zabawami, ale nie widział powodu, dla którego miałyby zabraniać ich żołnierzom. Teraz jednak zależało mu na czasie. Dalsze siedzenie na poboju nie było mądre; gdzieś w lesie, a i na stepie, ciągle błąkały się niedobitki zgrai... Dlatego setnik był zniecierpliwiony chwilowym rozluźnieniem dyscypliny — co zresztą często miało miejsce po zwycięskiej bitwie. Ruszył do swego konia — i

zobaczył Dorlota. Kocur pędził wzdłuż lasu jak wściekły.

— Co tam... — zaczął Rawat.

— Straż... przednia! — wrzasnął kot. Setnik urwał.

— Nie było... straży przedniej! Była! — mrukliwy głos zmęczonego zwiadowcy brzmiał jeszcze niewyraźniej, niż zwykle. — Tysiąc... nie wiem ile!

— Jaka straż przednia? — zniecierpliwiał się Rawat.

— To! — wrzasnął znowu kocur. — To jest straż przednia! Daleko wysunięta, bo... no, nie wiem! Pobiliśmy straż przednią, dowódco! Zgraja zaraz tu będzie!

Zbiegli się żołnierze.

— Co ty mówisz, Dorlot? — wymamrotał setnik; rzadko zapominał języka w gębie, ale teraz prawie się zdarzyło.

— O milę! Zaraz tu będą, spotkali tych, co nam uszli... Tysiąc, parę tysięcy... Nie wiem ile, panie. Armia! — tłumaczył kot.

Żołnierze bez komendy rzucili się do zbierania ekwipunku. Lekko rannych wsadzono na luźne wierzchowce, innych brano pod ramiona i wleczono. Nie mogło już być mowy o zabraniu poległych. Rawat wezwał Drwała i Astata. Szybko wydał potrzebne rozkazy. To, co powiedział kocur, nie mieściło się w głowie. Nikt nigdy nie widział zgrai większej, niż sto, góra sto pięćdziesiąt oszczepów! Wieść, że liczący setkę wojowników oddział jest zaledwie strażą przednią zgrai, wyglądała na nedorzeczną. Jednak, jeśli Dorlot nie postradał nagle zmysłów, nie było czasu na roztrząsanie problemu. Należało uciekać do lasu. Potem mógł wypytywać zwiadowcę do woli.

Wezwał dziesiątnika konnicy.

— Uciekam z piechotą do lasu, Rest — powiedział. — Poczekajcie tu, aż was zobaczą, potem uciekajcie wzdłuż Suchego Boru. Bierz wszystkie juczne, oprócz jednego. Niech zgraja myśli, że ty i twoi to wszystko, niech was gonią. Rozumiesz? Inaczej wszystkich nas wyłapią między drzewami. Jak im uciekniecie, idźcie do Trzech Wsi, tam się spotkamy.

— Tak, panie.

Rawat machnął ręką. Oddział wsiąkł między drzewa. Jeźdźcy pozostali, czekając aż pojawi się zgraja.

Nagłe przejście od roli zwycięzców do roli szczutej zwierzyny mocno odbiło się na nastrojach legionistów, choć nie było żadnych oznak paniki

czy rozprężenia; przeciwnie, żołnierze przywykli, że koleje losu wojennego są zmienne i rozumieli wybornie, że właśnie wtedy dyscyplina i posłuch mają największe znaczenie. Zdawano sobie sprawę, że jeśli fortel Rawata zawiedzie i zgraja pójdzie ich śladem, zamiast puścić się za jezdny — to koniec. Obarczeni rannymi, prowadząc konie, poruszali się tak wolno, że dogonić ich mogły nawet dzieci. Co jakiś czas, posłuszni rozkazowi, przystawali, by nasłuchiwać odgłosów pościgu. Jednak las rozbrzmiewał tylko swymi naturalnymi dźwiękami.

Rawat począł wypytywać Dorlota. Rozmawiali w marszu.

— Nigdy nie przywyknę, setniku, do opowiadania wszystkiego po dwa razy — oświadczył niezadowolony zwiadowca, który, zrobiwszy swoje, już prawie zdążył zapomnieć, że to on właśnie przyniósł alarmujące wieści. — Uprawiając swoją bitwę zapomnieliście o całym świecie — skonstatował złośliwie.

— Ty nie zapomniłeś, Dorlot — cierpliwie podsunął setnik.

Kot nie wiedział, czy dowódca żartuje... Na ogół nie zaprzętał sobie głowy tak błahymi sprawami, jak nastrój przełożonych. Teraz jednak coś w głosie setnika kazało mu zaprzestać narzekań.

— Siedziałem beczynnie w krzakach — powiedział. — Nie wiem, panie, dlaczego przyjęliśmy, że skoro nie ma straży przedniej, to nie będzie też tylnej. Zawiodłem jako zwiadowca.

Rawat próbował nie okazać zdziwienia — choć kocia samokrytyka była dlań zjawiskiem najzupełniej nowym.

— Pobiegłem sprawdzić. Jeszcze nie było za późno. Łucznicy byli poza walką, mogli spełnić rolę odwodu — wyjaśnił kot. — Pobiegłem szukać ariergardy.

Setnik, wciąż z nieprzeniknioną twarzą, skinął głową. Wstydził się... a zarazem serce w nim rosło. Źle zaplanował i poprowadził bitwę. Fatalnie. Popełnił elementarne błędy. Tyle, że miał szczęście, bardzo dużo szczęścia. I doskonałych żołnierzy. Rosło w nim serce, bo takich sobie wychował. Takich jak Astat, bez wahania ignorujący bzdurne, niepotrzebne rozkazy i podejmujący właściwe decyzje. I takich jak Dorlot, pamiętający o tym, o czym zapomniał dowódca. Mógł być dumny, bo to pod jego komendą nauczyli się, że najważniejszą rzeczą jest — myśleć. W podjazdowej, szarpanej wojnie, niepotrzebne było ślepe i bezmyślne posłuszeństwo, przydatne w wielkich regularnych bitwach,

gdzie masy wojska winny składać się z kroczących machin do rąbania i kłucia. Tutaj większe znaczenie miała zdolność żołnierza do myślenia i podejmowania samodzielnych decyzji.

— Dalej, Dorlot.

— Powiedziałem wszystko, setniku. Zamiast ariergardy, znalazłem całą armię. Nigdy jeszcze nie widziałem ich tak wielu.

— Srebrne Plemię?

— Tak — potwierdził kot. — Sami jeźdźcy. Chyba.

Złote Plemiona nie znały (ani znać nie mogły) sztuki jazdy wierzchem.

Rawat odprawił zwiadowcę.

Mozolnie, powoli przedzierali się przez las, niosąc, prowadząc, bądź podtrzymując w siodłach swoich rannych. Z takim wojskiem wyjście na otwarty teren było niemożliwe. Setnik chciał przedostać się do Trzech Wsi i połączyć z jeźdźcami — jeśli zdołają tam dotrzeć... Wobec setek czy tysięcy Alerów na stepie, nie mógł wlec się ze swoimi rannymi, musiał ich zostawić pod opieką chłopów. Nawet nie próbował zrozumieć, co właściwie oznacza obecność... już nie zgrai, a całej alerskiej armii w tak dużej odległości od granicy. Nigdy w życiu nie spotkał się z czymś takim. Sądził dotąd — jak wszyscy — że Srebrne Plemiona nie są zdolne do wypuszczania silniejszych zagonów. Chyba brakowało im wierzchowców. Przygraniczne stacje atakowane były przez zastępy pieszych wojowników, natomiast w głąb armektańskiego terytorium wyprawiały się wyłącznie zgraje jeźdźców — bo tylko takie miały wystarczającą ruchliwość. Dorlot mówił o tysiącach. Tysiące? Czemu nie miliony? A przecież doświadczony zwiadowca na pewno się nie mylił. Chłopski uciekinier z napadniętej wioski mógł opowiadać bzdury, bo strach dziesięciokrotnie pomnażał liczbę napastników, zresztą byle wieśniak nie mógł mieć pojęcia, jak właściwie prezentuje się szyk złożony z setki, a jak z tysiąca jeźdźców. Ktoś kto słyszał o wielkich bitwach, gdzie zmagaly się właśnie tysiące, skłonny był uważać, że stu jeźdźców to garstka. Taka „garstka”, dodatkowo wiodąca parę zwierząt jucznych, idąc gęsiego ciągnęła by się przez blisko ćwierć mili... Oceny liczby „na oko” należało się uczyć, jak wszystkiego. Ale kocur nie był przerażonym wieśniakiem, któremu spalono wioskę. Jeśli widział tysiące — to tam były tysiące i basta.

*

Robiąc krótkie postoje, kontynuowali marsz aż do zmierzchu. Rawat uznał, że pokonali wystarczającą odległość, by nie obawiać się pościgu, o podjęciu którego nic zresztą nie świadczyło. Fortel najwyraźniej spełnił swe zadanie. Jednak pokonany odcinek drogi był niepokojąco krótki, jeśli zważyć, że chcieli dotrzeć — lasem — aż do wsi. Setnik wystawił czaty, po czym przywołał Drwala, Astata i kota.

— Dorlot — rzekł — dla ciebie nie ma odpoczynku. Odnajdziesz tę zgraję, gdziekolwiek by nie była. Myślę zresztą, że to nic trudnego, skoro jest ich tak dużo. Spróbuj dokładniej oszacować liczbę, oceń broń, sam zresztą wiesz najlepiej. Rano chcę wiedzieć wszystko o tej... armii.

Kot swoim zwyczajem nie potwierdził rozkazu, czekał aż dowódca skończy. Ziewnął nawet.

— Jadłeś? — zapytał Rawat.

— Nie.

— Zjedz i idź.

Kocur odszedł, nawołując Agatrę.

— Już cię karmię, cicho — powiedziała z mroku.

Rawat i funkcyjni uśmiechnęli się mimo woli.

Wieś ku której zmierzali, położona była w odległości dwóch-trzech strzałów z łuku od ściany lasu. Spomiędzy drzew wypływał leniwy, dość szeroki strumień, nad którym przerzucono drewniany mostek. Nie miało to większego znaczenia, jako że równie dobrze dało się pokonać strumień w bród; mieszkańcy wioski zbudowali mostek raczej dla wygody, niżli z rzeczywistej potrzeby. Od południowego wschodu, zaraz za osadą, wznosił się łagodny stok niewysokiego, samotnego wzgórza. Porastała je tylko trawa.

Setnik przyłapał się na tym, że układa w myślach plan obrony Trzech Wsi

— tak, jakby chodziło o zwykłą zgraję, liczącą setkę głów. Zaczął się obawiać, że trzeba będzie przekonać wieśniaków do porzucenia dobytku. Ciężka sprawa... Chłop armektański w niczym nie przypominał ciemnego i zahukanego, bojaźliwego pół-niewolnika z Dartanu, albo Garry. Rzadko radził sobie z pisaniem, bo nie miał czasu i okazji, by rozwijać tę trudną umiejętność, ale zwykle potrafił czytać; w Armekcie uczono tej sztuki każde dziecko. Wiedział sporo o historii swego kraju, zwał się

Armektańczykiem i odczuwał z tego powodu narodową dumę. W żyłach tych ludzi płynęła gorąca krew ojców-wojowników, którzy kiedyś, pośród nieustannych wojen, zjednoczyli podzielony Armekt w jedno potężne królestwo, potem zaś pokonali wszystkie inne narody i plemiona Szereru, narzucając im trwały pokój w granicach Wiecznego Cesarstwa. Prawo do ubiegania się o przyjęcie do wojska było niezbywalnym przywilejem każdego Armektańczyka. Związany z tym awans społeczny i otwarta droga do kariery nęciły. W armektańskiej wiosce każde dziecko potrafiło trzymać łuk — przecież łuk ten mógł kiedyś całkowicie odmienić jego życie... A już tutaj, pod Północną Granicę, trafiali naprawdę twardzi ludzie. Tylko ktoś odważny i mający niewiele do stracenia gotów był ryzykować życiem rodziny i własnym, szukając szczęścia w kraju cieszącym się tak złą sławą. I gdy taki człowiek dorobił się czegoś „na nowym”, gotów był bronić własności choćby i pazurami, a wykazywał przy tym ogromną zawziętość i upór. Raz i drugi zdarzyło się przecież, że zbyt pewni siebie, albo nieostrożni Alerowie, zebrali tęgie baty od mieszkańców napadniętej wsi, którzy z pałkami i toporami w garści oddawali wet za wet, cios za cios i ranę za ranę. Rawat z własnego doświadczenia wiedział, że próbując ocalić chłopów, trzeba czasem używać siły, by zmusić ich do porzucenia domów.

— Dorlot! — zawołał, tknięty nagłą myślą.

— Poszedł — odparł któryś z łuczników.

Rawat zaklął pod nosem.

Kocur jako jedyny chodził po lesie bez kłopotów, tak w dzień, jak i w nocy. Setnik pomyślał, że zamiast na zwiady, trzeba go było posłać do Trzech Wsi. Pożałował swego niedopatrzenia. Znał Dorlota — jak każdy kot, był niezwykle cierpliwy, sumienny i dokładny. Rawat miał pewność, że zwiadowca, odszukawszy wrogą zgraję, będzie krążył wokół niej tak długo, aż uzna, że już nic więcej nie warto się dowiedzieć. Inaczej by było, gdyby nakazano mu pośpiech. Ale Rawat nic takiego nie powiedział. Powrotu zwiadowcy należało oczekiwać równo z nastaniem dnia. Tuż przed, a może nawet już po wymarszu oddziału.

Myślał. Funkcyjni cierpliwie czekali, aż okaże się, po co ich wezwał.

— Nie wiem, czy nasza jazda na pewno da sobie radę. Trzeba posłać człowieka do wsi — powiedział wreszcie setnik. — Teraz, zaraz. Musi być niegłupi. Musi zaalarmować chłopów i skłonić ich do ucieczki. Może

być, że zgraja przyjdzie do Trzech Wsi, nie wiadomo, czy już tam nie poszła. Czy mamy człowieka, który dojdzie na miejsce przed świtem? Lub niewiele później? Nie może zabłądzić w lesie. Nie mogą zjeść go wilki... Urwał.

— Czy mamy takiego człowieka? — powtórzył. Funkcyjni milczeli. Wreszcie Drwał zapytał:

— Może Doltar? Rawat zastanowił się.

— Nie jest już młody.

— Ja pójdę — rzekł Astat.

Setnik znowu pograżył się w myślach. Liczył rannych, którym należało pomóc w dalszym marszu.

— Pójdziecie we dwóch — rzekł po długiej chwili. — Doltar zna wieś i myślę, że podołałby sam. Zresztą pewien jestem, że ty także, Astat. Ale nie chcę, by samotny żołnierz biegał po lesie... Pójdziecie we dwóch, zostanie mi tutaj dość ludzi. Już, Astat. Powiedz Doltarowi i przygotujcie się. Zanim wyruszyacie, stawcie się jeszcze przede mną. Weźcie ze sobą wódkę. Jeśli nie ma w bagażach, dam swoją, mam jeszcze trochę. Wszystko.

Łucznik powstał i odszedł.

— Reszta spać — powiedział setnik do Drwala. — Dopilnuj tego. Sprawdź, czy wszyscy zjedli, czy dobrze okryto rannych. Jutro ruszymy przez te gąszcze biegiem.

— Tak, panie.

Astat i Doltar nie mitrężyli czasu. Zjawili się po paru chwilach. Astat miał swój łuk, poza tym obaj zabrali tylko miecze, resztę broni uznawszy za zbędną. Zrezygnowali z hełmów, a Doltar ponadto — oczywiście z tarczy. Nie chciał jednak zostawić kirysu; przywykł do swojej ciężkiej skorupy i bez niej czuł się bezbronny.

— Jeśli we wsi nie znajdziecie Alerów, to wygońcie chłopów do lasu — rzekł Rawat. — Trzymajcie się brzegów strumienia, tak się odnajdziemy. Możliwe, że we wsi jest już nasza jazda. Ale... — uczynił nieokreślony ruch ręką. — Posłałbym Dorlota, ale nie dostał rozkazu, żeby wrócić szybko. Będzie więc tutaj dopiero o świcie. Musicie iść. Gdyby zdarzyło się cokolwiek, czego nie przewidziałem... całkowicie zdaję się na was. Obaj jesteście trójkowymi, niech więc dowodzi starszy i bardziej doświadczony. Aha, jeszcze jedno: pomimo zaleceń, bardzo

wątpię, by chłopci umocnili wieś. Może i coś tam majstrowali, ale pewno nie ukończyli. Jak to chłopci. Zawsze mają coś pilniejszego do roboty, niż stawianie częstokołu. Tak więc szansę na obronę są żadne, nawet gdyby przyszły tylko setki, nie tysiące... Wszystko, ruszajcie. Żołnierze zniknęły w mroku nocy.

*

Dorlot, zgodnie z przewidywaniami setnika, wrócił dopiero o świcie, gdy kończyli związać prowizoryczny obóz. Przyniósł dokładne i... krzepiące wiadomości. Nie wszystkie były takie. Kocur nic nie wiedział o losie konnych łuczników, wydawało się jednak, że Alerowie najpierw uwierzyli, iż gonią cały armektański oddział. Ścigała ich po stepie połowa armii, próbując osaczyć... Druga część zgrai zatrzymała się pod lasem, nieopodal pobojuwiska. Dopiero po pewnym czasie przetrząśnięto skraj lasu i puszczono się w pościg jego brzegiem, sądząc widać, iż piechota uciekała w tym samym kierunku, co jazda, kryjąc się między drzewami, czyli — idąc wzdłuż stepu.

— Zdaje się jednak, setniku — mówił kocur — że nasza jazda nie mogła jeszcze zdążyć do Trzech Wsi. Nawet, jeśli żyją. Po jakimś czasie musieli odejść od skraju lasu i uciekać w step.

Rawat pokiwał głową.

— Dalej, Dorlot.

— Jest ich grubo ponad tysiąc, może półtora tysiąca, ale nie przysięgnę, czy nie dwa. W żaden sposób nie podam dokładniejszej liczby, oddziały wychodziły z obozu i wracały, nie wiem, czy te same, czy inne. Nigdy nie widziałem tylu zbrojnych. W całej tej wielkiej zgrai są zgraje mniejsze, o różnej wielkości. Wojownicy różnią się między sobą, to chyba kilka Srebrnych Plemion. Niektóre zgraje mają sporo naszej broni, widziałem nawet kolczugi. Inne zgraje wyglądają tak, jakby nigdy nie wypuszczały zagonów, bo w ogóle nie niosą zdobycznego oręża, nie mają naszego ani chłopskiego odzienia, żadnych pledów, nic zdobycznego. Sami jeźdźcy. Wszyscy są dobrze uzbrojeni, dowódco, tak jak straż przednia. Chodzi mi o tarcze i o zbroje, ich zbroje, nie tylko zdobyczne.

Rawat skinął głową. W rzeczy samej, dziwiło go trochę uzbrojenie ochronne pokonanych Alerów. Potem przestał się dziwić, gdy wyszło na jaw, że to była straż przednia; do takich oddziałów wybierano najlepiej uzbrojonych, i w ogóle najlepszych, wojowników. Teraz znowu nabrał

wątpliwości. Alerowie nosili pancerze z giętkiej kory drzew — ale jaka to była kora! Zdejmowano ją wielkimi płatami i przycinano tak, by powstał odpowiednio długi i szeroki pas. Wycinano wtedy otwór na głowę. Założony w ten sposób pancerz okrywał tułów z przodu i z tyłu, po bokach zszywano go rzemieniami, bądź jakimiś pnączami. Wzór na korze miał postać prawie równych, kwadratowych płytek, niesłychanie twardych. Pancerz dawał się zginać tylko tam, gdzie płytki się stykały — i w dużej mierze zabezpieczał przed pośledniejszym orężem. Na szczęście żelazo było mocniejsze od najtwardszego drewna, jednak przerabianie takiej zbroi mieczem przysparzało niemałych trudności. Łatwiej było pokonać ją sztychem, ale to ograniczało możliwości żołnierza. Legioniści nie lekceważyli tych drewnianych pancerzy, tym bardziej, że byle dzidę wystrugać mógł sobie każdy, zbroje zaś nosili chyba tylko najlepsi (może najbogatsi?) wojownicy. W stani-cach uważano, że sprawa ze zbrojami ma się tak, jak z alerskimi wierzchowcami — mianowicie jest ich zbyt mało, jak na potrzeby Srebrnych Plemion. Może drzewa noszące taką korę były jakąś rzadkością? Jednak wieści, które właśnie przyniósł Dorlot, zdawały się zaprzeczać ugruntowanym opiniom. Półtora tysiąca jeźdźców w zbrojach! Jeszcze dwa dni temu Rawat byłby gotów iść o zakład, że to niemożliwe.

— Wszystko?

— Nie, setniku.

Zwijanie obozu ukończono. Rawat dał rozkaz do wymarszu.

— Mów dalej — polecił, gdy ruszyli.

— Mają chyba jakiś określony cel wyprawy, wygląda na to, że im spieszo, bardzo się niecierpliwią. Ale chyba boją się, że w okolicy jest więcej wojska i nie ruszą, póki się nie upewnią, że nasz oddział to wszystko i że nie ma żadnej zasadzki. Powysyłali patrole, także i w głąb lasu, ale niezbyt daleko. Nasza pomyłka, setniku, wyszła nam chyba na dobre. Zbadali pobojuwisko, można było poznać, żeśmy się zbyt nie spieszyli. Taki słaby oddział jak nasz, pobiwszy straż przednią wielkiej armii, powinien chyba zaraz wziąć nogi za pas, a myśmy opatrywali na placu boju rannych, zbierali broń i strzały. Im się wydaje, że my też jesteśmy tylko strażą przednią większych sił, tak się zachowują. I teraz najdziwniejsze — ciągnął kocur; rzadko składał podobnie obszerne

raporty, był już tym znudzony i zmęczony. — Niosą bardzo dużo narzędzi do kopania ziemi. Zdobywczych i własnych. Mają nawet kosze, takie, w jakich przenosi się ziemię. I prowadzą juczne wehfety, bardzo dużo jucznych. Oprócz tych narzędzi nie wiem, co mają w jukach. W niektórych było tylko jedzenie. Może we wszystkich tak.

Rawat marszczył brwi.

Narzędzia do kopania ziemi! I kosze do jej przenoszenia! Czyżby Alerowie myśleli o jakichś ziemnych fortyfikacjach? Po co, gdzie? Czyżby...? Nie, dociekania nie miały sensu; zdał sobie sprawę, że nie dojdzie prawdy. Alerowie i wały ziemne? Nie... Natomiast obecność zwierząt jucznych oceniał — jako żołnierz — w jeden sposób: wyprawa miała potrwać dłużej, niż zwykle. Bez względu na jej cel. Wojownicy zawsze nosili żywność przy sobie, każdy miał ją tylko dla siebie. Wyprawy nie trwały długo, zresztą w razie potrzeby zgraja uzupełniała zapasy w zdobytej wiosce — przecież plądrowanie było celem napadów. Nigdy nie prowadzono jucznych wehfetów, tym bardziej (i znowu ta zagadka!) że wierzchowców brakowało nawet dla zbrojnej jazdy.

— Ile tych jucznych?

— Kilkaset.

Kot był naprawdę znużony i Rawat nie męczył go dłużej. Zresztą Dorlot zrobił o wiele więcej, niż odeń żądano... Nie dość, że przyniósł wieści, to jeszcze zadał sobie trud wyciągania wniosków i snucia różnych domniemań. To już było zadaniem dowódcy... ale nie tylko o to chodziło. Koty nie znosiły rozważań typu „z jednej strony... z drugiej strony... ” Dorlot wciąż czuł się winny temu, że niedbale dokonał rozpoznania przed bitwą i próbował teraz pomóc dowódcy tak dalece, jak tylko potrafił. Zmuszał się więc do tego, czego szczerze nie cierpiał i czego na ogół nie robił.

Wróciwszy myślami do alerskich narzędzi, świetnego uzbrojenia i liczebności zgrai, Rawat sposepniał do reszty. Tkwił w samym środku jakiejś tajemniczej, bardzo niezwykłej sprawy. A wszystko czym dysponował — to paru rannych i zmęczonych żołnierzy.

4.

Gońcy garnizonów nie należeli do żadnej formacji; choć dosiadali koni, nie mieli nic wspólnego z armektańską lekką jazdą. Nie używali uzbrojenia ochronnego, zaczepne zaś mogli dobierać według swoich własnych upodobań; przeważnie składało się tylko z łuku, paru strzał i lekkiego miecza. Z reguły gońcami byli niscy, bardzo drobni mężczyźni, ale często (o wiele częściej, niż w oddziałach bojowych) zdarzały się też kobiety, z natury mniejsze — a więc i lżejsze od mężczyzn. Od gońców wymagano jeździeckich umiejętności na najwyższym poziomie, a także wybornej pamięci, bo wiele wiadomości przekazywali ustnie; poza tym mogli nie umieć zliczyć do trzech... Używali zwykle rumaków ze Złotych Wzgórz w środkowym Dartanie — były to konie większe i szybsze, niż armektańskie odmiany stepowe, ale też bardziej wybredne i wymagające. Spieniony deresz niosący maleńkiego jeźdźca, był właśnie pełnokrwistym dartańczykiem. Gdy otwarto bramę stancy, żołnierz zsunął się z kulbaki i pędem pognał do komendantury. Powiadomiony o przybyciu posłańca Ambegen kazał niezwłocznie wpuścić go do siebie.

Na majdanie poczęli gromadzić się żołnierze. Poznano jednego z gońców Alkawy — i teraz w małych i większych grupkach snuto domniemania i domysły. Dwaj jeźdźcy Terezy, którym tego dnia wypadła służba stajennych, zajęli się dereszem. Nie dano mu pić, zwilżono tylko pysk, wytarto sianem grzbiet i boki, okryto pledami i oprowadzano po majdanie. Piękne, szlachetne zwierzę, warte fortunę, było prawie zajędzone na śmierć.

Po pewnym czasie drzwi komendantury otworzyły się z trzaskiem i przed budynek wyszedł Ambegen w towarzystwie posłańca. Odprawiwszy żołnierza, który natychmiast pobiegł do swojego konia, komendant głośno wymienił imię. Nie trzeba było powtarzać. Jeden z gońców Erwy w mgnieniu oka pojawił się przed nim. Otrzymałszy zapieczętowane pismo, wysłuchał kilku niegłośnych wskazówek, powiedział „tak, panie!” i popędził do stajni.

Żołnierzom na majdanie udzielił się nerwowy nastrój. Usłyszawszy z

ust Ambegena: „Odprawa oficerów!”, służbowy legionista ruszył szukać podsetników. Komendant wrócił do swojej kwatery. Wszyscy widzieli, że był mocno wzburzony.

Podsetnicy stawili się migiem. Ambegen kazał im siadać, po czym przez krótką chwilę patrzył nic nie mówiąc. Następnie wziął do ręki wymięte, wyraźnie przesycone potem pismo. Tereza i dowódca łuczników wymienili krótkie spojrzenia. Pisma największej wagi gońcy ukrywali czasem w miejscach wręcz... niewiarygodnych. Na przykład w nogawkach, pod koszulą... i nie wiadomo, gdzie jeszcze. W sakwie przy siodle, gdzie powinno się wozić meldunki, tkwił wtedy zwykle jakiś bzdurny, nic nie mówiący raport. Gońcy czasem padali ofiarami napaści. Alerowie czytać nie umieli, ale rozmaici zbóje — i owszem...

— Od komendanta Alkawy — rzekł setnik. Pomiął nagłówki i od razu zaczął czytać treść rozkazu: — „Natychmiast ewakuować stanicę. Piechota wraz z całym wyposażeniem placówki, będzie przewieziona do Alkawy drogą wodną. Dokonać głębokiego, szerokiego rozpoznania terenu jazdą. Wielotysięczne...” To podkreślone — zaznaczył Ambegen, na chwilę przerywając czytanie. — „Wielotysięczne siły Srebrnych Plemion sforsowały Lezenę powyżej i poniżej Alkawy. Ewakuacja nastąpi przed upływem trzech dni. Do tego czasu jazda, po dokonaniu rozpoznania, winna stawić się w głównej stаницy okręgu. Polecenie dla dowódców jazdy w polu: nie atakować, unikać walki”. Koniec.

Odłożył pismo.

— Koniec — powtórzył. — Albo ktoś tam oszalał...

— Co to znaczy: nie atakować, unikać walki? — rozzłościła się podsetniczka. — Jak spotkam zgraję, to co? Mam ich puścić całych i zdrowych?! Może jeszcze pierdolonych wyposażyć na drogę?!

— Żadnych dyskusji! — ostrzegawczo powiedział Ambegen. — Nie tym razem, podsetniczko, uważaj! — Podniósł palec. — Jeśli to rzeczywiście tak wygląda — wskazał pismo — to mamy tutaj regularną wojnę, a do tego wcale nie jesteśmy przygotowani. Żadne tam zagony, podjazdy i podchody. Wojna. W Alkawie, widzę, chcą skoncentrować wszystkie siły. Wcale nie jest tego zbyt dużo. Jeśli jazda zostanie roztrwoniona w drobnych potyczkach i utarczkach... — ponownie podniósł palec, bo Tereza znów otworzyła usta. — Ani słowa, Tereza. Nie podoba mi się to, co napisano, a najbardziej nie podoba mi się, że z

pominięciem szczebla komendanta stancy wydaje się polecenia dowódcom stanicznych jeźdźców. Niemniej są to polecenia wyraźne i zostaną dokładnie wykonane. Zrozumiano?

— Zrozumiano — rzekła ponuro. — Tak, panie, zrozumiano.

— Przygotuj ludzi do wymarszu. Rozpoznanie — powiedział dobitnie — głębokie i wszechstronne, ale tylko rozpoznanie. Dużo wzmocnionych patroli, ale tylko patroli. Zrozumiałaś? A ty — zwrócił się do piechura — zajmiesz się ewakuacją. Najpierw zapasy broni i żywności, spyża dla koni, dalej kuźnia, sprzęt ciesielski, graty siodlarza, rymarza, szewca i krawca, sprzęty kuchenne, a na samym końcu wyposażenie izb żołnierskich. W takiej kolejności. Wszystko ma być odpowiednio popakowane i złożone na przystani. Pod strażą. Wzmocnij też posterunki wartownicze, najbardziej ten na wieży, postaw tam choćby i czterech ludzi z najlepszymi oczami. Jak już zarządzicie co trzeba, chcę was mieć tu z powrotem. Znajdzie się trochę czasu na gadanie, chętnie posłucham, co myślicie i co macie do powiedzenia... Ale teraz do roboty.

— Tak, panie — powiedzieli razem, gdy skończył.

Ambegen został sam. Raz jeszcze wziął do ręki i uważnie przeczytał pismo. Spojrzał w okno. Jego goniec właśnie wyprowadzał swego siwka ze stajni.

Setnik odwrócił się na pięcie, łagodnie uniósł rękę — nieoczekiwanie dla samego siebie — wyrznął pięścią w ścianę. Miał krzepę. Deski aż zatrzeszczały.

Od czterech lat siedząc pod Północną Granicą, Ambegen był kolejno dowódcą stanicznych toporników, zastępcą komendanta Erwy, a na koniec komendantem. Pierwszy raz w życiu słyszał, by porzucano stanicę. Oznaczało to wydanie ich na łup alerskim hordom; więc zniszczenie; więc konieczność odbudowania — później. Wymagało to pieniędzy i czasu, wojsko zaś na długo miało zostać pozbawione istotnego punktu oparcia. W kordonie placówek miała oto pojawić się dziura... i żeby jedna! Trudno podejrzewać, by ewakuowano tylko Erwę, inne stanicę zostawiając w spokoju. Ambegen domyślał się, jakie były intencje Alkawy. Wobec niebywale licznych zastępów alerskich, postanowiono za wszelką cenę skoncentrować wszystkie siły okręgu, w obawie przed pogromem odosobnionych, zbyt słabych do stawienia skutecznego oporu, małych garnizonów. Komendant Erwy obawiał się

jednak, że ta pozornie słuszna decyzja została podjęta przedwcześnie. Jak dotąd, nie było widać żadnego zagrożenia. Owszem, Alerowie najwyraźniej wiedzieli, że z Erwy wyszła znaczna część załogi. Nocne patrole przepłoszyły ich zwiadowców. Jednak powrót jeźdźców wyraźnie ostudził zapał wojowników; podchody pod palisadę już się nie powtórzyły. Świadczyło to o tym, że siły gotowe oblegać Erwę wcale nie były większe, niż zwykle w takich wypadkach, a już z pewnością nie liczyły tysięcy wojowników. Oddawano stanicę darmo, dobrowolnie rezygnując z dobrze przygotowanej placówki, mogącej zapewnić oparcie działającym w jej rejonie wojskom. Ambegen uważał, że to błąd. Dostał jednak wyraźne rozkazy i nic nie mógł poradzić. Zresztą — możliwe, że w Alkawie wiedziano coś więcej, niż to wynikało z krótkiego, oszczędnego w słowach rozkazu. Być może jakieś ważne przesłanki istotnie świadczyły o tym, że natychmiastowa koncentracja wszystkich sił jest niezbędna. Nie mając na ten temat żadnych danych, Ambegen nie mógł i nie chciał podważać decyzji przełożonych. Dręczyło go co innego: los oddziału Rawata. Jego zastępca był w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Nie dość, że po armektańskich terenach biegały alerskie armie, z których każda mogła przejść po jego oddziałku nie zwalniając tempa, to jeszcze po powrocie miał zastać pustą stanicę... Ambegen żywił nadzieję, że Rawat pojawi się w Erwie, zanim przyplyną z Alkawy rzeczne szkuty, by zabrać ludzi i sprzęt. Żałował, że nie mógł przydzielić swemu zastępcy jednego z konnych kurierów. Ale Erwa miała tylko trzech takich jeźdźców, z których jeden — poważnie chory — został jakiś czas temu odesłany w głąb kraju. Drugi goniec towarzyszył oddziałowi Terezy (niepotrzebnie, bo podsetniczce ani w głowie stało informować o czymkolwiek stanicę) i Ambegen nie mógł przydzielić Rawatowi ostatniego i jedyne go gońca, jakiego miał na miejscu.

Komendant znów wyjrzał przez okno. Podsetnicy nie próżnowali. Jeźdźcy szykowali się do wyjścia w pole, grupa piechurów maszerowała na przystań. Zaczęto sprzątać nabrzeże. Przystań była ufortyfikowana i połączona ze stanicą, ale tak, by w razie potrzeby dało się zrezygnować z jej obrony, nie osłabiając wałów i palisady, strzegących właściwej placówki. Można też było postąpić odwrotnie — opuścić stanicę i bronić się na przystani, a w ostateczności uciec na rzekę. Erwa miała kilka małych łodzi. Oczywiście nie mogły one zastąpić płaskodennych statków

rzecznych, jakimi dysponowała Alkawa.

Sprawdziwszy, że wszystko przebiega jak trzeba, setnik zamierzał odejść od okna, gdy dostrzegł Terezę. Prawie biegiem zmierzała ku komendanturze. Wkrótce stała przed nim. Złość już jej przeszła, znów była niezbyt ładna.

— Wydałam rozkazy, biorę połowę jazdy i wychodzę w pole. Oczywiście tylko na zwiady — podkreśliła.

— Wolałbym, żebyś została. Czym zresztą chcesz dowodzić? Patrolem?

— Patrolem — potwierdziła. — Tym, który pójdzie najdalej i już nie wróci do Erwy. Ściągnę od razu do Alkawy. Zrozumiał, co miała na myśli.

— Zawsze wydawało mi się, że nie lubisz Rawata? — rzekł i zaraz tego pożałował.

Przez chwilę milczała, spokojnie patrząc mu w oczy.

— Wstyd, komendancie — odparła niegłęboko. — Choćby i nawet tak było, to co? Tam jest trzydziestu żołnierzy, nie tylko setnik Rawat. A wreszcie, gdyby nawet był sam, to co z tego? Przecież to armektański legionista. A ja jestem armektańską legionistką.

— Przepraszam, Tereza — powiedział. — Nie zapanowałem nad językiem. Masz rację. Dobrze, odszukaj go.

— Tak, panie — potwierdziła beznamiętnie. Odwróciła się.

— Czekał.

Przez chwilę rozważał coś w myślach.

— Gdy wrócą ze zwiadów twoi ludzie, pójdzie w pole druga połowa. Ten zziajany goniec z Alkawy zostaje tu na razie. Weź drugiego, naszego. Gdyby było to konieczne... ale naprawdę konieczne, słyszysz mnie? No więc gdyby było to konieczne, przyślij go do mnie. Szkuty z Alkawy będą tutaj najwcześniej pojutrze rano. Do tego czasu, jeśli twój posłaniec zdąży, mogę po ściągnięciu ludzi z patroli wysłać ich wszystkich do ciebie, na wyznaczone miejsce. Zrozumiałaś mnie, Tereza? Nie nadużyj tego.

— Dziękuję, panie. Dobrze, ja... dziękuję.

— Przede wszystkim rozpoznanie. To może być ważniejsze, niż cała reszta.

— Tak, panie.

— No to już cię tu nie ma.

— Tak, panie!

5.

Spływający ze stepu potężny oddział alerskiej jazdy zwierzał się i gęstniał w miarę, jak legioniści zbliżali się do mostu nad strumieniem. Również z lasu wychynęli pierwsi ścigający ich wojownicy.

Piechota przebiegła przez mostek. Rawat uparcie trzymał się końca oddziału, prowadząc konia jucznego. Tuż przed nim zmagali się z wierzchowcami dwaj ranni żołnierze. Zwierzęta bały się wejść na groźną drewnianą kładkę, dopiero co głośno huczącą pod nogami biegnących piechurów. Setnik widział już, że oddział nie zdąży, zostanie otoczony i wyrznięty w pień pod samą wsią. Ujrzał nagle, że topornicy wracają. Łucznicy, wlokąc i podtrzymując rannych, posuwali się dalej.

— Jechać! — wrzasnął nadbiegający dziesiątnik toporników. — Jechać!

Ciężko ranny, półprzytomny tarczownik, z wielkim trudem trzymający się w siodle, do którego zupełnie nie przywykł, otrzymał pomoc ze strony towarzysza: konny łucznik, z owiniętą krwawymi szmatami głową, zapanował jakoś nad swoim wierzchowcem, chwycił cugle konia, na którym siedział piechur i razem pognali do wioski. Rawat puścił za nimi prowadzonego luzaka. Chciał zostać z ciężkozbrojnymi, ale Bireneta, biegnąca tuż za Drwalem, uważała inaczej.

— Jedź! — krzyknęła wpadając na mostek. — No jedź zesz, do...!

Klnąc, huknęła zwierzę obuchem topora w zad. Wierzchowiec aż stęknął, poderwał się i galopem poniósł Rawata w stronę wsi. Zaraz potem srebrna jazda wtargnęła na most, uderzając w żelazny mur tarczowników. Setnik, próbując opanować konia, nie widział, co było dalej, usłyszał tylko potężny huk i łomot, zmieszany z opętańczym wrzaskiem. Gdy zatrzymał się pod samą wsią, na moście trwała wściekła rąbanina. Oficer pojął, że jego udział w tej walce nie ma sensu. Zeskoczył z wierzchowca i pognął go prosto w ręce nadbiegającego Astata. Więc przynajmniej ci doszli! Nie myśląc o tym dłużej, setnik pobiegł ku swoim łucznikom, będącym w połowie drogi między rzeczką a wsią. Lecz pomoc była zbędna; lekkozbrojni ciągnęli z sobą już tylko dwóch rannych.

Jednooki Grombelardczyk zniknął. Nigdzie nie było ciała — i setnik zrozumiał, że żołnierz, mimo ran, ruszył ze swoimi towarzyszami. Na most...

Pomógł przeprowadzić konie i rannych przez pokraczny zasiek, utkany z przewróconego wozu, jakichś drabin, ław i nie wiadomo czego jeszcze. Wiele takich zasieków wzniesiono między domami. Upewniwszy się, że wszyscy znaleźli schronienie w obrębie tych „fortyfikacji”, Rawat wrócił spojrzeniem tam, gdzie wciąż jeszcze walczyli ciężkozbrojni. Topornicy rąbali wierzchowce i jeźdźców, ryki bólu przeplatały się z bojowym wrzaskiem Alerów. Wąski mostek w mgnieniu oka zatarasowany został przez pryzmę trupów i rannych. Rawat widział, jak trzasnęła wążta barierka pod ciężarem walącego się na nią wierzchowca z wojownikiem na grzbiecie. Strzeliła w górę rozbryźnięta woda, spieniła się, gdy ranne zwierzę wierzgało pośrodku nurtu. Alerowie pojęli widać, że mostu nie sforsują. Przeprawiali się teraz przez strumień. Przerwano walkę, odcięto topornikom drogę odwrotu, po czym ze wszystkich stron zasypano mnóstwem dziurytów, a także strzał z wążtych łuków. Gdy bezpieczni we wsi łucznicy Rawata, oddawszy rannych w ręce chłopów, przypadli do zasieku obok swego dowódcy, płytka woda pochłaniała właśnie śmiertelnie rannego, dobijanego wieloma oszczepami, dziesiętnika ciężkiej piechoty... Na moście trwali już tylko Grombelardczyk i Bireneta, stojący pośród kilkunastu spiętrzonych trupów zwierzęcych, alerskich i ludzkich. Coraz więcej wojowników zeskakiwało z wierzchowców, jeszcze chwila — i dziki tłum wpadł na mostek, z dwóch stron. Łomot i wrzaski rozbrzmiały z nową siłą. Przez długą, długą chwilę złudzeń, gdy dwójka tarczowników wytrzymała atak wielkiej zgrai, legioniści we wsi chcieli wierzyć... wierzyli, że tych dwoje nie ulegnie nigdy, że będą tak stać i rąbać, aż nie zostanie nikt, kto mógłby im zagrozić. Miażdżące ciosy Birenety nieledwie wyrzucały Alerów w powietrze, strącały do wody ponad strzaskaną barierką. Widać było błyski na żeleźcu broni strzegącego jej pleców towarzysza. Grombelardczyk, półślepy, z wielką opuchlizną kryjącą zdrowe oko, mógł widzieć co najwyżej rozmazane cienie... Oburącz trzymając topór, powalał owe cienie tak długo, aż jakiś mocniejszy od innych oszczep wytrzymał uderzenie o kirys i przebił go. W następnej chwili w dłoni Birenety pękło stylisko topora. Dziewczyna próbowała dobyć miecza, ale

za plecami nie miała już jasnowłosego siłacza z dalekich gór Grombelardu... Pochwycono ją z przodu i z tyłu. Górując nad ciżbą Alerów, uwięziona w ścisku, wielkimi pięściami tłukła ohydne, obce twarze, rozbijała łby, aż przewrócono ją, przygnieciono masą, a i wtedy jeszcze słyhać było potworny, ochrypły ryk wojownika, którego pociągnęła za sobą i miażdżyła w potężnych ramionach, przyciskając do pancерnej piersi.

Żołnierze we wsi z bólem i wściekłością oglądali ostatnią walkę towarzyszy, chcieli biec z odsieczą, wstydzili się, że oto są tutaj, bezpieczni w obrębie domów i zasieków; rwali się ku srebrnym wojownikom tak bardzo, że Rawat musiał ich zatrzymać niemal siłą. Mała Elwina, dla której olbrzymi mocarze w błyszczących kirysach byli zawsze omal nadludźmi, popłakała się. Zresztą — łzy w oczach mieli wszyscy. Ciężkoobrojni kupili im życie, płacąc swoim. Upadek Grombelardczyka powitano ciszą, upadek dziewczyny — płaczem. Płakali nie wstydząc się łez przed otaczającymi ich wieśniakami. Srebrne Plemię chwyciło swoje rumaki. Jeszcze chwila — i alerska jazda ławą ruszyła w stronę wsi.

Łucznicy otarli oczy.

Rawat skoczył do swojego konia widząc, iż żołnierzom nie trzeba rozkazów. Bez komendy chwycili za broń. Wyrwał z łubia mały łuk lekkiej jazdy i wyszarpnął strzały z wiszącego przy siodle kołczanu. Gdy srebrni jeźdźcy znaleźli się w zasięgu rażenia, pomknęły pierwsze pociski. Czterej najbliżsi wojownicy prawie jednocześnie zlecieli z grzbietów zwierząt. Cięciwy śpiewały nieustannie, co chwila spadał na ziemię jeździec bądź, ostro skrzecząc, podrywał się trafiony wierzchowiec. Alerska jazda podeszła do samego zasieku i także wypuściła strzały. Jęknął trafiony w ramię legionista, ale inni pracowali bez przerwy, śmigał pocisk za pociskiem, a niemal każdy trafiał w cel, ranił, ale i nierzadko zabijał. Sądzić by można, że oto ci niezawodni łucznicy, najlepsi z najlepszych, poczynili zakłady, kto częściej od innych zdoła napiąć cięciwę, kto pierwszy opróżni kołczan, kto położy na ziemi największą liczbę wrogów... Od jucznego konia, Dorlot targał worek z zapasowymi strzałami, by walczącym łucznikom nie zabrakło pocisków.

I nagle — zyskali wsparcie! Przy zasieku poczęli pojawiać się zawzięci, rozgniewani chłopcy z bronią. Strzelali inaczej, niż żołnierze —

mierzili dłużej, staranniej, marszcząc brwi i przygryzając usta, trafiali też znacznie rzadziej, niż łucznicy legii... Jednak wspólny wysiłek sprawił, że w szeregi przebiegającej wzdłuż zasieków jazdy wkradło się zamieszanie, coraz więcej wehfetów biegało bez jeźdźców, coraz więcej rannych czołgało się po ziemi... Napastnicy dalej próbowali strzelać z łuków, czasem ciskali dziiryty, ale szło to bardzo nieskładnie; w zamieszaniu, trafienie nie było sprawą prostą, tym bardziej, że skryci za zasiekami obrońcy stanowili niełatwy cel. Alerowie próbowali zebrać swoich rannych, ale gdy znowu strącono na ziemię paru jezdnych, zdziętkowana wataha zawróciła w miejscu i pędem odeszła za strumień, gubiąc po drodze jeszcze jednego wojownika, z całym pękiem strzał w plecach.

Wówczas przez zasiek przegramolił się żołnierz; błysnął stalą kirys tarczownika. Doltar obchodził pobojuwisko... Krążył z mieczem w dłoni — tam i z powrotem, czasem przyciskał kolanem do ziemi wijącego się wojownika i chwyciwszy za łeb — podrzynał gardło. Nigdy nie widziano u Doltara takich oczu...

Patrzono w milczeniu.

Miejsce topornika było tam — na moście. Doltar nie mógł dołączyć do reszty ciężkozbrojnych, ale czuł się tak, jakby ukradł życie dla siebie...

Wojenne szczęście po raz drugi uśmiechnęło się do Rawata — i setnik poważnie zaczął się zastanawiać, jak duże są jeszcze tego szczęścia zapasy... Prawie wszystko poszło inaczej, niż planował — a przecież koniec mógł być bardziej tragiczny. Jazda do wsi nie dotarła, zaś Doltar i Astat nie zdołali nakłonić chłopów do porzucenia dobytku. Nie zdołali — na szczęście... Wbrew oczekiwaniom, Alerowie podjęli spóźniony pościg przez Suchy Bór i znaleźli uchodzący oddział. Gdyby wieśniacy uciekli do lasu, jak chciał Rawat, wybito by ich w gąszczu do nogi. Wszystkich: legionistów i chłopów. Lecz stało się inaczej. Doltar i Astat, nie mogąc skłonić mieszkańców Trzech Wsi do ucieczki przed zgrają, której nigdzie nie było widać (chłopi nie chcieli porzucać dobytku) pokierowali wzniesieniem prowizorycznych umocnień. Dzięki temu ich ścigani przez Alerów towarzysze znaleźli tymczasowe schronienie.

Lecz właśnie tymczasowe — bo Rawat nie miał złudzeń. Wypełniony szczęściem worek sflaczał; zbyt obficie z niego czerpano! Wszędzie wokół krążyli srebrni wojownicy, a wciąż napływały nowe zgraje. Naraz

Rawat jasno przekonał się, że i on dotąd nie miał pojęcia, ile to jest właściwie tysięcy wojowników. Pomysł, by się przebić przez to mrowie, nie mógł być rozważany poważnie... Ale równie kiepsko wyglądały szanse na obronę. Wprawdzie od zachodu i od północy największe skupisko domów bronione było przez solidny częstokół; wbrew oczekiwaniom, chłopci wzięli sobie do serca zalecenia wojskowych i wolno, bo wolno, ale jednak klecili umocnienia. Lecz cóż z tego? Od wschodu i południa wioska była otwarta i alerskie siły mogły zdeptać ich razem z tymi całymi „szańcami”. Nie tylko setnik, ale i najgłupszy z wieśniaków, widział to całkiem jasno.

A jednak zamierzano się bronić. Bo cóż pozostało innego? Pospiesznie czyniono ostatnie przygotowania.

Rawat nie zawiódł się, licząc na roztropność Doltara i Astata. Pomimo pośpiechu, bardzo dobrze przysposobili wioskę do obrony. Wzniesiono nie-piękne, ale mocne zasieki między zagrodami, zablokowano też wylot głównej ulicy osady. W sześciu oborach i trzech chlewach stłoczono cały żywy inwentarz, zgromadzono zapasy dla ludzi i zwierząt. Ale na polach wciąż jeszcze stało wiele stogów zboża — i Rawat już teraz wiedział, co z nimi będzie. Chłopi starali się nawet nie patrzeć w tamtą stronę... Zresztą były też inne bolesne problemy. Obrony wielu domów należało zaniechać, bo stały w znacznym rozproszeniu. Zabrano z nich wszystko, co mogło się przydać, ale Rawat ubolewał w duchu, że tak bardzo lekceważył zalecenia wojskowych i wcale nie dopuszcza ich do udziału w planowaniu nowych osad. Tutaj, na północy, nie można było sobie pozwolić na stawianie chałup gdzie komu wygodnie! Wszystkie te domy winny być wzniesione blisko strumienia, którego wody mogły zasilić fosę. Tak, bo palisadę — ukończoną! — powinna otaczać fosa.

Próżny żal. Nic nie dało się zmienić.

Zdolni do walki mężczyźni zostali podzieleni na oddziały, wybrano także kilka młodych kobiet, potrafiących posługiwać się łukiem. Rawat nie miał złudzeń, wiedział, że wielkiego pożytku z tych „zastępów” nie będzie. Z wieśniaków dało się zrobić znakomitych żołnierzy — dowodem większość legionistów, których miał pod komendą... Na razie jednak żołnierzami nie byli i cała ich przydatność polegała na tym, że umieli wystrzelić z łuku, nade wszystko zaś — gotowi byli bronić się do końca, z chłopską zawziętością i uporem. Na szczęście było we wsi kilku

miejscowych myśliwych — osadnicy mogli polować w lasach północnego Armektu... Rawat bardzo liczył na tych ludzi, były to bowiem chłopcy naprawdę niezłe obeznane z myśliwskim łukiem, a i oszczep na niedźwiedzia czy dzika nie widział im się czymś nowym. Ponadto myśliwi wybornie znali okolicę, tak step, jak i las... Setnik zastanawiał się, jak to wykorzystać.

Tymczasem wzmocniono jeszcze zasieki i wydano chłopom całą luźną broń. Nie było tego wiele. Najbardziej brakowało strzał; ogromna część zapasu jechała na jucznych koniach, które zabrał Rest. Wieśniacy mieli trochę, ale kiepskich, to samo zresztą dotyczyło łuków. Rawat posłał paru ludzi na pobojuwisko, by zebrali strzały i wszelki oręż. Broń natychmiast przekazano chłopom. Przyniesiono kilkanaście beznadziejnie prymitywnych dzirytów, parę marnych łuków — jeszcze gorszych, niż chłopskie — i dwa zardzewiałe miecze. Zabrano też zabitym drewniane pancerze; szybko znalazły nowych właścicieli.

Teraz pozostało tylko czekanie.

Rawat bardzo się obawiał szturmego spieszonych wojowników. Jazdę dało się odpędzić przy pomocy łuków, ale piechota prędzej czy później wedrze się na zasieki — był pewien. W bezpośrednim boju łucznicy mogli wspierać toporników, lecz do samodzielnej walki nadawali się słabo; nie do tego ich przeznaczono, siłowa rąbanina nie szła w parze ani z ich wyszkoleniem, ani z uzbrojeniem. Ale toporników zostało ledwie trzech — w tym dwaj poważnie ranni. Miał zaufanie do odwagi i zawziętości chłopów, lecz wiedział doskonale, że to nie wszystko. Da się wieśniakami zapchać dziurę w obronie; mając po obu stronach wyszkolonych żołnierzy, którzy osłonią im boki, nie przepuszczą wroga. Ale żołnierzy brakowało. A w nocy? W nocy najgorzej.

Rawat podejrzewał, że Alerowie (czy też „psy alerskie”, jak powiadali chłopcy) uderzą o zmroku i w ponurym nastroju oczekiwał jego nadejścia. Rozkazał ściągnąć wszystko, co nadawało się do palenia. Ogniska musiały płonąć całą noc, a na czas walki należało podsycić je tak, by dobrze oświetliły plac boju.

Alerowie podzielili się na kilka oddziałów. Największy z nich, ku zdumieniu Rawata, poszedł na wzgórze za wsią. Wszczęto tam jakieś prace, rozkopywano ziemię i przenoszono ją w koszach. Narzędzia do robót ziemnych, o których mówił Dorlot, nadspodziewanie szybko

znalazły zastosowanie... Ale Rawat nie wiedział, co ma o tym sądzić. Owe prace na wzgórzu dały mu znowu wiele do myślenia. Czyżby to właśnie wzgórze było celem wyprawy? W takim wypadku zrozumiałe wydawało się zgromadzenie wielu, potrzebnych do pracy, wojowników-kopaczy. Czego jednak Alerowie mogli szukać na wzgórzu? No i przede wszystkim: dlaczego najpierw nie zdobyli wsi? Uderzenie całymi siłami musiało przynieść sukces. Tymczasem do szturm sposobiły się zgraje liczące łącznie najwyżej sto pięćdziesiąt głów... Kilkuset kopaczy nieprzerwanie ryło wzgórze. W step i do lasu ruszały liczne oddziały. Pojawiły się też silne wartownicze placówki, strzegące zajętego terenu.

Nadciągał zmierzch. Wkrótce zapłonęły wszystkie nie objęte pierścieniem obrony budynki. Wielkimi, jasnymi ogniami wystrzeliły stogi. Chłopki lamentowały, mężczyźni zaciskali pięści. Żałował chłopskiego dobytku i Rawat, ale w gruncie rzeczy pożary były mu na rękę... Dawały sporo światła. Alerowie, w swym zapale niszczenia, byli zdumiewająco bezmyślni. Czekali do nocy — tylko po to, by niezwłocznie przemienić ją w dzień.

Szturm nastąpił po zapadnięciu zmroku, a więc zgodnie z przewidywaniami. Alerowie uderzyli od wschodu i od południa, uznawszy słusznie, że zdobywanie palisady mija się z celem, gdy z drugiej strony wieś jest prawie bezbronna. Rawat odgadł zamiary napastników i przy częstokole zostawił tylko obserwatorów, całe siły kierując do obrony zagrożonych miejsc. Nie zmieniło to ogólnej sytuacji. Już początek natarcia potwierdził najgorsze przeczucia setnika: wojskowi i chłopscy łucznicy trafili paru biegnących, ale zaraz zmuszeni byli odrzucić łuki i stanąć do boju twarzą w twarz. Wojownicy zaciekle próbowali sforsować zasieki, chłopcy spychali napastników, ale na miejsce zabitych bądź ranionych przychodzili nowi. Nie miało to nic wspólnego z bitwą stoczoną pod lasem, gdzie stłoczeni w ciasną gromadę jeźdźcy więcej uwagi poświęcali temu, by utrzymać się na grzbietach wehfetów, niż walce. Wojownicy szturmujący zasieki, ruchliwi i zręczni, mający pełną swobodę ruchów i doświadczeni w boju, wyciskali z obrońców prawdziwie krwawy pot. Górowali zdecydowanie... Rawat był przerażony stratami. Tylko przy największym południowym zasieku, blokującym ulicę, sytuacja była dość dobra; walczył tam Doltar, rozpaczliwie wspierany przez rannych — jeszcze w bitwie pod lasem —

dobrywających ostatnich sił towarzyszy. Jako tako radzili sobie łucznicy Astata. Najgorzej działało się od wschodu. Chłopi walczyli zaciekle, lecz Alerowie szybko uzyskali przewagę; odbiwszy się mocno od ziemi, potrafili przeskoczyć nad zasiekami... Rawat pchnął tam jedyną rezerwę, jaką miał przy boku: dziesięciu zbrojnych w ciesielskie topory i zdobyczne dziuryty chłopów, pod wodzą miejscowych myśliwych ze świetnymi oszczepami na grubego zwierza. Wieśniacy z impetem wpadli na zdobyty już prawie zasiek i odepchnęli Alerów, ponosząc jednak niesłychane straty.

Przybiegł Dorlot z prośbą Astata o posiłki. Rawat odesłał go z niczym. Kocur wrócił wkrótce, ale już od wschodnich zasieków. Posiłki! Tym razem setnik posłał go z wieścią: „Będą wkrótce!” Kłamał wierząc, że pokrzepieni chłopcy wytrzymają jeszcze trochę — i być może ich upór zrazi Alerów.

Nie podpalono dotąd żadnego z bronionych budynków — i szybko wyszło na jaw, dlaczego. Napastnicy pojawili się na strzechach, próbując w ten sposób pokonać „pierścień fortyfikacji”. Ostatnim odwodem Rawata były Agatra i Elwina. Sprostały zadaniu. Małej Elwinie od nieustannego napinania twardej cięciwy mdlały ramiona. Rawat widział to; bacząc na ogólny przebieg bitwy, starał się pomagać łuczniczkom w miarę możliwości. Miał niezłe oko; nie mógł się równać ze swoimi legionistkami, ale od czasu do czasu wypuszczał szybką strzałę — i niekiedy trafiał, choć w migotliwym świetle oddalonych pożarów było to naprawdę wyczynem nie lada. Wreszcie udało się zniechęcić Alerów do skakania z dachów poza linię obrony — ale za to podpalili dwie strzechy. Zaraz potem nastąpił przełom: przy wielkim, południowym zasieku wioskowy kowal, nieduże ale strasznie żyłaste chłopisko, któremu zabito jednego z walczących obok synów, rycząc wniebogłosy rzucił swój ciężki młot, porwał jakąś belkę i wywijając nią przedostał się na zewnątrz umocnień. Bez chwili wahania skoczył za nim Doltar, a za Doltarem — reszta. Poczęto miażdżyć zdezorientowanych nagłym kontratakiem Alerów. Rawat nie przegapił jedynej, być może, okazji do przechylenia szali. Odrzuciwszy łuk, pochwycił swoją włócznię.

— Zwycięstwo! — ryknął tak, że mimo wrzawy dosłyszano go tu i ówdzie. — Zwycięstwo, naprzód! Dorlot, gnaj do wszystkich...! Zwycięstwo!

Zmusił konia do biegu. Będąc świetnym jeźdźcem, bez kłopotów nakłonił zwierzę do wzięcia przeszkody — i znalazł się po drugiej stronie zasięku bronionego przez Astata. Lekka włócznia armektańskiej jazdy nie miała nic wspólnego z nieporęczną dartańską kopią — i setnik sprawił, iż patrzący nań chłopci naprawdę... uwierzyli w zwycięstwo! Pokazał, że potrafi nie tylko dowodzić: świetnie wyważona, jesionowa broń obracała się w pewnej dłoni ze zdumiewającą szybkością, jeździec równie łatwo wymierzał szybkie pchnięcia na wprost, jak w bok, a nawet w dół i do tyłu. Porwani przykładem chłopci, prowadzeni przez Astata, rzucili się na wroga, nawet nie dostrzegłszy, że w pogromie, którego dokonał samotny dowódca żołnierzy, znaczny udział miały dwie łuczniczki, strzelające z morderczo małej odległości, strzegące jego boków, a najbardziej pleców. Widzieli tylko, jak wielu można zabić w mgnieniu oka...! Zwycięzali! Widzieli to zwycięstwo!

Alerowie nie wytrzymali furii chłopskiego uderzenia, pośród wycia i wrzasków nastąpił odwrót, a potem ucieczka. Pierzchających chciano ścigać, ale Rawat nie pozwolił. Krzycząc co sił w płucach, zawrócił ludzi i pognął z nimi na odsiecz wschodnim zasiękom, gdzie obrona właśnie pękała. Prowadzeni przez setnika, uniesieni zwycięstwem wieśniacy, potężnie wsparli swoich — i Alerów pobito! Rawat wyrwał się z zamieszania, ale nie miał już nic do roboty: pędzący „ulicą” na czele chłopów Doltar właśnie dotarł do sąsiednich umocnień. Rawat zaśmiał się dzikim, wydartym z dna serca śmiechem: raz jeszcze mógł się przekonać, jakich ma żołnierzy!

Szturmujących odparto.

Obrońcy rzucili się do gaszenia swej „twierdzy”. Już wcześniej kobiety, dzieci i starcy próbowali powstrzymać ogień, jednak ich wysiłki okazały się niewystarczające. Studni we wsi było sporo, a wody w nich — na razie — pod dostatkiem. Pomimo to ugaszono tylko jedną strzechę. Drugi dom płonął. Rawat drżał, by ogień nie przeniósł się na inne zabudowania, lecz zdołano temu zapobiec.

Gdy minęło pierwsze zwycięskie uniesienie, zaczęto znosić rannych i zabitych. Setnik obszedł posterunki przy zasięgach. Już nie było mu lekko na duszy... Wszędzie leżały ciała, dużo ciał. Rawat widział, że drugiego szturmu nie przeżyje po prostu nikt — nawet, jeśli Alerowie nie wzmocnią atakujących dodatkowymi siłami. Udało się wykorzystać

sprzyjający moment, i to wszystko. Przeważył duch bojowy, nieustępliwość. .. ale tak naprawdę, to jego „wojsko” wręcz zmasakrowano. Alerowie nie byli dziećmi, lecz wojownikami. Mogli wziąć ciężki, mogli upaść na duchu... Ale koniec końców — jakim przeciwnikiem dla urodzonego zabójcy był wieśniak z pałką w garści? Rawat wolał nie liczyć trupów. Już pierwszy rzut oka wystarczał... Własnych było więcej. Znacznie więcej.

Setnik próbował znaleźć jakiś kątek, gdzie mógłby usiąść i spokojnie pomyśleć, z daleka od spojrzeń i płaczu ludzi. Nie było takiego miejsca. Jego żołnierze też ginęli, wcale nie inaczej, niż chłopci. Ale do legii nikogo nie ciągnięto na siłę. Zgłosili się do pracy i przyjęto ich, odprawiając z niczym wielu innych. Dano dobrą broń, starannie wyszkolono i płacono regularny żołd. Walka, w którą wpisane były rany albo śmierć — stanowiła zawód ich wszy-stkich. Jego zawód. Lecz ci tutaj, wieśniacy? Rawat nie zamierzał współczuć ich doli, tym bardziej że wiedział, jak żyje chłopstwo gdzie indziej. Dola jak dola... Mieli uprawiać ziemię i kwita, ktoś uprawiać musiał. Ale odwaga, z jaką ci chłopci bronili swych najbliższych, głęboko zapadła mu w serce. Tacy ludzie nie zasługiwali, by jakieś przybłędy spod obcego nieba mordowały ich, depreczając dzielność i męstwo.

Alkawa. Rawat kurczowo uczeplił się tej myśli. Teren kontrolowany przez Alkawę zaczynał się wcale niedaleko, na wschód od Trzech Wsi. Garnizon Alkawy musiał wiedzieć o przejściu tak wielkiej zgrai. Dwadzieścia głów licząca grupa mogła umknąć uwagi czatowników pilnujących granicy — i niepostrzeżenie przedostać się w głąb terenów Armektu. Ale taka armia? Na pewno już wyruszyła silna wyprawa karna. Pytanie, czy dość silna... Tak czy owak, była to jedyna szansa. Należało przekraść się między oddziałami Alerów. Należało przebiec szmat stepu w poszukiwaniu oddziału, który mógł być na dobrą sprawę gdziekolwiek — lub dotrzeć do samej Alkawy. Należało zrobić to szybko, by odsiecz przybyła na czas.

Tylko tyle.

Rawat omal nie roześmiał się głośno.

Szybko... to znaczy: jak szybko? Przed szturmem? Popatrzywszy dokoła Rawat doszedł do wniosku, że teraz, zaraz, w tej chwili, wioskę mogłyby chybi zająć same wehfety. Bez jeźdźców, doprawdy bez

jeźdźców...

Na razie jednak szturm nie było. Alerowie wyraźnie stracili entuzjazm... Chyba nie zamierzano wzmocnić sił, przeznaczonych do zdobycia wioski. I chyba nie zamierzano atakować tej nocy. Nie pozostawało do zrobienia nic innego, jak ucześcić się ostatniej szansy. Należało sprowadzić alkawczyków.

Tylko kto miał to zrobić? Doltar, tęgi rębajło, był za stary do gonitw po stepie. Astat? Może Astat. Ale nie, to musiał być jeździec. Świetny jeździec na doskonałym koniu. Prawdę rzekłszy, w wiosce był tylko jeden człowiek, który miałby szansę sprostać zadaniu... Lecz to nie wchodziło w rachubę. Musiał zostać. Wiedział, że w takiej sytuacji dowódca — to symbol. Gdyby tylko krokiem ruszył się z osady, natychmiast ktoś głupi... lub po prostu zmęczony, tak, zmęczony... powiedziałyby: uciekł. I to byłby koniec wszystkiego. Koniec! Dowódca — uciekł.

Setnik rozpaczliwie pożałował swych konnych, osaczonych i wybitych gdzieś w stepie. Gdyby choć jeden z tych znakomitych jeźdźców był teraz tutaj, w osadzie. Ale nie... Do wioski przybyło z nim tylko dwóch konnych łuczników. Jeden dogorywał, drugi, pomimo ran, walczył i zginął. Zresztą, nawet gdyby żył, nie mógłby sprostać zadaniu. A łuczniczki Astata — może i potrafili utrzymać się w siodłach, ale jacyż z nich byli jeźdźcy?!

Po raz pierwszy Rawat na dłużej skierował myśli ku grupie legionistów, którzy odciągnęli od niego całą armię. Zżył się z tymi ludźmi, odbyli razem wiele wypraw. Bał się wierzyć, że może jednak ocaleli. To, że nie stawili się we wsi, mogło wynikać z niemożności przedarcia się przez liczne alerskie oddziały. Rawat gorąco pragnął, by im się powiodło. Chociaż nie wiązał z tym żadnych nadziei. Rest nie mógł wiedzieć nic o tym, co działo się w Trzech Wsiach. Jeśli nawet wyprowadził swoich, to powiódł ich do Erwy. A Erwa (jeśli dotąd jej nie spalono) cóż mogła tutaj poradzić? Co najwyżej powiadomić Alkawę. Ileż to czasu... Ambegen nic nie mógł mu posłać. Nawet, jeśli Tereza, niezawodna podsetniczka Tereza, była już łaskawa odprowadzić jazdę, którą mu ukradła — to co? Odsiecz w postaci pięćdziesięciu konnych? Wolne żarty...

Pokręcił głową. Czuł wielkie znużenie.

Kot był zmęczony. Tak zmęczony, że gdy setnik stanął obok — nie

obudził się. Po raz pierwszy Rawat widział Dorlota nie budzącego się na odgłos kroków.

Wyszedł ze stancy jako pierwszy. Biegał po stepie, potem znowu chodził na zwiady, chociaż skaleczona cierniem łapa wyraźnie mu doskwierała. Przedzierał się przez las, potem wracał, nocą, by odnaleźć zgraję w stepie — i znów dołączał do oddziału. Potem razem z innymi uciekał do Trzech Wsi. Teraz, podczas szturmu, biegał bez wytchnienia, przynosząc dowódcy potrzebne wiadomości, przekazując rozkazy, ganiając od zasieku do zasieku.

Mógł być zmęczony. Miał prawo.

— Dorlot.

Kot otworzył oczy i wstał.

— Pójdiesz w step, Dorlot. Trzeba odnaleźć alkawczyków i sprowadzić ich tutaj z odsieczą. Albo nawet iść do samej Alkawy. Nie wiadomo, czy jeszcze stoi... Bo że naszą Erwę spalono, tego jestem, niestety, prawie pewien.

Siedzący nieopodal chłopci unieśli głowy i ożywili się nieco. Usłyszeli słowo „odsiecz”. Wieść natychmiast pobiegła z ust do ust.

— Nie — powiedziała Agatra.

Rawat dopiero teraz dostrzegł siedzącą w mroku dziewczynę. Opierając się o ścianę domu, siedziała z łukiem położonym w poprzek kolan.

— Nie — powtórzyła cicho. — Wysyłasz go, panie, na śmierć. Proszę... nie.

Łuczniczka bywała niepokorna. Nawet podczas pobytu w stancy, lubiła mieć własne zdanie. Jak większość legionistek... Kobiety bardzo swoiście pojmowały słowo „rozkaz”. Rawat przywykł, że czasem trzeba taką usadzić. Teraz jednak milczał, bo miała dużo racji. A wreszcie... chodziło o coś innego.

Agatra przyjaźniła się z kotem. Nigdy nie kochała żadnego mężczyzny i nie miała rodziny. Lecz tutaj, pod Północną Granicą, spotkała i obdarzyła szczerą, siostrzaną miłością zwinnego kociego zwiadowcę. Trochę śmiano się z tej przyjaźni, ale rzadko złośliwie; wszyscy o niej wiedzieli i lubili tę przyjaźń, bo było w niej coś delikatnego i bardzo, bardzo pięknego. Była ogromna... czystość, którą widziały nawet oczy szorstkich, twardych żołnierzy. W jakiś sposób — otoczono tę przyjaźń

opieką. W stancy, pośród ciągłych patroli i „wyjść”, było tak niewiele rzeczy pięknych i czystych... Wszyscy chcieli, by ta przyjaźń trwała i trwała. Nikt nic do niej nie miał. Ale każdy chciał ją oglądać.

— Proszę, panie — powtórzyła łuczniczka. — Nie posyłaj go, on kuleje... Nie dojdzie. Zobaczą go i trafią z łuku... On już nie może biegać, panie. Dogonią go na wehfetach. Wehfety są szybsze, niż kulawy kot... Proszę, panie. Tylko ten jeden raz...

Dorlot milcząc opuścił łeb ku ziemi — i to przeraziło Rawata bardziej, niż wszystko inne.

— Agatra — powiedział ciężko — nie mam kogo posłać. Pojechałbym sam, ale przecież wiesz, że nie mogą. Wymyśliłem jedyną szansę dla nas wszystkich. Przecież także dla niego.

Przykucnął i z bliska zajrzał dziewczynie w oczy. Jej nieładna, chuda twarz pełna była bólu. Chyba nie rozumiała, co mówił.

— Agatra, słuchaj mnie — rzekł z lekkim naciskiem. — Dorlot w stepie, uciekając na trzech łapach przed łukami i wehfetami, będzie miał większe szansę, niż my wszyscy tutaj. Sprowadzi pomoc, albo może chociaż ocali własną głowę i opowie komuś, co się tutaj dzieje. Siedząc tutaj i czekając na szturm, skończy jak my wszyscy. Chyba, że wlezie w jakąś dziurę, schowa się i popatrzy, jak nas wyrzynają. Wiesz, że tego nie zrobi.

— Pójdę, setniku — rzekł Dorlot — i nie po to, żeby ocalić głowę.

— Dorlot... — powiedziała Agatra.

— Setnik ma rację, Agatra. Nic tu po mnie. Nie pomogę bronić zasieków. Utrzymajcie się tutaj, sprowadzę pomoc, ale musicie utrzymać się do tego czasu... Usłyszałaś, siostrze?

Rozpłakała się.

— Usłyszałam...

— Werk.

— Idź, Dorlot — rzekł setnik.

Człowieka można uściskać i Rawat byłby to zrobił. Lecz nie wiedział, jak życzyć powodzenia kotu. W końcu skinął głową i cicho powtórzył za Dorlotem:

— Werk...

Kocie pozdrowienie, zarazem potwierdzenie, wyraz aprobaty... Miał nadzieję, że oprócz Agatry nikt tego nie słyszał. Odwrócił się i odszedł.

Gdy spojrzął w tył przez ramię, kota już nie było.

Przysiadłszy na południowym zasieku, Rawat patrzył na wzgórze. Wciąż kopano... Siedział tak, nie snując żadnych planów, bo zrobił wszystko, co można było zrobić. Nie myślał o niczym szczególnym. Zdrzemnął się wreszcie i poderwały go dopiero jakieś wrzaski, rozbrzmiewające przy jednym z zasieków. Pobiegnął tam natychmiast. Astat posyłał strzały w mrok, rozjaśniane błyskami płomieni. Drugi żołnierz, wraz z paroma chłopami, przelazł na zewnątrz umocnień. Wkrótce wrócili. Nieśli Birenetę.

Jeszcze żyła...

Była zupełnie naga. Oderżnięto jej piersi, odrąbano stopy i dłonie, zaś z twarzy wyrwano oczy. Między obrzmiałymi wargami brakowało języka i zębów; usta ziały jak wielka, szkarłatno-czarna jama. Wszystkie rany starannie przypalono ogniem, powstrzymując w ten sposób upływ krwi. Chodziło właśnie o to, by żyła. Toporniczkę złożono przed Rawatem. Żołnierze zgrzytali zębami. Chłopi patrzyli po sobie dzikim wzrokiem.

Setnik milczał.

Zbiegowisko rosło. W środku kręgu, olbrzymie ciało leżącej stękało przeciągle, nieludzko, wiło się i drgało w niewyobrażalnych męczarniach.

Przeraźliwie wrzeszcząc, Elwina rzuciła się do ucieczki. Rawat pochwycił ją i zatrzymał. Przycisnęła twarz do jego piersi.

— Nie... n-nie... — powiedziała z płaczem. — Już nie chcę... Ja już nie chcę.

Agatra rozepchnęła ludzi na bok, oburącz uniosła miecz i z całej siły wbiła go w pierś leżącej. Okaleczone ciało targnęło się po raz ostatni, Bireneta krzyknęła bełkotliwie, niezrozumiale... Łuczniczka puściła rękojeść broni i błędnym wzrokiem powiodła dokoła. Nagle upadła na kolana.

— Przepraszam... Bireneta! — zawołała ze szlochem. — Przepraszam! Słyszysz, Bireneta? Przepraszam... Odciągnięto ją na bok. Jakaś chłopka zwymiotowała.

— Bireneta! — wrzeszczała Agatra. — Bireneta, proszę!

— Zabierzcie ją — rzekł głucho Rawat, patrząc na zabitą. — Nie może tu leżeć. Pochowajcie ją zaraz.

Powoli doszedł do siebie. Odwrócił się i poprowadził Elwinę do Agatry. Łuczniczki objęły się z płaczem.

— Już dobrze — powiedział. — Za wcześnie przysłano cię tutaj, maleńka...

Nie potrafił rozmawiać z kobietami. Tym bardziej, że jedna z tych kobiet, w połowie była jeszcze dzieckiem. Nawet, jeśli to dziecko miało łuk i strzelało zeń po mistrzowsku.

— Za wcześnie — powtórzył. — Czasem... nie chcę tego wszystkiego... Nie wyjaśnił, czego.

*

Prace na wzgórzu trwały. Rawat na próżno zachodził w głowę, co pragnął wykopać Alerowie. Mieszkańcy wioski, nagabywani, czy nie widzieli na wzgórzu czegoś osobliwego, wzruszali ramionami. Wzgórze jak wzgórze...

Nie było to czcze pytanie. Rawat czuł, że wiedza o celu prowadzonych przez Alerów prac, bardzo by mu się przydała. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że wielka zgraja przekroczyła granicę głównie po to (jeśli nie *tylko* po to!) by rozkopać wzgórze...

Pracowano tam przez całą noc.

Równo ze świtem Rawat postawił wszystkich na nogi. Sądząc po ruchach nieprzyjaciół, szykował się kolejny szturm. Nie ściągnięto jednak do pomocy bodaj jednego z pracujących na wzgórzu wojowników! Szturm miał być przeprowadzony tymi samymi siłami, co dnia poprzedniego.

Jakże bardzo musiało Alerem zależeć na wydobyciu z ziemi tego „czegoś”!

W nocy wykonano ogromną pracę. Pagórek nie leżał daleko; mrówczą krzątanicę poszczególnych sylwetek łatwo było dostrzec nawet z wioski. Zniesiono w dół ogromne masy ziemi. W wykopanej dziurze coś się pojawiło... ale nawet bystrooka Agatra nie potrafiła orzec, co to jest.

— Wygląda jak... jakiś posąg, kawałek posągu... — mówiła niepewnie. — Ale ja... Nie, nie wiem.

Posąg, kawałek posągu. Podobne wrażenie odnieśli prawie wszyscy, nikt jednak nie ręczył za swoje spostrzeżenia.

Pod lasem i na stepie oddziały srebrnych wojowników dziwnie ślamazarnie sposobiły się do natarcia. Alerowie dosiadali wehfetów, zbierali się w zwarte grupy, by po pewnym czasie zsiąść na ziemię i przegrupować się do walki pieszej. Ku zdumieniu setnika, wydzielono

silny oddział złożony — o ile zdołał dostrzec — z najlepiej uzbrojonych wojowników, i odesłano go gdzieś w step... Potem przygnali jacyś gońcy (w każdym razie pojedynczy jeźdźcy); pędzili od grupy do grupy, wyrzaskując jakieś wieści, a może rozkazy. Ludzie w otoczonej wiosce nie potrafili zrozumieć, co się dzieje.

Kolejna zgraja odeszła gdzieś, bardzo spieszenie. Wkrótce z tych, co zostali na pozycjach do ataku, jeszcze trzecia część podążyła na wzgórze, przyłączając się do kopiących. Miało nie być szturm. Zostało może pół setki wojowników, i to chyba, na dodatek, sami ranni... Tak przynajmniej twierdziła Agatra.

Rawat siedział na południowym zasieku. Znalazł sobie dobre miejsce, z którego mógł sporo widzieć. Po jakimś czasie przyszedł Doltar. Miał złamaną rękę, ujętą w niezgrabne łubki. Widać było, że ból jest dotkliwy, choć topornik nie myślał się skarżyć. Rawat bez słowa wskazał mu miejsce obok siebie. Patrzyli na wzgórze.

Najpierw długo milczeli. Ciszę przerwał setnik.

— Powiedz, Doltar, co oni robią? Myślę, że to ważne, bardzo ważne. Pomóż mi zrozumieć. Biegałeś po tym stepie, gdy ja jeszcze dłubałem łódki z kory...

Topornik pokręcił głową.

Szczyt pagórka całkowicie zniknął. Teraz już wyraźnie było widać fragmenty gigantycznej rzeźby-posągu.

— Smok o żabim pysku — rzekł jakby do siebie. — Gadali kiedyś... Jedno z takich bajań, co to powtarzają jedni za drugimi...

— Co słyszałeś, Doltar?

— Ktoś kiedyś... komuś... Wiesz, panie. Bajdy. Przypomniały mi się nad ranem. Bolało, nie mogłem spać... O smoku ukrytym w ziemi.

— Pamiętasz te bajki, Doltar?

— Było coś o tym, że ci tam — tarczownik pokazał wzgórze — wzięli rozum od swojego Pana Mądrości, tak jak my żeśmy wzięli od Szerni. Pan Mądrości żyje pod ziemią. Wielki smok. Ale to miało być tam, po ich stronie. Za granicą chyba.

— Co dalej?

— Nikt nie wie, gdzie to jest. Ale raz na sto lat ma być sto dziwnych dni, kiedy smoka można obudzić. Nie wiem, po co. Nie pamiętam, panie, ledwie co wtedy słuchałem. Mało to się gada o Alerze? Człowiek sam

czasem plecie, co mu ślina na język przyniesie, aż wstyd. Z nudów, albo żeby pożartować z nowych. Z pustoty... Takie tam, bajdy.

Znów zamilkli.

— Doltar, a jeśli to prawda? — zapytał wreszcie setnik; był zmęczony, a poza tym w ciągu kilku ostatnich dni widział tyle niezwykłych rzeczy... — A jeśli to prawda? — powtórzył. — Jeśli to naprawdę jakiś bóg Alerów, którego oni próbują obudzić? Nic nie wiemy o Szerni, Doltar, a Przyjęci siedzą daleko... — na chwilę pobiegł myślami do tajemniczych, półlegendarnych prawie mędrców, zgłębiających naturę wiszących nad światem sił. — Tak, Przyjęci siedzą daleko... Ale to przecież nie Szerń dała rozum Alerom. Tyle to i ja wiem. Była kiedyś wielka Wojna Potęg. Słyszałeś o tej wojnie?

Żołnierz skinął głową.

— Coś słyszałem, panie. Każdy coś słyszał o Szerni i takich tam... Ale kto to pojmie? Ja widzę tylko, że tysiące przyszły tutaj, żeby kopać w ziemi. Kopać w ziemi, panie. Ani walczyć, ani rabować. I my tutaj, to im chyba tylko przeszkadzamy. Kopanie najważniejsze. Ustawili czaty, posłali patrole, żeby tylko nikt im nie przeszkodził w tym kopaniu. Dziwne, panie. Nie lubię, jak coś jest dziwne. Wtedy... — zamyślony żołnierz zrobił mimowiedny ruch ręką i skrzywił się, czując ból. — Wtedy boję się, panie. Nie pamiętam, żeby coś dziwnego okazało się kiedyś dobre. Może tylko tęcza.

Patrzyli w ciszy.

Na wzgórzu setki kopaczy uwijały się w nieustannym, gorączkowym pośpiechu.

Rawat nie wiedział jeszcze, jak bardzo prorocze okażą się słowa żołnierza. Rzeczywiście przeszkadzali Alerom. Wkrótce miało wyjść na jaw, jak bardzo.

*

Wielka, licząca dobre trzy setki jeźdźców zgraja, przewaliła się wzdłuż wschodnich umocnień wioski. Żołnierze i chłopci czekali z napiętymi łukami, ale jeźdźcy nawet nie spojrzeli w ich stronę. Gnali prosto do wzgórza. Rawat zauważył, że wielu wojowników było rannych. Dojrzał także wielkie, krwawe dziury w bokach kilku wehfetów. Znał takie rany! Pełen wątpliwości, począł wypytywać innych. Potwierdzono jego spostrzeżenia. Zgraja wracała po stoczony gdzieś bitwie!

U stóp wzgórza postawiono kilka szałasów z gałęzi. Rawat sądził, że kwateruje tam alerska starszyzna. Kilku przybyłych wojowników zeskoczyło z koni. Nic więcej nie dało się dostrzec, tłum jezdnych zakrył szałas przed oczami patrzących. Wkrótce, widać, zapadły jakieś decyzje, bo zgraja ruszyła dalej, okrążając wzgórze, by na koniec rozłożyć się obozem. W tym czasie znów pojawili się pojedynczy jeźdźcy, pędzący to tu, to tam. Formowano nowe oddziały.

Rawat miał tego szczerze dosyć. Już chyba wolałby szturm! Siedział jak szczur w klatce, nie mając pojęcia o tym, co się dzieje, nic nie rozumiejąc, bezradny i właściwie bezbronny. Odwróciwszy się plecami do przeklętego wzgórza, ruszył ku środkowi wioski, jakby tam akurat mógł znaleźć spokój, a może i wszelkie potrzebne wyjaśnienia.

Zatrzymał go okrzyk Agatry.

Łuczniczka, od chwili wyruszenia Dorlota po odsiecz, stroniła od towarzyszy, z nikim nie rozmawiała, osowiła i smutna krążyła bez celu tam i sam. Jej przygnębienie wzrosło jeszcze po zejściu z Birenetą, czemu trudno było się dziwić... Rawat, nie mając nic lepszego do roboty, próbował nakłonić dziewczynę do rozmowy, wypytywał o jakieś odległe, trudne do zaobserwowania szczegóły na wzgórzu. Zależało mu na tym, by świetna łuczniczka otrząsnęła się z ponurych myśli. Miał tak mało żołnierzy, że nie mógł i nie chciał lekceważyć samopoczucia żadnego z nich. Agatra odpowiadała spokojnie i rzeczowo, ale z rozmową niewiele to miało wspólnego. Była pełna jak najgorszych przeczuć i nie próbowała tego ukryć.

Teraz stała przy południowym zasieku.

— Dorlot! O nie... Dor-loot!

Rawat rzucił się ku umocnieniom.

W stronę wioski gnał na łeb na szyję silny oddział jeźdźców — zbyt nieliczny wszakże, by jego celem mógł być atak. Wkrótce zresztą wojownicy zaczęli powściągać wehfety i stanęli.

Kot wisiał głową w dół, przywiązany za ogon do grubej, byle jak ociosanej gałęzi. Przez bark i grzbiet biegła nierówna, krwawa rana; mogło ją zadać ostrze alerskiego oszczepu... Agatrę trzymano za rękę. Wrzeszcząc, rozpaczliwie próbowała się wyrwać. Jeździec trzymający konar pochylił się — i złożył kota na ziemi. Rawat, z łukiem w dłoni, odniósł wrażenie, że rozcapierzone łapy zwiadowcy drgnęły lekko...

— Dosyć, Agatra! — ryknął. — Dostyć mówię! Patrz tam! No patrz! Jeźdźcy cofnęli się nieco i stanęli w odległości nie większej, niż trzydzieści kroków od kota. Zachowywali się spokojnie. Wyglądało, że na coś czekają.

Agatra przestała się szarpać. Po krótkiej chwili wszyscy wyraźnie zobaczyli, że kocur rusza się słabo.

— On... on żyje... — szepnęła dziewczyna.

Rawat odłożył łuk i powoli wspiął się na zasiek. Alerowie, jakby na to czekali, cofnęli się jeszcze troszeczkę.

— Oni chcą... — powiedział ktoś chrapliwie — oni chcą, żebyśmy go wzięli...

Rawat myślał tak samo.

Działo się coś, czego w ogóle nie pojmował. Nikt nigdy nie paktował z Alerem. Nigdy nie wymieniano rannych. Prawie nigdy nie brano jeńców... a jeśli już, to najwyżej po to, by urządzić ich tak, jak Birenetę...

Powoli — setnik zszedł z zasieku.

— Doltar — powiedział.

Wolał mieć przy sobie topornika ze złamaną ręką, niż jakiegokolwiek innego żołnierza.

Stary legionista niezgrabnie przegramolił się na drugą stronę i stanął u boku dowódcy.

— Odłóż topór — powoli rzekł Rawat. — Miejcie oko na wszystko — rzucił jeszcze przez ramię do swoich łuczników. — Ale bez żadnych przejawów wrogości. Agatra! — osobno napomniał dziewczynę.

— Tak... panie... — odparła bez tchu.

Rawat i Doltar ostrożnie ruszyli przed siebie. Alerowie nieruchomo stali w miejscu.

Dorlot żył. Rawat powoli, by stojący o trzydzieści kroków wojownicy nie wzięli tego za wrogość — wyjął miecz i przeciął rzemień, którym złamany ogon przywiązany był do gałęzi.

— Zabierz go, Doltar — powiedział.

Żołnierz ostrożnie wsunął wielką dłoń pod brzuch małego, kosmatego żołnierza i uniósł go w powietrze. Łapy i łeb wisały ciężko, bezwładnie rozkołysane. Ale żółte ślepie otwarły się na chwilę...

— Dobrze, Dorlot — rzekł setnik. — Już cię nie oddamy. Idź, Doltar. Żołnierz odwrócił się i spieszenie ruszył ku wiosce. Rawat, tyłem, postąpił

dwa krótkie kroki...

Jeden z Alerów krzyknął coś.

— Nie zatrzymuj się, Doltar! — zawołał Rawat, cofając się jeszcze i kierując miecz ostrzem przed siebie.

Wojownik zeskoczył z wehfeta i uczynił krok naprzód unosząc w górę otwarte, puste dłonie. Rawat przestał się cofać i powoli opuścił miecz. Oszołomiony, myślał gorączkowo... Nie wyobrażał sobie, by pod jakimkolwiek niebem puste, uniesione w górę ręce, miały znaczyć co innego niżli: nie mam broni ani złych zamiarów!

Schował miecz do pochwy i z wahaniem odpowiedział takim samym gestem.

We wsi Agatra i Elwina odebrały kota Doltarowi i pobiegły gdzieś. Pozostali żołnierze i chłopci, przyczajeni za zasiekami, chciwie chłonęli to, co rozwijało się przed ich oczyma.

Wojownik podchodził do miejsca, gdzie czekał nań Rawat. Setnik widział z bliska setki Alerów — ale nigdy takich... Widywał martwe twarze, na których zastygły niezrozumiałe, ale zawsze podobne grymasy, wyrażające pewnie ból lub nienawiść. Widywał zaciekle twarze walczących wojowników. Znał obraz alerskiego strachu. Ale nigdy dotąd nie oglądał twarzy Alera, dobrowolnie idącego ku niemu, bez broni w ręku. I dostrzegł, że tamten przygląda mu się tak samo... Nie spuszczały wzroku ze swych twarzy.

W ciągu tej krótkiej chwili Rawat uzmysłowił sobie nagle, że i Alerowie nie wiedzą, jak wygląda zwykła ludzka twarz...

Wojownik miał na sobie drewniany pancerz, dodatkowo wzmocniony wiszącą na plecach okrągłą, plecioną tarczą. Takie tarcze, obciążone skórą, bogato malowane, Rawat widywał dotąd równie rzadko, jak zbroje... W zgrajach, które zwykle ścigał, tylko czasem trafiał się wojownik z malowaną tarczą. U tego tutaj, wszystko wyglądało jakoś inaczej, porządniej, nawet wystający spod zbroi skórzany przyodziewek wykonany był dość starannie. Rawatowi przyszło na myśl, że zbliża się ku niemu znaczna osobistość. Nie było to zresztą takie dziwne. Trudno sądzić, by do wyjątkowej i niezwyklej misji, Alerowie wyłonili spośród siebie ubogiego głupka...

Aler zatrzymał się w odległości dziesięciu kroków przed setnikiem — i widać było, że nie zamierza pójść dalej.

Rawat uczynił krok ku niemu. Aler odskoczył w tył, wyciągając ręce przed siebie. Rozfalowany okrzyk zabrzmiał wrogo i groźnie. Setnik cofnął się natychmiast. Było jasne, że wojownik nie chce zbyt bliskiego kontaktu. Rozbrzmiały jakieś słowa — rozedrgane, obce, niezrozumiałe. Rawat próbował wywnioskować cokolwiek z intonacji głosu, ale nie potrafił. Rozłożył ręce. Tamten urwał i uniósł w górę swoje: otwarte, puste... Nie! Nie chodziło o ponowienie znaku pokoju... Setnik kręcił głową, ale dla tamtego był ów gest najwyraźniej czymś zupełnie pozbawionym znaczenia. Porozumienie się przekraczało możliwości obu negocjatorów — bo Aler także próbował mowy rąk. Skierował dłoń grzbietem w dół i poruszał nią, jakby coś ważył; ruchliwa twarz zadrgała w najrozmaitszych, trudnych do opisanego grymasach. Choć wspomagane głosem, nadal nic Rawatowi nie mówiły. Obejrzał się bezradnie na swoich, potem znowu na Alera i — odruchowo — krótkim gestem pokazał: czekaj, zaraz wrócę. Tamten oczywiście nie zrozumiał. Rawat odwrócił się i zawołał:

— Doltar!

Ciężkobrajny po raz drugi sforsował zasiek. Aler czujnie patrzył, jak się zbliża. Nagle krzyknął coś, nie odwracając głowy — i jeden ze stojących z tyłu jeźdźców zeskoczył z wehfeta. Dwóch na dwóch... Tak, to było dla Rawata jasne.

— Doltar, musisz znać jakieś ich słowa — powiedział, gdy żołnierz stanął obok. — Nie wiem... Nic nie wiem. Słuchaj, nikt nigdy z nimi nie rozmawiał... Rozumiesz to? Nikt i nigdy! Umiemy ich tylko zabijać. A oni nas. Nic więcej.

Topornik z ukosa spojrział na dowódcę. Rawat, prawie zawsze panujący nad sobą, był dziwnie rozgorączkowany. Sam nie wiedział, jak bardzo wstrząsnęła nim próba porozumienia się z odwiecznym wrogiem. Porozumienia się!

Zapomniał o niebezpieczeństwie. Znowu postąpił krok w stronę Alera — i znowu groźny okrzyk osadził go w miejscu.

— To na nic, panie — rzekł Doltar. — Oni chyba mają wiele języków. Oni, panie...

— Cokolwiek! — niecierpliwie przerwał Rawat. — Powiedz do nich cokolwiek.

Marszcząc brwi, topornik grzebał w pamięci, szukając obcych słów.

Lecz nieoczekiwanie — lepszy sposób znalazł wojownik alerski. Zawołał coś do swoich. Jego towarzysz pobiegł w stronę grupki i zebrał od jezdnych kilka oszczepów oraz zdobyczny armektański miecz. Zatkanąwszy miecz w ziemi, Aler wbił dokoła oszczepy. Pokazał Rawata. I miecz. Pokazał siebie i swoich. Oszczepy.

— Otoczony... Żołnierz otoczony przez Alerów... Dorlot? Nie, miecz to nie może być Dorlot...

— Ty, panie — powiedział Doltar.

— My! My, Doltar! Wieś!

Podpowiadali sobie i prześcigali się w odczytywaniu tego, co pokazywał alerski wojownik.

— Pokazał wieś.

— Otoczona wieś! — Rawat powtórzył za Alerem wszystkie gesty na znak, że zrozumiał. Wojownik zrobił szybki gest, jakby chwytając przed piersią coś, co mu rzucono. Rawat zapamiętał ten ruch, bo wydało mu się, że oznaczał potwierdzenie.

Oszczepy zatknięto w innym szyku: dwa wyrwano z kręgu i ustawiono tak, że pierścień okrążenia stał się podkrową... Aler znów wskazał miecz i wieś, wieś i miecz... Wyjął broń z ziemi i wbił nieco dalej... potem jeszcze dalej... przesuwając ku wyjściu z podkrowy. Oszczepy stały w miejscu. Miecz oddalał się, wbijany coraz dalej i dalej.

— Co zrozumiałeś, Doltar? — z napięciem zapytał setnik.

— Że mamy... — zachrypiął topornik i odkaszlnął. — Że mamy się, panie, wynosić. Że nas puszcza — dokończył powoli. Spoglądali po sobie w milczeniu.

— Dlaczego? Dlaczego... nas puszczają?

— Zdrada, panie.

— Zdrada?

Patrzyli to na siebie, to na wojownika.

— Zdrada, panie — powtórzył Doltar. — Jak wyjdziemy ze wsi, to nas wytną. Jak wyjdziemy...

— Czekaj...

Aler pokazał słońce i zakreślił ramieniem drogę, jaką jeszcze miało przejść na niebie. Po raz drugi ustawił krąg oszczepów, zatknął miecz pośrodku, wskazał punkt nad lasem, gdzie słońce miało zająć — po czym wyrwał jeden z oszczepów i uderzył nim otoczony miecz. Przydepnął

broń nogą.

— Wieczorem uderzą na wioskę...

Jakby na potwierdzenie tego Aler obrócił się wokół własnej osi, wskazując liczne oddziały, biwakujące tu i tam, na koniec tych, co pracowali na wzgórzu. Potem ukazał oszczepy, wszystkie, jakie tkwiły w kręgu.

— Uderzą wszystkimi siłami.

Rawat powoli powtórzył gesty Alera. Potwierdzenie! Gest chwytania czegoś przed piersią na pewno był potwierdzeniem.

Jeszcze raz ujrzeni to, co przy pomocy oszczepów i miecza przedstawione zostało na początku. Następnie wojownik wycelował palec w słońce i pokazał je wielokrotnie. W tym miejscu, w którym było...

Natychmiast.

— Mamy się wynieść natychmiast.

— Zdrada, panie — zawzięcie powtórzył Doltar.

Rawat patrzył na wojownika. Potem uniósł rękę i udał, że szybko chwyta coś, co mu rzucono. Aler krzyknął przeciągle, falująco — i podniósł w górę otwarte, puste dłonie. Zaraz potem on i jego towarzysze zebrali tkwiącą w ziemi broń i odeszli szybkim, podrygującym krokiem. Nogi, zaopatrzone w dodatkowe, odwrotnie zginające się kolana, odbiły się od stratowanej trawy. Wojownicy przeskoczyli nad głowami swoich wehfetów, błyskawicznie obrócili się w powietrzu i opadli na grzbiety zwierząt. Dokonawszy tej, zupełnie niemożliwej dla człowieka, sztuki — wojownik raz jeszcze pokazał słońce. W następnej chwili oddział zawrócił w miejscu i pognął ku sząłasom u stóp wzgórza.

Rawat i Doltar pospiesznie wrócili do wsi. Natychmiast otoczył ich krąg wieśniaków i żołnierzy. Setnik uciszył ludzi gestem. Krótko opowiedział, jak miały się sprawy.

— To wszystko — zakończył, po czym natychmiast dodał: — Radzić. Chcę znać wasze zdanie.

Najpierw wszyscy milczeli.

— Zdrada, panie — rzekł wreszcie Doltar. — Wybiją nas, jak tylko się ruszymy!

Jakby na dany sygnał, zaczęli mówić wszyscy jednocześnie. Chłopki podniosły lament, mężczyźni o coś pytali, Astat krzyczał na Doltara. Rawat podniósł rękę.

— Rozumiem, Doltar — powiedział, gdy zapadła cisza — że wybiją nas tylko wtedy, gdy się stąd ruszymy. Jeśli zostaniemy, to nie? Odsiecz nic będzie... Przetrzymamy więc wszystkie szturmy, ile by ich nie było. Czy tak?

Stary żołnierz gniewnie zacisnął usta.

— Z nimi, panie, można tylko toporem — rzekł zawzięcie. — Czemu niby mieliby nas puszczać?

Znowu wszczęło się zamieszanie. Tym razem setnik pozwolił, by ludzie nagadali się do woli.

— Dosyć — powiedział wreszcie. Poczekał, aż znowu zaległa cisza.

— Nie mają żadnych powodów, żeby walczyć o to, co mogą dostać darmo — powiedział. — Broniliśmy się twardo i dalej będziemy bronić się tak samo. Im przecież nie zależy na naszych trupach. Bardziej zależy im na życiu własnych wojowników. Jeśli można zdobyć, co jest do zdobycia, szybko i nie tracąc żołnierzy, to po co ich tracić?

— Nikt nigdy... — zaczął niezmordowany Doltar.

— Czekaj, Doltar, jeszcze nie skończyłem... Oddali nam Dorlota.

— Żeby zagłaskać... oszukać! — wybuchnął topornik. Część ludzi zgadzała się z nim.

— Widzieliście tę zgraję? Tę, która przejechała obok wsi. Wracali z bitwy. Widzieliście rany wehfetów? Potwierdzono.

— Astat — setnik zwrócił się do łuczniaka — Co to były za rany? Wiesz?

— Tak, panie — potwierdził trójkowy.

— Ja wiem także. Nie chciało mi się wierzyć.. . Ale teraz wierzę. Oni czasem biją się między sobą. I teraz jest tak samo. Ci tutaj — Rawat wskazał wzgórze — chcą, żebyśmy się stąd wynieśli, bo ja na ich miejscu chciałbym tego samego. Lada chwila może tutaj rozpętać się bitwa. Oni nie mają ochoty toczyć jej z wrogą wioską za plecami. I nie mają ochoty tracić na nas wojowników, bo wojowników potrzebują. I to bardzo.

— Do czego, wasza godność? Z kim tu bitwa? — zapytał tępo któryś z chłopów.

— Ze Złotym Plemieniem — wyjaśnił setnik. — Wehfety były poszarpane przez złotych... Sto razy widziałem takie rany. U naszych koni. Znowu wszczął się gwar.

— Dosyć! — uciął setnik. — Postanowiłem. Mamy szansę. Jeśli nawet

jedną na sto, to i tak większą, niż w przypadku pozostania tutaj. Do wymarszu!

— zarządził, zwracając się ku swoim żołnierzom. — I wy także — powiedział chłopom. — Zabrać tylko broń i żywność. Ustawić kilka wozów, piorunem! — wskazał beznadziejnie tkwiący w zasieku, ciężki i niezgrabny pojazd. — Położyć na tym rannych, zaprząć woły i jazda. Już!

Legioniści posłuchali natychmiast, a najwcześniej ruszył się Doltar. Ponury, gniewny i przeczuwający klęskę — był jednak żołnierzem. Otrzymał rozkaz i niezwłocznie pośpieszył go wykonać. Przykład podzielał. Był potrzebny... Chłopom wcale nie uśmiechało się rezygnować ze wszystkiego, co mieli. Spoglądano więc na Doltara, bo on właśnie najbardziej się sprzeciwiał. Ale Doltar gotów był dyskutować tylko tak długo, jak pozwalał na to dowódca...

Rawat spojrzął ku szafasom pod wzgórzem, potem przez chwilę śledził poruszenia alerskich oddziałów. Nie ulegało wątpliwości: wojownicy zwijali oblężenie wsi — jednocześnie jednak formowali nowe oddziały, ściągając nawet część kopaczy...

Setnikowi przyszło na myśl, że jeśli jednak Doltar miał rację — to bezradny, nieruchawy tłumek w polu zostanie istotnie wycięty w mgnieniu oka...

Odpędził koszmarną wizję. Był pewien swego. Wszystko miało więcej sensu i stwarzało większe szansę, niż dalsze tkwienie w tym... grobie.

Odwrócił się i popatrzył na wioskę. Spalone domy i pokraczne zasieki... Wszędzie widniały ślady bitwy. Na „ulicy” wałało się wszystko: porzucona broń, jakieś szmaty, stągwie i cebry do gaszenia pożarów, wiechcie słomy i rozrzucone już teraz stosy drewna, przygotowane do podpalenia ma wypadek nocnego szturmu... Biegały między tym wszystkim kury, chodzili zdrowi i zataczali się ranni ludzie. Nozdrza przywykły już do smrodu alerskich trupów, zaczynających gnić pod wsią. Własne pochowano — zbyt płytko i byle jak, gdzie popadło... Okropny widok przedstawiały dzieci: dziwnie ciche, brudne, często pokrwawione. Nie było chwili, by z jakiegoś zakątka nie dobiegał płacz niemowlęcia...

W odległości kilkunastu kroków stała zwarta grupka wieśniaków. Rawat wyczytał w ich oczach coś niedobrego; pojął, że to jeszcze nie koniec kłopotów... Ci ludzie, przystępując do obrony, sądzili że bronią dobytku. Teraz już wiedzieli, że szło tylko o życie.

Ale czy na pewno wiedzieli?

Setnik zaczął obawiać się nagle, że chłopci podejną doń i zażądają cudu... Nie minęła chwila — a ruszyli się, podeszli i zażądali.

— Miałeś bronić nas, panie — rzekł jeden.

Rawat spojrział mu w oczy — i patrzył tak długo, aż wieśniak odwrócił spojrzenie.

— Co to jest? — zapytał, wskazując oborę.

Odwrócili się wszyscy. Obok kilkunastu mężczyzn, zawzięcie próbujących odblokować tkwiący na samym dnie zasieku wóz, przechodziły jakieś kobiety, ciągnące krowy na postronkach. Dalej z chlewu wyganiano świnie. Rozbiegły się kwicząc. Dwaj starcy, kobieta i kilkoro dzieci usiłowali skupić je z powrotem w stado.

— To wszystko ma tutaj zostać — rzekł setnik tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Narznąć kur i przytroczyć do wozów. Żadnych stad! Jak zobaczą, że to wszystko prowadzimy, to nas zaszlachtują razem z tym całym inwentarzem! W jakim tempie chcesz się z tym wlec!? — zagotował się w nagłej złości. — Pędząc przed sobą te wszystkie niezliczone świnie?! Czy ty masz pojęcie, co się dzieje w stepie?! Ty myślisz, że oni po co nas puszczają? Żebyśmy do jutra rana wyprowadzali świnie ze wsi?! — uczeplił się nieszczęsnych świń, — I ganił je między ich zgrajami?! Jazda stąd, wóz wyciągać! Miałem cię bronić, no to bronię, tylko dzięki temu, że tu jestem, wciąż jeszcze nosisz łeb na karku! Wóz wyciągać! Wszystko! — zakończył rozwścieczony.

Poza umocnieniami rozbrzmiał przeciągły, groźny okrzyk. Rawat odwrócił się gniewnie i ujrzał wojownika, z którym negocjował. Aler wskazywał słońce. Nie czekając na żadną odpowiedź, nie zwalniając biegu wehfeta, prze-mknął w odległości pięćdziesięciu kroków od zasieków i pognął dalej, ku jednemu z największych, przemieszczających się szybko oddziałów. Rawat na powrót zwrócił się ku chłopom, ale ujrzał tylko ich szybko oddalające się plecy. Zgrzytnął zębami, wyzbywając się resztek złości, i poszedł tam, gdzie mignęła mu drobna sylwetka Elwiny. Dziewczyna brała wodę ze studni.

— Gdzie Dorlot? Wyżyje? — zapytał niespokojnie.

— Nie wiem, panie — powiedziała zmartwiona łuczniczka. — Agatra, panie... Ona tego nie przeżyje, na pewno. A ja...

— Chodź — powiedział. — Ta woda dla niego, tak?

— Tak, panie — odparła pociągając nosem, bliska płaczu. Westchnął.
Żołnierz; kobieta na wojnie.

— Chodźmy do niego — powtórzył.

6.

Oddziałek, na czele którego Tereza wyruszyła ze stancy, był jednak czymś więcej, niż tylko wzmocnionym patrolem. Wzięła pełną dziesiątkę. Podążyła prosto w kierunku, który przed paroma dniami obrał Rawat. Zdawała sobie sprawę, że nie odnajdzie żadnych śladów, a wobec tego był ów kierunek akurat równie dobry, jak każdy inny... Oddział setnika mógł znajdować się po prostu gdziekolwiek. Nawet nie przemęczając zbytnio piechurów, mógł Rawat pokonywać piętnaście mil dziennie. Gdyby zaś, z jakichś powodów, zaczął się spieszyć — w grę wchodziło i po dwadzieścia mil na dobę... Raczej nie opuścił terenów będących pod kontrolą Erwy. Ale wiele zależało od zgrai, którą ścigał — lub przed którą uciekał.

Co właściwie działo się w stepie?

Na temat rozkazów przysłanych przez Alkawę, Tereza miała takie zdanie, jak Ambegen, choć nie dzielili się uwagami. Niezależnie od tego, co naprawdę zaszło, pomysł porzucenia stancy uważała za bzdurny. W Alkawie potracili głowy. Niemniej, z listu wynikało, że włóczęga po stepie to teraz nie było jakiś hazard. Wielotysięczne siły alerskie nie poruszały się przecież na oślep; armia z całą pewnością słała na wszystkie strony patrole i ubezpieczenia. W każdej chwili mogła natknąć się na jeden z takich oddziałów. Nic na to nie wskazywało, step był spokojny jak nigdy. Podsetniczka z trudem wyobrażała sobie, że gdzieś tam, poza zasięgiem jej oczu, przemieszczają się wielkie, groźne zastępy. Zresztą — to nie tych zastępów się bała... Musiały być powolne i nieruchawe, złożone głównie z piechoty, bo wehfetów Srebrne Plemiona miały za mało, by utworzyć z jezdnych coś więcej, jak sto parę głów liczącą zgraję. Obawiała się spotkania z silną strażą boczną, lub jakimś dużym oddziałem rozpoznawczym, złożonym na pewno z jeźdźców. Wielka armia była dla niej akurat tak groźna, jak niedźwiedź próbujący złapać mysz... Musiałaby sama wleźć mu do paszczy. Lecz mały, ruchliwy oddział, to całkiem co innego. Konie przewyższały wehfety rącością, ale nie były tak wytrwałe. I musiały spać, podobnie jak ludzie. Tereza

wiedziała, że konny oddział, jeśli w krótkim czasie nie zmyli alerskiej pogoni, może w końcu zostać osaczony. Gdy konie zaczynały padać, wehfety wciąż mogły biec...

Dlatego, z głębokim spokojem i bez żadnych wyrzutów sumienia, zamierzała skorzystać z możliwości, którą dał jej komendant. Zamierzała pchnąć gońca z prośbą o posiłki. Mając przy boku wszystkich swoich jeźdźców, mogła spróbować nawet rozpoznania walką — spotkanie z byle alerskim patrolem nie musiało oznaczać ucieczki. Przeciwnie, mogła pozwolić sobie na energiczny marsz ku domniemanym armiom. Uważała zresztą, że tylko w taki sposób ma szansę wyciągnąć Rawata z tarapatów — jeśli był w tarapatach, rzecz jasna. Przecież on także nie musiał bać się wielkiego, wolno sunącego wojska. Trudno było przypadkiem wleźć na armię — nawet, jeśli się nie wiedziało o istnieniu takowej. Jeśli bił się, uciekał lub zmuszony był szukać kryjówki, to w grę wchodziły zapewne niezbyt duże, ale ruchliwe zgraje... Właśnie ubezpieczenia lub oddziały rozpoznawcze sił głównych. Jak miała szukać takich grup, dysponując dziesięcioma jeźdźcami?

Patrole, które wyszły razem z nią, miały wrócić do stаницы wieczorem. Było mało prawdopodobne, by rozważny Ambegen posłał drugą połowę jeźdźców na ryzykowne nocne rozpoznanie; sądziła raczej, że ograniczy się do wzmocnionych pieszych patroli w bezpośredniej bliskości stаницы, jeźdźców zaś pośle dopiero następnego dnia rano. Zamierzała przeprowadzić rzecz tak, by jej goniec dotarł do Erwy jeszcze przed świtem — i zmieniawszy konia, natychmiast mógł zabrać i przyprowadzić jej całą jazdę, bez konieczności czekania na powrót patroli ze zwiadów.

Lecz wszystko potoczyło się inaczej...

Wyruszając ze stаницы, dokładnie wyjaśniła dowódcom patroli, jaką drogę zamierza obrać i gdzie prawdopodobnie zatrzyma się na nocleg. Gdyby nadeszły jakieś wieści od Rawata (lub on sam z oddziałem) chciała, by ją o tym powiadomiono. Teraz, obserwując dwóch mknących jej śladem jeźdźców, po raz kolejny miała dowód, że myślenie popłaca...

— Nasi — rzekł jeden z trójkowych; na tle zachodzącego słońca z wielkim trudem dało się rozpoznać, że to jadą ludzie na koniach. Jeszcze przed chwilą miała wątpliwości, czy to aby nie Alerowie na wehfetach...

— Nie pytałam — ucięła. — Podwójna wachta w nocy. Do szeregu.

Żołnierz cofnął się jak niepyszny.

— Czekać.

Ścisnęła nogami boki wierzchowca i drobnym kłusem wypuściła się na spotkanie jeźdźców. Wkrótce rozpoznała jednego ze swoich zwiadowców. Po chwili dojrzała twarz drugiego legionisty. Nie zdołała powstrzymać okrzyku — Rest!

Żołnierze zatrzymali się tuż przed nią. Zmęczone konie ciężko pracowały bokami. Dziesiętnik Rawata miał szyję obwiązaną brudną, przepoconą! zakrwawioną szmatą. Na policzku i przy samych ustach, na obtartej do żywego mięsa skórze, szkliły się świeże strupy. Seplenit; zauważyła, że brakuje mu dwóch zębów.

— Goniłem, pani... — wykrztusił, trochę bez ładu i składu. Odczepiła od kulbaki bukłak z wodą i rzuciła mu. Pił zachłannie.

— No? — zapylała niecierpliwie.

Żołnierz odjął wylot wora od ust i odetchnął głęboko. Krótka, z widocznym wysiłkiem, streścił jej przebieg wyprawy od chwili gdy rozstał się z setnikiem i resztą oddziału.

— Co dalej?

— Biliśmy się, pani... Straciliśmy juczne, potem zaczęły padać wierzchowce. Dwóch nas się zostało... W nocy im uciekliśmy. Teraz żeśmy natrafili na patrol. Wziąłem konia od żołnierza i pognaliśmy, pani, za tobą. A tamci do stancy.

— Nie wiesz, co z setnikiem?

— Nie, pani. Mieliśmy się spotkać w Trzech Wsiach. Nie dało rady.

— Nie dało rady... — powtórzyła, trochę zgryźliwie. — No dobrze. Chcesz wracać do stancy?

— A ty, pani też wracasz?

— Ciebie pytam.

Żołnierz przez chwilę milczał, jakby próbując wyczytać w jej twarzy to, czego nie powiedziała.

— Wolałbym do Trzech Wsi, pani.

— Dasz radę? — wskazała zakrwawioną szmatę na szyi. Odwinął ją i odrzucił. Szyja wyglądała jeszcze gorzej, niż twarz.

— Co mi tam... — powiedział. — Ledwie zahaczyło. To nie w bitwie... Po ciemku, w lesie, jak żeśmy uciekali.

Ledwie zahaczyło... Wyobraziła sobie nisko zawieszony konar

drzewa, zmiatający jeźdźca z kulbaki.

— Dobrze, Rest — powiedziała dziwnie łagodnie, jak na nią. — Dołącz do reszty. Funkcja przy tobie, tam tylko żołnierze i trójkowi. Ty też, dołączyć — skinęła na legionistę towarzyszącego Restowi. — Podeślijcie mi tu gońca.

— Tak, pani!

Żołnierze pokłusowali ku oddalonej grupce. Marszcząc brwi, przez długą chwilę patrzyła prosto w czerwoną kulę słońca, aż zabolęły ją oczy. Odwróciła spojrzenie. Próbowwała pochwycić kształty czarnych plamek, tańczących przed porażonymi żrenicami.

Wkrótce pojawił się goniec garnizonu. Przechyliła się w siodle, wyciągnęła rękę i poklepała pięknego ogiera po szyi. Potem zwróciła się do kuriera.

— Widzisz te brzozy? — pokazała ręką. — Tam będę, na skraju lasu. Poproś komendanta o wszystkich jezdnych, co do jednego. Chcę ich tu jeszcze tej nocy, jak najszybciej. Normalną ilość jucznych, ale oprócz tego parę luzaków pod siodłem. Tak?

— Tak, pani.

— Czekaj. Powiedz komendantowi, że nie zmarnuję ludzi. Wyciągnę Rawata, ale nie za wszelką cenę. Powtórzysz to dokładnie. Tak?

— Tak, pani.

— Czekaj. Powiesz jeszcze, że rozpoznam Alerów i ściągnę prosto do Alkawy. Tak?

— Tak, pani.

— Powtórz.

Wyrecytował wszystko, słowo w słowo.

— Doskonale. Gnaj. Patrzyła, jak się oddala.

7.

Alerowie dotrzykali umowy — ale niezupełnie tak, jak chciał Rawat. Długo zastanawiał się, jaki obrać kierunek po opuszczeniu wioski: w stronę Alkawy, do Erwy, czy też do osad, gdzie mógłby zostawić wygnańców. Chłopska gromada zaczęła ciążyć mu nieznośnie; chciał jak najszybciej odstawić wieśniaków... dokądkolwiek.

Okazało się jednak, że sprawę wyboru drogi będzie musiał odłożyć do następnego dnia. Teraz — wybrali mu ją Alerowie... I Rawat zrozumiał, że chodziło nie tylko o to, by pozbyć się niewygodnego „garnizonu” wioski. Srebrnym wojownikom zależało na tym, by ruszył wprost przed siebie, na przełaj przez step. Skierowano go tam, skąd wróciła poszarpana zgraja... Prawdopodobnie prosto na spotkanie nadciągających złotych.

Rawat, próbując okiełznać duszącą go wściekłość, jednocześnie jako żołnierz musiał w duchu przyznać, że było to posunięcie dobrze pomyślane. Bijąc się ze Złotym Plemieniem — osłabiał je na korzyść Srebrnego. Ponadto — a może przede wszystkim — złote bestie potrafiły rozpoznać mundur legionisty. Obecność armektańskiego wojska (nawet złożonego z paru rannych żołnierzy) mogła skłonić Złote Plemię do odwrotu.

Do zachodu słońca wlekli się noga za nogą, eskortowani przez duże alerskie siły. Woły mozolnie ciągnęły ciężkie wozy, na których złożono rannych. Ale nie tylko wozy spowalniały marsz. Nic nie mogło powstrzymać wieśniaków przed zabraniem z wioski tylu gratów, ile tylko dało się unieść. Setnik prawie pożałował, że zabronił pędzenia krów i świń. Przynajmniej by szły same... Niezliczone skorupy, jakieś worki, skrzynki wypełnione nie wiadomo czym — wszystko to ani myślało iść na własnych nogach. Jechało na chłopskich plecach... i tuż przed zachodem słońca Rawat całkiem serio zaczął się zastanawiać, kiedy ci słaniający się ze zmęczenia ludzie zaczną zostawiać w stepie swoje dzieci, byleby dalej móc targać kłamoty. Albo kiedy zrzucą z wozów wszystkich rannych. Gdy spoglądał za siebie, widział szeroki pas

stratowanej trawy, koleiny wyciśnięte w ziemi przez koła wozów — i mnóstwo pogubionych sprzętów.

Od kilku dni przeżywał najkoszmarniejszą przygodę swego życia. Teraz marzył tylko o jednym: by posłuchać wreszcie mądrego Ambegena i rozpocząć starania o samodzielne dowództwo stancy. Starania! Ależ by musiał się starać... Posłałby zgłoszenie i spokojnie czekał na pierwszy wolny etat. Komendant Okręgów Wschodnich potrzebował doświadczonych ludzi. Wzięłby swoją stanicę i siedział w niej... siedział... siedział... Kto inny latałby po polach, stawał na głowie, byle zgrać w całość przypadkową zbieraninę żołnierzy... Kto inny tłumaczyłby chłopom, że gdy się straciło wszystko — targanie z sobą drewnianej miski i szaflika nie ma wcale sensu. Siedziałby w stancy. Zimą, gdy Alerowie rzadziej wypuszczali zagony, sprowadziłby żonę. Byliby razem przez dwa, a może i trzy miesiące. Nie układało im się w życiu... Może gdyby wreszcie odsłużył swoje lata na samodzielnym stanowisku dowódczym i ze stopniem nadsetnika objął komendanturę miejskiego garnizonu, gdzieś w środkowym Armekcie, albo w Dartanie... Może wtedy? Wieczne uciekanie od siebie nie mogło przynieść poprawy. Zaczynał to rozumieć.

Otrząsnął się z zamyślenia. Słońce zachodziło... Zawołał Astata i pokazał skraj lasu.

— Nocleg! — zawołał.

Beznamiętnie patrzył na Alerów. Chyba nie wiedzieli, jak mają zareagować; eskortowana grupa pogrążała się w lesie... Rawat pomyślał, że jeszcze dzień lub dwa dni temu, ujrzawszy drepczący tłumek chłopów i żołnierzy, odprowadzany przez alerską zgraję, sądziłby, iż postradał nagle zmysły...

Alerowie zawrócili wehfety i odjechali z powrotem. Część zgrai odeszła na północny wschód. Zapewne zwiad...

Nieporadnie, zgiełkliwe, chłopci rozkładali się na nocny biwak, za najlepsze miejsce uznawszy sam skraj lasu. Rawat przywołał Doltara, który najlepiej dogadywał się z wieśniakami (sam pochodził z takiej właśnie wsi) i polecił mu zaprowadzić porządek. Ale tak w ogóle, miał dziwne poczucie daremności wszelkich poczynań. To nie mogło się udać. To me miało sensu... Przemienie noc, przyjdzie świt. Rozpocznie się dalszy marsz po stepie, w tempie pięciu, może sześciu mil na dobę. Gdyby stał

na czele samej jazdy — zupełnie świeżego oddziału, dopiero co wyprowadzanego ze stancy — to jeszcze zachodziłby w głowę, jak ma powieść się sztuka przejścia stepem-lasem do Erwy, albo Alkawy... Wokół roilo się od srebrnych oddziałów — a że nie wszystkie wiedziały o układzie, który zawarł opuszczając wieś — było bardziej niż pewne. Mało tego: gdzieś w pobliżu kręcili się złoci... Jako żołnierz, zawsze bardziej obawiał się Srebrnych Plemion. Ale w tej akurat sytuacji, Złote Plemię było równie groźne, jeśli nie groźniejsze. Ciemność nie stanowiła ochrony; złoci Alerowie mieli niezwykle wyczulony węch, potrafili tropić jak psy. Odnalezienie w nocy śmierdzącej chłopskiej grupy było fraszką.

Wniebogłoso rozwrzeszczało się niemowlę. Matka karmiła je piersią, lecz pokłóciła się z mężem, czy też może z bratem. Węch? Złoci mogli wcale nie mieć wężu...

Wciąż jeszcze siedząc w siodle, Rawat tkwił przy wielkim, grubym drzewie. Miał ochotę oprzeć czoło o jego szorstki pień i zostać tak — do rana. A może i na zawsze.

Podszedł doń Astat.

— Nie ujdziemy, setniku — powiedział.

— Widzę — padła głucha odpowiedź. Łucznik stał, niezdecydowany.

— No? — zapytał Rawat. — Wiem, wachty... Wyznacz... a zresztą... Ilu nas jest? Pięciu? I to razem z łuczniczkami... No to wszyscy stoimy całą noc. Rannych nie postawię.

Astat nigdy jeszcze nie widział dowódcy w takim stanie ducha. Sam zresztą czuł się nie lepiej.

— Nie, panie. Nie o wachtach myślę.

— A o czym? Żołnierz milczał.

— O czym, Astat? — ślamazarnie ponaglił go setnik.

— Żeby wracać do stancy, panie.

— No przecież wracamy.

Łucznik pokręcił głową.

— Jesteśmy... — nie wiedział, jak najlepiej powiedzieć. — Służymy w legii, panie. Legia Armektańska. Jesteśmy tutaj, żeby... żeby bić się, panie.

— O co ci chodzi, Astat?

— Ty wiesz, panie, o co mi chodzi! — rzucił żołnierz, nieoczekiwanie gwałtownie i głośno. — Dobrze wiesz, o co chodzi! Ja za ciebie nie postanowię!

Rawat chciał go skarcić, przywołać do porządku — ale nie miał na to dość siły. Przymknął oczy i, zgarbiony, nieruchomo siedział w kulbace.

Legionista odwrócił się i odszedł.

Rawat siedział w siodle.

Po jakimś czasie zlął na ziemię i rozluźnił popręg. Żał mu było wierzchowca. Biedne zwierzę powinno się wytarzać, od ładnych paru dni chodziło pod siodłem, nie rozkulbaczone ani razu... Teraz także. Musiał mieć konia gotowego do użycia w każdej chwili. Bał się, że gdy wreszcie zdejmie czaprak i zajrzy pod potnik, zobaczy ranę w odparzonej skórze.

— Przepraszam cię... — szepnął do końskiego ucha. Na skraju lasu zalegał już mrok. Prowadząc konia, Rawat przystanął na chwilę, gdy odezwał się doń jeden z chłopów:

— Panie... ja znaczy... My wiemy, panie, że nas obroniłeś... Tylko żał było domu, panie.

Setnik poznał wieśniaka, który w wiosce czynił mu wyrzuty. „Miałeś bronić nas, panie”, tak powiedział. Teraz chyba próbował przeprosić.

Chłop trzymał drewnianą miskę, a w drugiej garści — łyżkę. Do miski nakruszono chleba i wymieszano z zimnym rosołem. Skąd oni mieli rosół?... Powoli, uważnie, karmił na zmianę ciężko rannego wieśniaka i łuczniaka. Podeszła jakaś kobieta, odebrała mu łyżkę i naczynie. Teraz ona karmiła. Chłop klęknął na wozie i z niezwykłą delikatnością podtrzymywał głowy rannym.

Setnik odszedł ze spuszczonej oczyma. Nie potrafił zdradzić tych ludzi.

Ale nie obronił... Nikogo nie obronił, już wiedział.

*

Noc minęła spokojnie.

Tuż przed świtem, szary od bezsenności Rawat poczuł dziwny napływ energii. Gotów był działać, choć w ciągu ostatnich dni przespał zaledwie parę chwil i ze znużenia słaniał się na nogach. Niewiele lepiej wyglądali żołnierze. Tylko Elwina wypoczęła jako tako... bo zasnęła na swoim posterunku i zbudzono ją dopiero rano. Teraz wstydziła się spojrzeć w oczy towarzyszom. Ale setnik doszedł do wniosku, że ponieważ nic się nie stało, to nawet dobrze, iż w oddziale jest choć jeden wyspany żołnierz. Tym bardziej, że bardzo takiego żołnierza potrzebował.

Najpierw poszedł do rannych. Dwaj chłopci i żołnierz zmarli w nocy, pozostali ludzie mieli się dobrze. Gorzej, o wiele gorzej było z kotem. Rawat już wcześniej dokładnie obejrzał ranę, teraz uczynił to znowu. Giętkie kości chyba nie były naruszone, ale grzbiet i łopatka wyglądały paskudnie, poza tym kocur ogólnie był mocno potłuczony. Nie powiedział dotąd ani słowa i setnik co najwyżej mógł się domyślać, co zaszło. Zapewne, po nastaniu dnia, wypa-trzyła kota w stepie jakaś zgraja — i zdołała doścignąć na wehfetach. Rana wyglądała tak, jakby zadano ją z góry oszczepem, a potem jeszcze, z ostrzem wbitym pod łopatkę, wleczono kota po ziemi. Złamany ogon z pewnością przysparzał wiele bólu — ale rana od dzidy najwyraźniej zaczynała gnić. Gangrena...

Posmutniały Rawat nie miał siły powiedzieć tego łuczniczkom. Ale Agatra wiedziała. Doświadczona legionistka oglądała w życiu wiele ran. Setnika zdziwił, a nawet nieco zaniepokoił, okazywany przez nią, niewzruszony spokój.

— Stało się — powiedziała cicho. — On umrze, prawda? Ale myślę panie, że on nigdy nie chciał... ze starości. Prawda, panie, że był dobrym żołnierzem? Powiedz. Zrobił co mógł.

— Nadal jest dobrym żołnierzem, Agatra — powiedział setnik odchodząc. Łuczniczka dotknęła małej, pokrytej futrem głowy.

— Tak, panie — potwierdziła bez cienia nadziei. Rawat przywołał Elwinę.

— Dzisiaj twoja kolej, maleńka — powiedział, starając się otrząsnąć z przygnębienia, w jakie wprawiła go bliska śmierć zwiadowcy; sam dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo lubił Dorlota. — Pojedziesz do Alkawy, Elwina. Weźmiesz mojego konia.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy, zdumiona i przestraszona.

— Ja... — zająknęła się. — Ja... panie...

— Jesteś żołnierzem, Elwina — spokojnie, ale surowo rzekł setnik. — Jak to wszystko się skończy, odeślę cię do garnizonu Rapy. Tam jest cała półsetka łuczniczek. Tam pozbierasz się i może jeszcze kiedyś wrócisz tutaj do mnie. Strzelasz równie dobrze, jak Astat i Agatra, tylko że oni siedzą w legii już ładnych parę lat. Będiesz najlepsza, malutka, potrzebuję takiego żołnierza. Ale najpierw wydostań stąd nasze głowy. I swoją głowę też.

Dziewczyna troszeczkę ochłoneła.

— Jak, panie? Ja nigdy... ja nie trafię do Alkawy!

— Stąd bez przerwy na północny wschód. Jak strzelił. Trafisz do Alkawy, a jak nie, to nad rzekę. A potem już tylko wzdłuż rzeki. Jestem tutaj jedynym jeźdźcem, ale ja jechać nie mogę. Z łuczników ty akurat trzymasz się w siodle najlepiej. Będziemy tu siedzieć, Elwina. Tu, w tym lesie. I prędzej albo później nas dopadną. Chyba że sprowadzisz pomoc. No już. Przygotuj się do drogi.

Dziewczyna odeszła. Rawat wydał rozkaz zwinięcia obozu i przeniesienia go jak najdalej w głąb lasu. Wozy miały posuwać się dopóty, dopóki to będzie możliwe.

Zarządziwszy co trzeba, setnik osobiście przygotował konia do drogi. Zdawał sobie sprawę, jak niewielkie dziewczyna ma szansę. Niemniej jednak — większe, niż wszyscy oni tutaj. Siedzący w samym środku zajętego przez najróżniejsze zgraje terenu i czekający, kiedy Alerowie na nich wpadną...

Podobnie myślał, wyprawiając w drogę Dorlota. Uderzyło go to i sposepniał, bo było niczym zła wróżba... Wyprawił już na śmierć jednego żołnierza. Teraz wyprawiał drugiego.

Powoli, starannie skrócił strzemiona do długości nóg dziewczyny. Gdy znalazła się w siodle, jeszcze trochę poprawił.

Obejrzał się na wieśniaków, coraz głębiej wchodzących do lasu. Znikali już poza drzewami.

— Jedź, malutka — rzekł cicho, niemal tkliwie.

Dziewczyna nie wiedziała, co powiedzieć. Stali i patrzyli na nią wszyscy towarzysze. Siedząca na wozie z rannymi żołnierzami Agatra machnęła ręką.

— Jedź, Elwina.

Dziewczyna wyjechała z lasu i niepewnie puściła konia kłusem. Coś ścisnęło Rawata za gardło. Składał los tylu ludzi w ręce takiego jeźdźca... Była już daleko, gdy odwrócił się i powiedział:

— Ruszać.

Kierujący wołami łucznik zaczął manewrować ciężkim wozem. Rawat raz jeszcze rzucił okiem na step — i zobaczył złotych Alerów.

Wyłonili się z lasu — tego samego, który służył jego ludziom za kryjówkę. Kilka stworów rzuciło się w pogoń za samotną figurką na stepie. Ujrzawszy ich długie, śmigłe skoki, Rawat pojął, że dziewczyna

jest bez szans.

W sakwie ze szczęściem, które Niepojęta Pani trzymała dla setnika, już od dawna nie było nic...

Krzyknął niegłośno, zatrzymując swych żołnierzy. Po chwili stali obok — bezsilni, jak on sam.

Z lasu coraz liczniej wyłaniały się pokraczne sylwetki, to niezgrabnie rozkołysane na krótkich, zginających się do tyłu nogach, to znów, wsparte na długich ramionach, szybko i zręcznie sunące w postawie czworonożnej. Wszystkie ciała pokrywało jednakowe, szorstkie, rude futro. Z odległości ćwierci mili nie było widać szczegółów — ale w oddziale Rawata dobrze te szczegóły wszyscy znali. Łatwo mogli się domyśleć wyrazu ciemnych, płaskich twarzy-pysków o szerokich nozdrzach, z wyszczerzonymi zębami o kwadratowym kształcie; wśród tych zębów tylko kły były długie i ostro zakończone. Horda pół-zwierząt odkryła ślady ludzi i wozów.

— Panie! — powiedział Doltar.

Las, od Trzech Wsi ciągnący się prosto z południa na północ, zakręcał w tym miejscu, gdzie stali; jego ściana biegła niemal prosto na północny zachód. Pomiędzy drzewami było trochę prześwitów i Doltar wskazywał ręką właśnie na północny zachód ku północy. Zbliżało się stamtąd kilkudziesięciu jeźdźców na wehfetach...

Na stepie działo się coraz więcej, coraz więcej i więcej... Zdyszani z podniecenia żołnierze patrzyli to na złotą zgraję wężącą wokół śladów, to na trzy potwory mknące za Elwiną, to znowu na srebrnych wojowników — a wreszcie daleko za ich plecy. Był tam następny duży oddział! Gdyby srebrna zgraja dość szybko pokazała się złotym, być może ustałby pościg za małą łuczniczką. I być może...

Ale nie, bo Agatra nagle powiedziała:

— To są... to są nasi. Rawat chwycił ją za ramię.

— Co ty powie... Alkawa?! Łuczniczka zaprzeczyła.

— Nie, to nie jest Alkawa. Nasi, panie! Siedzą na kasztanach.

Wierzchowce dla stanic dobierano maścią. Także i po to właśnie, by konne oddziały łatwo mogły rozpoznawać się z daleka. Ale Alkawa miała konie gniade, więc z tej odległości bardzo podobne do kasztanów!

Agatra, jakby słysząc myśli Rawata, rozwiąła ostatnie wątpliwości:

— To nie są czarne grzywy... Patrz, panie, zbliżają się przecież, co, nie

widzisz jeszcze?

Widzieli wszyscy.

Na karku srebrnej zgrai jechała półsetka konnych łuczników z Erwy!

— Nie, na Szerń... — wybełkotał Rawat.

Srebrna zgraja dopiero teraz spostrzegła, że jest ścigana. Wojownicy zawracali wehfety — i ostatnia szansa ocalenia Elwiny przepadła. Prysnęła też nadzieja, że srebrni wezmą na siebie część wysiłku pokonania złotej grupy. Którakolwiek ze stron by przegrała, mogło to przynieść tylko pożytek ludziom. Przecież ucierpieliby także zwycięzcy... Gdzie dwóch się bije...

Cóż — skorzystać miało akurat Złote Plemię.

Rawat z bólem oglądał popisy swoich jeźdźców. Wiedział, kto ich prowadzi. Tak umiała tylko Tereza. Nawet on, siedząc na rozpędzonym koniu, nie potrafił tak bezbłędnie oceniać odległości, szybkości swojej i przeciwnika, wybierać punktów spotkania... Alerowie mknęli na złamanie karku, chcąc zgnieść przeciwnika szybkością i dwukrotnie większą liczbą. Rawatowi wydało się, że słyszy odległy, ostry dźwięk świstawki... Sunąca w szyku, wyciągniętym kłusem, armektańska jazda rozpadła się na dwie równe grupy i płynnymi łukami rozeszła na boki, zmuszając zgraję do zmiany frontu, a więc trudnego manewru w pełnym biegu wehfetów. Urywany, wysoki gwizd zawibrował znowu — i oskrzydłające Alerów oddziały rozdzieliły się raz jeszcze: z każdej strony połowa jeźdźców dalej gładko, ale już galopem, przeskrzydłała zgraję, gdy druga połowa, wciąż idąc wyciągniętym kłusem, wracała w środek pola, na spotkanie bliźniaczego oddziału... Połączyły się, szyk był równy! I ciągle spokojny kłus!... Srebrne Plemię po raz drugi ujrzało przed sobą szarżujących jeźdźców, gdy na skrzydłach konni łucznicy uciekali już na ich tyły, napinając łuki w galopie... w pełnym cwale! Gdziekolwiek nie zwróciliby się Alerowie całością swoich sił — mieliby jakiś oddział za plecami. Zgraja podzieliła się więc — ale ten podział polegał na pójściu w rozsypkę. Złożone manewry jazdy były rzeczą niezwykle trudną, w obliczu wroga mogli sobie na to pozwolić tylko świetni dowódcy mający doskonale wyszkolonych żołnierzy!

W luźny, rozproszony szyk wroga Armektańczycy uderzyli z przodu jak pięścią, po bokach zaś mieszczeni, co się dało, odskoczyli w step, ciągnąc za sobą pojedynczych jeźdźców, znowu zawrócili, zmiotli luźnych

Alerów jak wióry i — połączyli się z uderzającą od czoła grupą, która przeszła przez zgrają jak przez kupę pierza.

Pochłonięty obrazem błyskawicznie i po mistrzowsku rozgrywanej bitwy, Rawat prawie zapomniał o złotych. Pobiegł spojrzeniem w drugą stronę — i zobaczył sforę idącą po śladach wozów.

— Z lasu! — zawołał. — Wychodzimy ku naszym! Trzeba ich tu ściągnąć! Astat! Biegiem!

Łucznik pognał na północny skraj lasu. Setnik raz jeszcze spojrzał na Złote Plemię, a potem hen, pod horyzont, gdzie mała Elwina uciekała przed śmiercią...

Pobiegł za Astatem.

Rozbita srebrna zgraja pierzchała na wszystkie strony. Część wojowników okrążyła leśny cypel i — ujrzała złotych. Wznosząc niezrozumiałe okrzyki, jeźdźcy na wehfetach pognali prosto na wschód. Wkrótce dołączyli do nich następni uciekający. Rawat miał przed oczami swoją własną bitwę, gdy pokonał straż przednią, nie wiedząc o wrogu skrytym za cyplem lasu. Teraz to samo spotkało Terezę! Arilora, bawiąc się, wykreśliła kręgi, po obwodzie których biegali. Dwie bitwy... Dorlot i Elwina, tak samo wysłani na śmierć...

Złote stwory skupiły się w wielkie, ciasne stado, nie podejmując pościgu za srebrnymi — ale też nie idąc dalej tropem ludzi. Rawat dołączył do Astata, biegnącego wzdłuż północnej krawędzi lasu. Wymachując rękami, łucznik starał się ściągnąć na siebie uwagę konnych przyjaciół z Erwy, którzy w małych grupkach ścigali pojedynczych Alerów. Rawat szarpnął zawieszoną na szyi niewielką świstawkę z rogu i wydobył zeń wysoki, urwany w najwyższym punkcie sygnał: „Do mnie!”.

Wytresowani w dziesiątkach ćwiczeń jeźdźcy wszyscy bez wyjątku przerwali pościg za niedobitkami i jednocześnie pognali ku rubieżom lasu, zanim zdali sobie sprawę, kto ich wzywa. Zobaczyli Rawata i zewsząd rozległy się radosne, zdumione okrzyki. Jeden po drugim, konni legioniści stawali na skraju lasu.

Setnik gorączkowo wypatrywał Terezy. Ujrzał ją na koniec, niedaleko jeźdźca na kurierskim koniu. Goniec nie brał udziału w szarży, teraz dopiero ściągał na pole bitwy, z wielkim trudem próbując opanować istny tabun jucnych i luzaków. Podsetniczka, zmierzająca doń, zatrzymała się w połowie drogi, jakby nie wierząc, że naprawdę

usłyszała głos oficerskiej świstawki. Spięta wierzchowca i galopem puściła się tam, gdzie wszyscy.

Usłyszawszy świstawkę pod lasem, Tereza poczuła w skroniach silne uderzenie krwi. W jednej chwili pojęła, kto gwizdże — i nie wiedziała, co robić... Poczuła napływ dziwnej, nieuzasadnionej, niepotrzebnej złości. Zaraz jednak w jej tle położyła się prawdziwa radość, tak szczerą, że podsetniczkę prawie przestraszył jej wybuch. Było to coś więcej, niż tylko zadowolenie z powodu odnalezienia zaginionego oddziału... Przez chwilę próbowała wyzbyć się tej niewygodnej radości, lecz niemożność uczynienia tego powiększyła tylko pierwotną złość. Na skraj lasu Tereza przybyła po równo rozwścieczona i uradowana. Osadziwszy wierzchowca zeskoczyła z kulbaki. Widząc Rawata, nie wiedziała, co ma powiedzieć, z jakichś przyczyn pragnęła objąć go serdecznie — zarazem narastała w niej ochota dzielenia setnika w pysk... Wzruszyła ramionami i szorstkim, lecz jednak przyjacielskim ruchem wyciągnęła doń rękę, mając na języku jakieś trochę złośliwe, ale i ciepłe słowo.

Setnik nic nie zauważył. Wpadł na nią z góry, jakby chcąc ukarać za nie wiedzieć jakie przewinienia. Oszołomiona nie mogła zrozumieć, o co chodzi.

— Konia! — miotał się Rawat. — Złoci za lasem, w lesie mam chłopów... Daj mi konia! Wsiadać!

Nagle, zupełnie bez powodu, pchnął ją w pierś.

— Co stoisz?! Konia, ale już!

Rozepchnął żołnierzy i pognął w stronę nadjeżdżającego gońca garnizonu. Jednym susem znalazł się na grzbiecie osiodłanego luzaka. Zaczął zbierać wokół siebie żołnierzy. Posłuchali z niekłamanym zapałem.

Z bijącym mocno i boleśnie sercem, osamotniona Tereza nieruchomo stała pod lasem. I dziwna złość, i niewygodna radość, przepadły gdzieś bez śladu. Zdała sobie sprawę, że — niepotrzebna już nikomu, nawet własnym żołnierzom — może stać tak do końca. Jakiegokolwiek końca... Konni łucznicy wyłazili ze skóry na widok swego kochanego dowódcy. Przyprowadziła ich do niego i przesiała być potrzebna. A nawet przeszkadzała.

— Rest! — zawołał Rawat, dopiero teraz wypatrzywszy swojego dziesiątnika. — Rest!

— Tak, panie! — rozległ się szczęśliwy głos żołnierza.

Półsetka w szyku, drobnym kłusem, poszła ku zakrętowi lasu. Tereza powoli zbliżyła się do swojego konia i dosiadła go. Z opuszczoną głową powlokła się śladem oddziału. Po krótkiej chwili wyprzedziło ją jeszcze paru lekko rannych żołnierzy. Też chcieli bić się pod setnikiem Rawatem...

Konni łucznicy, pewnie prowadzeni, osiągnęli skraj leśnego cypla i skręcili na południe — po czym, o ćwierć mili przed sobą, zobaczyli idącą sforę. Odruchowo poczęto wstrzymywać wierzchowce, tu i ówdzie rozbrzmiały krzyki zaskoczenia, zdumienia i niedowierzania. Czegoś takiego żołnierze się nie spodziewali! Rozgorączkowany Rawat krzyknął, by równali szyk.

Zgraja znowu stanęła. Wiatr przyniósł ochrypłe, niespokojne głosy, do złudzenia przypominające stłumione ujadanie wielkich psów. Zjawiwszy się za plecami swoich jeźdźców, Tereza zobaczyła to, co oni. Osłupiała.

— Nie, na Szerń... — wykrztusiła niewyraźnie.

Poderwała konia do biegu. Zajechała przed front oddziału i naparła wierzchowcem na Rawata.

— Co to jest?! — wrzasnęła, dusząc się z gniewu, nabrzmiałego prawdziwym strachem. — Co ty chcesz... Precz! — krzyknęła na swoich jeźdźców. — Odwrót, marsz!

— Ja dowodzę! — cisnął Rawat.

Złote Plemię nie ustąpiło. Widok legionistów wywarł duże wrażenie, ale po chwilowym zamieszaniu stwory zaczęły ryczeć i ujadać, niektóre waliły się pięściami po szerokich piersiach, inne wygrażały grubymi kawałkami gałęzi. Wreszcie część stada ruszyła do ataku pociągając za sobą resztę.

Oczywiście wyobraźni Tereza ujrzała nagle swoich ludzi — zmasakrowanych, wybitych co do jednego, rozwłóczonych po stepie, pożartych...

— Wy! — zaskowyczał, przyskakując do piechurów, którzy ocaleli z oddziału Rawata. — Tam luzaki, brać rannych i jazda, jazda mi stąd, no jazda!

Rawat naskoczył na nią. Zdezorientowani jeźdźcy cofali się odruchowo. Tereza straciła panowanie nad sobą. Wyrwała włócznie z

tulei przy siodle i drzewcem smagnęła Rawata przez łeb — tak potężnie, że spadł z konia.

— Setnik ranny, przy mnie komenda! — wrzasnęła ochryple. — Brać go! Jazda, no jazda!

Złota zgraja gnała coraz szybciej.

Rest i drugi dziesiątnik zeskoczyli z koni, wspólnymi siłami wsadzili półprzytomnego setnika na wierzchowca i — na powrót znalazłszy się w siodłach — z obu stron pochwycili luźno wiszące wodze.

— Rest, dowodzisz! — miotła się podsetniczka. — Półsetka w tył! Kłusem-galop-maarsz!

Żołnierze bez zwłoki wykonali rozkaz. Tereza wjechała w las. Astat, Agatra, jakiś łucznik i Doltar wspólnymi siłami ciągnęli do północnego brzegu cypla dwóch, zwleczonych z wozu, ciężko rannych żołnierzy. Agatra niosła spowitego w szmaty, nie dającego znaków życia kota. Podsetniczka przechyliła się w siodle i przy pomocy Astata wciągnęła przed siebie na kulbakę jednego z ciężko rannych. Cały czas wrzeszczała wniebogłose, wzywając do siebie gońca z luzakami. Wjechał między drzewa! Żołnierze pomogli półżywemu, rannemu w brzuch łucznikowi dosiąść któregoś z wierzchowców i po chwili sami także znaleźli się w siodłach.

— Jechać! Doltar! — ryczała Tereza.

— Nie, pani — powiedział topornik, zdrową ręką ściskając stylisko swojej broni. — W lesie są chłopcy ze swoimi babami i dziećmi... Setnik i ja żeśmy im mówili...

Nie dokończył. Odwrócił się i poszedł stoczyć swoją bitwę. W obronie zdradzonych wieśniaków.

— Doltar!

Zgraja z ochryłym ujadaniem i rykiem wpadła między drzewa. Zza zakrętu lasu wyłoniła się druga wielka horda, pędząc w ślad za uchodzącymi jeźdźcami. Tereza spięła konia i ruszyła z miejsca galopem. Stwory były tuż. Zmuszała wierzchowca do największego wysiłku; bała się spojrzeć za siebie... bo wiedziała, że najbliższy Aler jest nie dalej, jak o dziesięć kroków za nią. Mogłaby przysiąc, że słyszy charkotliwy, wysilony oddech. Jeszcze, jeszcze trochę... Zaczęła prosić wiernego konia, by ją uratował. Ją i siebie. Uratował przed koszmarną, największą złotą zgrają, jaką widziała w całym swoim życiu... i o jakiej w ogóle słyszała.

Ale nieprzytomny żołnierz, leżący w poprzek karku wierzchowca, hamował jego bieg, a co gorsza — zaczął się zsuwać. Przerazona, trzymała go z całej siły, ale był bezwładny i ciężki... Bolące, zeszywniałe palce puściły — nie utrzymała. Krzyknęła rozpaczliwie. Koń potknął się... a potem, uwolniony od ciężaru, pomknął jak wypuszczona z łuku strzała. Ujadanie i ryk zostały daleko z tyłu — zgraja dostała okup... Usiłując powstrzymać cisnące się do oczu łzy,

Tereza nie mogła, nie umiała obejrzeć się za siebie. Zostawiła rannego żołnierza, towarzysza.

Zostawiła rannego legionistę.

Pierwszy raz.

Stchórzyła.

Zostawiła rannego legionistę...

Goniła uchodzący oddział, ale nie umiała wyobrazić sobie chwili, gdy dołączy do tych żołnierzy — sama. Zaczęła płakać, krztusząc przez ściśnięte gardło jakieś obietnice, że już nigdy i nigdzie.

Potem, gdy ujrzała zabitego konia, a obok ciało Elwiny, przemieniła obietnicę w przysięgę. Oderwana od tułowia ręka małej żołnierki zaciśnięta była na łuku. Dziewczyna podjęła walkę z trzema złotymi Alerami.

Część druga. Czas Przesunięcia

8.

Niewysokie, łagodne wzgórza pokryte były lasem — albo może raczej czymś, co oglądane z góry, mogło przywodzić na myśl las. Zamiast drzew, na ziemi rozpościerało się tylko jedno monstrualne pnącze o stu grubych, wijących się pniach, z których wyrastały tysiące mniejszych odgałęzień, potem dziesiątki, setki jeszcze mniejszych i mniejszych... Konary spletały się, krzyżowały, drobne gałęzie wrastały w większe... Wszystko to, pokryte rzadkim już, przywiędłym (była chyba jesień...) brunatnożółtym listowiem, tworzyło jeden gigantyczny, skłębiony organizm. Dopiero poniżej, pod brzuchem tej porażającej ogromem rośliny, krzewiło się inne życie. Pomiędzy wczepionymi w grunt pękami grubych jak wieże korzeni, rozciągał się istny labirynt, skryty w wiecznym półmroku. Niewielkie, skupione w ciasne kępy zagajniki i lasy, rosły blisko siebie, rozdzielone niewielkimi połączeniami zupełnie pustej przestrzeni. Poprzebijane na wylot wielkimi korzeniami Nadrośliny, zbite w cierniste gąszcze, tak zwarte, że nie przedostałby się przez nie nawet lis, były istnymi fortecami, mającymi na celu tylko jedno: przetrwanie. Zdrewniałe, kolczaste i twarde łodygi na obrzeżach nie tkwiły wcale w gruncie — bo mogłyby zostać odcięte lub odgryzione u korzeni... Uczepione rosnących daleko w głębi drzewo-krzewów, czerpały z nich soki, broniąc w zamian przed intruzami z zewnątrz, ku którym wystawiały szybko odrastające, groźne, cierniste szpony. Ze środka opancerzonych zagajników strzelały ku górze pęki mocnych, giętkich łodyg, wbijających się w brzuch Nadrośliny. Gdy przychodziło słońce, pędy — bronione u korzeni przez kolczaste chaszczki — twardniały i sztywniały, jednocześnie rozginając się na boki. W skłębionym gąszczu powyżej pojawiały się nieduże szczeliny, wpuszczające żółte kliny słonecznego światła — i natychmiast strzelały tam słabe i żółknące już

liście. Gdy wędrująca po kolczastym grzbiecie zagajnika plama słońca przesuwawała się, liście na powrót uciekały w głąb. Była to forteca, której załoga naprawiała i żywiła swoje mury — zaś one służyły w zamian opieką i obroną.

Tylko coś takiego mogło przetrwać pod przeklętym niebem... Lub coś równie ogromnego, jak Nadroślina.

Gdzieś, daleko w półmroku, rozbrzmiał tętent... Galop! Wyraźnie dało się rozróżnić trzy takty. Lecz to nie mógł być koń! Tętent potężniał i narastał, grunt zaczął dygotać od uderzeń ciężkich nóg... Przemknęło w głębi, między korzeniami-wieżami, coś wielkiego, potężnego jak góra — i zniknęło w labiryncie zagajników. Tętent oddalał się szybko, wreszcie ucichł.

Cisza.

Dopiero, gdy wróciła po galopie, stało się jasne, jak jest bezmierna i głęboka... Nigdzie tutaj nie szumiał wiatr. Nie śpiewały ptaki, nawet nie brzęczały owady... Nie było żadnych odgłosów życia.

Wysoko, bardzo wysoko na zboczu jednego ze wzniesień, blisko kopulastego szczytu, gdzie skłębione cielsko Nadrośliny przepuszczało więcej światła, rósł kolejny ciernisty zagajnik. Ale nie! To wzniesiono mur, pierścień obronny, zbudowany z czarnych, twardych jak żelazo, kolczastych łodyg. Wielki pierścień, obejmujący znaczny obszar, opasujący chyba szczyt wzgórza niczym ciernisty diadem. Wewnątrz było coś, co przywodziło na myśl uprawne pola. Może zieleńiły się na wiosnę? Teraz, późną jesienią, były martwym ugorem. Dziwne pola, otaczające szczyt wzgórza...

Wewnątrz pierwszego pierścienia znajdował się drugi, mniejszy, położony w samym środku. Kolczasty mur zasłaniał widok — jednak ponad nim płynęło ku górze kilka smug siwego dymu...

Pojawiła się brama. Właśnie — pojawiła, bo otwarta nagle w samym środku kolczastej ściany, niczym dotąd nie zdradzała swego istnienia. W przestrzeń między zewnętrznym a wewnętrznym murem wyjechał niewielki oddział jeźdźców. Wszyscy byli uzbrojeni w łuki i oszczepy, ponadto nosili brunatnoczarne pancerze z regularnych, prostokątnych płytek. Bajecznie kolorowe, pokryte pięknymi rysunkami tarcze podskakiwały na plecach, w rytm poruszeń wierzchowców.

W ślad za jeźdźcami ruszyło kilku pieszych. Bramę zamknięto. Cała

grupa dotarła do zewnętrznego muru — i natychmiast wychyńło skądś paru innych pieszych, stojących chyba na warcie. Otwarto bramę w zewnętrznym ogrodzeniu — i zamknięto ją, gdy tylko ostatni z wojowników znalazł się poza strzeżonym obszarem.

Wartownicy, których zmieniono, wrócili do środkowego kręgu. Jeźdźcy ruszyli w dół stoku wzgórza.

Najpierw przemierzali otwarty, prawie pustynny obszar. W półmroku, pod nogami wierzchowców, ścieliła się tylko szorstka, sztywna trawa.

Po pewnym czasie, niżej, zaczęły pojawiać się pierwsze kolczaste zagajniki. Jeźdźcy mijali je obojętnie, jednak w dość znacznej odległości, jakby bojąc się, że zdrewniałe szpony porwą każdego, kto znajdzie się w ich zasięgu... Po dość długiej wędrówce, na drodze oddziałku wyrósł nowy las — ale zupełnie inny, niż mijane dotąd, nie tylko dlatego, że większy. Szerokolistne, rozłożyste rośliny, wyglądały na delikatne i kruche. Ich gęsto rosnące pióropusze sięgały niewiele ponad głowy przedzierających się przez ażurowy gąszcz jeźdźców. Zwiewność tego lasu tak dalece odbiegała od topornej, twardej surowości wszystkich innych rzeczy tego świata, że wydawała się zupełnie nie na miejscu. Tym bardziej niezwykła była ostrożność, z jaką jeźdźcy traktowali rośliny, rozgarniając je, odsuwając na boki, dbając o to, by żadnej nie uszkodzić...

W głębi lasu położony był rozległy teren, porośnięty przez sarnę młode rośliny, jeszcze mniejsze i delikatniejsze, niż te na obrzeżach. Trwała tam wyteżona praca kilkunastu wojowników, takich jak ci, co właśnie przybyli, zbierało i wiązało w wielkie pęki całe mnóstwo ściętych młodych liści. Zaraz okazało się, do czego gromadzone zapasy są potrzebne, oto wierzchowce ostrożnie poczęły skubać co mniejsze listki, przytrzymując je zębami u nasady i odrywając lekkimi szarpnięciami. Nie przeżuwały, nie gryzły... Pokarm najwyraźniej w nienaruszonej postaci wędrował do żołądków, połykany wraz z wielkimi ilościami rzadkiej śliny.

Z gąszczu wyprowadzono duże stado zwierząt i zaczęto objuczać je pękami powiązanych roślin. Wojownicy z kolczastych kręgów przyjechali chyba tylko po to, by skłonić swych pobratymców do zakończenia pracy. Po niedługim czasie poprowadzono zwierzęta ku skrajowi lasu.

Śmigające wielkimi skokami, pokryte rudym, szczeciniastym włosiem

istoty, pojawiły się nie wiadomo skąd. Gdy wojownicy wyszli z gąszczu, nastąpił zajadły, gwałtowny atak. Rozbrzmiało kilka głośnych, falujących okrzyków, lecz zagłuszył je gardłowy ryk, przechodzący w ochrypłe ujadanie. Przerazone zwierzęta, skrzecząc, chciały uciekać. Jeźdźcy w jednej chwili pozeskakiwali z ich grzbietów i pieszo stawili czoła napastnikom. Jedna z rudych istot, pchana własnym rozpędem i ciężarem, sama nabiła się na czarny oszczep, trzymany we wprawnych rękach. Drzewce pękło. Rudy stwór, przebity na wylot, obalił swego zabójcę na ziemię i potężnym ciosem prymitywnej maczugi przetrącił mu kark, a zaraz potem, rycząc, pochwycił kłami martwą już twarz i zgniótł na krwawą miazgę. Następny skok był krótki, nieudany... Stwór wpadł między roślinne pióropusze na samym skraju lasu i połamał je. Z łodygi trysnął biały sok. Rycząc i ujadając, ruda istota miotła się, niczym palona żywym ogniem.

W kłębowisku walczących rozbrzmiał okrzyk głośniejszy od innych, a potem jakaś wątpa smużka padającego z góry światła wyrwała błysk z ostrza żelaznego miecza. Wojownicy z tarczami przegrywali, ich pancerze były rozrywane, oni sami zaś ginęli, druzgotani, ranieni pazurami i kłami. Tylko dwaj, w samym środku bitwy, przez długą chwilę stawiali skuteczny opór. Wyszczerbiony, żelazny miecz odrąbał jeszcze jedno włochate ramię, nim wyprysnął wysoko do góry, wybity z ręki konającego. Zaraz potem upadła na ziemię siekiera jego towarzysza — mocna, żelazna siekiera, odebrana chłopu z armektańskiej wioski.

Zima przyszła wcześniej, niż zwykle, i od razu zaatakowała z wielką siłą. Palisady stancy obrosły głębokimi zaspami; przestrzeń wewnątrz stała się nagle mniejsza, bo wszędzie leżały wielkie pryzmy śniegu, uprzątniętego z majdanu. W izbie komendanta stancy zalegał półmrok. Pomimo, iż do wieczora było jeszcze daleko, siedzący przy stole mężczyzna, z przedramionami płasko leżącymi na blacie i opartą na nich głową — spał w najlepsze.

To nie był Ambegen... Śpiący mężczyzna miał włosy czarne jak smoła i nie tak szerokie ramiona.

Nagle — oficer krzyknął coś przez sen i targnął się gwałtownie, podrywając głowę. W tej samej chwili przez okno wskoczył prosto do izby bury kocur w niebieskiej tunice z wąskimi, białymi obszyciami dziesiętnika.

Rawat sztywno siedział przy stole, półprzytomnie spoglądając na zwiadowcę. Mocniej otulił się krótkim kożuszkim, który miał na sobie — w izbie rzeczywiście było niewiele cieplej, niż na zewnątrz, tyle tylko, że nie hulał wiatr. Dorlot, niezadowolony z niezgrabnego skoku, utykając mocno na lewą przednią łapę, przeszedł pod stołem i usiadł na podłodze przy drzwiach — tak przynajmniej, jakby to one posłużyły mu do wejścia. Trochę krzywo zrośnięty ogon poruszył się lekko z boku na bok, rozrzucając wokół, przyczepione dotąd do futra, okruszyny śniegu.

— Przeszedłem chyba nie w porę, ale niestety służbowo — rzekł kot swoim mrukliwym głosem. — Ile razy można śnić o tym samym, komendancie? Już wszyscy żołnierze wiedzą.

— To nie są zwykłe sny, Dorlot. Dobrze wiesz — głucho odparł mężczyzna.

— Takie same ma Agatra i Astat, i ten młody chłopak, ten łucznik, zanim zginął... Wszyscy, którzy byli ze mną w tej przeklętej wsi. Wszyscy oprócz ciebie... Zimno tutaj — zauważył z roztargnieniem, zacierając zgrabiałe ręce.

— Trzeba naprawić te okna.

— Bardzo wielu żołnierzy widziało to pole bitwy. Nie pierwsze i nie ostatnie — cierpko skwitował kot.

Przyjaźń, jaką darzyli się ci wszyscy, którzy brali udział w pamiętnej wyprawie Rawata, bardzo daleko wykraczała poza zwykłą zażyłość, pojawiającą się czasem między dobrym dowódcą a podkomendnymi; tak dalece, że pilnie ją skrywano przed oczami stanicznych żołnierzy. Nie chodziło tu tylko o wspólne ciężkie przejścia podczas obrony Trzech Wsi... Źródła tej przyjaźni leżały gdzieś indziej. Sytuacja komendanta, okazującego specjalne względy niektórym żołnierzom, była bardzo niezręczna. Teraz jednak Dorlot i Rawat pozostawali sam na sam. I kocur pozwalał sobie na wyrażanie dezaprobaty, czego nie uczyniłby przy świadkach.

Pole bitwy pod Alkawa... Rawat przygryzł usta, bo słowa Dorlota obudziły gorzkie wspomnienia.

— Bardzo rzadko śnimy o Alkawie, przecież wiesz... — rzekł półgębkiem.

— Tylko na początku... A od dwóch miesięcy nie wiem, o czym... Dzisiaj też nie wiem, co to było. Alerowie.

— Nigdy nie pamiętam swoich snów — powiedział kocur, jak zwykle wcześniej niż człowiek znudzony rozmową na ten sam temat. — Nie pamiętałem kiedyś, i po Trzech Wsiach dalej nie pamiętam. Przyniosłem jego godności setnikowi D. L. Rawatowi stałą nominację. Jesteś, panie, komendantem Erwy. Już nie tymczasowym. Na stałe.

— Skąd te rewelacje... — setnik przestał rozcierać dłonie i powstał. — Gонец? Z Toru?

— Przybył przed chwilą. Nic pilnego. Jedno pismo było do oficera służbowego, a dzisiaj to ja właśnie... To chyba nie wypada, żeby mianowany komendant otrzymał nominację z rąk gońca? — wyłóśliwił się kot. — Durne są te regulaminy.

— Taką nominację powinien doręczyć zwierzchnik mianowanego, ale zwierzchnika nie ma i w Torze doskonale o tym wiedzą — niecierpliwie wyjaśnił Rawat. — Posłali więc służbowemu... Gdzie masz pisma?

— Pod tuniką. Kazałem je sobie tam wsadzić.

Kocur rzadko paradował w mundurze, choć powinien zawsze. Teraz jednak wypadła mu służba, było zimno... a poza tym tunika funkcyjnego podobała mu się bardziej, niż tunika zwykłego legionisty. Podskoczywszy parę razy, wytrząsnął na podłogę cztery listy, z których jeden był rozpieczętowany. Rawat przykucnął, niezręcznie pozbierał je skostniałymi palcami, i najpierw przeczytał swoją nominację.

— No... — powiedział. — Nareszcie, nie spieszyli się tam...

Dopiero teraz mógł w całej pełni korzystać ze swoich uprawnień. Przede wszystkim wolno mu było mianować podsetników i żądać zatwierdzenia nominacji. Czas był najwyższy. W całej stаницy, oprócz niego był tylko jeden oficer

— Tereza...

Rawat wrócił na miejsce za stołem. Długo obracał w dłoniach jeden z listów, wreszcie odłożył go na bok. Kolejno przeczytał pozostałe dwa pisma.

— I druga nominacja — powiedział, unosząc jedno z nich. — Mamy nowego komendanta okręgu, coś się ruszyło nareszcie. „Do wiadomości komendantów stanic Wojskowego Okręgu Alkawy... ” — przeczytał i uniósł wzrok. — Wyobrażasz sobie? Oni nadal piszą do „komendantów stanic”... Dowództwo Wojskowych Okręgów Wschodnich źle się czuje ze świadomością, że jest tylko jeden komendant i tylko jedna stаницa.

Niemniej — odłożył pismo

— podniesiono Erwę do rangi głównej stancy okręgu i teraz to jest już Wojskowy Okręg Erwy. A komendantem okręgu został oczywiście Ambegen. Zasłużył. Ale nie wiem, czy dobrze się stało — zmarszczywszy nagle brwi, setnik zamyślił się, patrząc w okno. — Ambegen nie zna się na żartach i robi tu taką wojnę... — urwał, pośpieszając jeszcze bardziej.

— A co powinien zrobić, komendancie? — poważnie zapytał Dorlot... i było widać, że nie jest to pytanie zadane ot, tak sobie. Rawat nie odpowiedział. Po długiej chwili wrócił do drugiego listu i zapoznał się z nim raz jeszcze.

— Ale tego nie rozumiem! — rzekł na koniec, z wyraźną złością. — Nie, zupełnie nie rozumiem... Co ja mam z tym zrobić? Co oni za bzdury mi tu posyłają? Co oni mogą wiedzieć o Alerach? Czas Przesunięcia? A co to jest Czas Przesunięcia? Najwyraźniej chodzi im o „jęzor”, ale...

— To nie dla mnie, komendancie — rzekł Dorlot, wstając i ruszając do okna.

— Otworzę ci drzwi! — warknął setnik. — Tu jest stanica, nie jarmark, gdzie popisują się akrobaci... Czekaj! To nie dla ciebie, mówisz? Kiedy chyba właśnie dla ciebie! I twoich zwiadowców, no tak?

Kocur nie zamierzał usiąść na powrót.

— Mówiłem już sto razy, komendancie — powiedział bardziej mrukliwie i ochryple, niż zwykle — że dla mnie nie ma żadnej różnicy. Nie wiem, o co chodzi. Wy tam od razu tracicie głowy — mówiąc „wy”, miał na myśli oddziały złożone z ludzi. — Nie wiem, dlaczego. Nic tam nie grzmi, ani nawet nie śmierdzi. Ja nawet nie wiem, gdzie ten cały „jęzor” kończy się, albo zaczyna. Chodzimy tam na zwiady tak, jak wszędzie. To ty, panie, słuchając moich raportów, znacząco kiwasz głową sam do siebie, robisz miny, których nie rozumiem i co jakiś czas podnosisz w górę palec, co chyba ma znaczyć: „wiedziałem!” A dla mnie, komendancie, rządzące światem moce warte są tyle, co łajno. Ani je rozróżniam, ani potrzebuję. Mam już dosyć wypytywań, jak t a m jest. I wiecznych wątpliwości, kiedy mówię, że zupełnie normalnie. Tak, jakbym kłamał co najmniej! — zakończył z typową dla kota wściekłością, przychodzącą bez wcześniejszych oznak gniewu.

Dorlot obrażał się gdy podawano w wątpliwość jego słowa. Jak każdy kot, był prawdomówny aż do bezczelności. Dać takiemu prezent-

niespodziankę — to było niemałe ryzyko, mógł bowiem wyjawić, co naprawdę myśli o podarku. Istotę oszustwa ogarniał akurat tak, jak naturę rządzących światem mocy, o których mówił przed chwilą. Kłamstwo wymagało od kociego umysłu tak wielkiego wysiłku, że w całym kocim życiu rzadko trafiało się coś, co było tego warte.

— Uspokój się, Dorlot — pojednawczo rzekł Rawat, tak przynajmniej, jakby sam był właśnie wzorem opanowania. — Nikt nie mówi, że kłamiesz. Ale może jest tam coś jeszcze, co umknęło waszej uwagi? Nawet koci zwiadowca może być niedokładny i omylny...

— Nic takiego nie zauważyłem, komendancie. Jeśli zauważę, to powiem. Za pozwoleniem, panie, bardzo jestem zadowolony, że komendant Ambegen wróci i zrobi tu wreszcie porządek. Pora wyrzucić całe to świństwo, co zaległo się pod naszym bokiem. Zamiast nic nie robić, tylko szukać wyjaśnień we własnych snach. Odmieniły cię, komendancie. Pora zdecydować, który świat bardziej ci się podoba. Ten w którym żyjesz, czy ten, o którym śnisz.

Rawat milczał przez chwilę.

— Jednak, Dorlot, pozwalasz sobie na zbyt wiele.

Uchylił drzwi. Kot poszedł bez słowa.

Rawat znowu usiadł za stołem i jeszcze raz przeczytał wszystkie trzy pisma. Najdłużej trzymał w ręku ostatnie. Odłożył je wreszcie i znów zaczął rozcierać dłonie.

Coraz częściej nawiedzała go ochota, by uciec od tego wszystkiego. Od tej wojny, od granicy, od wojska... Zrobił swoje. Teraz czekało na niego inne życie, zaniedbane, ale nie takie znów złe. Spokojne. Należało zająć się nim wreszcie, naprawić, uczynić przyjaznym. Zaczął zdawać sobie sprawę, że koń i siodło to za mało, by uczynić człowieka szczęśliwym. Potrzebne jest miejsce, do którego można wrócić i odpocząć. Odpocząć...

Na zewnątrz, po krótkiej przerwie, śnieżycy rozszalała się od nowa.

Czas przesunięcia. Cienie Wstęg Aleru. Ruchoma granica. Wszystko to brzmiało obco, dziwnie — a przecież, w jakiś sposób, Rawat mógł wyobrazić sobie, co te słowa znaczą... Zawsze zdawał sobie sprawę — jak każdy — że strzeże granicy przed czymś obcym, stworzonym przez inną niż Szerń potęgę. To nie była zwykła granica, rozdzielająca dwa kraje, takie, jak kiedyś Armekt i Dartan. Ale wiedza o tym, tak naprawdę, nie

miała żadnego znaczenia. Przez granicę przekradały się zbrojne bandy — i tyle. Jedna różnica polegała na tym, że pobiwszy taką, nie można było iść dalej, aż do obcych wsi, by je spalić w odwecie za spalone własne. Lecz same zbrojne bandy? Gdyby złożone były nie z Alerów, a z ludzi czy kotów — walczyłyby z nimi tak samo, choć może lepiej rozumiały.

Tak było kiedyś.

Teraz okazało się nagle, że pochodzenie Alerów, ich „inność”, ma bardzo duże znaczenie. Z tamtej strony granicy przybyły im w sukurs groźne, niepojęte siły, o których tutaj nic, ale to zupełnie nic nie wiadano. Rawat nie był wyjątkiem; nawet o Szerni jego wyobrażenia były co najmniej mętne, cóż dopiero mówić o Wstęgach Aleru, czy jak je tam nazywano... Wiedział jednak sporo o czymś innym: o samych alerskich plemionach. Sporo — i coraz więcej. Podobnie jak Astat, Agatra... Zwłaszcza Astat. Agatra miała sny trochę inne.

Cienie Wstęg... Rawat domyślał się, o co chodzi. Żołnierze w stanicach nie zawsze czuli się tak samo, czasem nadchodziły dni, gdy zły humor, niechęć do ryzyka i niezmierne lenistwo, prześladowały wszystkich. Sam doświadczył tego kilkakrotnie. Mówiło się wtedy: „czarne dni”. Najczęściej zdarzały się w stanicach daleko wysuniętych ku alerskiej granicy. Opowiadano, że to właśnie moce Aleru podpłynęły, skryte za kopułą nieba, do Armektu. Ale doznania, choć przykre, nie były wielkim problemem. „Czarne dni” przemijały, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów. Jeśli nawet w ich trakcie miało miejsce wyjście przeciw zgrai, to przygnębieni żołnierze zwykle otrząsali się w polu. Po raz pierwszy Rawatowi przyszło na myśl, że to wcale nie dlatego, iż podczas wyprawy brakowało czasu na humory... Być może przyczyną było odejście w głąb armektańskiego terytorium, a więc odsunięcie się od przeklętej granicy. Zgraje przecież szły do wiosek, położonych „za plecami” Erwy. I ciągnęły żołnierzy za sobą. Dziwne, że nie myślał o tym wcześniej.

Tego dnia, gdy po wyjściu z Trzech Wsi stanęli na nocny postój, czuł się tak, jakby właśnie nadeszły „czarne dni”. Wszyscy inni też. Astat chciał porzucić chłopów i uciekać. Agatra jeszcze rano nie wierzyła w wyzdrowienie Dorlota; kobiety w ogóle gorzej znosiły „czarne dni”... Ale nigdy dotąd nie miało to miejsca w głębi armektańskiego terytorium. Coś przyszło tam za nimi. I odeszło dopiero nad ranem, pamiętał, jak o świcie wróciła mu energia.

Znowu zaczął działać, podjął nieszczęśliwą, ale słuszną przecież w zamyśle decyzję o wysłaniu Elwiny po pomoc. Duch bojowy jeźdźców Terezy był wspaniały — i nie zmieniał tego faktu, że przerazili się, widząc dwustu złotych Alerów, których zresztą nie zamierzał atakować... Wierzył, że widok półsetki legionistów podziela odstraszająco, miał nadzieję, że w najgorszym wypadku zdoła odciągnąć uwagę złotych od wieśniaków w lesie, mógł wywieść zgraję w step... Potem wmieszała się Tereza.

Lecz wina była po jego stronie, wiedział. Nie zamierzał mówić tego podsetniczce, zresztą od tamtego czasu nie rozmawiali z sobą, pomijając kwestie ściśle związane ze służbą. Powinien był wtedy choć w dwóch słowach przedstawić jej swój plan, nim porwał żołnierzy do czegoś, co uznała za próbę samobójczej szarży. Spieszył się, działał gorączkowo, niemniej... stracił głowę.

Stało się.

Odegnął przykrą myśl.

Z różnych drobnych wieści, z tego, co mówił Ambegen, ze wspomnień żołnierzy, którzy uszli z klęski pod Alkawa, zdawało się wynikać, że tajemnicza „zła moc” kilkakrotnie wybiegała w głąb Armektu — i cofała się szybko. Rawat próbował połączyć wszystkie wiadomości, jakie miał na ten temat, w jakąś całość trzymającą się kupy. Wyobrażał sobie długi i szeroki, zaokrąglony jezior... Coś takiego kilkakrotnie wysuwało się naprzód, sięgając coraz dalej — i cofało. Tylko Alkawa stale leżała w obrębie jeziora, od chwili, gdy się pojawił. Nawet, gdy uciekał, zostawała w jego zasięgu, przy wierzchołku... Stąd nieprzemyślane, prawie paniczne decyzje; stąd bezprzykładna klęska później... Erwa stale znajdowała się poza obrębem jeziora, choć gdy wybiegał naprzód, jego tylna, szeroka część, była blisko, bardzo blisko... Ambegen coś o tym wiedział. Rozmawiając z Rawatem mówił, że płynąc do Alkawy mieli „czarne dni”. Zła aura dawała się wyczuć już po przebyciu rzeką paru mil. I nie pozostała bez wpływu na decyzje komendanta Erwy; dowodzący w bitwie prawym skrzydłem Ambegen wyrzucał sobie, że choć słusnie wycofał zagrożonych okrążeniem żołnierzy, to mógł później podjąć znacznie szersze działania, obliczone na zebranie wstrząśniętych, rozproszonych niedobitków. Wstrząśniętych nie tylko z powodu klęski. Po bitwie, wysunięty daleko jezior, jakby nasycony porażką legionistów

— już się nie cofnął... Cała linia graniczna, oddzielająca obwody Erwy i Alkawy, aż po skraj prywatnych ziem, leżących dalej na południe, objęta została przez coś niewidzialnego, ale tym bardziej wrogiego i ponurego. Przepadła czwarta część obwodu Erwy i piąta część — Alkawy... W odwrocie oddziały Ambegena poszarpano, wreszcie prawie doszczętnie zniesiono pod samą palisadą opuszczonej Erwy, ku której przebijał się z rozpaczą i determinacją. A wtedy — zostawiono niedobitków w spokoju, darowując im nienaruszoną, choć splądrowaną stanicę... Dopiero teraz, po trzech miesiącach wypełnionych przedziwnymi snami, Rawat dokładnie pojmował, dlaczego tak się stało.

Przez dobry miesiąc, na początku jesieni, skupieni w Erwie żołnierze co i rusz brali ciężki. Alerem nie zależało na zdobyciu stancy — ale nie chcieli również, by jej garnizon zbyt wzrósł w siłę. Gdy tylko nadeszły jakieś większe posiłki, wyciągano je w pole przy użyciu znacznych sił. Zaniechano tego dopiero, gdy coraz liczniej zaczęły napływać sfory Złotych Plemion... I nie był to przypadek. Srebrni Alerowie zostawili Erwę na straży swojej zachodniej flanki — do zrozumienia tego nie trzeba było nawet snów Rawata. Pilnując wiosek, legioniści chcąc nie chcąc musieli bić się ze złotymi. Lub siedzieć w stancy, o chłodzie i głodzie, biernie patrząc na to, co się wyprawia z ich krajem.

Ale o co właściwie chodziło — nikt nic wiedział. Choć krążyły jakieś domniemania, na temat przesunięcia się alerskiej granicy. I teraz ten list z Toru... W komendanturze Okręgów Wschodnich Pogranicza udawali, że wiedzą coś więcej, niż w Erwie.

A może naprawdę wiedzieli... Niedługo po powrocie pierwszych, wysłanych z wieściami do Toru gońców, do stancy przysłano bardzo specjalny oddział żołnierzy: siedmiu kocich zwiadowców. Okazało się zaraz, że koty nawet nie zauważają, iż w obrębie „jęzora” cokolwiek się zmieniło! Tam, gdzie żołnierze z byle powodu upadali na duchu, zasypiali na warcie, lenili się — koty chodziły jak wszędzie. Prawda, że zawsze pozostawały obojętne na wpływ „czarnych dni” — o czym Rawat wiedział, mając w stancy Dorlota. W ten sposób Erwa zyskała siedmiu bezcennych żołnierzy, penetrujących wewnątrz jęzora. Po pewnym czasie dołączył ósmy — Dorlot. Kocur ciężko odchorował swą służbę pod Rawatem, ale gdy nastąpiło przesilenie, z iście kocią żywotnością, w niebywałym tempie odzyskał zdrowie i werwę. Rawat wkrótce zrobił go

dowódcą kociego oddziału. Dzięki wypadom zuchwałej, bezczelnej bandy zwiadowców, potwierdziło się mnóstwo wiadomości, które wcześniej uzyskał... dzięki snom. Właśnie snom. Dorlot nie miał słuszności, lekceważąc wiedzę komendanta, choć wiedza ta pochodziła z tak niezwykłego źródła.

Wierzchołek jęzora znajdował się dokładnie tam, gdzie rozkopane przez Alerów wzgórze — potwierdzili to konni łucznicy, bo akurat określenie granic jęzora przekraczało możliwości kotów. Ale to dzięki ósemce małych zwiadowców Rawat dowiedział się, co kryło wzgórze: gigantyczny posąg siedzącej na podkurczonych łapach poczwary. Sylwetka była zniekształcona, potworna, Dorlot opowiadał, że łapy — czy też nogi — były różnej długości i grubości, również płaski łeb, przywodzący na myśl trochę głowę węża, trochę jaszczurki, a trochę ropuchy, z każdej strony miał kształt nieco inny... Dowiedział się też Rawat, że na zajęтым przez obcą moc terenie rozegrało się już kilka dużych bitew srebrnych ze złotymi. Wszystkie zwycięskie dla srebrnych.

Komendant Erwy miał pewność, że tam, daleko, na starym alerskim terytorium, działo się akurat odwrotnie. I wiedział, dlaczego. Dzięki snom. Tym snom, które nawiedzały nielicznych ludzi, patrzących kiedyś na wyłaniający się ze wzgórze łeb alerskiej poczwary...

Lodowaty podmuch wtargnął do izby przez dziurawe okno, przeszywając setnika dreszczem. Znów poprawił kożuszek, mimo woli wybiegając myślą ku grupce jeźdźców, którzy teraz, pośród śnieżnej zamieci, marzyli nie o całym oknie, lecz jakimkolwiek schronieniu...

Czwarty list, wciąż nie rozpieczętowany, leżał na brzegu stołu. Prywatny list. Rawat odłożył go na bok nie dlatego, by nacieszyć się jego treścią, gdy przyjdzie odpowiednia chwila. Przeciwnie. Poznał, bardzo wyraziste, a zarazem niezwykle drobne, pismo na kopercie, choć widział je zaledwie dwa czy trzy razy w życiu. Pismo kobiety. Ale nie żony. Ani nie kochanki (nigdy nie miał kochanki). Dostał list od przyjaciółki domu. Nigdy do niego nie pisała i nie umiał zgadnąć, jaki miała powód, by uczynić to teraz. Bał się dociekać. To nie mogły być dobre nowiny. Wolał siedzieć i rozmyślać o Alerach, byle jak najdalej odsunąć od siebie chwilę, gdy wreszcie przełamie pieczęć i dowie się... czegoś niedobrego. Był pewien.

Ostrożnie wziął list do ręki.

Jego Godność D. L. Rawat...

Drogi,

w Sar Soa pełno żółtych i czerwonych liści klonów, ulice miasta są niczym usiane arrasami. Jaka szkoda, że jesteś tak daleko! Nudzę się śmiertelnie i tak chętnie wyjechałabym z miasta, ale nie mam do kogo, naprawdę. Twój dom był dla mnie zawsze najwspanialszym miejscem, do którego można uciec, by zapomnieć o ulicznym gwarze...

(„Dalej, dalej!...”)

... jednak odwiedziłam Linelę. Nawet nie wiesz, jak bardzo brakuje jej Ciebie! Nawet dom posmutniał, wygląda na zaniedbany, zupełnie tak, jakby właściciele odprawili służbę, a sami prawie w nim nie bywali. Czasem myślę, że Linela rzeczywiście nie potrafi znieść panującej tam pustki. Musisz ją zrozumieć, kobieta taka, jak ona, nie potrafi cierpliwie czekać na nieprędko powrót męża...

Pomimo mrozu, Rawat spocił się nagle. Zaczął przeskakiwać wzrokiem z linijki na linijkę, opuszczając niektóre.

... Krążą plotki, którym niepodobna wierzyć, powtarzam je jednak, bo przecież w tej szarej wojskowej stancy nawet złośliwe pogłoski mogą wydać Ci się pożądaną rozrywką, nieprawdaż? Zresztą czasem (proszę, tylko nie śmieć się ze mnie!) lubię wyobrazić sobie, że to ja jestem żoną znakomitego żołnierza, za którym tęsknię i na powrót którego czekam, posyłając list za listem, a w tych listach...

... mówi się, że Linela jest gościem we własnym domu, który zresztą zamierza sprzedać (jestem pewna, że powiedziała Ci o tym, to taka poważna sprawa!) i gdy tylko znajdzie nabywcę, natychmiast...

... ale z powodu zadłużenia majątku, uzyskana suma będzie bardzo niska, więc...

... jego godność L. T. Haven, który pod Twoją nieobecność otoczył Linelę bardzo troskliwą opieką. Próba unieważnienia małżeństwa dałaby Ci jednak potężną broń do ręki w procesie majątkowym, bo przecież wynikałoby z tego, że Linela sprzedała dobra nie należące do niej (skoro małżeństwo było nieważne), nieprawdaż? Już choćby z tego powodu trzeba sądzić, iż to wszystko są plotki bez żadnego pokrycia. Natomiast normalny rozwód raczej nie wchodzi w rachubę, bo żona odchodząca od żołnierza pełniącego służbę... Ale przecież wiesz. Naprawdę, nigdy nie rozumiałam kobiet, które gotowe są uciec od mężczyzny takiego, jak Ty.

Gdybym była na miejscu Lineli...

Starannie, bardzo starannie i powoli, Rawat złożył list i umieścił go przy krawędzi stołu, tam, gdzie leżał najpierw. Patrzył na rozłamaną pieczęć. Wstał i podszedł do okna, wystawiając twarz na uderzenia mroźnego wiatru. Nadciągał zmierzch. Setnik zaczął myśleć, jak najlepiej osłonić płomień świecy. Nie mógł przecież siedzieć po ciemku?

„...L. T. Haven, który pod Twoją nieobecność otoczył Linełę troskliwą opieką. Próba unieważnienia małżeństwa...”

No cóż, to chyba byłoby wszystko. Uporządkować życie... Jacyś żołnierze, zgięci pod naporem wiatru, biegli od strony bramy. Komendant obserwował ich z uwagą.

„...ale z powodu zadłużenia majątku...”

Uśmiechnął się prawie. Był zrujnowanym rogaczem. Żołnierze dotarli do komendantury. Zaraz potem załomotano w drzwi. Rawat odwrócił się tyłem do okna. W izbie było niemal całkiem ciemno. Na progu stanął dyżurny legionista.

— Wasza godność...

— Wpuść ich.

Oblepieni śniegiem żołnierze natychmiast pojawili się przed nim.

— Wasza godność, zgraja!

Rawat milczał, obserwując ich uważnie.

— Srebrni, czy złoci? — zapytał po długiej chwili.

— Srebrni! Ale niedużo ich, pewnie myślą, że podsetniczka wyprowadziła ze stancy większy oddział. Pobijemy ich, panie, nawet samą piechotę! Te ichnie wehfety na śniegu...

Rawat pokręcił głową.

— Nie — powiedział.

Odwrócił się i znowu wyjrzał przez okno.

— Od dzisiaj — rzekł przez ramię — wychodzimy tylko przeciw złotym.

9.

Od trzech dni pogoda stale się pogarszała; młoda zima odstaniała pełnię swej złości. Grube płaty śniegu, zbijane podmuchami wiatru w wielkie kłęby, spowijały jeźdźców lodowatym białym puchem. Wojskowe płaszcze, nieodpowiednie do tej pory roku, stanowiły słabą ochronę przed mrozem, toteż tkwiący w siodłach legioniści bardziej przywodzili na myśl grupę jakichś dziadów-włó-częgów, niż wojskowy oddział; końskie derki, z wyciętymi otworami na głowę, stanowiły dodatkowe okrycia, twarze i dłonie spowite były różnymi gałganami. Posiniałe z zimna palce, wystające spod owych szmat, słabo trzymały wodze. Wychudłe, zaniedbane konie ledwo powłóczyły nogami.

Pośród śnieżnej zadymki, na lewo od jeźdźców zamajaczył jakiś lasek.

Dowódca oddziału odwrócił się ku swoim i krzyknął coś, wskazując ręką. Oddział ślamazarnie zmienił kierunek i podążył ku czarnym szkieletom drzew. Nagie gałęzie uginały się pod ciężarem martwej bieli; czasem, wstrząsane silniejszymi ciosami wiatru, zrzucały ciężar, wspomagając nowymi gęstymi kłębami padający z nieba śnieg.

Legioniści wjechali do zagajnika. Nie był duży, ale w samym środku wiatr troszeczkę mniej dawał się we znaki. Ludzie ciężko zsiadali z koni. Ktoś, ze stopą zaplątaną w strzemię, zwałił się w śnieg i przez długą chwilę leżał nieruchomo. Nikt się nie śmiał, choć dla jeźdźca podobny wypadek był nie lada kompromitacją; owszem, jeden z towarzyszy zbliżył się do pechowca i pomógł mu wyzwolić z pułapki zmarzniętą, nieczułą nogę.

Przy oddziale był tylko jeden koń juczny. Rozpakowano chude sakwy i wydzielono wierzchowcom po małej garści obroku. Ludzie dostali jeszcze mniej: wypadło po skrawku zamarzniętej słoniny na głowę. Żołnierze długo przeżuwali kęsy w ustach, chcąc przywrócić im odrobinę miękkości i nacieszyć się smakiem. Na koniec wydzielono po dużym łyku wódki. Zdziałała cuda. Rozgrzała odrobinę, ale przede wszystkim uderzyła głodnym, wycieńczonym ludziom do głów, choć w normalnych warunkach nawet dziecko nie odczułoby skutków takiej porcji...

Poruszenia niektórych nabrały większego rozmachu; dla odmiany u innych stały się trochę niepewne.

Pod jednym z grubszych drzew, wprost na udeptanym śniegu, usiadło w krąg czterech ludzi. Odwinąwszy gałgany, zakrywające twarze aż po oczy, rozmawiali o czymś. Niechlujne, oszronione brody nadawały poczerwieniałym od gorzałki i mrozu gębom iście zbójecki wyraz. Tylko dowódca oddziału miał gładkie, choć tym bardziej czerwone policzki.

— Nie można inaczej, pani — nalegał jeden z brodaczy, sepleniąc. — Teraz do wsi. I weźmiemy choćby siłą.

— Nie, Rest.

— Jak tak dalej...

— Powiedziałam: nie.

Zamilkli.

Jakiś żołnierz stanął pod drzewem, parę kroków dalej. Najpierw długo gmerał pod derką, peleryną i spódnicą, aż wreszcie wypuścił przed siebie żółtą, parującą strugę. Długo sikał, wsparty czołem o pień. Skończył — i stał dalej. Ostatnie spóźnione kropelki kapały w śnieg, wytapiając okrągłe dziurki.

— Obudź go, bo mu odpadnie na tym mrozie — powiedziała Tereza bez uśmiechu.

Rest cisnął w żołnierza garścią śniegu. Legionista przecknął się, rozejrzał dokoła, po czym schował co trzeba i wrócił do przytupujących w kręgu towarzyszy.

— Jesteśmy żołnierzami Legii Armeckańskiej — przypomniała twardo podsetniczka. — Jedynym pełnowartościowym oddziałem jazdy w całym okręgu Alkawy. Jeśli przemienimy się w zbójów, zabierających chłopom jedzenie, będzie to znaczyło, że wojska tutaj już nie ma. A ja chcę, żeby było.

— I tak nie będzie — odezwał się drugi dziesiątnik. — Jeszcze dwa dni tej zadymki i mrozu, a konie zaczną padać. Trzeba je lepiej karmić, bo jak zaczną padać, to ludzie...

— Jutro albo pojutrze pogoda się poprawi.

— Albo i nie. A nawet, jak się poprawi, to jedzenie z nieba nam spadnie?

— Ambegen pojechał do Toru. Wróci zjedzeniem i zimowymi okryciami.

— Wróci, ale kiedy? Zeszłym razem, jak pojechał do Toru, to nie wracał przez miesiąc. A w Erwie mamy zapasu tyle, że na siodle bym uniósł.. Aż przykro wracać do takiej stancy. W polu głód i tam głód..

Tereza wstała.

— Prosiliście, żebym naradziła się z wami. No to ustąpiłam i naradziłam się. Ruszamy.

— Dokąd, pani?

— Do wsi na nocleg, jak zwykle. Że poprzednia była spalona, to nie znaczy, że wszystkie tak. Chłopi nie żałują nam stodoł i nie zawsze musimy spać w śniegu...

— Ale nie dają jeść! — krzyknął zdesperowany dziesiętnik. — Co to za wojna z pustym brzuchem, na takim mrozie?!

Tereza już go mijała, idąc tam, gdzie stały wierzchowce. Okręciła się nagle na pięcie i kopnęła siedzącego w twarz. Nie był to kopniak na pokaz, lecz potężny cios, po którym funkcyjny runął w śnieg, chwyciwszy się za usta. Zmiażdżone, przemarznięte wargi zaczęły krwawić.

— Nie tym tonem! — cisnęła. — Powiedziałam ruszamy, i masz na to odpowiadać „tak, pani”! Brać go, wsadzić na konia i jazda!

Odwróciła się, podeszła do zabiedzonego wierzchowca i wskoczyła na siodło.

— Ruszamy! — krzyknęła do żołnierzy. — No? Czy komuś jest zimno? Legioniści widzieli zajście z dziesiętnikiem. Nieoczekiwanie jeden odezwał się hardo:

— Tak, pani. Jest mi zimno.

W jednej chwili Tereza zrozumiała, że zaraz to samo usłyszy od wszystkich. Nie zostawiła na to czasu. Nim przebrzmiały słowa żołnierza, zaczęła ściągać z siebie postrzępiony pled. Cisnęła go pod nogi narzekającemu.

— Masz, będzie ci cieplej.

Zdjęła szarą pelerynę, zostając w samej kolczudze i tunice, pod którymi miała tylko cienką koszulę i wojskową przeszywanicę. Trzymając płaszcz przerzucony przez nagie przedramię zapytała:

— Komu jeszcze jest zimno? Odpowiedziała jej cisza. Podsetniczka rzuciła pelerynę w śnieg.

— Jak ktoś się zdecyduje, niech podniesie — powiedziała z niesłychaną pogardą. — Mogę dać jeszcze tunikę i spódnicę. A jak już

będę nago, to mnie jeszcze dla rozgrzewki przerznijcie. Najlepiej, zanim ostygnę.

Splunęła soczyście, po czym wydeła wargi.

— Wojacy... I ja tym dowodzę.

Ścisnęła nogami zapadnięte boki wierzchowca.

Gdy po jakimś czasie dogonił ją jeden z żołnierzy, wystające z krótkich rękawów przedramiona i łokcie miała sinobiałe od mrozu. Żołnierz wyciągnął rękę, poprzez kłęby śniegu podając pelerynę i pled.

— Wasza godność... To już się nie powtórzy. Popatrzyła spokojnie.

— Zobaczmy, Zabierz mi te szmaty sprzed oczu. Mówiłeś, że ci zimno, więc nie rób przynajmniej dupy z gęby. Do szyku.

— Tak, pani — wymamrotał żołnierz.

Cofnął się jak niepyszny — i przez resztę drogi wiózł odebrane przywódczyni okrycia, na oczach wszystkich kolegów.

Tereza prowadziła do zmierzchu, bezbłędnie odnajdując właściwy kierunek na wielkiej, białej pustyni, spowitej drżącymi firanami śniegu.

*

Opłakany stan oddziału poruszył jednak serca wieśniaków — i żołnierze dostali trochę jedzenia, płacąc resztkami prywatnego srebra Terezy, bo wojskowych kwitów nie warto było nawet pokazywać. Alerowie, którzy ostatnio zawitali do wsi, puścili z dymem dwie chałupy. Przy zgliszczach pozostała wielka, prawie nienaruszona, bezpańska teraz szopa. Żołnierze narąbali chłopom całe przyzmy drewna, by w ten sposób zarobić na opał, który chcieli spożytkować dla siebie. Rozgościli się w szopie. Konie stłoczono przy jednej z krótszych ścian, a pośrodku wolnej przestrzeni rozpalono ognisko. Suche drewno dawało niezbyt dużo dymu, który zresztą szybko ulatniał się przez szczeliny w ścianach i częściowo odśnieżonym dachu. Budynek, choć byle jaki, chronił przecież od wiatru i w środku, po pewnym czasie, od ognia, ciało zwierzęcych i ludzkich, i oddechów, zrobiło się prawie gorąco... Tak przynajmniej widzieli to przemarznięci żołnierze, bo w istocie, dość było odsunąć się od ognia, by oddech na nowo buchał parą.

Leżąc w kącie, na pożyczonym od chłopów sianie, okryta po szyję Tereza zaczęła wreszcie odczuwać błogie ciepło. Uporczywie nawiedzała ją myśl o upiciu się do nieprzytomności. Ale wódkę należało oszczędzać... zresztą jakże mogła się upić, dowodząc oddziałem? Miała słabą głowę,

już po kilku dobrych łykach lepiała się do mężczyzn, bądź szukała zwady. Tutaj, teraz, nie mogła sobie na to pozwolić.

Czasem przeklinała los, który sprawił, że nie urodziła się mężczyzną. Jako żołnierz, odwagą i hartem ducha przewyższała wszystkich siedzących w tej szopie — i wielu, wielu innych. Widziała to całkiem jasno. Ale poza tym... Co z tego, że jak na kobietę, była wytrzymała i silna? Niestety, tylko jak na kobietę. .

Jednak przytomnie zdawała sobie sprawę, że naprawdę — są to myśli przychodzące pod nastrojem chwili. Lubiała i chciała być kobietą. Co prawda trochę inną... Taką, której pożądaliby mężczyźni. Nie byle jacy. Prawdziwi mężczyźni. Kiedyś myślała, że trzeba takim dorównać. Uwierzyła, że będą w niej cenić to, co zwykli cenić w sobie. Nieprawda. Gotowi byli podziwiać kobietę-wojowniczkę tak długo, dopóki nie zaczynała ich przewyższać. To powinna być kobieta jak... z dartańskiego gobelinu. Widziała kiedyś taki. Przedstawiał jedną z trzech legendarnych sióstr, które Szerń przed wiekami zesłała do walki ze złem. I niektórzy pewnie w to wierzyli. Dziewczyna z gobelinu miała piersi jak główki kapusty, wyraźnie uczernione rzęsy i brwi oraz sporo różu na policzkach, a w drobnej, delikatnej dłoni miecz, którego środek ciężkości leżał chyba przy ogromnej główicy rękojeści... Poszczególne części złotej zbroi połączone były za pomocą ażurowych łańcuszków, a całość pomyślano tak przebiegle, by wszystkie najwrażliwsze na cios punkty ciała pozostały bez żadnej osłony. Do tego na plecach piękna skóra stepowej pantery. Gdyby właścicielka tego rynsztunku kichnęła, zdobiona zbroja rozleciałaby się na wszystkie strony świata, zaś gołe dziewczę, zaplątane w fałdy przepięknego futra, zwałiłoby się na ziemię z szeroko rozkraczonymi nogami... Ale pewnie o to właśnie chodziło. Cokolwiek Szerń zesłała do walki z czymkolwiek, nie mogło być aż tak beznadziejne. Cóż, gdy takie właśnie wojowniczkę mężczyźni chcieli podziwiać. Drapieżne, orężne i silne — ale tylko na niby. Brzydula w prostej kolczudze, prowadząca jazdę jak nikt inny na świecie, była ostatnią kobietą godną uznania, a tym bardziej pożądania. Odwrotnie, niż taki sam, i to samo robiący, mężczyzna.

Przymknęła oczy. Podobne rozmyślenia nie miały wiele sensu. Zamiast tego należało ułożyć plany na następny dzień.

Następny dzień...

Stało jej przed oczyma to, co trzy miesiące wcześniej widziała pod Alkawą. Pobojowisko... Zgliszcza stancy, będącej przecież niemal małym miastem, wciąż jeszcze dymiły — ale złupiono ją i spalono już po bitwie, która rozegrała się w polu. W polu — bo Alerów wciąż przybywało i wkrótce stało się jasne, że jeśli wróg nie zostanie pobity częściami, to w niedługim czasie wzrośnie w siłę tak bardzo, że nawet umocnienia nie pomogą. Żołnierze wyszli więc w pole. Ze śladów na pobojowisku wyraźnie dało się odczytać, jakie wydarzenia miały miejsce. Brakowało jazdy. Łucznicy, jak w dalekiej przeszłości, gdy toczono wewnętrzne armektańskie wojny, powbijali w ziemię przed sobą zaostrzone kołki, skierowane w stronę wrogich wojsk. Skrzydeł pilnowali ciężkozbrojni. Lecz wielkiej, przełamującej szarzy jeźdźców na wehfetach nie zdołały zatrzymać strzały z łuków — i doszło do wybuchu paniki. Paniki! Na ogromnej przestrzeni leżeli zabici ludzie, którzy uciekali. Rany najczęściej w plecach, prawie żadnych trupów nieprzyjaciela... Ucieczka, powszechna, wielka ucieczka donikąd, byle dalej. Potem ci, co przeżyli, potwierdzili że tak było naprawdę. Z połączonych sił okręgu ocalało to tylko, co zdołał wyprowadzić stojący na prawym skrzydle Ambegen. Jedyny, który stanął na wysokości zadania. Bo ona i Rawat zawiedli. Spóźnili się... Prawda, że nie z własnej winy. Przez trzy dni siedzieli w lesie, bez mała z dłońmi na chrapach koni — bo bywały chwile, gdy byle parsknięcie mogło zdradzić ich obecność przed zgrajami srebrnych Alerów. Setki i tysiące maszerowały pod Alkawę. Mogli tylko patrzeć, a i to ukradkiem...

Tereza wciąż pamiętała wyraz twarzy Ambegena, gdy razem z Rawatem przyprowadzili mu pięćdziesięciu jeźdźców, trochę koni jucznych i luźnych, oraz dwudziestu paru, zgarniętych po drodze, ocalałych z pogromu niedobitków. W oczach zmęczonego, przygnębionego klęskami komendanta jedynej ocalałej stancy, była to istna armia. I to dowodzona przez dwoje — aż dwoje! — dobrych, doświadczonych oficerów.

Nie mogąc się uwolnić od ponurych wspomnień, odrzuciła przykrycie i wstała. Podeszła do ognia, gdzie półnaczy żołnierze suszyli odzienie i buty. Ciepło, panujące w szopie, było ciepłem zdradliwym. Przynosiło ulgę przemarzniętym ciałom, ale roztopiało zlodowaciały śnieg, nadający sztywność płaszczom, derkom, spódnicom i obuwiu.

Pospiesznie zrobiono jej miejsce. Usiadła i także ściągnęła przemoczone buty. Wysunęła bose stopy w stronę ognia.

Rozmowy, jeszcze przed chwilą żywo prowadzone, przygasły. Żołnierze milczeli, unikając jej wzroku, zapatrzeni w płomienie. Wreszcie ten, który w zagajniku mówił, że mu zimno, może śmielszy, a może głupszy po prostu od innych, powiedział:

— Wasza godność, my... nie chcemy się buntować, to nie dlatego. Ja, to znaczy my, byśmy chcieli wiedzieć, po co tu właściwie jeździmy? Jak będziemy wiedzieć...

— To co? — przerwała spokojnie. Znowu zaległa cisza.

— To nic, pani — mruknął wreszcie żołnierz. — To... będziemy wiedzieć.

— Setnik Rawat przyzwyczał was do pogawędek — stwierdziła. — Jeździmy tutaj, bo tak mi się podoba. Dowodzę tym oddziałem i jeśli jutro wydam taki rozkaz, to uderzymy na pięciuset Alerów, albo uciekniemy przed dwoma. Czy jest tutaj ktoś, kogo do wojska wcielono na siłę?

Odpowiedziała jej cisza.

— A może jest ktoś, kto nie wiedział, że w wojsku oficerowie wydają rozkazy, gdy żołnierze je tylko wykonują? Cisza.

— Jednoosobowe dowodzenie nie jest moim wymysłem — podsumowała. — Nieudolnych dowódców usuwa się, i w ten sposób nie mogą dowodzić. A dlaczego mnie nie usunięto?

Cisza.

— Bo nie jestem nieudolnym dowódcą — znowu sama udzieliła odpowiedzi. — Dlaczego nikt nigdy nie przyszedł do mnie w stancy, poza służbą, żeby sobie pogadać? Nie pamiętam, bym kiedykolwiek tego zabroniła. Powiem wam, dlaczego: bo w stancy nie dowodzę wami tak, jak na wyprawie, wy zaś chcielibyście gadać ze mną tylko o moim dowodzeniu. A tego jednego nie lubię, bo dowodzę dobrze i nie znam nikogo, kto mógłby mi udzielić lepszej rady, niż udzielę sama sobie. Będziecie więc robić to, co wam każę i wtedy wszystko będzie dobrze. Nigdy nie skarciłam żołnierza, który wykonał rozkaz. Ale może to mało? Może powinnam nagradzać?

Wstała.

— No dobrze, wystarczy — orzekła, zabierając swoje, wciąż jeszcze mokre, buty. — Wytłumaczyłam się przed wami, ale tylko ten jeden raz.

Wróciła na swoje siano, owinęła się płaszczem i derką, po czym szybko zasnęła, nie martwiąc się o nocne warty, których wystawienie było obowiązkiem dziesiętników.

10.

Ambegen chciał wracać do Erwy — i nie mógł.

Najpierw nie rozumiał, dlaczego po raz drugi wzywa się go do Toru, gdy najbardziej potrzebny jest w stancy. Ale szybko stało się jasne, że został głównym kandydatem do objęcia funkcji komendanta okręgu, z czym związany był awans do stopnia nadsetnika. Po cichu, Ambegen od dawna liczył, że ktoś wreszcie go zauważy... Myśl o awansie nie była mu wcale przykra. Podjazdowa, męcząca i uciążliwa, przygraniczna wojenka przekształciła się nagle w wielką wojnę. Dla kogoś, kto poważnie myślał o zrobieniu wojskowej kariery, otwierały się ogromne możliwości, i już ten pierwszy błyskawiczny awans był tego najlepszym dowodem... Na codzień, mało kto zastanawiał się, jak uciążliwy i przykry dla żołnierza jest... pokój. Zwłaszcza dla żołnierza mającego jakieś ambicje. Ambegen wcale nie chciał, by płonęły wioski, a ich mieszkańcy tracili dorobek życia — i nawet samo życie. Szczerze bolał nad spustoszeniami czynionymi w Armekcie przez zgraje. Wolałby, żeby do tej wojny nie doszło. Lecz kiedy właśnie doszło! Była wojna. Nie on do niej doprowadził i nie mógł się obwiniać. Skoro jednak wybuchła i trwała — to ktoś musiał ją wygrać. Skrycie, w głębi serca, Ambegen był przekonany, że świetnie się do tego nadaje.

Żył wszakże na świecie dość długo i z niejednego pieca chleb jadał. Jeśli nawet wstydził się głośno powiedzieć, że z tą wojna jest mu „po drodze” — to spokojnie dostrzegał, że na pewno jest „po drodze” innym... Miał wyobrażenie, iż szlak do przyszłych zwycięstw (jego zwycięstw) nie będzie wcale równy i prosty. Nie chodziło bynajmniej o sprawy czysto wojskowe; wręcz przeciwnie. Ambegen wiele razy był w Alkawie, i kilkakrotnie w Torze. Widywał też komendantury różnych okręgów miejskich. Wniosek wysnuł jeden: im wyżej, tym gorzej. Przecież już w takiej Erwie można było znaleźć dwoje oficerów nie znoszących się i stale z sobą rywalizujących; nie zawsze przy tym była to rywalizacja zdrowa. W Alkawie, gdzie komendant okręgu miał dwóch zastępców, a komendant stancy dwóch innych, sprawy przedstawiały się gorzej...

Niewielu żyło na świecie takich ludzi, jak Rawat, myślących tylko o bieganiu po stepie. Stanowisk było mało. Chętnych do ich objęcia — aż nadto.

A Tor? Twierdzy Tor podlegały dwa wojskowe okręgi. I wszyscy, ale to chyba wszyscy bez wyjątku tysięcznicy i nadsetnicy, jacy tutaj byli, uważali zgodnie, że niestary stażem setnik średniej stancy, uczestnik przegranej bitwy, jest ostatnią w tej części Armektu osobą, której można powierzyć komendanturę okręgu. Ambegen przeczuwał kłopoty. I nie omylił się.

Tkwiąc w Torze, już po tygodniu zaczął rozumieć sposób myślenia siedzących tutaj ludzi. Nawet im się nie dziwił. Potężne mury twierdzy, chociaż zimne, pozostawały zupełnie obojętne na strugi jesiennego dżdżu, a potem pierwsze uderzenia zimy. Siedząc wygodnie, z nogami wyciągniętymi przed siebie, bardzo łatwo było snuć plany bitew, obracając w głowie posłuszne liczby, mające przedstawiać siłę wojsk. Kiedyś jeden z młodszych wiekiem oficerów, wzięwszy go na stronę, zaczął kreślić na szerokiej karcie ustawienie wojsk pod Alkawa.

Wypytywał o szczegóły, nanosił je na „mapę”, i od ręki wyjaśniał Ambegenowi, jakie błędy popełniono w bitwie. Ambegen przerwał mu wtedy. Wziął pióro i narysował pole bitwy raz jeszcze. Zaznaczył krętą linię rzeki, mokradła, las i bezbronną po wyjściu wojska stanicę, którą trzeba było osłonić. Tam, gdzie oficer rysował równe prostokąty i kwadraty, mające oznaczać oddziały, Ambegen nadziobał piórem mnóstwo małych kropeczek („Ci stracili swojego dowódcę, a nowy ich wcale nie znał”), dalej wykreślił nierówny, postrzępiony wielokąt („Ci mieli zdrożone konie, byli głodni i śpiący, stawili się do bitwy prosto z marszu”), jeszcze dalej, zamiast wielkiego prostokąta centrum, pojawiło się kilka małych trójkątów i kwadracików („Ci byli zlepkim oddziałów z różnych stanic, pierwszy raz pod wspólnym dowództwem”). Oficer ze zmarszczonym czołem przyglądał się czemuś, co zamiast pięknego bitewnego szyku zaczęło przypominać dziecinny gryzmoł. „Ja wiem, panie — rzekł mu jeszcze Ambegen — że w tej bitwie popełniono błędy. Ale stąd, z tego zamku, wszystko wygląda inaczej. Siedzę tu zaledwie parę dni, a też już prawie nie chce mi się wierzyć, że moja jazda z Erwy może przejść w tym mrozie i śniegu co najwyżej dziesięć mil dziennie...”

Wzruszył ramionami i poszedł.

Komendantem Wojskowych Okręgów Wschodnich Pogranicza był nadtyśnięcznik L. N. Miven, człowiek naprawdę niegłupi i przewidujący (jak bardzo przewidujący, zobaczył Ambegen natychmiast, gdy po bitwie alkawskiej stawił się w Torze; Miven pokazał mu wtedy dość stary już list od... mędrca-Przyjętego, jednocześnie pytając: „Czy zaszło coś, o czym mowa w tym piśmie?”). Miven uczciwie zarobił na swoje stanowisko, służąc chyba we wszystkich krainach imperium, pod Północną Granicą także. Był jednak człowiekiem niezbyt zdecydowanym, czasem chwiejnym i uległym, nade wszystko zaś — łatwowiernym. Ambegen nie miał pojęcia, kto i co powiedział komendantowi; dość, że jego wyjaśnienia, dotyczące bitwy pod Alkawa i późniejszych działań, naraz przestały wystarczać. Nie było na razie mowy o wstrzymaniu zapowiedzianej nominacji. Ale wciąż nie mógł wracać do Erwy, ponadto wszczęto jakieś... półoficjalne dochodzenie. Ambegen nie był głupi, od samego początku przedstawiał rzecz tak, by nie było żadnych wątpliwości, że zarówno pod Alkawa, jak i potem, zrobił wszystko, co w podobnej sytuacji zrobić należało (tak zresztą wyglądała prawda). Teraz temat odżył. Nie przedstawiono mu żadnych zarzutów, szczególnie tak ciężkich, jak tchórzostwo czy nieudolność. Jednak najwyraźniej chciano znaleźć do tego choćby pretekst. Spośród wszystkich oficerów okręgu Alkawy, od setnika wzwyż, Ambegen był jedynym, który wywodził się z tarczowników — i tylko dlatego powierzono mu wówczas dowodzenie ciężkozbrojnym prawym skrzydłem. Była to zresztą decyzja ze wszech miar słuszna, roztropnie wybrano kogoś, kto najlepiej mógł wywiązać się z zadania, pomijając nawet starszeństwo funkcji i stopni. Rozgrzebano sprawę powtórnie. Znowu wypytywano, co było przyczyną odwrotu tarczowników. Ambegen od nowa tłumaczył, że osłaniał centrum i zapobiegał przeskrydleniu szyku aż do chwili, gdy linia została przełamana. Wówczas, będąc związany walką od czoła, chcąc uniknąć okrążenia, musiał odstąpić w tył. Gdy centrum uległo panice, postęp nieprzyjaciela stał się tak szybki, że tylko pospieszny odwrót mógł uchronić ciężką piechotę od zamknięcia w potrzasku. Zostawiono to wreszcie (wszystkie zebrane świadectwa były bardzo korzystne dla Ambegena!), ale wzięto się za Terezę — i tu już Ambegen zdrowo się namęczył, by wybronić swoją podsetniczkę, której, wbrew rozkazom z Alkawy, pozwolił na coś więcej, niż tylko głębokie rozpoznanie... Bardziej

pomógł jej Rawat... bo już sama jego obecność przy spóźnionym oddziale pomieszała szyki tym, co chcieli znaleźć dziurę w całym. Zastępca Ambegena był nie tylko setnikiem Legii Armektańskiej, ale jeszcze honor-podsetnikiem gwardii; w każdej chwili miał prawo ubiegać się o etat w formacjach elitarnych, był niemałą wojskową figurą — i wysunięcie jakichkolwiek oskarżeń przeciw niemu łatwo mogło narazić na śmieszność — i niemałą kompromitację — zawziętych poszukiwaczy kozła ofiarnego... Zarzucono więc roztrząsanie tej niewygodnej sprawy — by zaraz znowu dociekać, dlaczego garnizon Erwy od trzech miesięcy ponosi same klęski. Ambegen tylko na to czekał; dano mu wreszcie broń do ręki! Nie przejmując się zanadto, wyrąbał całą prawdę o zaopatrzeniu stancy, skrupulatnie też wyliczył otrzymane posiłki, na które składały się dwa kliny jazdy (od sąsiadów z zachodu) oraz jakaś straszna mieszanina niedoszkolonych żołnierzy różnych formacji, szykowanych w Rinie na uzupełnienia dla całego okręgu. Śledztwo-nie śledztwo przemieniło się w prowadzące donikąd przepychanki. W kandydacie na komendanta okręgu narastało zniecierpliwienie, powoli przeradzające się w pospolity gniew.

Na szczęście miał sprzymierzeńca.

Jego godność B. E. R. Linez, choć nie był (czy może lepiej: już nie był) wojskowym, miał wystarczająco dobre i znane w Armekcie nazwisko, by nawet oficerowie wysokich stopni musieli się liczyć z jego zdaniem. Ponadto dysponował czymś, na czym komendantowi Toru niezmiernie zależało: mianowicie dobrze wyszkolonym, uzbrojonym i wyposażonym wojskiem. Własnym wojskiem, prywatnym. Linez był właścicielem wielkich dóbr w okolicach Rapy, natomiast pod Północną Granicą trzymał ziemie tej wielkości, co obszar będący pod kontrolą Erwy. Nabył te ziemie, wraz z kilkoma wioskami, wcale nie tak dawno — a przecież już zdążył dwukrotnie pomnożyć liczbę osad i wciąż inwestował. Jego dobra stykały się z obwodami Alkawy i Erwy, leżąc na ich zapleczu. Linez, odgradzony od Aleru obszarami strzeżonymi przez cesarskie stanice, nie musiał wystawiać do obrony swych majątków licznych wojsk, miał jednak cztery dziesiątki jazdy i dwie pieszych łuczników, siedzące w dwóch wioskach-stanicach, pod wodzą dobrych oficerów. Będąc kiedyś żołnierzem (jak prawie każdy Armektańczyk wysokiego rodu) zorganizował swoje wojsko na wzór legii cesarskich, ale

wyposażył — co tu dużo gadać — znacznie lepiej... Żołnierze znali teren i potrafili się bić. Linez siedział w Rapie, gdy dotarły doń alarmujące wieści z przygranicznych majątków. Natychmiast kazał ściągnąć ze wszystkich swoich dóbr tyle wojska, ile tylko się da, wziął przyboczny, dwudziestokonny poczet i nie mieszkając pojechał na pogranicze. Trzy Wsie, których bronił Rawat, od północno-wschodnich rubieży jego ziem oddalone były o... cztery mile. Wychodzące z jezora oddziały Alerów spaliły mu już dwie wioski, złupiły zaś parę innych. Sprawy miały się naprawdę niedobrze. Jak wielu właścicieli ziem na północy, Linez nie odprowadzał z tych gruntów podatków do imperialnej szkatuły; zapłacił tylko raz, przy zakupie, ale w zamian obowiązany był bronić wiosek własnymi siłami, odciążając w ten sposób Legię Armektańska (a więc i skarb państwa). Jednak wobec setek i tysięcy Alerów, gospodarujących w Armekcie jak na własnym podwórku, Linez zwrócił się o pomoc do Toru. Komendant Miven nie musiał, rzecz jasna, angażować się w jego majątkach, z drugiej jednak strony — tym bardziej nie miał prawa żądać wsparcia od prywatnych żołnierzy. A potrzebował go, i to bardzo. Chodziło już nawet nie tyle o pomoc tych parudziesięciu zbrojnych, co o wioski i stacje Lineza, w oparciu o które mogliby działać legionieści. Wobec utraty niemal wszystkich stacji okręgu, było to zagadnienie pierwszorzędnej wagi. Linez, wymieniwszy listy z Mivenem, błyskawicznie dobił targu, po czym przyjechał do Toru uzgodnić szczegóły współdziałania. Zrobił to, a potem, zamiast od razu wyjechać, siedział w twierdzy i psuł krew tym wszystkim, którzy szukali winnego — patrząc na Ambegena... Magnat znał komendanta Erwy, ich żołnierze stykali się niejednokrotnie, niosąc sobie pomoc dobrosąsiedzka. Osobiście oceniwszy sytuację w swych dobrach, Linez mógł i chciał świadczyć na korzyść Ambegena — bo, po pierwsze na własnej skórze odczuł, co się dzieje pod zajętych przez obcą siłę ziem, po drugie zaś już parokrotnie zaopatrywał w żywność zabiedzonych, głodnych legionistów z Erwy, przyjmując nawet kwity wojskowe, czego czynić nie musiał. Teraz swym znaczeniem i autorytetem, z całą mocą potwierdzał każde słowo komendanta zaprzyjaźnionej stacji, aż wreszcie oględnie dał do zrozumienia, że współpraca jego ludzi z Legią Armektańska w dużej mierze zależy od tego, kto zostanie komendantem okręgu. Zaraz wyszło na jaw, komu bardziej na tej współpracy zależy; pomijając

kwestie czysto wojskowe, ostatnią rzeczą, jakiej pragnął komendant Miven, było pokazać całemu cesarstwu, że pomimo całej powagi sytuacji nie potrafi skorzystać z chętnie i darmo ofiarowanej pomocy. Ostatecznie Linez miał do stracenia może szóstą (i to wcale nie najbardziej dochodową) część wszystkich swoich dóbr — podczas gdy dalsza kariera komendanta okręgów wschodnich całkowicie zależała od tego, jak potoczą się losy tej nieoczekiwanej wojny. Dziwne dochodzenie zostało natychmiast przerwane. Dwa dni później nadsetnik R. W. Ambegen, mianowany komendant Wojskowego Okręgu Erwy, został wezwany do nadtyśnięcznika. Poproszono też na rozmowę jego godność B. E. R. Lineza.

Twierdza Tor, w okresie Wielkiego Księstwa Riny i Rapy, stanowiła przeciwwagę dla Rewinu, fortecy Królestwa Trzech Portów, w oparciu o którą podejmowane były wyprawy poza graniczną rzekę Lawie (takie wyprawy czyniły zresztą obie walczące strony). Zamek wzniesiono w oszczędnym armektańskim stylu, nie zapewniającym załodze zbyt wielu wygod. Prywatne komnaty Mivena raziły surowością i nie były szczególnie obszerne. Ambegen jednak miał przed oczami wnętrza starych górskich twierdz w Grombelardzie — wilgotne, ciemne i zimne. Na tle tego nawet sławetne armektańskie schody przestawały drażnić.

Właśnie: schody i stopnie... Żaden dom armektański nie mógł obyć się bez nich; najwyraźniej to samo dotyczyło twierdzy. Nie chodziło, rzecz jasna, o zwyczajne schody, wiodące dokądś, zbudowane w konkretnym celu, potrzebne. Chodziło o płaskie, niewysokie stopnie, czasem dwa, czasem trzy lub cztery, w mieszkalnych komnatach biegnące od ściany do ściany. Ambegen wiedział, lecz zapomniał, czemu to miało służyć i co właściwie oznaczało. Jedną z armektańskich tradycji, wiodących znikąd donikąd — no, akurat jak schody w komnatach. Człowiekowi nieprzywykłemu do armektańskiej mody, te niskie stopnie — tarasy naprawdę potrafiły zatruć życie. Ambegen też miał swoje przykre doświadczenia...

Wspominając stary ból stłuczonej kości ogonowej, poprzedzany przez legionistę wszedł do komnaty, w której czekał komendant, zszedł ze stopnia, energicznie przemierzył płaską, podejrzanie równą posadzkę pośrodku, wspiął się na drugi stopień — i zrobiwszy dwa kroki, znowu zszedł, stając przed Mivenem. Nadtyśnięcznik odprawił służbowego legionistę, przez długą chwilę spoglądał na świeżo upieczonego

komendanta okręgu, po czym wskazał krzesło. Ambegen usiadł. Miał już na sobie nową, wycinaną w kwadratowe zęby tunikę nadsetnika — i naraz źle się w niej poczuł.. Miven, wyjątkowo, nie nałożył wojskowej narzuty i przyjmował go w swoim prywatnym pokoju, bez świadków... Spostrzegawczy Ambegen pomyślał, że to może nie być zwykła rozmowa służbowa.

— Jego godność Linez — powiedział nadtyśnięcznik, jakby czytając w myślach — przyjdzie za chwilę. Do tego czasu chciałbym, panie, porozmawiać o... różnych sprawach. Chciałbym też, żeby to, co zaraz powiem, zostało między nami.

Wstał i przeszedł się po komnacie tak swobodnie, jakby uciążliwe stopnie wcale nie istniały.

— Otóż, panie — ciągnął — twoja nominacja przesądzona była dość dawno, czego dowody znajdziesz w swojej stancy... To już prawie dwa tygodnie, jak pchnąłem tam gońca z wiadomością, iż zostałeś komendantem okręgu, a także stałą nominacją dla jego godności Rawata.

Ambegen zmarszczył brwi, zaskoczony. Nie miał o tym pojęcia.

— Pozwoliłem na to, niewątpliwie bardzo przykre dla ciebie, dochodzenie, bo było... potrzebne. Świat, panie — rzekł, jakby całkiem z innej beczki — wcale nie stanął w miejscu z tego tylko powodu, że mamy tutaj wojnę. Co prawda w dartańskich bajkach i legendach bohaterowie gotowi są nie jeść i nie spać, myśląc tylko o walce ze złem. Ale co to jest zło? — zapytał nieoczekiwanie. — Czy, na przykład, Aler to zło?

Ambegen słuchał z narastającym zdziwieniem.

— Otóż nie, panie — gładko powiedział nadtyśnięcznik. — Armekt to duży kraj, a imperium jest dosyć bogate. Tak naprawdę, to utrata kilkunastu, czy nawet kilkudziesięciu małych wiosek na końcu świata, w stolicy nikogo specjalnie nie obchodzi. Tym bardziej, że alerska granica już niebawem powinna się cofnąć... Pokazałem ci przecież ten list od mędrca z Grombelardu? Widzisz więc. Granica powróci na miejsce, odbudujemy stanice i dalej wszystko będzie po staremu. Nie zrozum mnie źle, panie. Ziemie tutaj naprawdę zapewniają spore wpływy do szkatuły imperium i w stolicy ani myślą z tych wpływów rezygnować. Ale domyślasz się przecież, że wydatki, jakie za sobą pociągnie wielka wojna, dzięki odzyskaniu tych dwudziestu wiosek zwrócą się najprędzej za pięćdziesiąt lat? Nawet nie wszyscy oficerowie zdają sobie sprawę, że

każdy ich łucznik kosztuje tyle, jakby odlano go ze szczerego srebra. Żołnierza trzeba wyszkolić, a potem przez wiele lat żywić, ubierać i wypłacać żołd, trzeba dać mu broń, kwatery... Pracuje przy tym wszystkim druga armia ludzi, i oni też kosztują. A przecież srebrny posąg nie jadłby, nie mieszkał i nie pobierał żołdu. Oczywiście żaden z takiego posągu pożytek. Jednak, gdy mówimy o samych kosztach...

Ambegen skinął głową.

— Wiem panie o tym wszystkim — powiedział.

— Wiem, że wiesz — oznajmił nadtyśnięcznik. — No i dlatego, panie, zrobiłem cię komendantem okręgu. Wiem, że często posądza się mnie o brak zdecydowania, a nawet chwiejność... To dobrze. Jestem tutaj bardziej politykiem, niż żołnierzem. Muszę zgodnie współdziałać z komendantem okręgów zachodnich, dogadywać się z właścicielami dóbr prywatnych... Muszę też czasem pozwalać na dochodzenia przeciw oficerom, których sobie upatrzyłem na odpowiedzialne stanowiska — nawiązał nieoczekiwanie. — Dochodzenie nic nie wykazało, jesteś panie czysty, jak łąza. Ale tylko popatrz, co by było, gdybym nie pozwolił na to dochodzenie, a ty, dajmy na to, nie podołałbyś nowym obowiązkom... Ambegen, czy razi cię taka szczerłość? — nagle, po raz pierwszy, zwrócił się do nadsetnika po imieniu.

— Nie wiem, czemu ma służyć — padła ostrożna odpowiedź. — Chociaż chyba zacznam się domyślać.

— Rozmawiamy w cztery oczy — nadtyśnięcznik rozłożył ręce, jakby pokazując, że w pomieszczeniu naprawdę nie ma nikogo postronnego. — Rozumiesz oczywiście, że gdyby zaszła taka konieczność, wyprę się wszystkiego, co dziś powiedziałem?

— Nie usłyszałem dotąd nic, co chciałbym powtórzyć komukolwiek. Nadtyśnięcznik wziął ze stołu rozpieczętowane pismo.

— To z Erwy, od komendanta Rawata — powiedział. — Oprócz nominacji, posłałem mu list, zawierający wiele pytań na temat tego, co zaszło w ciągu ostatnich trzech miesięcy... A tak, chciałem poznać opinię człowieka, który nie myśli o stanowisku komendanta okręgu... Zresztą mniejsza o to. Komendant Rawat pisze o wielu ciekawych rzeczach, jego spostrzeżenia są niezwykle godne uwagi. I niebezpieczne.

Podał pismo Ambegenowi.

— Przeczytasz później. Mówiąc krótko, setnik Rawat jest przekonany

(i całkiem możliwe, że ma rację), iż z Alerami można negocjować... Zdaje się nawet, że ma już pewne doświadczenia?

— Tak — krótko potwierdził Ambegen. Miven znowu zaczęła chodzić po komnacie.

— No więc — powiedział, zakładając ręce do tyłu — Północna Granica to jedyne miejsce w całym Wiecznym Cesarstwie, gdzie stale toczy się wojna. Wszyscy wiedzą, że nie można wtargnąć na alerskie terytorium i zakończyć jej raz na zawsze. Ale można wygrywać, bądź przegrywać bitwy... Właśnie niedawno jedną przegraliśmy. I co teraz? Zawrzemy pokój z Alerami, na oczach wszystkich prowincji cesarstwa? Czyli, że można pobić Legię Armektańska, zająć armektańskie ziemie, a potem zawrzeć pokój? Wasza godność — rzekł trochę uroczyście, a zarazem drwiąco — w Kirlanie sam cesarz uważnie przygląda się moim... naszym poczynaniom. Alerowie mogą nam oddać wszystkie wioski, ba! wypłacić reparacje wojenne, a nawet dołożyć całe wory złota z własnej, nieprzymuszonej woli. To znaczy, mogą tego chcieć, wolno im, a komendant Rawat może sobie roić o układach, czy nawet wiecznym przymierzu. Ale prawda jest taka, że w Kirlanie oczekuje się tylko jednego: stosu trupów, który sięgnie nieba. I nie mają to być trupy legionistów. Zostałeś, panie, komendantem ogarniętego wojną okręgu, bo naprawdę znam się na ludziach i widzę, że chcesz wygrywać bitwy. Wszystko jedno, z jakich powodów. Mówię wprost: Kirlan patrzy mi na ręce, ja zaś będę patrzył tobie. Jeśli stoczysz dziesięć niepotrzebnych bitew, z których nie wyniknie nic ponad to, że będą zwycięskie, to świetnie. Być może granica cofnie się sama. Być może Alerowie naprawdę przyszli tu tylko po to, by odkopać jakiś stary posąg, który nie wiadomo, skąd się wziął, i odejść, jak tylko przy nim odprawią swoje ceremonie. Ale cały Szerer ma dokładnie zobaczyć, że Legia Armektańska wyrzuciła ich stąd kopniakiem. Jeśli będą chcieli odejść zbyt szybko, to ich zatrzymamy, nie ma mowy, żeby poszli sobie bez tego kopniaka. Bo widzisz, panie, imperium nie puści z dymem wszystkich wiosek wyspiarskich dlatego, że na Bezmiarach pojawił się okręt piracki. Tolerowana jest też pewna niezależność, a nawet samowola dartańskich magnatów, zaś w Grombelardzie Legia Grombelardzka może być dowodzona przez Grombelardczyka. Wszakże, na tym koniec. Nikt nie może spalić wojskowego okręgu, po czym odejść sobie, jakby nigdy nic.

Potrzebne są, panie, efektowne zwycięstwa. Już bardziej bez ogródek przedstawić sprawy nie umiem. Ambegen milczał.

— Przyznam, wasza godność — rzekł wreszcie — że choć pojmuję wszystkie te racje, a nawet, jako żołnierza, nie bardzo mnie one obchodzą, to nie rozumiem, dlaczego dotąd pozwalano, by moi żołnierze beznadziejnie się wykrwawiali? Gdzie są posiłki? Gdzie zaopatrzenie? Przecież dość dokładnie wiadomo, jakie są siły Alerów. Szacuję je na dziesięć tysięcy, nie licząc w ogóle Żółtych Plemion, także ściągających coraz liczniej. Skąd wziąć te zwycięstwa, jeśli bije się trzystu wygłodzonych żołnierzy?

— Erwa dostała wszystko, co było pod ręką — odparł Miven. — Ambegen, nie bądźże naiwny... Obaj wiemy, że imperium jest zupełnie nieprzygotowane do wojny... Dlaczego zresztą miałyby być inaczej? Mamy Wieczne Cesarstwo, obejmujące cały Szerer, a w nim wieczny pokój. Nikt nie będzie trzymał, przez dziesięciolecia i stulecia, jakichś legionów pod bronią, ot tak, na wszelki wypadek... Przyjdą posiłki, tym razem większe. Już wkrótce. Parę klinów dam ci od ręki. Wiem, wiem że to mało! Dziś wieczorem zwołuję odprawę, tam poznasz wszystkie szczegóły. W ciągu najbliższych tygodni przybędzie tu parę półlegionów. Te siły wciąż nie mają dowódcy. Zarówno w Kirlanie, jak i tutaj, w Torze, jest bardzo dużo chętnych do objęcia komendy nad tą armią. Teraz coś ci powiem: w stolicy przystaną na powierzenie dowództwa człowiekowi całkiem nieznanemu, ale chyba jednak najwłaściwyszemu, który zna teren i bierze udział w tej wojnie od samego początku, bo, jak już powiedziałem, najważniejsze są teraz sukcesy... gdyby zaś ich nie było, to taki człowiek znakomicie nada się do roli kozła ofiarnego. Stopień tysięcznika legii jest w zasięgu twojej ręki, Ambegen, tymi siłami nie może dowodzić nadsetnik... Pomyśl jednak, że jeśli nawet zrobię cię dowódcą tej armii, ty zaś na jej czele odniesiesz niebywałe sukcesy, a potem raz się potkniesz (tylko raz!), to wysadzą cię z siodła, skończą to, co zacząłeś, rozgrzebią całą twoją przeszłość i znajdą coś, co cię wykończy. I nie zdołasz się obronić, bo nie masz majątku, nazwiska, ani dość wysoko postawionych przyjaciół, jesteś nikim. No, Ambegen? Możesz jeszcze złożyć rezygnację!

Nadsetnik milczał.

— Nie — powiedział na koniec. — Nie potknę się, komendancie, i nie

wysadzą mnie z siodła... a więc nie wysadzą i waszej godności. Lubię wiedzieć, na czym stoję, a teraz właśnie wiem. Dziękuję za tę rozmowę.

Miven — mimo woli uśmiechnął się lekko.

— Doskonale — rzekł krótko. — Ale, ale... Jeszcze zanim przyjdzie jego godność Linez, powinniśmy zamienić dwa słowa. Wasza godność, osobiście znam setnika Rawata, ale chcę się upewnić: czy ten oficer...

— Najzupełniej godny zaufania — przerwał Ambegen. — Nie ma o czym mówić. To dobrze, że rozważa wszelkie możliwości, nawet układy z Alerami. Wymagam od swoich oficerów myślenia.

— Zapewne — zgodził się Miven. — Myślę jednak o czymś innym. Osobiste sprawy żołnierzy nie są sprawami ich dowódcy, czasem jednak mają wpływ na służbę... Otrzymawszy ten list, dyskretnie zasięgnąłem wieści o setniku Rawacie, zna go wielu moich oficerów. Czy jesteś, panie, zorientowany, że twój człowiek i — o ile wiem — przyjaciel, ma bardzo poważne kłopoty?

11.

Tereza wróciła do stancy chora ze wściekłości. Panowała nad sobą do ostatniej chwili, ale pół mili przed bramą stancy, nie mogąc dłużej wytrzymać, wysforowała się znacznie przed oddział i stanęła na majdanie, gdy żołnierzy jeszcze nie było widać w kłębach śniegu. Zeskoczyła z siodła, zdjęła hełm i zerwała z szyi brudne szmaty, chroniące przed mrozem. Widok zaniedbanej stancy (śnieg na majdanie sięgał do połowy łydki) przemienił jej rozgoryczenie i wściekłość w istny atak furii. Stała przez chwilę, tępo patrząc przed siebie i tylko oddychając coraz ciężiej, po czym cisnęła zdjęty z głowy, żelazny garniec w zaspę, ale tak, że skrył się bez śladu. Wyszczrzyła nagle zęby, i szybkim krokiem, a potem zwyczajnie biegiem, ruszyła do komendantury. Odepchnęła na bok dyżurującego przy wejściu legionistę, wtargnęła do izby komendanta i z hukiem zamknęła za sobą drzwi. Rawat drzemał, rozparty na krześle za stołem. Poderwał się, zbudzony nagłym hałasem.

— Śpisz?! — syknęła. — Ty śpisz?!

Ruszyła wprost na setnika, tak jakby nie istniał stojący między nimi stół. Rawat wstał i cofnął się odruchowo, omal nie przewracając krzesła, gdy naparła na blat. Pochyliła się i z furią zgarnęła wszystko, co tam leżało. Sfrunęły na podłogę jakieś zapisane stronice, zawirowało w powietrzu gęsie pióro. Nadgryziony suchar chciwie pił inkaust z przewróconej butli na podłodze.

— Co ty tu robisz w ogóle?! — zawyła. — Mam dosyć, słyszysz mnie?! Głodna jestem! — wydarła się w niebogłosy. — I oni są głodni! Mam dosyć!!

Wyrwany ze snu Rawat próbował pozbierać myśli. Nie było to możliwe w tym hałasie. Otworzył usta, lecz nie mógł dojść do słowa.

— Zawsze to samo! — odepchnęła się od blatu, cofnęła i okręciła na pięcie, rozkładając ręce, jakby brała ściany izby za świadków. — Wciąż to samo! Aaaa!! — wrzasnęła. — Uciekam przed zgrajami! Mam trzydziestu ludzi! — chwyciła się za głowę. — Trzydziestu ludzi, słyszysz mnie?! Umiesz siedzieć i spać, weź oddział na wyjście i sam zobacz! Jeździsz po

obwodzie tego przeklętego wora, z którego co i rusz wychodzi jakaś zgraja, jak nie trzystu, to zaraz czterystu! Wiesz, co mogę im zrobić? No wiesz?!

Znów przypadła do stołu.

— Alerowie chodzą najedzeni — powiedziała ciszej, z brzydkim uśmiechem na swej nieudanej twarzy. — Nauczyli już chłopów, że nie wolno chować zapasów. Jak przychodzi zgraja, to wieśniacy uciekają do lasu, albo po prostu na równinę. I czekają. Trochę zmarzną, ale nikt nie robi im krzywdy. Zgraja wchodzi do wioski, bierze wszystko, co potrzebne, i spokojnie odchodzi. Zwykle zostawia chłopom dosyć, by nie pomarli z głodu, a nawet nie czuli się zbyt pokrzywdzeni. Idą z dymem tylko te chałupy, w których nic nie ma... I chłopstwo nauczyło się już niczego nie chować przed zgrajami. Wiesz, przed kim chowają? Przede mną! Spróbuj kupić we wsi jedzenie dla żołnierzy, albo spyżę dla koni. Nie ma! — wrzasnęła znowu, cofając się i unosząc w górę ręce. — Ani na kwity wojskowe, ani nawet za brzęczące srebro! Nic nie ma! Jak kończy mi się to, co wiozę w jukach, muszę wracać! A co ja tam w nich wiozę?! Latem to przynajmniej miałam w stepie trawę dla koni! A ja się nawet tym jebanym chłopom nie dziwię! — zaskowyczała ze wściekłości, wyciągając miecz, jakby chciała zabić nim Rawata. — Też bym nie dawała! Takim legionistom, co to tylko chcą napchać sobie brzuchy, ale nie potrafią obronić wsi przed rabunkami! Też bym nie dawała darmożadom! Takim w dupę...! — rąbiąc ostrzem skrajną deskę stołu wyrzeszczała to wszystko, co związane było z dupami legionistów. Wreszcie cofnęła się powoli, opuściła miecz i przygryzła zębami paznokcie.

— Po co ty mnie tam posyłasz? — szepnęła. — Już nie mogę.

Rawat patrzył w milczeniu.

Najpierw rozgniewały go jej wrzaski, ale w pewnej chwili zdał sobie sprawę, że tak naprawdę złości go co innego: to że on sam tak nie może... Nie wychodził ze stancy, to prawda. Ale równie dobrze jak Tereza wiedział, co się dzieje, chociaż nie doświadczył tego na własnej skórze.

Nie dziwił się jej rozgoryczeniu. W całym okręgu pełno było chłopskich uchodźców, ludzi wygnanych spod zajętego przez Aler nieba. Bezradność oddziałów, jeżdżących wzdłuż granic jezora, lub czasem nawet zapuszczających się pod przekłete niebo, była przygnębiająca.

Alerowie mieli dość rozumu, by nie palić wiosek bez potrzeby. Przecież były to ich spichlerze. Siedzące w obrębie jezora tysiące wojowników musiały coś jeść, a sprowadzanie żywności z własnego, odległego o czterdzieści mil terytorium, spoza rzeki, która zamarzała dopiero niedawno, napotykało ogromne problemy. Rawat, od pewnego czasu wiedzący o Alerach więcej, niż wszyscy inni mieszkańcy Szereru razem wzięci, dokładnie znał skalę tych trudności. Przecież nie chodziło tylko o odległość... Do eskortowania tych transportów musiano odsyłać całe armie. Tak czy owak, gdy wybrano wszystko ze wsi ogarniętych przez jezor, konieczne stały się dalsze wyprawy, do południowo-wschodniej części dawnego obwodu Alkawy, do zachodnich i południowo-zachodnich terenów Erwy, czy wreszcie na południe, do ziem jego godności B. E. R. Lineza. Po żywność ruszały silne, bardzo dobrze uzbrojone (nierzadko w zdobyczną broń) oddziały, przed którymi jeźdźcy Terezy mogli co najwyżej uciekać. To prawda: posyłanie ludzi dokądkolwiek, od dawna przestało mieć sens...

Tereza, z zamkniętymi oczami, wciąż stała nieruchomo, gryząc paznokcie. Oddychała głęboko i ciężko. Odwróciła się nagle i ruszyła do drzwi.

— Tereza — powiedział. Zatrzymała się.

— Rozumiem, co czujesz. Wiem o tym wszystkim, i dlatego...

— Rozumiesz? — przerwała, nie odwracając głowy. — Co ty możesz rozumieć? Ucinasz sobie drzemki po południu... Setnik Rawat, komendant stancy. Na Szerń, gdzie jest Ambegen?...

Chciała wyjść. Ruszył za nią.

— Wróci, wróci! — zawołał zgryźliwie. — Wróci twój Ambegen i urządzi tu taką rzeź...! Niech no tylko wyżebrze posiłki! Ja zaś sobie utnę drugą drzemkę, a jakże! To ważniejsze, niż cokolwiek innego! Tak, żebyś wiedziała!

Zatrzymała się przy samym progu.

— Co z tobą? — zapytała dziwnie. Ucichł nagle i oklapł.

— Jesteś mi potrzebna, Tereza — rzekł cicho. — Czekałem na twój powrót jak na... Jesteś mi potrzebna — powtórzył. — Zabroniłem... zabroniłem wychodzić przeciw srebrnym. Walczymy tylko ze złotymi. Koniec twoich niepotrzebnych wypraw.

Mierzyła go czujnym spojrzeniem. Przełknął ślinę.

— Porozmawiaj ze mną — poprosił. — Nie ma tu nikogo, z kim mógłbym się naradzić. Podjąłem decyzje, które na pewno są słuszne, a jednak... Dzieje się coś niedobrego — wyznał.

— Z tobą? — zapytała.

— Ze mną chyba... też. Znów patrzyła.

— Rzeczywiście na to wygląda. No... no dobrze. Ale co ty powiedziałaś? Że już nie walczymy ze srebrnymi? Dlaczego? Przecież to nie o to chodzi, że ja nie chcę... że wyjścia... — zaplętała się. — Ja wcale nie chcę siedzieć w stancy! Chcę wychodzić, ale w kozuchu na grzbiecie, z pełnymi jukami, z wódką... Wódka! — aż się zachłysnęła. — Przyjdę — obiecała — ale najpierw... Daj mi się chociaż wysikać. Zjeść! Coś gorącego! — znów była zniecierpliwiona.

Otworzyła drzwi, wyszła na zewnątrz i... zobaczyła swoich żołnierzy.

Spowici w szmaty, obsypani śniegiem ludzie czekali na majdanie, siedząc na wynędzniałych koniach. Równe, karne trójki, ustawione do raportu. Raportu, o którym zapomniała. Wokół jeźdźców zbierała się staniczna piechota.

Patrząc na oszronione brody i czerwone nosy, a niżej sztywne, posiniałe palce trzymające wodze, podsetniczka uczuła nagle dziwny skurcz serca. Powoli podeszła do żołnierzy, przesuwając spojrzeniem po twarzach. Nie pominęła żadnej.

— Co wy tu jeszcze robicie? — zapytała z chrypką. — Konie do stajni, ale już! Ja... — zacięła się na krótką chwilę — ja zagrzeję wam wina w kuchni... Chyba jeszcze mają tu trochę, a jak nie to... wymyślę coś innego. Przyjdźcie wszyscy!

Odwróciła się i odeszła pośpiesznie. Było jej trochę wesoło — ale bardziej smutno... Nie miała pojęcia, dlaczego.

Od pewnego czasu, Tereza mieszkała jak królowa. Miała dla siebie dwie izby. Tylko dla siebie. Nie umiała cieszyć się z tego... Puste i zimne pomieszczenia stanicznych oficerów stale przypominały — o śmierci. Przecież ci ludzie nie przeprowadzili się gdzie indziej. Zginęli — i niektórzy nie mieli nawet pogrzebu.

Jakiś pech prześladował podsetników w Erwie. Wysłany po ciepłe odzienie i żywność, jeszcze przed pamiętną wyprawą Rawata, dowódca toporników, zaginął bez wieści razem z woźnicami i żołnierzami eskorty. Zapewne wracając natknął się na Alerów. Podsetnik łuczników zginął

pod Alkawa. Z dowódcami dwóch klinów jazdy, przybyłymi z zachodniego okręgu, nie zdążyła się nawet przespać, a cóż dopiero zaprzyjaźnić. Przepadli gdzieś w polu, razem ze swymi żołnierzami. Jeden oddział chyba potem znalazła. To, co z niego zostało.

A przed miesiącem umarł oficer toporników, alkawczyk, ranny podczas chwalebego odwrotu Ambegena, kiedy szczątki ciężkozbrojnych oddziałów zdołały się przebić do Erwy. Długo się męczył. Tę śmierć przeżyła najbardziej; stary żołnierz umierał pogodnie, opiekowała się nim jak umiała. Między atakami bólu, opowiadał jej najróżniejsze, czasem trochę nieprzyzwoite, czasem smutne, a czasem zabawne historie. Pewnego dnia, gdy wróciła z wyprawy, zastała tylko puste poślanie.

Z przykrością wspominała, jak złościły ją kiedyś nieporządki czynione przez mężczyzn. Teraz chętnie by czasem znalazła brudną miskę, albo nóż wbity w ścianę, jako wieszak na pelerynę... Przy wielu różnych wadach, mężczyźni byli życzliwsi i zazwyczaj bardziej otwarci, bardziej szczerzy, niż kobiety. Kiedyś, gdy udało jej się dostać do legii, zaczynała w dziesiątce łuczniczek. Wiedziała więc, co myśleć o kobietach jako towarzyszkach życia w garnizonie... Naprawdę wolała mężczyzn. Mimo wszystko.

Rawat chętnie przystał na zaproszenie do jej kwatery; odniosła nawet wrażenie, że woli to miejsce, niż komendanturę, która przywodziła na myśl odprawy oficerów; setnik bardzo chciał uniknąć podobnych skojarzeń. Potrzebował rozmowy, nie odprawy. Umówili się na późny wieczór.

Przyłapała się na tym, że próbuje nadać zimnemu, nieprzyjemnemu wnętrzu trochę ciepła. Prawie rozzłościło ją to odkrycie, ale naprawdę rozgniewała się dopiero wtedy, gdy miedziany grzebień beznadziejnie utknął w tłustych, brudnych, skołtunionych włosach. Cisnęła go w kąt i zrobiła wszystko, byle tylko wyglądać jak najgorzej, to znaczy normalnie, jak zwykle w stancy, po czym skutecznie przemieniła obie izby w taki chlew, jak zawsze. Udało jej się wspaniale — i dopiero to wprowadziło ją w prawdziwą wściekłość. Gdy Rawat wreszcie przyszedł, omal nie rzuciła się na niego z pazurami, rozeźlona swym dziecinnym zachowaniem i świadomością, że jest brzydka jak noc... co akurat mijają się z prawdą. Gniew ściągał jej, nadmiernie szerokie, usta, a górna warga unosiła się

czasem, pokazując olśniewające, białe i równe zęby. Zyskiwały także rozwarte nozdrza, zaś pochylona wojowniczo głowa nadawała spojrzeniu zawadiacką czupurność. Była całkiem ładna... i nieoczekiwanie wyczytała to we wzroku komendanta. Zbita z tropu uspokoiła się — więc niestety zbrzydła.

Oboje nie wiedzieli, jak zacząć, więc najpierw pili wódkę, przyniesioną przez Rawata. W głodnej-chłodnej stancy był to nie lada rarytas.

— To są żołnierze — powiedział wreszcie setnik, ni przypiął, ni przyłatał, bełtając gorzałkę na dnie kubka. Uniosła pytające spojrzenie.

— To są żołnierze — powtórzył Rawat, zapatrzony w naczynie, jakby płukał w nim złoto. — Srebrni Alerowie. Noszą tarcze, pancerze i wszyscy mają wehfety. Nigdy bez wehfetów, i nigdy bez tarcz. Nie każdy, kto ma tarczę i wehfeta, jest żołnierzem. Ale każdy, kto jest żołnierzem, musi mieć jedno i drugie. Żołnierze, tacy jak my. Bijemy się teraz z wojskiem.

Pokiwał głową.

— Zgraje, które ganiamy tu od wieków, to rabusie. Bandy zbójów, jak u nas Jeźdźcy Równin. Wyrzutki. Ale zarazem coś więcej... To jakby... zawód. Rozumiesz? Tak, jak u nas myśliwi, albo może lepiej — łowcy wielorybów. Słyszałaś o wielorybach? Można nie być wielorybnikiem, można nawet nie lubić polowań na wieloryby, a pomimo to kupować tran i fiszbin. Żołnierze Srebrnych Plemion kupują łupy od rabusiów. Najchętniej naszą broń. Tam nie ma żelaza, a jeśli nawet jest, to oni nie potrafią go wytapiać, a tym bardziej obrabiać. Przegrywają — spojrzali podsetniczce prosto w oczy i zaraz znowu opuścił wzrok. — Te sfory złotych, które kiedyś do nas przychodziły, to nic. To jakieś zabłąkane stada. Złoci żyją prawie tak, jak u nas wilki. Ale tam — wskazał nieokreślony kierunek — są ich dziesiątki tysięcy. Tępią wszystko, co żyje, bez wyboru... To straszny, zdradzony świat, zdradzony przez to, co go stworzyło. Za sto czy dwieście lat, wiesz co tam będzie? Tylko złoci. Będą pożerać się nawzajem, pośród kolczastych lasów i delikatnych jak paprocie, trujących roślin, które zjadać mogą tylko wehfety. Złoci zostaną. Całe ich myślenie służy tylko niszczeniu, nie są w stanie nic stworzyć, nie mają nawet języka, choć potrafią jakoś dogadywać się między sobą. A jednak to istoty rozumne... Znają przecież ogień i potrafią

z niego korzystać. A czy wiesz, jak oni tańczą? Jak oni wspaniale, jak pięknie tańczą, przy wtórze czegoś, co brzmi jak bębny... Nie uwierzyłybyś. Za to srebrni malują. Widziałaś te tarcze? No właśnie.

Zamilkł na długą chwilę. Wypił wódkę.

— Ty mi opowiadasz... swoje sny? — zapytała cicho i jakby nieśmiało Tereza. — Bo ja słyszałam, że ty i tamci... no wiesz, tych dwoje łuczników... Że macie sny o Alerach. I to jest prawda?

— Ja już nawet zaczynam rozumieć ich język... Pojedyncze słowa, czasem trochę więcej — Rawat westchnął. — Nie wiem, co się stało, Tereza. Albo raczej... może nawet wiem. Byłem tam, gdy wykopali swego boga. Astat i Agatra byli także. To wtedy musiało... No bo kiedy? Wcześniej nic się nie działo.

— Ale... — podsetniczka zawahała się — ale co ty chcesz właściwie? To znaczy, co z tym zrobić? Przecież to tylko sny... Do czego to może się przydać? O co chodzi? Ja cię mogę wysłuchać, to jest bardzo ciekawe, naprawdę — dziewczyna czuła, że używa nieodpowiednich słów, ale nie umiała znaleźć lepszych. — Tylko że...

Zamilkła. Było jej dziwnie żal tego zgaszonego, zmęczonego mężczyzny, który od kilku miesięcy, okazuje się, żył z czymś niezwykłym i niezrozumiałym. Chciała zapytać, dlaczego wybrał sobie do zwierzeń właśnie ją. Ale to by źle brzmiało... Co miała jeszcze powiedzieć? Że przecież się nie lubią, nigdy się nie lubili, a od trzech miesięcy prawie z sobą nie rozmawiają, i...

Przygryzła usta — i jednak zapytała:

— Dlaczego ja? W czym chcesz, żebym ci pomogła? Mam tylko posłuchać? Rzeczywiście zabrzmiało to sucho, jakoś nieprzyjaźnie, prawie wrogo.

— Śpię coraz dłużej i częściej — nieoczekiwanie rzeczowo powiadomił ją Rawat. — Astat i Agatra także. Tylko że ja jestem dowódcą tej stancy, ty zaś moim jedynym oficerem, a więc i zastępcą, siłą rzeczy. Astat i Agatra nie nadają się już nawet na zwykłych żołnierzy... A ja mam się nadawać na dowódcę?

Popatrzył na nią uważnie.

— I jak? — zapytał z dziwnym, ponurym szyderstwem. Nie odpowiedziała — bo co właściwie miała odpowiedzieć?

— Chciałem czekać, aż wróci Ambegen — rzekł Rawat. — Ale od

trzech dni, czekam już tylko na ciebie... Jadę tam.

— Gdzie jedziesz?

— Do Alerów — odparł spokojnie. — Tereza, z nimi można się porozumieć! Obejmiesz komendę w stancy. Astat i Agatra pojedą chyba ze mną. Mogą się przydać...

— Ty majaczysz? — zapytała prawie ostro. — Czy właśnie znowu zasnąłeś? Mówisz, że często ci się zdarza? No faktycznie!

— Posłuchaj, Tereza...

— Posłucham, ale nie takich głupot. Opowiadaj mi o snach, proszę bardzo. Jeśli ta wiedza, której ci dostarczyły, jest prawdziwa, to możemy pomyśleć jak ją wykorzystać. Ale...

— Właśnie mówię, jak wykorzystać! Mogę...

— Wiesz, co możesz? Możesz...! — powiedziała, co; język miała naprawdę niechlujny. — Wiesz już teraz? Jakie układy? Z kim?! I czego właściwie mają dotyczyć? No czego niby?

— Przymierza przeciw złotym.

— Czego? Przymierza?! Złoci to furda! — wrzasnęła na cały głos. — Nie, na Szerń, jakim cudem nasrano ci do głowy?!

— Licz się ze słowami! — nie wytrzymał.

— Złoci w takiej liczbie przyjeźli tu za srebrnymi! Złoci?! Złotych brałam pod kopyta jak chciałam, wiesz co mi mogli? Mogli...! — wyrzeszczała na całą stanicę. — Gdybym tylko dała, to by tyle mogli! Dostałeś nominację na stałe, słyszałam?! No to masz siedzieć w stancy na dupie! Na dupie!! Albo na głowie, bo już dzisiaj nie wiem, co jest co!

Już, już miał wybuchnąć... Opanował się.

Stali naprzeciw siebie, nawet nie wiedząc, kiedy zerwali się z miejsc. Setnik cofnął się o pół kroku, uniósł ręce w bezradnym geście i opuścił je zaraz.

— Posłuchaj mnie — spróbował raz jeszcze. — Oni przyszli tutaj odnaleźć boga. Tego, który nadał im rozum. Został przepędzony, wygnany... zaklęty w postać kamiennego smoka... Zresztą nie wiem, to jest coś... bardzo dziwnego. Oni chyba mogą sprawić, że ten bóg obudzi się. Nie do końca rozumiem, o co tutaj chodzi, ale oni sami chyba nie wszystko rozumieją... No, ale czy to dziwne? Czyja rozumiem Szerń?

— Rawat, co z tobą? — zapytała.

Zamilkł. Zaczął się obawiać, że nie przebije tego muru.

— No, co z tobą? — powtórzyła, też próbując narzucić sobie spokój.
— Usiądź, wypij tę wódkę. Posłuchaj, tak to brzmi: setnik ogłodzonej stancyi wyrusza, by zawrzeć przymierze między Wiecznym Cesarstwem a Srebrnymi Plemionami Aleru... Słyszysz to? Setnikowi wyśniło się takie przymierze. No to poszedł je zawrzeć, i już.

Rawat przymknął oczy.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego.

— Naprawdę nie?

— Nie, nie widzę. Pokiwała głową.

— Chcesz zakończyć swoją karierę? W ten sposób? Wiesz co, komendancie, a może po prostu się powieś? Co? Jak jeździec, z siodła. Wypędzę spod ciebie konia, chcesz?

Czasem nie sposób było z nią rozmawiać. Wszystko obracała w szyderstwo i drwinę, negowała każde słowo. Na dodatek mocna, żołnierska gorzałka rozpuszczała taflę nabytej wśród oficerów ogłady... Przepadało gdzieś tych siedem czy osiem lat, które spędziła w legii — i zdawało się, że ta młoda kobieta robi wszystko, byle tylko pokazać, kim była wcześniej, zanim wojskowa tunika odmieniła jej życie. Na wierzch wyłaziła natura prostej wieśniaczki, która powinna ciągać krowy na postronkach, zamiast dowodzić jazdą. Ogromna większość żołnierzy i czwarta część oficerów wywodziła się z chłopstwa, jak ona, nikt nawet o tym nie myślał — bo żołnierz to żołnierz, i tyle... Ale w jej przypadku czasem odnosiło się wrażenie, że ukradła oficerską tunikę, a teraz, gdy została przyłapana na oszustwie, będzie musiała ją oddać. Prawie miał ochotę powiedzieć jej o tym. Poczul głęboki wstyd; coś takiego nie powinno się pojawić nawet w myślach żołnierza. Wobec wojny wszyscy byli równi. Legioniści, dobrowolnie jej służący.

— No to koniec rozmowy — rzekł, starannie skrywając rozdrażnienie. — Decyzję podjąłem i właściwie, podsetniczko, nie jesteś mi do niczego potrzebna. Wydam ci rozkaz pozostania w stancyi, to wszystko. Myślałem, że spróbujesz zrozumieć, może będziesz umiała coś doradzić... Nie, to nie. Nie mogłem wyruszyć wcześniej, ale teraz przekazuję ci komendę — i już mogę. Ruszam jutro rano. Wszystko.

— Czekał — powiedziała. — Nie możesz tak...

— Mogę. Wiesz, co lubię w wojsku? No przecież to, co ty. O ile wiem, zmierzamy do celu różnymi drogami, ale skutek jest taki sam. Lubie

porozmawiać z podkomendnym, bo chcę żeby wiedział, co mną powoduje. Ale koniec końców, Tereza, w tej stancy jestem królem dla każdego. Mogę tu zarządzić cokolwiek, i rozliczą mnie z tego dopiero przełożeni... Gdybym jeszcze wydawał jakieś niepojęte rozkazy! Ale przekazanie komendy? Do tego zawsze mam prawo.

Wypiła dosyć, by gubić wątek rozmowy. Zdał sobie sprawę, że równie dobrze może kłócić się dalej ze ścianą. Wstał i ruszył do drzwi. Nieoczekiwane przytomne słowa zatrzymały go niemal w pół kroku:

— A poza tym? Poza tymi snami? Stało się coś złego, coś bardzo niedobrego. Czy tak?

Odwrócił się powoli. Oczy błyszczały jej mocno, ale było widać, że jest świadoma tego, co mówi. Naraz zaskoczyła go ponownie, przejawiając niesłychaną intuicję. Bo przecież nie mogła wiedzieć.

— To nie moja sprawa. Ale te sny, przecież, także nie... No jak już chcesz ze mną rozmawiać, powiedz wszystko.

— O czym ty mówisz? — zapytał. Długo patrzyli sobie w oczy.

— Wiem, że nie jesteś ubogi — rzekła wreszcie powoli, ważąc każde słowo.

— Masz wielu przyjaciół, słyszałam też, że masz bardzo piękną żonę... Ktoś taki zostawia wszystko, ucieka pod Północą Granicę i nie spieszy się z powrotem, chociaż wszystko, co tu jest do zdobycia, mógł zdobyć już dawno... A nagle okazuje się... okazuje się jeszcze, że chcesz jednym ruchem przekreślić całą swoją wojskową karierę. Odrzuciłeś jedno swoje życie, teraz chcesz złamać sobie drugie? Pytam, bo sny o Alerach przecież nie mają z tym związku.

— Zastanawiałaś się nad moim życiem? — zapytał ciężko, opierając plecy o ścianę.

Nagle spuściła wzrok.

— Wiele razy.

Przygryzł wąsa i zmarszczył brwi.

— Ale dlaczego?... Westchnęła.

— Nie wiem.

Uniosła spojrzenie na powrót.

— A czy ty — zapytała gorzko — zastanawiałeś się nad moim życiem? Chociaż raz?

Pokręcił głową.

— Nad życiem chyba nie... Ale czasem myślałem o tobie, Tereza.

Nagle zabolęło go — wszystko. Całe życie właśnie. Może zawinięły męczące, natrętne sny, nie przynoszące odpoczynku, może wypita gorzałka, może dziwny jakiś, pożegnalny nastrój tej rozmowy... Dość, że usiadł tam gdzie stał, pod ścianą, i oparłszy o nią głowę, opowiedział o wszystkim kobiecie, która go nie znosiła.

— Nie mam dokąd wracać, i nie mam po co tu siedzieć... — rzekł na koniec. — Jak sobie to wyobrażasz? Że wiedząc o Alerach to, co wiem, dalej będę umiał polować na nich, jak kiedyś? Niepotrzebnie tu w ogóle przyjechałem. Ona... — cały czas o żonie mówił „ona” — chciała mieć sławnego żołnierza, ale żeby ten żołnierz zdobył swoją sławę... nie wiem... w ogrodzie koło domu? Przy biesiadnym stole? Tylko że ja, Tereza, ja jestem taki sam... Nie rozumiesz? Ja, Tereza, zawsze bardzo ciebie szanowałem, a najbardziej wtedy, gdy nie było tego wcale widać... Bo ja jestem taki, jak ona. Chciałbym hardą, niepokorną kobietę, która wie, czego chce, i ma w głowie coś więcej, niż tylko siano... Ale żeby ta kobieta nie dowodziła jazdą. Cóż, gdy właśnie takie kobiety chcą dowodzić jazdą, a te, co siedzą w domu, nie są harde i rzadko wiedzą, czego chcą... Nigdy nie przyszedłem do ciebie — zrobił gest w kierunku rozgrzebanego posłania — bo i tak byś mnie wyrzuciła — uśmiechnęła się słabo — a poza tym... wolałem już iść do żołnierek. Ja, widzisz, ja nie chciałem jej zdradzać, a z tobą to byłaby zdrada. To tak jak ze służbą w domu — mówił z roztargnieniem, zapominając, że całym światem podsetniczki była najpierw zabita dechami wieś, a później wojskowe garnizony. — Zaspokojenie potrzeby, a zdrada... Przecież mogła ze służbą tak, jak ja z żołnierzami. Przecież po to w domu jest służba. Żeby usługiwać.

W milczeniu, przygryzając usta, słuchała coraz bardziej chaotycznych słów.

— Złamać życie — potrząsnęła głową. — Co tu jeszcze jest do złamania? Wojskowa kariera? Co mi po tej karierze? Chcę uwolnić się od tego wszystkiego. Myślę, że mogę zmienić... cały porządek świata. Może tego warto spróbować? Muszę jechać do Alerów, Tereza, bo... bo muszę. Tak, zbyt wiele rzeczy nie udało mi się w życiu, ale to nawet nie dlatego. Nie tylko dlatego. Pojechałbym tak, czy inaczej. Jak już zrobię to, co zrobić trzeba, może wtedy pomyślę, co dalej. Jeśli nawet nie porzucę

wojska, to poproszę o etat... bo ja wiem? W Dartanie? Może w Grombelardzie? Nie wiem jeszcze, nic nie wiem.

Zamilkł.

— Idź już — powiedziała niegłęboko. — Zdałeś komendę. Teraz idź już. Skinął jej głową, podniósł się — i poszedł.

*

Popękane okna zasłonięte były jakimiś pledami, dzięki czemu ciepło trochę wolniej uciekało z izby. Przez wąską szczelinę między ościeżnicą, a niedokładnie dociągniętą „kotarą”, tryskał promyk żółtego, migotliwego światła. Płomyki stojących na stole świec chybotwały się, a w rytm ich poruszeń płonęły i gasły drobinki śniegu pod oknem.

Siedząca w izbie kobieta, już mocno ogłuszona wstrętnym samogonem, upijała się coraz bardziej.

Z mroku, zza węgła budynku, wychynął jakiś cień. Drugi wyszedł skądś na spotkanie.

Gdy spadał obfity śnieg, przydatność kocich zwiadowców stawała się prawie żadna. Brnący w zaspach po uszy, zostawiający wszędzie ślady, widoczny jak na dłoni koci żołnierz, nie był nikomu potrzebny. Od pewnego czasu zwiadowcy Dorlota nie opuszczali stancy. Ludzie, przyzwyczajeni do widoku kotów-legionistów, w tym wypadku tylko udawali, że wszystko jest „normalnie”. Ośmiu kotów nie miała żadna placówka. Mało tego: nie wszystkie były tirsami, jak Dorlot... Dwaj zwiadowcy należeli do grombelardzkich gadba. Żołnierze spoglądali na te dziwne stworzenia ze starannie skrywanym niepokojem. Mało kto potrafił dogadać się z kotem, trudno było ocenić, co może obrazić takiego, a co tylko rozbawić. Gadba zaś zostały przez Szerń pomyślane jako maszyny do zabijania... Nic na świecie, o podobnych rozmiarach i wadze, nie miało nawet cienia szansy na zwycięską walkę z takim, kierowanym przez rozum, zwojem mięśni; ba! nawet zaskoczony człowiek mógł ulec, oślepiiony niechybnymi ciosami pazurów już w pierwszej chwili ataku... Żołnierze, wcale nie uważając kotów za coś gorszego, jednak nie do końca pojmowali ich sposób myślenia — i stąd brały się różne obawy. Szczególnie dotyczyło to, większych niż trisy i słabo znanych w Armeckie, wojowników gadba.

Taki właśnie kocur spotkał się z Dorlotem pod oknem, przez które dało się zajrzeć do izby Terezy.

— Już nie wróci — rzekł gadba. — Śpi.

Potoczyła się szybka, oszczędna w słowach, kocia rozmowa, prawie niezrozumiała dla człowieka. Skoro Rawat nie zamierzał złożyć podsetniczce ponownej wizyty, pozostało działać, nim kobieta upije się do reszty. O ile jeszcze nie było za późno...

— Werk — rzekł Dorlot, zanurzony w zimnym, białym puchu aż po brzuch. — Idę do niej.

Wielkimi łukami pokicał przez śnieg. Najpierw zajadłe drapał drzwi, ale okazało się szybko, że prędzej zwabi wartę spod palisady, niż uzyska w ten sposób audiencję... Wrócił pod okno i z kamiennym spokojem wylądował w izbie, razem z zerwanym pledem. Tereza drgnęła przestraszona, po czym, przekrzywiając głowę, obserwowała zaplątanego w szmatę kocura, jakby nie dowierzając, że naprawdę widzi to, co widzi. Zważywszy jej stan, namysł wydawał się uzasadniony.

— Kot — powiedziała wreszcie.

Nie znosiła kotów. Nie umiała wykorzystać ich zdolności, zaś sposób, w jaki przyjmowały i spełniały rozkazy, doprowadzał ją do białej gorączki. Wstała ciężko i — kiwając się pod ścianą — najwyraźniej szukała miecza przy boku... Bezskutecznie; zaraz zresztą straciła równowagę i znalazła się na podłodze, nos w nos z dziesiętnikiem zwiadowców, zionąc morderczą gorzałą.

Niewrażliwego zazwyczaj kocura zemdliło. Piwo lubił, ale wódkę miał za zwykłą truciznę; już sam zapach stroszył mu wąsy i kładł uszy na głowie.

— Nic z tego — powiedział ponuro sam do siebie.

Podsetniczka próbowała podnieść się z podłogi, mrużąc coś niewyraźnie.

— Jutro, słyszysz? — rzekł Dorlot dobitnie. — Pogadamy jutro. Dzisiaj zapamiętaj tylko jedno: nie puszczaj Agatry z Rawatem. Słyszałaś? Zapamiętasz? Agatra ma zostać w stancy.

Tereza na czworakach podpełzła do ściany, oparła o nią głowę i zaczęła rzygać.

Kocur ruszył z powrotem do okna.

— Cze... czekaj... — wykrztusiła. — Co mówiłeś?

— Nie puszczaj Agatry z Rawatem — powtórzył dziesiętnik. — Astat chce iść, ale ona nie. Wiem na pewno. Zapamiętasz? Zatrzymasz ją?

Kiwnęła głową, zaczerpnęła tchu — i znów zwymiotowała. Kocur zniknął za oknem.

12.

Ambegen wrócił do stаницы sześć dni po wyjeździe Rawata. Przyprowadził dwa kliny jazdy pod wodzą doświadczonych podsetników i zapowiedział rychłe nadejście wozów z żywnością i okryciami zimowymi. Na razie przywiózł tylko, na grzbietach koni jucznych, krótkie kożuszki i rękawice dla jazdy, która najczęściej wychodziła w pole. Wieść o nieobecności komendanta stаницы przyjął ze spokojem aż nienaturalnym; można by odnieść wrażenie, że spodziewał się czegoś podobnego. Odłożył temat na później. Nie usiadł, nie odpoczął, zjadł coś na stojąco i wziął się za robienie porządków. Nim nastał wieczór, dla wszystkich już było oczywiste, że to nie brak zapasów, nie mróz i nie tysiące Alerów stanowiły największe problemy. Przede wszystkim brakowało gospodarza. Rozlazłe rządy Rawata podkopały — i tak nienajlepsze — morale żołnierzy, wpłynęły na rozluźnienie dyscypliny. Jazda, choć zupełnie bez sensu, to jednak wychodziła w pole i kręciła się między wioskami. Ale staniczna piechota nie miała nic do roboty. Potem okazało się jeszcze, że srebrni Alerowie mają być... sprzymierzeńcami, a ścigać i tępić trzeba tylko złotych. Od dawna już chodziły pogłoski, że komendant „jest coś nie tego”, a ponieważ wszyscy wiedzieli o dziwnych snach Agatry i Astata, zaczęto podejrzewać, iż Rawat ma to samo. Dwójka łuczników trzymała wprawdzie języki za zębami, ale koledzy nawet nie za bardzo wyduszali z nich prawdę — no bo po co? Sprawa była jasna. Żołnierzom taki mętlik wcale się nie podobał. Chcieli mieć wyraźnie powiedziane: to jest wróg, to przyjaciel, bronimy wioski, albo siedzimy w stаницы... Cokolwiek, byleby to było zrozumiałe i proste. Sześć dni pod rządami nielubianej Terezy „rozłożyło” stanicę do reszty; podsetniczka nie miała żadnego doświadczenia w kierowaniu takim garnizonem, zaś jej autorytet, wystarczający dla trzydziestu jeźdźców w polu, w oczach ćwierćtysięcznej, głodnej i rozleniwionej tłuszczy, siedzącej w obrębie palisady, był żaden. Podsetnik nie mógł trzymać komendy nad stаницą — każdy głupi przecież o tym wiedział. Gdyby jeszcze w Erwie była stara załoga... Ale w ciągu minionych trzech miesięcy, przez stanicę przewaliła

się cała masa zupełnie świeżych żołnierzy, z których większość ledwie ledwie poznawała ciągle nieobecną, wiecznie hasającą po stepie podsetniczkę konnych łuczników. Ambegen wrócił w samą porę, by zapobiec szykującej się katastrofie, której ani przebiegu, ani skutków, wolał nie przewidywać.

Najpierw wziął od Terezy, podpisane jeszcze przez Rawata, wnioski o przyznanie stopni oficerskich. Podsetników zwykle mianowano z dużą pompą, było to bowiem coś więcej, niż tylko zwykłe nadanie stopnia wojskowego. Uzyskany status oficera legii raz na zawsze uwalniał od wszelkiej zależności — innymi słowy oficer, który odszedł z wojska po wygaśnięciu kontraktu, nawet jeśli kiedyś był chłopem, nie musiał wracać do swojej wioski. Patent dowódcy był tym, czym monogramy dodatkowych imion u wszystkich nosicieli Czystej Krwi, zaś dla tych, co zawsze mieli ją w żyłach — niezwykle prestiżowym podkreśleniem rangi urodzenia. Dlatego zostać oficerem nie było wcale łatwo. Wymagano odpowiedniego stażu nienagannej służby, znajomości wojskowych zagadnień i regulaminów, a ponadto jakiej takiej oglądy i prezencji (bezzębny, nieobyty, gburowaty karzeł raczej nie mógł być dowódcą wojsk cesarskich) i na koniec — czy też może raczej przede wszystkim — umiejętności czytania i pisania. Zwykłą koleją rzeczy, komendant stancy — jak Rawat — miałby prawo co najwyżej przesłać wniosek o mianowanie podsetnika do komendanta okręgu, który zatwierdziłby ów wniosek (albo nie) i przesłał wyżej. Uzyskana od dowództwa zgoda czyniłaby kandydata na oficera — właśnie dopiero kandydatem, spełniającym co prawda podstawowe wymagania, ale stojącym jeszcze przed trudnym i surowym egzaminem. Dopiero po zdaniu tego egzaminu, kandydat uzyskiwał patent podsetnika. Na szczęście w warunkach wojennych cała procedura ulegała znacznemu skróceniu; już komendant stancy w stopniu setnika mógł ocenić przydatność kandydata, przy czym bezwzględnie wymagano tylko umiejętności czytania i pisania, na całą resztę spoglądając przez palce. Stosowne egzaminy odkładano na później. Rawat powystawiał więc tymczasowe patenty — zaś Ambegen mógł je zatwierdzić.

Nowy komendant okręgu z miejsca wziął ludzi do galopu. Śnieg nie padał już od paru dni, mróz trzymał bardzo słabo, a nawet na dwie doby odpuścił zupełnie, pozwalając wyszczerzyć zęby soplom. Część śniegu

spłynęła, ale twarda skorupa, udeptana na stanicznym majdanie, zeszkliła się po chwilowej odwilży i przemieniła w pułapkę, przy której armektańskie stopnie w komnatach nie groziły niczym szczególnym. Ambegen kazał rozkuć to wszystko i wynieść precz za palisadę. Gdy tylko pracę zakończono, natychmiast odbył się apel — uroczysty lecz krótki. Nadsetnik przemówił do żołnierzy i wręczył podpisane patenty. Legioniści dostali dowódców.

— Od tej chwili tylko od was zależy, czy je zatrzymacie — rzeki, prawie surowo, wskazując dokumenty. — Gdy wojna się skończy, trzeba będzie dopełnić formalności. Przypominam o tym już teraz.

Na sam koniec Ambegen zatrzymał jeszcze jedną nominację, przywiezioną z Toru. Wywołał Terezę — i wręczył uszczęśliwionej, zdumionej i prawie przerażonej dziewczynie patent setnika lekkiej jazdy. W normalnych warunkach, musiałaby czekać na awans jeszcze ze dwa lata.

— Zasłużyłaś jak nikt inny — rzekł poważnie, a zarazem dość głośno, by słyszeli wszyscy.

Pierwsza odprawa odbyła się jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem, a właściwie już w nocy. Wybrano wielką izbę jadalną, bo w Erwie nie było miejsca na podobne zgromadzenia; pięciu oficerów, stanowiących kiedyś całą kadrę, zbierało się zwykle w izbie komendanta.

Pomimo, że do omówienia były rzeczy bardzo poważne, Ambegen z trudem powściągał uśmiech, widząc na raz tak wielu dowódców, poubieranych już w tuniki podsetników (których nie omieszkał przywieźć z Toru), zadowolonych, dumnych, zerkających z ukosa na biało zakończone, wycinane w półokrągłe zęby rękawy i dolne brzegi swych okryć. Tereza próbowała, jak na weterankę przystało, nie obnosić się ze zbytnią radością — ale młoda, dwudziestotrzyletnia natura co i rusz brała górę. Parę razy uśmiechnęła się lekko, chyba bezwiednie, czyniąc swą nieładną buzię jeszcze brzydszą. Ambegen jednak widział w tych zadowolonych twarzach potwierdzenie słuszności swej decyzji — dobrze zrobił, nie zwlekając z awansami. Wysokie morale dowódców wpływało na morale żołnierzy — i było tak, że przez prosty w końcu zabieg, polegający na wręczeniu kilku inaczej skrojonych i obszytych, mundurowych tunik, pomnożył bojową siłę Erwy przez dwa.

Najpierw zatwierdził reorganizację garnizonu, kulawo, ale jednak,

przeprowadzoną jeszcze przez Rawata. Zmienił tylko jedno: całą jazdę, w składzie dwóch klinów i jednej półsetki, zebrał w jedną kolumnę i przydzielił Terezie, podsetnikom zostawiając piechotę w postaci samodzielnych klinów, jak chciał Rawat (bardzo słusznie zresztą; nikt poza Terezą nie miał wystarczającego doświadczenia, by dowodzić czymś więcej niż klin). Potem poruszył sprawę rozbudowy stancy; komendant Rawat, snujący plany przymierza z Alerem, wyraźnie „nie miał głowy” do tak przyziemnych spraw... Przy stancy raczej dłubano, niżli prowadzono jakieś prace. Na sam koniec została sytuacja ogólna. Ambegen chciał, by nowi oficerowie zaczęli jasno sobie zdawać sprawę, iż uczestniczą w czymś większym, niż opędzanie się Erwy przed chmarami złotych i srebrnych Alerów.

— Wkrótce nadejdą posiłki. — powiedział. — Zakończono koncentrację

półlegionów w okręgach miejskich Riny i Rapy, te siły już tutaj idą. W Rapie pozostał półlegion straży morskiej, oddziały tego samego półlegionu zastąpiły też tymczasowo garnizon miejski Riny. Łącznie spod Riny i Rapy przybędą dwa legiony o pełnych stanach, razem półtora tysiąca żołnierzy. Głównie lekka piechota.

— Piechota? — zdziwił się ktoś niegłośnie i zaraz umilkł skonfundowany.

Ano właśnie... Ambegen w żaden sposób nie okazał zniecierpliwienia, choć miałby do tego powody. Chciał wierzyć, że nowi oficerowie sprawdzą się w polu. Na razie jednak wykazywali braki elementarnej wiedzy. No trudno. Miał przynajmniej okazję, by utwierdzić czyjś autorytet...

— Lekka piechota — powtórzył — To okręgi miejskie, przypominam. Tereza, wytłumacz obszerniej. Chcę, żeby wszyscy mieli jasny obraz sytuacji.

Setniczka nie była oficerem z przypadku. Ambegen miał świadomość, że wiedza tej dziewczyny — znacznie młodszej, niż niektórzy słuchacze — nie przejdzie bez wrażenia. Dobrze, by zaczęli zdawać sobie sprawę, że dowódca to ktoś, kto nie tylko krzyczy: „Marsz, marsz!” i prowadzi żołnierzy do ataku.

— Północna Granica — spokojnie zaczęła Tereza. Mówiła niegłośnie, prawie cicho, jakby dobrze wiedząc, że jest to najlepszy sposób na

przykucie uwagi słuchaczy. — Dwa Wojskowe Okręgi Zachodnie z dowództwem w Rewinie, i dwa Wschodnie, z dowództwem w Torze. Okręgi zachodnie zaopatrywane i uzupełniane są przez miejski okręg Trzech Portów, okręg stołeczny, jak wszyscy wiedzą, mam nadzieję.

Ktoś zaśmiał się krótko i umilkł.

— W Kirlanie stoi Gwardia Cesarska, więc żołnierzy dla zachodnich okręgów szkolą tylko Kanaza i Donar. Mówiąc Kanaza i Donar mam na myśli, że tam znajdują się dowództwa garnizonów miejskich, a w Kanazie ponadto dowództwo wszystkich sił okręgu. Kanaza i Donar, jako miasta portowe, strzeżone są przez żołnierzy straży morskiej, nie legii. Okręgi wschodnie, a więc my, zaopatrywane są przez Rinę i Rapę. To także są porty, chociaż Rina nie leży nad morzem. Docierają jednak do niej pełnomorskie żaglowce, a to dzięki Lawii, bardzo głębokiej i szerokiej w dolnym biegu. Każde z tych miast strzeżone jest przez półlegion straży morskiej. Wynikałoby z tego, że wszystkie cztery miasta, zaopatrujące cztery wojskowe okręgi, mogą przysłać najwyżej żołnierzy piechoty morskiej. Wybornych w walkach abordażowych z piratami i odpornych na morską chorobę.

Cisza. Podsetnicy próbowali chyba dociec, czy setniczka mówi poważnie. Ambegen z trudem powściągał uśmiech.

— Okręgi miejskie to jednak nie tylko wielkie miasta — podjęła po krótkiej przerwie Tereza. — Oprócz straży morskiej, we wszystkich okręgach stacjonują jeszcze siły Legii Armeckańskiej. W okręgu Rapy półlegion, a w okręgu Riny aż dwa półlegiony. Są to oddziały o pełnych stanach bojowych, nie pokojowych, jak w innych częściach cesarstwa. A dlatego, że nadwyżki żołnierzy kierowane są do nas, w celu wyrównania poniesionych strat. Poza miejskimi murami, rozproszone są po okręgach nieduże garnizony piechoty i jazdy, wystarczające do zapewnienia spokoju i wyszkolenia odpowiedniej liczby żołnierzy dla stanic, jednak w sumie jazda stanowi mniejszość wojsk. Teraz nie chodzi o uzupełnienia, tylko o skierowanie pod Północną Granicę, do nas, całych rozporządzalnych sił. Przyjdzie więc tutaj piechota z patroli miejskich. Nie tylko taka... ale głównie taka. Ponadto półlegion marynarzy z Riny... czy tak, panie? — zwróciła się do nadsetnika. — Mówiłeś o dwóch pełnych legio-nach, a także o tym, że część straży morskiej z Rapy przerzucono do Riny? Ambegen skinął głową.

— Właśnie tak — powiedział. — Nie od dziś wiadomo, że przychodzące do stanic uzupełnienia to żołnierz zupełnie surowy — rzekł, widząc niepewne spojrzenia podsetników. — Nikt nie nabywa wojennego doświadczenia, jeśli się nie bije. Ale w skład wymienionych sił wchodzi też parę doborowych oddziałów Gwardii Armektańskiej. Są to kliny złożone głównie z żołnierzy, którzy bili się tutaj i chwalebnie zakończyli przygraniczną służbę. Ponadto Trzy Porty wystawiły silny legion, wsparty przez kolumnę Gwardii Cesarskiej. Gdy wyjeżdżałem z Toru, jazda z Trzech Portów już tam była. Razem Trzy Porty przysyłają tysiąc dwustu ludzi. Oprócz tego dostaniemy, być może, trochę pojedynczych klinów jazdy, ściąganych z różnych okręgów, takich jak te, które przyprowadziłem dzisiaj — skinął głową w stronę, gdzie siedzieli dowódcy wymienionych oddziałów. — I to wszystko. Do wiosny.

Przez chwilę panowało milczenie.

— A na wiosnę? — spytał ktoś.

— A to już nas na razie nie obchodzi — uprzejmie odparł nadsetnik. — Bo przed wiosną jest zima, podsetniku, i będziemy bić się przez całą długą zimę.

Cisza trwała i trwała. Spośród zgromadzonych w izbie oficerów, naprawdę bardzo niewielu miało jakieś pojęcie o strategii. Jednak nie trzeba było wielkiej wiedzy ani wyobraźni do uświadomienia sobie, że te trzy na krzyż legiony, w zetknięciu z tysiącami srebrnych wojowników, rozlecą się jak... kopnięta babka z piasku.

— No dobrze, koniec tych rozważań — rzekł Ambegen powstając. — Bez względu na to, co wam się wydaje, twierdzą że są to siły, z którymi można przedsięwziąć niejedno. Problem nie leży wcale w tym, jak ich użyć, tylko gdzie pomieścić... Przecież nie w naszej Erwie — zakończył półzartem, półserio. — Koniec odprawy, dziękuję. Tereza — zatrzymał setniczkę — ty nie odchodź.

Wkrótce zostali sami.

Ambegen był zmęczony, ale nie okazywał tego. Uporał się z najpilniejszymi zajęciami, postawił stanicę na nogi i wiedział, że teraz może poświęcić się innym sprawom. Pozostało tylko pilnować, by każdy robił to, co do niego należy.

— Dobrze, setniczko — zagaił — Teraz mów. Wysłuchał opowieści o tym, co przedsięwziął Rawat.

— Sześć dni, mówisz? — mruknął na koniec. — I co? Żadnych wieści?
— Żadnych wieści — powtórzyła jak echo. Podał jej kilka zapisanych kart.

— To jest odpis listu od mędrca z Grombelardu — powiedział. — Zapoznaj się z tym jak najszybciej. Nie wiem dlaczego komendant Miven trzymał to u siebie tak długo, zamiast od razu rozesłać do stanic. Chociaż... może i dobrze zrobił. Niewiele z tego listu wynika, a i to dopiero teraz, bo jeszcze trzy miesiące temu nie wynikało nic zgoła. Czy wiesz — zagadnął nieoczekiwanie — że Rawat ma bardzo poważne kłopoty? Osobiste kłopoty. Bo służbowe to dopiero będzie miał...

Zauważył, że dziewczyna zeszywniała.

— Wiem — powiedziała niegłośnie. — Tobie, panie, też opowiadał?... Pytanie było naiwne, co się zowie, i Ambegen pokręcił tylko głową.

— Wiem skądinąd — rzekł wymijająco. — Ale mówisz, że przed tobą się zwierzył?

— Nie — skłamała, mocno czerwieniejąc. — Tak — przyznała. — Rozmawialiśmy.

Nie pytał o szczegóły tej rozmowy.

— Powiedziałaś, że Dorlot...?

— Wszyscy zwiadowcy. Poszli za Rawatem. I to mnie najbardziej niepokoi, że nie przyszły żadne wieści od nich. Zdaje się, że taka zima to nie jest dobry czas dla kota? — trochę zapytała, a trochę stwierdziła. — Może niepotrzebnie się zgodziłam...

— Przeciwnie — zaprzeczył — to najlepsze, co mogłaś zrobić. Ten kocur ma głowę na karku, bardzo dobrze, że posłuchałaś jego rady. I zatrzymałaś Agatrę?

— Pewnie, że zatrzymałam... — spochmurniała jeszcze bardziej. — W stnicy jest dziesięć łuczniczek, trzy kurierki i parę dziewczyn do pomocy w kuchni... Odkąd Erwa została splądrowana, pamięta się o wszystkim, tylko nie o ziołach. Na co komu jakieś zielsko? — spojrzała ze złością. — Już cztery chodzą z brzuchem! Jednej naturalnie zaraz odwiedziało się wojsko — skrzywiła usta — będzie rodzić, niańczyć... ech, to już nie moja sprawa! Ale tamte trzy będą chyba skakać na pięty ze stołu, bo ziół na spędzenie płodu oczywiście nie ma! No i tak to, panie, właśnie jest: kożuchy przywiozłeś, znakomicie, ale żeby zabrać z Toru parę suchych liści, które ważą tyle, co powietrze, to już nie pomyślałeś...

Na pewno mają to w Torze.

Ambegen przygryzł wargę — bo istotnie zioła były ostatnią rzeczą, która przyszłaby mu do głowy.

— I Agatra też? — zapytał.

— Agatra przede wszystkim. Dla tej dziewczyny legia to wszystko, co ma w życiu i naprawdę boję się o nią. A jeszcze bardziej o tę małą, nawet nie wiem, jak ma na imię... — zamyśliła się. — Dzieciak z trudem dostał się do legii, ledwie trafiła tu z ostatnich uzupełnień, i po wszystkim. Wracaj, mała, do swej wioski, wszystkie marzenia masz z głowy... Zrobi sobie coś złego, wiem co mówię — spojrzała poważnie. — Trafiłam do wojska, gdy byłam niewiele starsza, i z takiej samej wsi. Gdyby wtedy mnie to spotkało, podciąłabym sobie żyły.

Ambegen zmarszczył brwi. Rozmowa zбочyła na temat, którego nie brał pod uwagę. Może jednak dobrze się stało. Zdał sobie bowiem sprawę z tego, jak powierzchownie zna niektóre problemy swoich podkomendnych. Niby zawsze wiedział o tym wszystkim, ale...

— A ta, co chce donosić... — powiedziała jeszcze Tereza. — Trzeba ją odesłać jak najszybciej. Pozostałe dziewczyny mogą zrobić jej krzywdę.

— Chyba trochę przesadzasz? — zauważył cierpko. — Nie pamiętam, żebym zetknął się z czymś takim.

— A ja tak — odparła spokojnie. — Komendant stancy, i w ogóle dowódca, nie styka się z czymś takim. Dowiaduje się tylko, że łuczniczka jest chora i trzeba odesłać ją na tyły. Ale nie wie, że jest chora, bo inne skopały ją po brzuchu. Teraz niestety nie mogę, ale kiedyś sama chętnie przyłożyłam się do czegoś takiego.

Patrzył osłupiały.

— Co ty wygadujesz? — wymamrotał. Spokojnie patrzyła mu w oczy.

— Nie, to ja zapytam: a co ty sobie, panie, wyobrażasz? Chcesz, opowiem ci jak to jest — odgarnęła włosy z czoła. — Masz czternaście lat i mieszkasz we wsi, świnie, krowy i piątka rodzeństwa, z tego połowa obesrana, to wszystko, co cię otacza. I pewnego dnia... pewnego dnia do wsi przyjeżdżają żołnierze... — zapatrzyła się gdzieś w kąt izby. — I jest z nimi dziesiętniczka, ma może dwadzieścia lat, a może jeszcze mniej. Ma niebieską tunikę z gwiazdami na piersi, siedzi na pięknym koniu, i żołnierze mówią do niej „tak, pani, nie, pani”... Szukają kwater. I przyjeżdża więcej żołnierzy, a z nimi oficer, ale jaki! Jaki mężczyzna!

Nigdy w życiu takiego nie widziałaś! I rozmawia z tą dziesiętniczką, śmieją się z czegoś, żartują, ona coś mu doradza, on słucha, ona w jego imieniu zaczyna wydawać rozkazy... A wieczorem słyszysz, jak dziesiętniczka rozmawia z twoim stryjem i ojcem, i okazuje się, że to taka dziewczyna jak ty, co jeszcze niedawno pałała świnie... Nie możesz w to uwierzyć! Rano żołnierze jadą dalej, a ty znajdujesz mały, kiepski łuk, z którego ojciec nauczył cię wypuszczać strzałę, naprawiasz go i strzelasz do drzewa na pastwisku, masz tylko dwie strzały i więcej biegasz, niż strzelasz... Potem budzisz się w nocy, wykradasz się z domu i znów strzelasz, przy świetle księżyca, o świcie, o zmierzchu... Masz pokaleczone palce przez cięciwę, jesteś ciągle niewyspana, mijają miesiące, potem rok, a ty myślisz o pięknej dziesiętniczce, i wreszcie kiedyś, kiedy strzelasz najlepiej w całej wsi, stryj przynosi jakieś brudne, wygniecione pismo, które przeszło przez wiele rąk, naradzają się z ojcem, są trochę niezadowoleni, ale także jakoś dumni... Wołają cię i biedzą się wspólnie nad dokładnym odczytaniem liter, dowiadujesz się, gdzie i kiedy trzeba się stawić, żeby być przyjętym do wojska!

Setniczka wstała. Była zdenerwowana, podniecona i rozgorączkowana. Ambegen patrzył na nią bez słowa. Nigdy dotąd nie słyszał podobnej opowieści.

— A tam tłumy — ciągnęła po chwili, już ciszej. — Dziesiątki, a może setki takich, jak ty... Najwięcej chłopaków, ale są też dziewczyny. Przychodzą oficerowie, idziesz, gdzie ci każą, najpierw masz strzelać z łuku, nawet z tobą nie rozmawiają. Potem kręcą głowami i mówią: „Nie, dziecko, my tu nie uczymy strzelać od początku. Możemy ci pokazać, jak się trafia spod szyi galopującego konia, ale najpierw ty nam pokaż, że zawsze trafiasz na stojąco”. I to wszystko, nic więcej...

Urwała na chwilę.

— Boisz się wrócić do wsi. Wracasz, ale nie możesz spać, nie możesz jeść, tylko płaczesz. Ojciec zaciska zęby, gdzieś idzie, coś sprzedaje, i pewnego dnia przynosi łuk, prawdziwy wojskowy łuk z zapasem strzał. I nagle widzisz, że ten dobry, zmęczony mężczyzna, który nic dobrego od życia nie miał, chciałby mieć choć córkę-legionistkę, w której spełnią się jego własne, skrywane marzenia... Jaki byłby dumny, mając taką córkę, on jeden w całej wsi! A wtedy strzelasz, strzelasz, strzelasz i strzelasz, aż ramiona masz twarde, jak kawałki drewna! I następnym razem

przyjmują cię do legii! I przychodzisz do domu w tunice łuczniczki, i ojciec płacze, kiedy cię w niej widzi!

Dziewczyna zamilkła wzburzona.

— A po pewnym czasie, w oddziale — podjęła wreszcie — pojawia się taka, co będzie rodzić dzieci. Będzie matką-Armektanką. Może to przez nią, kiedyś, zabrakło miejsca dla ciebie, może odebrała je innej dziewczynie, która teraz, tak jak ty przed laty, zrywa sobie ścięgna przy napinaniu łuku, który ojciec kupił jej za to, co przez dwa miesiące odjął sobie i rodzinie od ust. Żeby zostać mamą, nie trzeba odbierać innym marzeń, wystarczy nadstawić dupę... Można potem chować piątkę albo siódemkę, lepiej albo gorzej, nawet jak które umrze z głodu, to nic się wielkiego nie stanie, mało to szczeniaków umiera? No to wiesz już teraz, panie, dlaczego dziewczyny kopią takie suki. I wiesz pewnie, dlaczego je rozumiem.

Ambegen milczał, nie wiedząc co powiedzieć. Odśloniono przed nim nagle, skrytą w cieniu, stronę życia, które znał przecież... a przynajmniej uważał, że zna. Chociaż — czy naprawdę skrytą w cieniu? Wszystko to było tuż, w zasięgu ręki. Nic nie wiedział o namiętnościach i rozterkach tych ludzi — podczas gdy pierwsza zatrzymana na majdanie żołnierka powiedziała mu pewnie to wszystko, gdyby tylko zapytał. Ale nie zapytał. Nie zapytał przez dwadzieścia parę lat służby... Nie widywał brzemiennych żołnerek, ani jako prosty legionista, ani później jako dowódca. Wydawało mu się przez to, że problemu nie ma. Raz i drugi słyszał coś o babskich ziołach, czasem zwalniał łuczniczkę, żeby poszła do wsi, do jakiejś znachorki... Niby wiedział, po co. Ale cóż? Tylko raz był z tego duży problem, jakaś żołnierka krwawiła, ale miał wtedy na głowie zbyt poważne sprawy, w stancy leżało tylu rannych, że jedna krwawiąca dziewczyna... Odesłał ją na tyły, razem z innymi rannymi. Prawdę mówiąc, nawet nie wiedział, jak to się skończyło. Paru ozdrowieńców wróciło do stancy. Ona nie... Ale nie wróciło też wielu, wielu innych.

— Agatra w każdym razie została — setniczka nieoczekiwanie wróciła do sedna, przerywając zamyślenie dowódcy. — Nie powiedziałam nikomu, że wiem od Dorlota — ciągnęła, jakby czując, że pora nie jest najwłaściwsza do rozmowy o kłopotach kobiet w stanicach. — Dopiero tobie, panie. Rawat i Astat nie mieli pojęcia, wmówiłam im, że mam dobre oko do tych rzeczy, i tyle. Agatra przyznała się... i nie poszła.

Rozmawiałam z nią parę razy od tamtego czasu. Ona zupełnie inaczej widzi to wszystko, co opowiadał Rawat. Niby śni o tym samym... No wiesz, panie, o co mi chodzi. Widzi to samo, ale nie tak samo.

— Co jest inaczej? — zapytał Ambegen, wciąż jednak bardziej myśląc o tym, co było mówione wcześniej.

— Nie wiem — Tereza przygryzła wargę. — Ona też nie wie. Twierdzi po prostu, że ze Srebrnymi Plemionami nie można się porozumieć, uważa też, że ten bóg... no, ten posąg, który tam wykopali, to coś bardzo złego. Aż trudno z nią rozmawiać na ten temat, ona boi się tej rzeźby tak panicznie, że... aż nie wiem, co o tym myśleć. Może nawet, hm... — znacząco popukała się w głowę. — Bo trochę tak to wygląda.

— A ten łucznik? Ten, który poszedł z Rawatem?

— Myśli to samo, co Rawat.

Ambegen westchnął i przetarł twarz dłońmi.

— A ty, Tereza? Chcę znać twoje zdanie. Cała ta sprawa... — potrząsnął głową. — Nie mówiłem ci jeszcze, że Rawat posłał pismo do Toru? Już w tym piśmie rozwodził się szeroko na temat układów z Alerami. Układy, negocjacje, przymierze... Prawie cały list o tym. Czytałem go.

— I co na to w Torze? — zapytała niepewnie.

— A jak myślisz?

— Myślę, że... — zawahała się. Westchnął znowu.

— Chcę poznać twoje zdanie — zażądał raz jeszcze. — Mów, Tereza. Zostaliśmy w tej izbie właśnie po to, żeby gadać.

— Ja myślę, panie, że to wszystko jeden stek bzdur — orzekła treściwie i zwięźle. — Uważam, że trzeba wytłuc tak samo złotych, jak i srebrnych, jeśli można, to do ostatniego. Zabijanie tego robactwa to jedyne, w czym widzę tu jakiś sens. Wróg jest wrogiem. Dogadywać się można z nim wtedy, gdy leży na ziemi z grotem włóczni przytkniętym do pleców. I nie wcześniej.

— Nie, na Szerń — powiedział bezradnie. — No i jakim cudem, dziewczyno, ty tak łatwo chwytasz sedno sprawy, gdy oficer taki, jak Rawat... Powiedz mi. Co się stało z tym człowiekiem? Właśnie o to chodzi — podsumował. — Mogę ci tylko powiedzieć, że najtęższy strateg czy polityk imperium nie powiedziałaby nic mądrzejszego, niż to, co ty powiedziałaś na końcu... Układy z Alerami? Proszę bardzo, nawet

wieczny pokój, jeśli tylko jest to możliwe. Ale przecież nie teraz. Nie słyszałem, by ktoś zdołał wynegocjować coś mądrego z przeciwnikiem, który właśnie kopie go po żebrach. A na razie jesteśmy kopani. Jak psy.

Westchnął po raz kolejny.

— Ja... — przełknęła ślinę — mam prośbę, panie.

— Chcesz wyciągnąć Rawata z tego, w co właśnie wdepnął.

— Tak — szepnęła, odwracając spojrzenie.

— Nie — oznajmił krótko.

— Rawat...

— Nie i koniec. Powiedziałem, Tereza. Wstał nagle i przeszedł się po izbie.

— Co byś chciała? — zapytał. — Szukać go gdzieś, nie wiadomo gdzie, między zgrajami Alerów? Sama? Czy z tymi ludźmi, którzy teraz śpią, a nie zrobili nic, za co mieliby położyć głowy? Rawat... — urwał. — Posłuchaj, setniczko: Rawat to mój przyjaciel... Jak sądzisz, czy wielu mam przyjaciół? — rozłożył ręce, jakby pokazując pustą izbę. — Ale właśnie dlatego nie mogę i nie chcę narażać życia wielu żołnierzy dla ratowania kogoś... bliskiego mi osobiście. Ci żołnierze nie są od tego. Czy każdy tutaj może posłać stu ludzi dla ratowania przyjaciela, który sam sobie napytał biedy? Nie, nie każdy. A właściwie może to zrobić tylko komendant Ambegen — położył rękę na piersi. — I dlatego właśnie nie robi.

Pochylił się nagle ku niej, wspierając rękami o wielki, masywny stół.

— Posłałbym cię natychmiast, gdyby popadł w tarapaty jak wtedy, gdy dostałaś ode mnie wszystkich jeźdźców! Czy ja jestem głupi, Tereza? Czy ja nie wiedziałem, że poszłaś do bitwy, nie na zwiady? Złamałem rozkaz z Alkawy, ale mój oficer znalazł się w opałach, wykonując swoją pracę, ciężką pracę! Gdyby teraz było tak samo... Ale nie jest! Czy ja mam wytępić własnych żołnierzy, posyłając ich z odsieczą każdemu, komu klepki pomieszały się we łbie?!

Cofnął się, unosząc ręce w geście prawie desperackim.

— Nie mogę, Tereza. Nawet nie mamy pojęcia, gdzie go szukać. Ani czy w ogóle jeszcze żyje... Pokiwała głową.

— Tak, panie.

Podniosła ku niemu oczy — i zobaczył w nich szczery smutek.

— Tylko, że on został sam, zupełnie sam. Wszyscy zdradzili go w

życiu... A on teraz poszedł robić coś, w co wierzy, że jest dobre. Nie poszedł tam dla zysku, ani dla sławy... I jeżeli nawet mu się uda, jeśli nawet zawrze jakieś przymierze, to inni mu porąbią to przymierze mieczami... Żal mi go — powiedziała niegłośno. — To dobry żołnierz... i naprawdę, naprawdę dobry człowiek.

Przymknął oczy.

Milczeli.

— Pokaz mi chociaż cień szansy — powiedział. — Dowód, że jeszcze żyje. Miejsce, gdzie można go znaleźć. Wtedy... Wtedy nie wiem. Ale teraz — nie.

Coś ją obudziło nad ranem — i nie wiedziała co. Leżała z otwartymi oczami, wsłuchując się w noc. Wreszcie usłyszała stłumiony, niewyraźny krzyk, brzmiący jak zawodzenie dzikiego zwierzęcia. Coś takiego wyrwało ją ze snu, była prawie pewna.

Odrzuciła przykrycie i wstała. W izbie panowały głębokie ciemności; „lichwiarz” — jak żołnierze nazywali wolno płonącą, prawie nie dającą światła świecę, od której zawsze pożyczano się ogień dla innych — zgasł w kącie, a krzesiwo i hubka gdzieś się zapodziały. Drżąc z zimna, po omacku szukała jakiegoś okrycia.

Nieludzki krzyk rozbrzmiał znowu. Zaraz potem usłyszała skrzypienie śniegu pod oknem. Załomotano do drzwi.

— Pani, obudź się...

— Wejdz! — krzyknęła; drzwi nie były zamknięte. Jakaś łuczniczka (z powodu ciemności Tereza nie mogła poznać, która to) weszła do izby.

— To Agatra, pani. Ona...

— Co z nią? — setniczka znalazła buty i z wysiłkiem wbijała stopy w zimną skórę.

— Nie wiemy. Coś złego.

Uporawszy się z butami, Tereza namacała spódnice, a obok przeszywani-cę. Założyła jedno i drugie.

Krzyk w ciemnościach rozległ się znowu.

— Już. Chodźmy.

Niskie, rozłożyste budynki żołnierzy ustawione były wokół majdanu, tworząc szerokie półkole. W każdym, oprócz rozległej sieni, znajdowały się tylko dwie izby, jedna przeznaczona na podręczny rynsztunek, a druga, większa, mieszkalna i sypialna zarazem. Kiedyś w każdym

budynku kwaterował jeden klin, albo półsetka, więc trzydziestu, góra pięćdziesięciu ludzi. Teraz było ich dwa razy więcej. Rozbudowa stancyi posuwała się zbyt ślamazarnie.

Przed budynkiem pieszych łuczników zbierali się, wyrwani ze snu, żołnierze różnych formacji.

— Koniec zbiegowiska! — stanowczo zarządziła Tereza; jej mocny głos bez trudu dotarł do uszu wszystkich. — Podsetnicy!

— Tak, pani — rozbrzmiały w mroku dwa, czy trzy głosy; nowo mianowani oficerowie wciąż jeszcze mieszkali ze swymi żołnierzami.

— Zabrać stąd ludzi, natychmiast. Wszyscy spać.

— Tak, pani.

Wkroczyła do budynku.

Wielka izba, gęsto zastawiona wąskimi, żołnierskimi pryczami, skryta była w migotliwym półmroku; płomyki paru świec i kaganków nie radziły sobie z wszechobecnymi cieniami. W izbie nikt nie spał. Żołnierze, w mniejszych i większych grupkach, siedzieli tu i tam, spoglądając niepewnie w stronę największego skupiska. Niektórzy szli ku niemu, inni właśnie wracali. Wyłonił się skądś podsetnik łuczników. Lawirując między posłaniami i ludźmi, ruszył na spotkanie Terezy.

— Posłałem, pani...

Zduszone, a jednak przeraźliwe zawodzenie, zagłuszyło słowa. W zatłoczonej izbie brzmiało to inaczej, niż słyszane z zewnątrz i Terezę przeszył mimowolny dreszcz. Przepchnęła się przez krąg ludzi, otaczających stojącą pod ścianą pryczę — i zobaczyła Agatrę. Zwinięta w kłębek łuczniczka była mocno trzymana przez dwie inne. Pół klęcząc, pół leżąc na podwiniętych nogach, z rękami wykręconymi do tyłu, co jakiś czas próbowała się wyrwać. Z przekręconą na bok głową i policzkiem wtłoczonym w szorstki pled, szczerząc zęby i śliniąc się, nieruchomo patrzyła w jakiś punkt... Ale nic tam nie było. Nic niezwykłego, a tym bardziej groźnego.

Setniczka przysiadła na łóżku.

— Agatra?

Dziewczyna nie słyszała, a jeśli nawet — to nie rozumiała. Tereza obejrzała się na podsetnika.

— Ona, pani... — oficer był kompletnie zagubiony i chyba przestraszony. Nie minęło nawet pół doby od chwili, gdy został dowódcą

tych ludzi. Pierwszy problem, z którym się zetknął, był trudny do rozwiązania nawet dla doświadczonego oficera. — Ja właściwie... chciałem po komendanta...

— Ale ja obudziłam ciebie, pani, bo... — zająknęła się łuczniczka, która sprowadziła Terezę.

Tereza uważała, że dziewczyna postąpiła mądrze, jednak nie mogła głośno pochwalić niewykonania rozkazu podsetnika. Znów spojrzała na Agatrę i wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć mokrego od potu czoła...

Dziewczyna wyprężyła się, zaskowyczał tak, jakby właśnie podrzynano jej gardło i poderwała głowę, wytrzeszczając przerażone oczy.

— To żyje! — zawyła. — To... żyyy-jeee!...

Gwałtowny skurcz mięśni na nagich plecach rozerwał uchwyt trzymających jej ręce legionistek. Agatra rzuciła się głową naprzód, uderzając w brzuch stojącego przy pryczy łucznika, tak jakby go w ogóle nie widziała. Pochwycono ją zewsząd. Kopiąc i na oślep tłukąc ramionami, wyła nieustannie, płacząc z przerażenia, widocznego w każdym drgnieniu wykrzywionej twarzy.

— Niece...! Nie jego!! Dor-loot!! Zabierzcie to! Dor... Dorlot, ratunku! Tereza wstrząśnięta tak samo, jak wszyscy, zupełnie nie wiedziała, co począć.

— Dorlot! Proszę, Dorlot! — rozpaczliwie płakała Agatra.

Wyrywała się ze wszystkich sił, przyduszona ciężarem napierających zewsząd żołnierzy, trzymana za ręce, za szyję, za włosy... Na wygniecionej, wojskowej spódnicy, w której chyba spała, zaczęła się powiększać jakaś ciemna plama.

— Wyjść! Powiedziałem: wyjść, wszyscy wyjść!

Potężny głos Ambegena nie zostawił nikomu nawet chwili do namysłu, a tym bardziej sprzeciwu. Półnadzy i zupełnie nadzy żołnierze, tak jak stali, zaczęli się tłoczyć u drzwi, wypadając na mróz. Nadsetnik, rozgarniając ich rękami, przebił się do Agatry i Terezy.

— Złap ją!

Setniczka chwyciła wpół rozdygotane, wijące się ciało. Ambegen, w samej spódnicy, chwycił za ramię jednego z trzymających Agatrę łuczników i oderwał go od niej, jak liść od gałązki na drzewie.

— Mówiłem: wszyscy! Wszyscy wyjść!

Tereza stęknęła, próbując samotnie utrzymać skowyczącą, bijącą ją po głowie i kopiającą po nogach dziewczynę. Wywodzący się z ciężkozbrojnych, masywny jak góra komendant desperacko obejrzał się przez ramię, a widząc tylko plecy ostatnich czmychających żołnierzy, zacisnął wielką pięść i dał nią obłąkanej łuczniczce po głowie.

Agatra zamilkła. Opadły jej ramiona i powoli, bezwładnie zaczęła osuwać się na podłogę, podtrzymywana przez Terezę. Znieruchomiała ze zwieszoną głową, siedząc z plecami opartymi o pryczę.

Setniczka uniosła oczy i napotkała spojrzenie Ambegena — wystraszone prawie tak, jak jej własne. Komendant powoli opuścił zaciśniętą pięść, przełknął ślinę, po czym razem z Terezą ułożył nieprzytomną na łóżku. Setniczka krótkim szarpnięciem zadarła leżącą spódnicę i zaraz opuściła ją na powrót.

— Ona poroniła. Nie, panie, to nie przez ciebie — powiedziała prędko, widząc rozszerzone oczy mężczyzny. — Idź sobie, zrobiłeś już wszystko, co trzeba było zrobić... Przyślij mi tu wodę i jakieś dziewczyny.

Ambegen odwrócił się i pospiesznie wyszedł, nie mówiąc ani słowa.

*

Rano przeniesiono Agatrę do kwatery Terezy. Obolała, wyczerpana łuczniczka, ocknąwszy się, pamiętała koszmarne przywidzenia — ale za to zupełnie nie miała pojęcia, co działo się oprócz tego. Nie wiedziała, że jej krzyki postawiły stanicę na nogi; nie wiedziała o swej desperackiej szarpaninie, ani o tym na koniec, że wielki siniak na skroni nie jest dziełem przypadku... Tereza nie chciała męczyć jej pytaniami, ale okazało się, że Agatra sama nalega, by jej wysłuchano. Tereza posłała więc po Ambegena.

Komendant okręgu był w humorze, jaki rzadko u niego widywano. Mówił z silniejszym, niż zwykle, grombelardzkim akcentem, patrzył na ludzi tak, jakby prosił, żeby zeszli mu z drogi, nie zjadł nawet porannego posiłku, choć skądinąd wiadano, że zjeść i lubi, i potrafi. Ale w rzeczy samej — zaczynał mieć dosyć wszystkiego. Był żołnierzem. Wybrał sobie ten zawód świadomie, pociągało go w nim wiele rzeczy, ale przede wszystkim — naturalna skłonność wojska do upraszczania i wyjaśniania wszystkiego, co tylko uprościć i wyjaśnić się dało. Tymczasem od trzech miesięcy plątał się w gąszczu czegoś, co z jasnością miało tyle wspólnego, że nastąpiła zima i wszędzie leżał biały, lśniący śnieg. Najpierw był

komendantem stancy bez oficerów, teraz komendantem okręgu bez stanic. Gdzieś po okolicy krążyły srebrne zgraje, które mogły się pokusić o zdobycie Erwy, ale nie czyniły tego z jakichś przyczyn. Oficer dowodzący Erwą, zanim uciekł, by prowadzić negocjacje, zakazał zresztą atakować srebrne zgraje (czyli te, które mogły być groźne), polecając w zamian atakować złote, które w żaden sposób nie umiały zdobyć stancy z ćwierćtysięczną załogą w środku... To był jakiś obłąd. Wracając z Toru, Ambegen miał nadzieję, że położy na tym wszystkim swoją ciężką rękę, wygładzi i wyrówna wyboje, po czym popchnie we właściwym kierunku — i nareszcie będzie mógł usiąść z palcem przytkniętym do czoła, żeby zastanowić się, gdzie rozmieścić i jak wykorzystać nadciągające posiłki, jak rozegrać tę wojnę, po prostu. Ale nie. Na plan pierwszy, zamiast spraw wojskowych, od razu wysunęły się jakieś... cudactwa. Jakieś sny, jakieś pomyłone dziewczyny, jakieś... O, naprawdę miał tego dosyć!

— Komendant już idzie — oznajmiła Tereza, wyglądając przez okno. Zaciągnęła na powrót przysłaniający je pled. — Chyba nie jest w najlepszym humorze...

Błada Agatra odwróciła głowę w jej stronę i wyżej podciągnęła okrycie, pod którym leżała. Zebrawszy się w sobie, zapytała nagle pospiesznie, mocno zdławionym głosem:

— Pani, czy to było... normalne?...

Tereza, w jakiś sposób, od razu pojęła, co ma dziewczyna na myśli. I zdała sobie sprawę, że chora już od dłuższego czasu szykowała się, żeby zapytać. Ale przełamała się dopiero usłyszawszy, że idzie komendant; nie chciała pytać przy nim.

— Tak, normalne... — powiedziała cicho, słysząc już kroki na śniegu. — Tak mi się wydaje.

Agatra odetchnęła głęboko. Niespodziewanie zwilgotniały jej oczy.

— Bo ja śniłam, pani, że noszę potwora... Już od dawna.

— Nie, Agatra.

Ambegen wszedł bez pukania. Ogarnął wzrokiem dwie kobiety, skinął im głową i usiadł, nie mówiąc ani słowa.

Przez chwilę milczeli wszyscy troje. Tereza przestraszyła się nagle, że lada moment nachmurzony Ambegen rąbnie: „No gadaj, nie mam czasu!”, albo coś podobnego. Zaczęła więc szybko:

— Agatra... O czym chciałaś nam opowiedzieć?

Żywiła obawy, że łuczniczka zacznie się jąkać, z trudem składając do kupy jakieś niejasne wspomnienia widziadeł, że trzeba będzie z niej wyciągać... nie wiadomo jakie historie. Stało się inaczej: Agatra pociągnęła mocno nosem — i nieoczekiwanie płynnie, rzeczowo i jasno zaczęła mówić o tym, co uznała za ważne:

— Czy zaczęła się odwilż? — i nim tamtych dwoje zdążyło wymienić zdumione spojrzenia, wyjaśniła: — Wiem na pewno, że widzę w tych swoich snach rzeczy, które dopiero będą. Inaczej niż Astat, i zupełnie inaczej, niż setnik. Teraz widziałam wielką odwilż, i to nie był początek odwilży. Dlatego może zacząć się już dzisiaj. Pięć dni. Dokładnie pięć dni wcześniej widzę to, co ma się wydarzyć.

Ambegen i Tereza słuchali z rosnącą uwagą.

— Skąd... — zaczęła setniczka.

— Bo nie zawsze śnią mi się Alerowie — wytłumaczyła łuczniczka, nim tamta dokończyła pytanie. — Parę razy to były całkiem zwyczajne sny. Zawsze o czymś... przykrym, bardzo przykrym. Ale czasem zupełnie zwyczajnym. Zgubiłam... taki nóż, mały nóż... Niby nic takiego, ale... to było wszystko, co zostało mi po moim bracie. Miałam kiedyś brata i ten nóż... — nie bardzo potrafiła wyjaśnić, jak to jest, kiedy traci się jedyną rzecz, taką małą relikwię, łączącą z dobrym, odległym wspomnieniem. — Zgubiłam go pięć dni później, chociaż taksie przejęłam tym snem, że go pilnowałam, jak nigdy jeszcze, naprawdę. A wcześniej, dużo wcześniej, śniła mi się śmierć... — wymieniła imię, którego nie dosłyszeli; Agatra znów pociągała nosem, miała chrypkę. — Tylko on ze wszystkich rannych w Trzech Wsiach wrócił z nami tutaj, do Erwy. Też miał sny... Myślałam, że wyzdrowieje... Umarł piątego dnia od mojego snu.

Ambegen i Tereza popatrzyli po sobie. Dziewczyna nie bredziła, jej słowa mogły mieć jakiś sens.

— Myślałam o tym długo i to może być albo tak, że ja sama sprawiam, przy pomocy tych snów, to co spełnia się po pięciu dniach. No... wymyślam coś, i to się spełnia. Albo tak, że po prostu widzę niektóre rzeczy, które dopiero będą, ale ja ich nie sprawiam. Nie wiem. Ja myślę, że mogłam sprawić tymi snami, że zginął mi nóż, a może nawet to, że on umarł... — przejęta dziewczyna zaczęła mówić trochę bardziej chaotycznie. — Bo patrzyłam na niego... Ale myślę, że jak przyjdzie odwilż... Przecież chyba nie mogę sprawić odwilży? To by znaczyło, że

tylko widzę różne rzeczy. Chciałabym... — rzekła smutno. — Chciałabym tylko widzieć, a nie sprawiać.

Zaległa cisza.

— Odwilży nie ma — rozległ się głos Ambegena. — Ale wiatr się zmienił i jest cieplej, dużo cieplej, niż wczoraj. Opowiadaj dalej, Agatra — umiał zapamiętać imiona żołnierzy i używał tej umiejętności.

— O Alerze... tam, za granicą... śni mi się bardzo rzadko — spojrzała na Terezę, z którą kilka dni wcześniej już na ten temat rozmawiała. Setniczka skinęła głową. — Bardzo rzadko — powtórzyła łucniczka — prawie nigdy. Komendant... setnik Rawat mówił o ich wioskach, o żołnierzach... Ja nic takiego nie wiem, widziałam tylko jak tam wygląda... Strasznie. Są takie bagna, w których... w których... — zaczerpnęła powietrza. — Ale najczęściej, to śni mi się ten smok przy Trzech Wsiach. O tym też myślałam. Ja mam, panie — spojrzała na Ambegena — bardzo dobre oczy. Wiem, że lepsze, niż inni. I wtedy, tam, też widziałam go lepiej, niż inni. Na pewno lepiej. Tego smoka. Może to dlatego...

— Co ci się śniło ostatniej nocy, Agatra?

Łucniczka znów podciągnęła wyżej przykrywające ją pledy.

— Ten smok, pani.

Zwracała się do Terezy; łatwiej było jej mówić, gdy zapominała o siedzącym w kącie, nieruchomym Ambegenie. Zresztą komendant chyba to wyczuł, bo nie zadawał pytań i w ogóle starał się zachowywać tak, jakby go wcale nie było.

— On żyje, ten smok żyje, pani... Ale tak... nie wiem, inaczej! To bolało, ale tak... tak jakby ktoś... otworzył głowę, i w głowie była dziura, i wszystko, cały rozum, na wierzchu! — roztrzęsiona dziewczyna próbowała pokazywać rękami.

— Tam był chyba setnik, z nimi, ze srebrnymi. I byli jeszcze złoci. Wielka bitwa, ale naprawdę wielka! Chyba większa, niż była pod Alkawa!

Łucniczka zamilkła. Tereza nie naciskała, cierpliwie czekała, co dalej. Agatra, zapatrzona w niską powałę izby, raz jeszcze przeżywała swój koszmar. Oddychała ciężko.

— Nie, nie o tym smoku... — powiedziała wreszcie. — Nie opowiem. Nie mogę, naprawdę... Ja już tego nie chcę... Najwyraźniej, to widziałam bitwę. Już robiło się widno, było trochę śniegu, błoto i wszędzie stały kałuże wody. Tam byli nasi, na pewno jazda, bardzo dużo jazdy! Bo

poznałam po koniach, one chodzą nie tak, jak wehfety, ale było jeszcze szaro i nie wiem... Ale nie w samej bitwie, i nie koło smoka, tylko dalej, chyba na południe... Ale tamtego... nie mogę, naprawdę nie mogę... Przepraszam! — zawołała nagle, prawie z płaczem.

— Ja naprawdę nie mogę! Już nie chcę!

— Dobrze, Agatra, wystarczy — uspokajała ją Tereza. — Nie musisz nic mówić... Już wystarczy. Śpij teraz.

Poklepała łuczniczkę po dłoni i wstała, dając znak Ambegenowi.

na zewnątrz rzeczywiście było cieplej, znacznie cieplej, niż w nocy i dnia poprzedniego, choć już nawet i wtedy mróz nie bardzo doskwierał.

— I co o tym myślisz, panie?

Ambegen wzruszył ramionami — i przez długą chwilę patrzył na Terezę takim wzrokiem, jakby przynajmniej namówiła łuczniczkę do opowiadania kłamstw. Byle tylko puścił jazdę do Rawata... Zdał sobie jednak sprawę z tego, że przywódczyni konnych łuczników nie jest zdolna do tak niskich manewrów. Podejrzenie było niedorzeczne.

Setniczka, jakby odgadła, jakie myśli nurtują komendanta, zeszywniała i zjeżyła się, niebezpiecznie zyskując na urodzie. Ambegen uprzedził wybuch.

— Nic nie myślę — powiedział krótko.

Odwrócił się i odszedł, zostawiając ją tam, gdzie stała. Patrzyła za nim, rozzłoszczona, potem wyparskała się sama do siebie i wróciła do izby.

— Śpisz, Agatra?

— Boję się, pani — słabo odrzekła łuczniczka. — Boję się spać... Wiem, co będzie.

— A jednak śpij. Posiedzę tu z tobą trochę.

*

Obrażony na pokrętną rzeczywistość Ambegen zatrzasnął się w komendanturze, niczym w trumnie — bo przepadł, zniknął, ani go było widać, ani słychać. Zmartwychwstał przed południem... Zdumieni żołnierze przystawali na majdanie, bo z izby komendanta najwyraźniej dobiegał huk młota! Istotnie — Ambegen reperował okno. Wydobył skądś jakieś deski, jakieś ćwieki, i walił obuchem topora, który zawsze trzymał u siebie. Sporządziwszy krzywą okiennicę, wylazł na zewnątrz i zaczął ją przymierzać. Wezwał do siebie cieślę, po czym długo tłumaczył

mu, jakich trzeba dokonać przeróbek, żeby okiennica pasowała. Chłopisko z powątpiewaniem spozierało na popękane od ciosów obucha deski, na koniec zabrało okiennicę i oddaliło się gdzieś. Ambegen postanowiwszy o losie swego okna, wyraźnie się uspokoił i zażądał nawet posiłku. Gdy legionista przyniósł mu porcję (doprawdy dwa razy większą, niż żołnierska!), popatrzył na nią z wyraźną goryczą, po czym rzekł:

— Ja, synu, naprawdę nie wiem, jak wy tu wytrzymaliście o tym chlebie... Ale już niedługo!

Zjadł — i siedział, głęboko zadumany. Pochmurniał coraz bardziej, jakby rozgniewany własnymi myślami. Wezwał stajennego i rozmawiał z nim o koniach, najdokładniej wypytyjąc o wierzchowce kurierów. Dowiedział się, że zjedzono już parę zapasowych i jucznych, co go tak rozgniewało, że gdy późnym popołudniem opętańcze skowoty Agatry rozbrzmiały znowu, chwycił się za głowę.

— Na Szerń, i czy to jest stacja?! — zawołał, uderzając pięścią w stół... po czym dodał nieoczekiwanie: — No, nareszcie. Wycelował palec w stajennego i powiedział:

— Gońcy. Wszyscy gońcy do mnie, teraz, już.

Żołnierz wybiegł.

Starając się nie słyszeć dobiegających z zewnątrz, nieludzkich wrzasków skrzywdzonej i sponiewieranej przez ohydną, obcą moc dziewczyny, Ambegen krążył po izbie, układając sobie coś w myślach. Gdy zjawili się gońcy, zapytał każdego o przebieg i staż służby (nie znał połowy tych ludzi, przybyli do Erwy, kiedy siedział w Torze!), po czym najpierw odprawił tego, który kiedyś towarzyszył Terezie. Musiał sobie zostawić choć jednego doświadczonego kuriera. Potem odesłał jeszcze śliczną jak wiosna dziewczynę, o której już zdążył usłyszeć, że ma pusto w głowie. Pozostałej czwórce udzielił dokładnych, ustnych instrukcji, nie bawiąc się w żadną pisaninę.

— Wziąć luzaki i ruszać natychmiast — zakończył.

— Tak, panie!

Jeźdźcy wybiegli.

Ambegen chodził po izbie.

Po pewnym czasie krzyki Agatry ucichły i nie powtórzyły się więcej. Komendant odetchnął, bo zaczynał się już obawiać, że konieczne będzie

nabicie dziewczynie drugiego guza na głowie... Robiło mu się niedobrze na wspomnienie, że uderzył żołnierza. Ale to, co się działo z Agatrą, demoralizowało załogę stancy. Łuczniczkę należało odesłać na tyły, i to jak najszybciej. Wkrótce miały nadejść wozy z najniezbędniejszym zaopatrzeniem. Nie zamierzał trzymać ich w Erwie, by woźnice i konie przejadali to, co przywieźli. Miał paru chorych — i Agatrę. Powinni pojechać na tych wozach.

Chyba... Chyba, żeby łuczniczka okazała się przydatna. Co prawda, nie za bardzo w to wierzył. Ale gdyby jednak, to wszystko mogło potoczyć się inaczej...

Czekał jeszcze trochę, chodząc wokół stołu. Chciał mieć pewność, że zwidy Agatry na pewno ustąpiły. Jednak już żaden krzyk nie wdarł się pomiędzy normalne odgłosy stancy.

— Wartownik!

Drzwi otwarły się — i w progu stanęła Tereza.

— O, znakomicie! — powiedział. — Właśnie chciałem posłać po ciebie... Nic już — odprawił wyglądającego z za jej pleców żołnierza. — No i co, setniczko?

Zamknęła drzwi i przez chwilę stała nic nie mówiąc, najwidoczniej rozważając jakiś problem.

— Wasza godność podejrzewasz mnie pewnie... — zaczęła wreszcie.

— Nie, nie podejrzewam — przerwał. — Czy coś jej się śniło?

— Już myślałam, panie, że to cię w ogóle nie obchodzi?

— Nie próbuj być zjadliwa — skarcił ją spokojnie. — Nie mam dziś do tego cierpliwości. Czy coś jej się śniło? — powtórzył.

— No, a nie było słyhać? Ale jeśli powiem, o czym śniła, to zaraz pomyślisz, panie...

— Nie pomyślę. Setniczko, mam tego dosyć — ostrzegł najzupełniej poważnie. — Co jej się śniło? — zapytał po raz trzeci.

— To samo, co w nocy. Smok Alerów — uległa. — Mówi, że on żyje.

— I coś jeszcze? — wykrzesał z siebie resztki opanowania. Co takiego siedziało w tej świetnej wojownicze, że chciało się jej czasem urwać głowę?

— Bitwa. Pamiętasz, panie, co mówiła? Że te sny, które się sprawdzają, wyprzedzają wydarzenia o pięć dni, w każdym razie zawsze o tyle samo... I to by się zgadzało. Ile minęło od jej poprzednich majaków?

Śniła nad ranem, a teraz jeszcze jest widno... No i właśnie tam też mogło minąć pół dnia. Ta wielka bitwa złotych ze srebrnymi właśnie się skończyła — rzekła pospiesznie, widząc że komendantowi zaczynają puszczać nerwy. — Agatra nie wie, kto wygrał, chyba srebrni. Wszędzie pędzą jakieś oddziały, uciekają albo gonią... Ale najważniejsze — zawahała się na mgnienie oka — najważniejsze, że ona znów widziała naszą jazdę, i chyba piechotę... — wytrzymała spojrzenie komendanta. — I jeszcze...

Aż pochylił się ku niej — i nagle zrozumiała, że to nie jest takie zwykłe wypytywanie. Ambegen chciał coś usłyszeć. I wiedział dokładnie co!

— I jeszcze... — poddał.

— Jeszcze obcych żołnierzy — powiedziała zrezygnowana. — To nie trzyma się kupy... niestety. To nie mogli być...

— Jak wyglądali ci żołnierze? Po czym poznała, że obcy?

— Konie miały żółto-niebieskie czapraki — rozłożyła ręce — więc żołnierze, pod płaszczami, pewnie takie same t uniki. Ale tutaj nikt nie ma takiej jazdy, a mogłoby chodzić tylko o poczty jego godności Lineza. Tylko, że oni mają...

Urwała. Ambegen usiadł na stole i założył ręce na piersi, przyglądając się jej spod oka.

— Mają żółto-niebieskie tuniki, a pod siodłem niebieskie czapraki — powiedział. — Niebieskie z żółtymi obrzeżami. Różowo-żółte tuniki mieli kiedyś, jeszcze niedawno. Może wczoraj.

Tereza wytrzeszczyła oczy.

— Linez dał swym ludziom nową barwę, bo dobre niebieskie sukno kupił tanio z nadwyżek legii, a żółtego ma jeszcze bardzo duże zapasy — wyjaśnił nadsetnik. — Mówił mi o tym w Torze, bo to ważna sprawa, jak rozpoznać jego żołnierzy... Nieprawdaż, setniczko? Gdy wybuchła wojna, przyleciał tu na łeb, na szyję, i nie targał z sobą mundurów. Ale kazał ściągać poczty ze wszystkich swoich majątków... i ci ludzie właśnie przybyli, przywożąc nową barwę. Nikt w Erwie o tym nie wiedział, ani wiedzieć nie mógł... Agatra jest jak wyrocznia. I powiem ci coś jeszcze: ona nic nie sprawia, tylko przewiduje. Możesz ją uspokoić.

— Skąd... skąd wiesz, panie? — wyjąkała oszołomiona.

— Bo to ja sprawiłem, nie ona, że żołnierze Lineza tam będą —

wytłumaczył zupełnie spokojnie. — Posłałem gońców... zresztą trudno powiedzieć, że posłałem, chyba właśnie wyjeżdżają ze stancy. No, to wiem już przynajmniej, że dotrą — skwitował z zadowoleniem. — I że Linez doczekał się posiłków.

Patrzyła na komendanta — i powoli narastał w niej głęboki wstyd. Gotowa była sądzić, że zupełnie zlekceważył to wszystko, co się działo z Agatra, pomimo wyraźnych oznak, iż dziewczyna wcale nie plecie trzy po trzy... On tymczasem znalazł sposób na udowodnienie prawdziwości dziwnych snów. Nie czekał, działał. Świetnie wiedział, co robi i do czego zmierza.

— Przepraszam, panie! — zawołała żarliwie, prawie bezwiednie, z głębi serca. — Ja... Ale dowódca! — wyrwało jej się z dziecinnym zachwytem.

Uśmiechnął się mimo woli — bo to nie było tanie pochlebstwo. Przy wszystkich swoich wadach, ta dziewczyna chyba nawet nie wiedziała, co to jest lizusostwo.

— Ruszamy w pole, Tereza — powiedział, znów z całą powagą. — Wymarsz jeszcze dzisiaj, cała jazda, cała lekka piechota. Zostają tylko ciężkozbrojni. Tabor, myślę, jest najwyżej o dwa dni drogi stąd, może trzy dni, nie więcej. Do taboru też posłałem gońców, zabiorą klin jazdy, do eskorty wozów zostaną tylko dwa kliny łuczników... No trudno. Wobec większych sił Alerów, tabor przepadnie tak, czy owak, przed małymi siłami piechota obroni się sama... Ci jeźdźcy od taboru przeprowadzą dla nas rozpoznanie, pójdziemy w tamtym kierunku. Bierzemy wszystkie zapasy, topornikom zostawi się tylko tyle, żeby nie pomarli tutaj z głodu, zanim nadejdą wozy. A jak nie nadejdą, to i tak nie ma już co oszczędzać, trzeba będzie się wynieść, bo dłużej tu bez żarcia siedzieć niepodobna. Zarządź wszystko, co trzeba.

Jej zapał przygasł nagle.

— Ale — powiedziała niepewnie — Agatra mówiła, że sprawdzają się tylko jej złe... przykre sny... A jeżeli...?

— Nie wierzę w sny — oznajmił z głupia frant.

Zdumiała się.

— Ale... jak to?

— Tak to — uciał. — Agatra idzie z nami, i jeśli te jej „smocze” widziadła się sprawdzą, to nie tylko jej jednej może zrobić się przykro...

Ale jeśli ta kamienna rzeźba żyje, chodzi i działa na rzecz Alerów, to wolę przekonać się o tym w polu, niż w rozdeptywanej stancy... Co, jak myślisz?

Przekrzywiła głowę.

— No... no tak!

Mówił dalej, wciąż z tą samą chłodną, nieodpartą logiką:

— Jednak przede wszystkim uważam, że ona widzi tylko to, co może się zdarzyć i co zapewne się zdarzy... Wydarzenie losowe, jak utrata noża, czy nieuniknione, jak śmierć konającego, pozostają poza wszelką kontrolą. Ale klęska w bitwie nie jest sprawą nieuniknioną, sama bitwa zaś nie jest wydarzeniem losowym. Rzecz jasna w jej trakcie może nastąpić splot nieszczęśliwych przypadków, ale splot przypadków może nastąpić w każdej bitwie. Czy więc mam unikać wszystkich bitew? Nie, Tereza. Mam dobrych żołnierzy i umiem nimi dowodzić. Gdy zajdzie coś, czego nie przewidziałem, a nie będę umiał sobie z tym poradzić, to nie sen Agatry o tym zadecyduje, tylko tchórzostwo żołnierzy, lub moja nieudolność. Jedno i drugie przyniesie mi klęskę zawsze, nie trzeba wróżebnych snów.

Poklepał dłonią blat stołu, na brzegu którego wciąż siedział.

— Ta wojna od samego początku jest jedną wielką pomyłką — rzekł jeszcze. — Próbujemy rzeczy niemożliwej: a to obronić dziesiątki wioski, rozsianych po całym okręgu, przed wrogiem, który koncentruje siły tam, gdzie mu się żywnie podoba. Wroga armia siedzi w środku Armektu, a my wciąż udajemy, że jest jakaś umowna granica, wciąż biegamy od wioski do wioski i od lasku do lasku, jakby po staremu chodziło o zabawę w chowanego z jakąś zgrają. Nikt nigdy nie pokonał, w ten sposób, ściśniętej jak kułak armii — wyciągnął przed siebie ciężką pięść — wyprowadzającej starannie przemyślane, mierzone uderzenia... Jeśli srebrni Alerowie to naprawdę żołnierze, jak chce Rawat, to śmieją się z nas po prostu, Tereza! Ale teraz my uderzymy... Wybierzemy sobie czas i miejsce. Dość, Tereza! — zsunął się ze stołu. — Przygotowanie do wymarszu i wymarsz, najszybciej, jak to będzie możliwe! Nakarm ludzi i konie do syta. Żeby zdążyć, będziemy dniem i nocą brnąć przez śniegi, a odwilż tu niewiele pomoże... Już cię tu nie widzę.

— Tak, panie!

W drzwiach omal nie zderzyła się z żołnierzem.

— Złota zgraja! — zameldował zmarznięty, przemoczony czatownik.
— Nieduża, wasza godność!
— Od dziś nie wychodzimy przeciw złotym — rzekł Ambegen —
bijemy się tylko ze srebrnymi.
Żołnierz zastygł z niedomkniętą gębą.
Przez otwarte drzwi widać było coraz liczniej kapiące z dachu krople.

13.

Pogoda odmieniła się zupełnie; mróz odszedł i nie wrócił nawet nocą. Śnieg podlany wodą chwycił ludzi i konie za nogi, ale dawał się łatwo ugnieść — i tylko czoło marszowego szyku miało ciężką przeprawę; ci na końcu maszerowali po równym, mocno udeptanym przez dziesiątki nóg gościńcu. Ambegen zmuszał torujące drogę oddziały do największego wysiłku, by tempo marszu nie słabło, ale bardzo szybko luzował i odsyłał na koniec kolumny. W ten sposób rozsądnie gospodarował siłami legionistów, a zarazem posuwał się dość szybko, by... pozwolić sobie na obranie dłuższej drogi.

Tuż przed samym wymarszem ze stancy, zmienił nagle zdanie — rozkazał szykować się do wyjścia także topornikom. Pytania Terezy zbył krótkim „Później!” — i setniczka mogła co najwyżej powtórzyć to samo niższym oficerom, oni zaś swoim żołnierzom. Porzucali Erwę, zostawiając ją bez załogi! Zabierali resztki zapasów, wszystkie juczne i luźne konie, wszystkich chorych i — rzecz jasna — wszystkich ludzi z zaplecza stancy: rzemieślników, dziewczyny kuchenne... Erwa miała być porzucona, jak kiedyś!

Była głucha noc, gdy wychodzili. Zaraz za bramą stancy komendant zamiast prosto na południe — nakazał marsz bardziej ku zachodowi. Żołnierze nie wiedzieli dokąd idą; lecz Tereza zaczynała rozumieć plan dowódcy... W marszu Ambegen potwierdził jej domysły.

„Czego chcesz? — zapytał najpierw. — Decyzję o rozpoczęciu kampanii podjąłem w parę chwil i trudno, żebym od razu dokładnie przemyślał wszystko. Jesteś całą starszyzną tej armii, no to poznaj rozterki dowódcy... Bo żołnierze lepiej niech myślą, że oboje jesteśmy nieomylni i nigdy nie miewamy wątpliwości. Stanica na pewno jest stale obserwowana przez srebrnych. Liczę na to, że niezbyt uważnie, bo w ich oczach już od dawna nie jesteśmy zbyt groźni. Ale jednak zakładam, że zwiadowcy srebrnych wiedzą o naszym wymarszu. Czyli, powinniśmy wyjść z Erwy i pomaszerować prosto do Trzech Wsi? Nie spalili Erwy do tej pory, chociaż mogli, nie spalą jej i teraz. Nic tam nie zostało takiego,

czego bym żałował, sienniki legionistów i tym podobne klamoty mogą sobie wziąć srebrni lub złoci, do wyboru. Nikt, nawet nasi żołnierze nie wiedzą, co właściwie strzeliło mi do głowy, więc alerscy zwiadowcy tym bardziej nie będą wiedzieć. Idziemy teraz prosto w kierunku, skąd nadciągną nasze tabory, o których Alerowie wiedzą, albo nie. Jeśli wiedzą, to pomyślą, że chcemy je eskortować, albo wręcz przeciwnie — zawrócić, i zabrać się stąd raz na zawsze. Jeśli zaś o taborach nie wiedzą, no to się dowiedzą, a ja rzeczywiście zawrócę je z drogi, jak tylko wróci goniec, i skieruję prosto do Lineza, odeślę też do taborów całe zaplecze, które tylko hamuje nam marsz. Potem sami ruszymy w stronę dóbr Lineza. Jak myślisz, co z tego wszystkiego zrozumie jakiś Aler? Czy pojmie, że chcę włączyć się do bitwy, o której jeszcze nikt nie wie, iż w ogóle nastąpi? A może pojmie chociaż, dokąd właściwie idę? Żołnierze wprawdzie nie pośpią i namęczą się, forsując te śniegi, ale wojny wygrywa się właśnie nogami zmęczonych żołnierzy. Ja to wiem, ty wiesz, wiedział o tym Rawat, wiedzą i Alerowie. Tylko, że tym razem to my decydujemy, dokąd pójda wojska i kiedy tam się stawią. Nic ci to nie przypomina, setniczko? Pomyśl sobie tylko, ile razy zachodziłaś w głowę, co właściwie zamierza i dokąd pójdzie przeciwnik! No to ciesz się teraz, bo tym razem to oni mają do zgryzienia taki orzech... A jutro dodatkowo rozpuścimy po tym śniegu trochę jazdy. Pójda patrole na zwiady we wszystkie strony świata, a najwięcej pójdzie ich tam, gdzie nic, ale to nic nas nie interesuje...”

Wojsko, pogrążone w ciemnościach przedświtu, brnęło przez topniejące śniegi.

Agatra jechała na stanicznych wozach, teraz przebudowanych na sanie, razem z chorymi. Buntowała się przeciw temu, chciała maszerować z łucznikami. Tereza wybiła jej to z głowy. Od chwili, gdy zarządzono wymarsz, przestała być dobrą koleżanką.

— A co to w ogóle znaczy? — zapytała sucho, gdy łuczniczka zwróciła się do niej. — Ja tutaj dowodzę jazdą, legionistko, idź z tym do swojego dowódcy. W ogóle mnie nie obchodzi, co się dzieje w klinach piechoty, dla mnie to twoi koledzy mogą nawet cię nieść, jak zemdlejesz, byle tempo marszu nie cierpiało. Ale za opóźnianie pochodu to już odpowie twój podsetnik. Nie próbuj więcej obchodzić drogi służbowej, nie jestem twoją popleczniczką.

I to był koniec rozmowy.

W gruncie rzeczy jednak, zarówno Ambegen jak i Tereza, z niepokojem i niecierpliwością czekali na kolejne sny chorej dziewczyny. Wrzaski należało stłumić choćby i przy pomocy knebla... Ambegen poważnie liczył się z koniecznością odesłania łuczniczki do taboru. Był to jednak problem na później. Przede wszystkim czekał, co pokaże następny sen. Spośród wszystkich tych ludzi, grzęznących w mokrym śniegu, tylko on i Tereza wiedzieli, dokąd i po co idą... I tylko oni zdawali sobie sprawę, jak ważne jest to, o czym jeszcze powiadomi ich Agatra.

Lecz stało się coś dziwnego i zupełnie nieprzewidzianego: dziewczyna przestała śnić!

Tereza, naprawdę nie mogąc sobie pozwolić na okazywanie specjalnych względów któremukolwiek z żołnierzy, musiała jednak złamać tę zasadę. Łuczniczka żądała rozmowy. Uparła się, że będzie maszerować, była podniecona, rozgorączkowana i... uszczęśliwiona.

— Ja nie wiem, co się stało, wasza godność! — mówiła prawie ze łzami. — Ja... od trzech miesięcy nie spałam tak, jak dzisiaj, w tych saniach... Nic mi się nie śniło, zupełnie nic, pani! Nic nie pamiętam, zupełnie nic mi się nie śniło! — powtarzała w kółko. — Nic mi się nie śniło! Ja spałam! Normalnie spałam!

Przez chwilę Tereza gotowa była przypuścić, że Agatra kłamie, chcąc ambitnie dołączyć do oddziału. Było to jednak podejrzenie bez sensu, zważywszy, co się działo, gdy łuczniczkę nawiedzały majaki... Najwyraźniej mówiła prawdę.

— Na pewno nic, żadnych snów? — badała podejrzliwie. — Może tylko inne, niż ostatnie, spokojniejsze? Przecież nie zawsze krzyczałaś po nocach.

— Nie, pani, uwierz mi! — żarliwie zapewniała dziewczyna. — Przysięgam, pani, że nic mi się nie śniło! Ja od trzech miesięcy zawsze rano pamiętałam swój sen, czasem od tego budziłam się w nocy, mówili mi, że czasem krzyczałam i budzili mnie... Ale nawet, jak nic strasznego mi się nie śniło, to pamiętałam! Dopiero dzisiaj! Ja... ja przysięgam, że nic mi się nie śniło! I wcale nie jestem śpiąca, ja ostatnio zawsze byłam śpiąca, często nawet zasypiałam w dzień! A teraz wcale mi się nie chce spać! Wcale a wcale!

— Jak się czujesz?

— Dobrze! Normalnie!

— Nic nie boli?

— Nie! — łuczniczka tak głęboko wierzyła w swoje całkowite wyzdrowienie, iż chyba nawet nie wiedziała, że kłamie. Tereza była najzupełniej pewna, że dziewczyna, która ledwie dobę temu poroniła od szturchańców podczas szarpaniny, i ze strachu, nie może czuć się jak nowo narodzona... Wzruszyła jednak tylko ramionami i powtórzyła to, co poprzednio:

— Twoja sprawa, Agatra. To, czy maszerujesz, czy jedziesz, zależy od twojego dowódcy. Nic do tego nie mam. Nie zabraniam, bo nawet nie mogę. Gdybyś zaczęła śnić znowu...

Łuczniczka zrobiła wielkie oczy.

— Nie... Nie będę! — powiedziała tak, jakby to od niej zależało. — Ja już nigdy nie będę, ja... Jeśli to wróci, pani, to ja chyba... umrę.

Tereza uświadomiła sobie nagle, że pragnąc pokazujących przyszłość snów, w gruncie rzeczy chce nieszczęścia tej dzielnej legionistki. Dołożyła starań, by ukryć ogarniający ją wstyd.

— Dość, Agatra — ucięła prawie ostro i naraz, nieoczekiwanie dla samej siebie, dorzuciła: — Umiesz jeździć konno, czy tak? Jeśli naprawdę wyzdrowiałaś, a chciałabyś przejść do konnych łuczników, to cię wezmę. Przemyśl sobie.

Zdumiona żołnierka zrozumiała nagle, że setniczka w ten szorstki sposób wyraziła jej uznanie. Rozjaśniła się.

— Dziękuję, pani! Nie... nie wiem. Ale pomyślę, dziękuję. Tereza ruszyła przedstawić rzecz Ambegenowi.

— Dobrze — skwitował, nie dorzucając nic więcej; nie wiedziała, czy ozdrowienie łuczniczki raczej go martwi, czy cieszy. — Zluzuj czołowy oddział

— rzekł po chwili. — Musimy iść jeszcze szybciej. Te złote sfory pod Trzema Wsiami nie wezmą się znikąd. Właśnie przecinamy drogę, którą zwykłe idą do jęzora. Myślę, że zwałą się tu dopiero jutro, ale jeśli się pomyliłem... Poślij patrole na północny zachód.

Spełniła rozkaz.

Późnym rankiem wrócili gońcy od taborów. Ambegen wysłuchał, co mieli do powiedzenia, po czym odesłał na koniec szyku, by odpoczywali. Wezwał ładną kurierkę, tę samą, którą wcześniej zatrzymał w Erwie,

udzielił jej instrukcji — i wyprawił. Nie naradził się z Tereza, ani nawet nie powiedział jej, co przedsięwziął i setniczka, która już zdążyła przywyknąć, że jest nieformalną zastępczynią komendanta, poczuła się urażona. Oczywiście nie powiedziała o tym — ale za to bardzo ostentacyjnie wróciła na czoło swojej jazdy i prowadziła ją przez cały dzień, aż do wieczornego postoju, zajmując się tylko rozsyłaniem patroli.

Ambegen nawet nie zauważył tych buntowniczych manewrów. Nie zastanawiał się też, czy uraził jej miłość własną — bo do takich głupstw nie miał głowy. Raz jeszcze musiał przemyśleć pewne sprawy i zlikwidować luki, ziejące w planie kampanii. Na razie, wciąż działał prawie po omacku, nie wiedząc, czy za chwilę nie trzeba będzie wracać do stancy (jeśli było gdzie wracać) i posyłać gońców z rozkazami odwołującymi te, które już wydał. Niecierpliwie czekał na powrót kurierów od Lineza; wysłał ich — podobnie jak drugą parę do taboru — osobno, nie razem, bo chciał mieć pewność, że dotrze chociaż jeden. Wkrótce wyszło na jaw, jak mądrze uczynił: na miejsce nocnego postoju dotarł tylko jeden goniec, kurierka przepadła bez wieści. Mały jeździec stracił swego wspianiałego ogiera; przyjechał na luzaku. Spóźnił się, bo najpierw wrócił do stancy.

Wprawdzie natknął się na wydeptany w śniegu szlak i po końskich odchodach poznał, że nie przeszło nim wojsko Alerów, ale nie mógł wiedzieć, czy komendant jest przy tym oddziale. Wysłuchawszy opowieści posłańca i zapoznawszy się z treścią przywiezionego pisma, Ambegen mógł wreszcie zwołać odprawę. Zwalono w mokry śnieg parę sodeł, oficerowie rozsiedli się na nich — i o tyle mieli lepiej od żołnierzy, odpoczywających z mokrymi tyłkami.

Nadsetnik krótko i zwięźle powiadomił oficerów, dokąd idą. Nie powiedział, że wie o szykującej się bitwie złotych ze srebrnymi, bo nie miało to nic do rzeczy, a dokładne przedstawienie całej sprawy wymagałoby długich i zawiłych wyjaśnień. Dał jednak do zrozumienia, że na pewno będą się bili pod Trzema Wsiami.

— Zawróciłem idący do Erwy tabor — powiedział. — Te wozy trafią do jednej z umocnionych wiosek jego godności Lineza, powinny być tam pojutrze. Pochylił się i zaczął rysować nożem na udeptanym śniegu.

— Tabor jest teraz tutaj, my tutaj, wioski-stanice Lineza, dwie, tutaj i tutaj. Tabor pójdzie do tej — pokazał wieś wysuniętą bardziej na

północny zachód. — Jazda z eskorty taboru jutro przygotowuje dla nas miejsce na nocny postój i rozpozna okolicę, tak więc pozostanie nam tylko dotrzeć na miejsce i iść spać. Pojutrze wieczorem spotkamy się z piechotą od taborów. Mógłbym ściągnąć na jutrzejszy postój cały tabor, ale uważam, że nie ma takiej potrzeby, przyjdą tylko dwa wozy z zimowymi okryciami, resztę chcę trzymać jak najdalej od jężora, te zapasy są dla nas zbyt cenne, by niepotrzebnie ryzykować ich utratę. Pojutrze wejdziemy na ziemie Lineza — popatrzył na oficerów. — Nasi żołnierze, w tym śniegu, zdołali przejść dziesięć mil, prawie bez odpoczynku. Chcę, żebyście wyrazili dziś uznanie swoim ludziom. Jutro mamy do przejścia tyle samo, a potem jeszcze dwa takie marsze. Będzie trochę łatwiej, bo odwilż na pewno się utrzyma i trochę śniegu zejdzie... Zakazuję oszczędzania zapasów. Za trzy dni nakarmi nas Linez, ponadto mamy nasz tabor i to nam wystarczy, na czas jakiś. Teraz, podczas przemarszów, ludzie i konie mają jeść do syta, czy to jasne? Im więcej zjemy, tym mniej będziemy nieść. Nie oszczędzać! — powtórzył. — Lada chwila powinna wrócić kurierka od taborów, byłaby już dawno, ale kazałem jej sprowadzić dwa konie, choćby mieli je tam wyprząć od wozu. Na tych koniach przyjedzie gorzałka... Nikt nie zmarznie tej nocy. Niestety ognisk palić nie wolno. Wiem, że ludzie są przemoczeni, ale na to już nic nie poradzę. Za plecami mamy szlak, którym złoci chodzą do jężora, nie możemy wabić ich tu ogniem.

— Wystawiłam z tamtej strony silne ubezpieczenia — powiedziała Tereza.

— Bardzo dobrze. Jutro złoci przestaną nam zagrażać, zatoczmy nawet mały łuk, żeby bardziej się od nich odsunąć — znowu zaczął rysować na śniegu.

— Złote sfory forsują Lezenę powyżej Erwy, w górnym biegu rzeka jest wąska i płytka _ nie tłumaczyłby takich rzeczy doświadczonym oficerom, ale tym tutaj musiał. — Idąc wzdłuż rzeki, w kierunku jężora, mijają Erwę, dlatego srebrni zostawili nam naszą stanicę. Żebyśmy bili się z tymi sforami. Teraz, zimą, niektóre Złote Plemiona forsowały Lezenę po lodzie, także poniżej Erwy, ale te nam nie zagrażają, to kłopot srebrnych, nie nasz. Ogarnął wzrokiem siedzących w krąg dowódców.

— No dobrze — rzekł. — Czy są jakieś pytania?

Po krótkiej chwili odezwał się podsetnik toporników, formacji, która

jak zwykle najbardziej odczuła trudy marszu:

— Czy nie byłoby dobrze, panie, odpoczywać po wsiach? Można by palić ognie i wysuszyć się w chałupach, bez zwracania uwagi złotych.

— Nie — powiedział Ambegen. — Mijaliśmy dzisiaj jedną wieś — przypomniał. — Nasi żołnierze idą do bitwy, nie będziemy pokazywać im spalonych domów.

— Inne wioski, panie...

— A inne wioski — wpadł mu w słowo nadsetnik — pełne są uchodźców z jęzora i nie ma tam miejsca dla nas. Zresztą, choćby nawet i było, to do ocalałych wiosek przychodzą srebrne zgraje, żeby zrabować to, co jeszcze w nich zostało. Na razie srebrni myślą, że porzuciliśmy Erwę i przeprowadzamy się do stanic Lineza. Chcę, żeby myśleli tak dalej. Czy coś jeszcze?

Nikt się nie odezwał.

— A więc sprawa ostatnia. Setniczka, jako najstarsza stopniem i stażem ze wszystkich oficerów — skinął głową Terezie — w czasie tej wyprawy pełni funkcję mojej pełnoprawnej zastępczyni, a tym samym jej rozkazy są wiążące dla każdego, nie tylko dla dowódców jazdy. Ze wszystkimi pomniejszych sprawami należy zgłaszać się najpierw do niej.

Oświadczenie dowódcy przyjęto jako rzecz naturalną. Ambegen tylko poświadczał istniejący już stan faktyczny.

— Jeszcze jakieś pytania?

Tym razem zgłosił się podsetnik łuczników, dowódca Agatry.

— Czy pójdziemy do bitwy na terenie Alerów, panie? Przy Trzech Wsiach? Zaraz okazało się, że jest to wątpliwość nurtująca wszystkich. Rozległy się niegłośnie, aprobujące pomruki.

— Tu nie ma terenu Alerów, podsetniku — spokojnie odparł Ambegen. — Tu jest Wieczne Cesarstwo, a dokładnie: Armekt. Wątpię, żebyśmy musieli wejść w obręb jęzora, niemniej w jego pobliżu należy liczyć się z kiepskimi nastrojami żołnierzy. Czy to wszystko?

Po długiej chwili wahania ten sam oficer odezwał się raz jeszcze:

— Alerowie... coś tam wykopali z ziemi, wasza godność. Wszyscy o tym wiedzą, żołnierze też. Mówi się, że ci, co zobaczyli smoka Alerów... — urwał. Ambegen czekał cierpliwie.

— Chodzi o sny? — poddał wreszcie. — Takie, jak sny Agatry?

— Tak, panie.

— Smok Alerów nic tu nie ma do rzeczy — gładko skłamał nadsetnik.
— Takie sny miewało wielu oficerów w Torze, a żaden z nich nigdy nie widział tego smoka. Czy twoja łuczniczka nadal śni o Alerach?

— Nie — odrzekł podsetnik. — Mówi, że już nie.

— Każdy może przyglądać się tej rzeźbie do woli — podsumował komendant. — Problemem są oszczepy Alerów, nie jakieś kamienne posągi.

Nie wiadomo, czy oficerowie uwierzyli. Jednak więcej pytań nie było.
Odprawę zakończono.

Podsetnicy ruszali do swoich oddziałów. Ambegen i Tereza dalej siedzieli na kulbakach.

— Skąd wiesz, panie, że ten smok... — zaczęła setniczka, gdy zostali sami.

— Nie wiem, Tereza. Skłamałem.

Przez długą chwilę oglądał wnętrze swoich dłoni.

— Jestem tylko żołnierzem, Tereza — dorzucił wreszcie niegłośno. —
Sny Agatry pasują do moich wyobrażeń o wojnie. To po prostu tak, jakbym przejął listy i tajne plany nieprzyjaciela. Działałbym wtedy tak samo — uważnie popatrzył na setniczkę — najpierw sprawdził te plany, a potem je wykorzystał. Prosta, żołnierska robota. Ale jakieś smoki? Jeśli Alerowie naprawdę wykopują z ziemi rzeźby, na które dość popatrzeć, żeby dołączyć do pomyleńców... Jeśli naprawdę są takie rzeźby, to ja, Tereza, zwijam swój kramik, i idę handlować gdzie indziej. To nie jest robota dla żołnierza, tylko dla jakiegoś dłubiącego w księgach dziadka, który ma pojęcie o tym wszystkim, co wisi nad światem. Jeśli uznam, że od patrzenia na kamienną poczwarę mogą zależeć losy bitew, to stracę grunt pod nogami... A ja nie uznaję tego smoka, Tereza, nie zgadzam się na niego i zmienię zdanie dopiero, gdy podejdzie i odgryzie mi łeb! I tylko jednego nie rozumiem, Tereza: tego, że to przecież twój naród, ludzie tacy, jak ty, Armektańczycy, pokazali mi Panią Arilorę... Ja kiedyś w nią nie wierzyłem, a nawet w ogóle o niej nie wiedziałem! Byłem podsetnikiem w miejskim garnizonie, rozsyłałem patrole po ulicach i karczmach, co ja mogłem wiedzieć o wojnie? I dopiero tutaj, pod Północną Granicą, po raz pierwszy zobaczyłem swoją panią... A teraz czasem myślę, że jestem ostatnim, który szczerze, w nią wierzy i naprawdę jej służy... Ostatnim i jedynym, Tereza.

Zamilkł na krótką chwilę.

— Dość, by Alerowie przyciągnęli tu swoje Wstęgi — podjął z wyraźną goryczą — a wszyscy ją porzucili. Wszyscy, nawet tacy żołnierze, jak Rawat! To w co wy wierzycie właściwie? Byłem, Tereza, pod Alkawa, i chcąc nie chcąc biłem się pod tymi Wstęgami. Upadałem na duchu jak wszyscy, chyba wcale nie wierzyłem w zwycięstwo i za szybko pomyślałem o odwrocie... Ale tylko pomyślałem, i jak mnie pytali, co robimy, to mówiłem „stoimy!”, chociaż chciałem wołać „uciekamy!” I stałem na tym przeklętym skrzydle, i zawracałem żołnierzy, aż nic oprócz moich toporników nie zostało. Wtedy przebiliśmy się przez nich dziesięć razy, jak topór rzucony w kupę suchych liści! — ścisnął w rękę garść mokrego puchu i odrzucił na bok, daleko. — I rozbili nas dopiero wtedy, gdy pod samą Erwa poczułem się wreszcie bezpieczny, rozbili pod niebem Szerni. Nauczyłem się, Tereza, jednego: że nie jest ważne to, co wisi ci nad głową, ale to, co masz właśnie w głowie! I że jeśli uczciwie służyysz wojnie, to ona cię obroni przed Wstęgami, bo jest potężniejsza od Wstęg, i od wszystkiego, co na niebie i na ziemi! Taką właśnie mam panią, Tereza, i dopóki nie odwróci się ode mnie, będę robił to, co mi każe. Gdziekolwiek, kiedykolwiek, najlepiej, jak potrafię.

Pokiwał głową.

— I to już wszystko, setniczko. Usłyszałem niedawno od ciebie bardzo piękną opowieść o dziewczynie, która czegoś chciała. Dzisiaj ty usłyszałaś opowieść ode mnie. Nie wiem, czy jest piękna, ale tak samo prawdziwa, jak twoja.

*

Przez następne trzy doby gońcy bez wytchnienia pędzili od Ambegena do taborów, od Lineza do Ambegena — i znowu z powrotem. Sny Agatry już się nie powtórzyły, ale dzięki temu, co zdążyła zobaczyć w nich wcześniej, nadsetnik wiedział, że bitwa plemion najprawdopodobniej zakończy się jeszcze przed zmierzchem. Teraz zależało mu na tym, by dokładnie zgrać poruszenia wojsk, zarówno w czasie, jak przestrzeni. Nie chciał, żeby poczty Lineza plątały się wokół Trzech Wsi; tym bardziej nie zamierzał paradować tam z legionistami. Ostatniego dnia nawet zatoczył jeszcze jeden płaski łuk, bo uznał, że z dobrze nakarmionych i ubranych żołnierzy warto wycisnąć trochę więcej potu, byle zmniejszyć ryzyko wypatrzenia przez wroga. I do miejsca

spotkania z Linezem zbliżył się dopiero po nadejściu wczesnego, zimowego zmierzchu.

Obaj przyszli tam punktualnie; tak punktualnie, jakby odmierzali każdy krok. Malutki zagajniczek, który posłużył za punkt orientacyjny (wciąż woleli unikać wioski) stał się miejscem spotkania awangardy prywatnych wojsk magnata — z jeźdźcami Terezy, prowadzonymi osobiście przez setniczkę. Oficer Lineza, doświadczony żołnierz, z którym już kiedyś zetknęła się w polu, pozdrowił ją i wyciągnął rękę. Nieskłonna zwykle do takich poufałości Tereza z uśmiechem podała mu swoją. Było coś niezwykle krzepiącego w spotkaniu tych, zupełnie obcych sobie ludzi, którzy zjeżdżali się nocą z dwóch stron świata, by walczyć ramię przy ramieniu. Wyprawili, każde po jednym trzykonnym patrolu, do swoich dowódców, z tym samym, najkrótszym meldunkiem świata: „Już są!”

Wkrótce oba wojska rozłożyły się wokół zagajnika.

Zaproponował to miejsce Linez; magnat lepiej znał swoje ziemie, niż Ambegen, a ponadto mógł zasięgnąć rady swoich dowódców. Zrobił to — i opłaciło się. Zagajnik leżał na dość rozległym, ale niskim, kopulastym wzniesieniu; chociaż niewysokie, przecież było już gdzieś tam całkiem wolne od śniegu, który w słońcu potężnej odwilży spłynął niżej. Tylko między drzewami zalegało jeszcze sporo zimnej bieli. Na tle drzew i ciemnej, mokrej ziemi, biwakujące oddziały były niezbyt widoczne, a ponadto żołnierze, którym topniejące ohydztwo naprawdę zdążyło obrzydnąć, mieli możliwość lepiej wypocząć.

Ambegen, Tereza i Linez rozmawiali do późnej nocy.

Magnat, przystojny, stale uśmiechnięty mężczyzna, trochę młodszy od Ambegena, w swoich dobrach w środkowym Armeckie trzymał poczty raczej dla fasonu, niż z rzeczywistej potrzeby, toteż ze wszystkich majątków zdołał ściągnąć ledwie połowę tego, co już trzymał pod Północną Granicą. Razem miał trzy kliny jazdy, trochę cięższej, niż cesarska, bo w pancerzach wzmocnionych tu i ówdzie blachami i na lepszych — bo nie tak zabiedzonych — koniach. Ponadto była półsetka łuczników, oprócz barwy nie różniących się niczym od cesarskich. Wszystko to o prawie kompletnych stanach. Ambegen, razem z tym co ściągnął od taboru, przywiódł siły dwa razy większe: samej jazdy były trzy kliny i półsetka, ponadto cztery kliny lekkiej i cztery ciężkiej

piechoty. Po ostatniej reorganizacji garnizonu Erwy, także i te oddziały miały dość kompletną liczbę żołnierzy. Zliczywszy siły, nadsetnik ujrzał się na czele półtysięcznej z górą armii. Była to garstka wobec wszystkich sił alerskich, siedzących w obrębie jęzora; była to potęga wobec przeciwnika, który nie miał o niej pojęcia...

Jego godność Linez oddał się pod rozkazy Toru, prosząc w zamian o ochronę swoich dóbr. Teraz jednak Ambegen mocno się obawiał, czy współpraca z magnatem nie rozpocznie się od przykrych zgrzytów. Spotkała go najmielsza niespodzianka: Linez z miejsca oddał się pod jego komendę, prosząc tylko, by mu pozwolono uczestniczyć w bitwie na prawach oficera w stopniu setnika. Ambegen, wiedząc, że Armektańczyk z takim właśnie stopniem zakończył służbę w legii, natychmiast na to przystał. Żadnych sęków nie było. Nie dość na tym; okazało się zaraz, że Linez dowodził kiedyś pieszymi łucznikami, więc formacją, dla której Ambegen właśnie nie miał żadnego doświadczonego oficera! Wszystko pasowało do siebie tak bardzo, że Tereza mimo woli wspomniała słowa, które wyrzekł do niej komendant trzy dni wcześniej, po wieczornej odprawie na śniegu...

Niepojęta Pani Arilora chciała, by ten człowiek stał u jej boku! Chciała tego, i dawała mu tyle, co on jej: więc bez reszty wszystko, co miała.

Ale czy to nie było niewzruszone prawo, rządzące wszystkim na świecie? Czy ktokolwiek mógł liczyć na wzajemność tego, czemu nie poświęcił się bez reszty?

Nie mogła zasnąć do rana. Najpierw chodziła między żołnierzami, sprawdzając czy wszystko w porządku. I prywatni, i cesarscy wiedzieli, że na jutro planowana jest bitwa. Nie wiedzieli jeszcze gdzie ją stoczą i z jakim przeciwnikiem — ale byli spokojni. Nieoczekiwanie Tereza odkryła w nich to, co właśnie znalazła u siebie: głębokie przekonanie i wiarę, że dowódca doskonale wie, co robi. Jeszcze niedawno obawiali się ponurego, zajętego przez alerskie Wstęgi nieba, częstowali domysłami o kamiennym smoku, zsyłającym na żołnierzy przerażające sny. A wcześniej siedzieli w stancy, głodni, czujący bezsens swego położenia, stale oglądający poszarpane, wracające z beznadziejnych wypadów oddziały... Przecież nawet ona sama nie umiała tchnąć zapału w prowadzonych donikąd, wzgardzonych nawet przez wieśniaków żołnierzy. Ci sami ludzie, teraz, gotowi byli bez jednego słowa podnieść

się z ziemi i maszerować dalej, dokądkolwiek. Poderwano ich w Erwie na nogi, wyprowadzono za bramę i zdecydowanym marszem poprowadzono przez śniegi. Dowiedzieli się, że idą do bitwy. Nie od wioski do wioski. Do bitwy! Nie uciekali przed wrogiem, nie miotali się bez celu tu i tam. Po drodze ich siły rosły, zamiast maleć; pojawiały się jakieś kliny pieszych i konnych łuczników, jak wyczarowane z powietrza, jakieś liczne wojska prywatne! Dowódca mówił podsetnikom, a podsetnicy im: „Wieczorem będziemy tam a tam”. No i byli! „Będą wozy z odzieniem i jazda”. Tak jest — były. Mówił: „Połączymy się z łucznikami”. I przychodzili łucznicy! Mówił: „Będą wojska prywatne”. Były, spotkały się z nimi! Przez tych parę dni żołnierze nabrali przekonania, że cokolwiek powie ich dowódca, to się spełni. Tereza wyraźnie ujrzała, że jeśli rano Ambegen oznajmi: „Pobijemy pięć tysięcy Alerów” — to pójdą pobić pięć tysięcy Alerów! Bo dowódca tak im powiedział.

Jeszcze kilka dni temu, wiedząc już, gdzie i po co ruszają, próbowała układać swoje własne plany tej bitwy, gotowa była służyć komendantowi radą. Teraz, oparta o drzewo, patrzyła na liczne gwiazdy. Wyraźnie czuła, że zaczyna kochać Ambegena. Nie jak kobieta mężczyznę — ale jak żołnierz dowódcę. Miała ochotę iść do niego, obudzić go i powiedzieć: „Pokażesz mi jutro cel, panie, a ja poprowadzę tam jazdę, uderzę i zniszczę to, co wskazałeś”.

Nie poszła, nie powiedziała. Bo przecież on o tym wiedział..

Ambegen jeszcze przed zaśnięciem zestawiał wszystkie wiadomości, jakie uzyskał od zwiadowców Lineza, o rozesłanie których prosił przez gońców. Usłyszał, że zrazu w stepie nic się nie działo, dopiero ostatnio — na dzień przed jego przybyciem — licznie i coraz liczniej zaczęły się pojawiać złote zgraje... Ściągały z głębi jezora, a także z obwodu Erwy, najpierw przez Suchy Bór. Nie było to wojsko w żadnym rozumieniu tego słowa, złoci nie potrafili formować oddziałów, ani w ogóle współdziałać. Najrozmaitsze, większe i mniejsze sfory atakowały srebrnych przy Trzech Wsiach, napadając jak stada zwierząt, bezmyślnie i zajadle. Prywatni żołnierze nie zapuszczali się co prawda do jezora, ani nawet w jego najbliższe sąsiedztwo, utarczki i bitwy przy wiosce i wokół rozkopanego wzgórza oglądali z odległości paru mil. Potrafili więc o nich powiedzieć tylko tyle — że były. Natomiast coraz więcej walk staczano przy południowym krańcu Suchego Boru, a nawet dalej, już prawie na

ziemiach Lineza. Wydawało się, że ściągnące z obwodu Erwy złote zgraje, z jakichś przyczyn nie mogą przejść przez las, wycofują się zeń i próbują okrążyć, by w ten sposób dotrzeć do Trzech Wsi. Wieś, a może rozkopany pagórek, wyraźnie były celem wszystkich ataków. Ambegen zrozumiał, że to właśnie ten fragment wielodniowej bitwy pojawił się w snach Agatry. Łuczniczka stanowczo twierdziła, że w drugim śnie — bitwa kończyła się właśnie. Nie umiała dokładnie wytłumaczyć, skąd to przekonanie, ale Ambegen ufał jej z dwóch powodów: po pierwsze wszystko, co powiedziała dotąd, sprawdzało się aż nazbyt dokładnie; po drugie zaś Agatra była w końcu doświadczonym żołnierzem i jej ocenę, nawet intuicyjną, należało brać pod uwagę.

Rozmówiwszy się z łuczniczką, odprawił ją — i skorzystał z niedużego wozu, który Linez oddał mu do dyspozycji. Magnat nie obciążał się wielkim taborem, przewidział jednak w jego składzie parę wehikułów będących sypialniami na kołach. Gdyby zaszła taka potrzeba, spałby pewnie wprost na ziemi, jak wszyscy... Potrzeba jednak nie zachodziła — i dzięki uprzejmości sprzymierzeńca, Ambegen mógł porządnie wypocząć przed bitwą.

A jednak nie umiał zasnąć. Jakby przeczuł, że jeszcze nie pora...

Przyszedł go budzić sam Linez. Towarzyszył mu jakiś człowiek.

— Nie śpię — rzekł Ambegen, gramoląc się z głębi wozu; był kompletnie ubrany, miał nawet buty i zbroję. — Co się stało?

— Zaraz się dowiemy, wasza godność — zagadkowo rzekł magnat. — Niepotrzebnie wychodzisz, panie, lepiej wszyscy wejdźmy do środka. Mój zwiadowca spotkał twojego zwiadowcę.

Ambegen drgnął, bo nagle poruszyło się coś w ciemności. Niewielkie, szare stworzenie jednym skokiem znalazło się na wozie.

— Komendant Ambegen — powiedziało trochę wyraźniejszym głosem, niż zwykły mówić koty. — Legionistka Kamala od Dorlota, komendancie.

— No! — wyrwało się nadsetnikowi. — Naprawdę najwyższa pora! Linez i jego zwiadowca także wleźli pod płócienny dach wozu. Cała czwórka, stłoczona, rozmieściła się w głębokich ciemnościach.

— Nie będziemy tu palić pochodni — rzekł Linez z cierpkim humorem.

— Twoja żołnierka, panie, skoczyła mojemu zwiadowcy na plecy i

kazała się przynieść tutaj.

— Jak tylko usłyszałam, że tu jesteś — potwierdziła kocica, zwracając się chyba do Ambegena; w ciemnościach nie było wiadomo.

— Mów — niecierpliwie polecił nadsetnik.

— Ale... — mała legionistka zawahała się wyraźnie. — O czym już wiesz, komendancie?

— A o czym miałbym wiedzieć?

Rozmowa zaplątała się nieco. Kocica milczała przez chwilę, usiłując chyba rozsupłać ten węzeł.

— Nikt nie dotarł?... Do Erwy, panie? Nikt od nas nie dotarł? Ambegen odczuł ukłucie niepokoju.

— Z kotów? Nie — powiedział. — Posłaliście...?

— Dwaj poszli jeszcze przed odwilżą — powiedziała wolno Kamala; był w tej powolności bardzo głęboki smutek, uchwytny nawet dla ludzkiego ucha.

— A przedwczoraj znów jeden. Dzisiaj ja...

— Wyszliśmy z Erwy — krótko rzekł Ambegen, któremu żal się zrobiło tych świetnych, prawie całkiem bezbronnych w głębokim śniegu zwiadowców.

— Ten ostatni... może być teraz na naszych śladach, wydeptaliśmy cały trakt... Mów wszystko od początku.

— A Astat?

To była druga zła wiadomość.

— Łucznik Astat?

— Setnik posłał go do Erwy z wiadomością. Chyba już tydzień temu.

— Mów wszystko od początku — polecił Ambegen i to była cała odpowiedź na pytanie kocicy.

— Dzisiaj poszłam ja. W Suchym Borze jest taka wojna, że nawet kot nie przejdzie, a w jęzorze tak dużo zgraj, że wybrałam drogę wokół lasu. Przy samym lesie też się biją, cały czas, więc zrobiłam łuk, a poza tym... my od czterech dni nic nie jemy — powiedziała. — Tam już nawet nie ma co ukraść. Pomyślałam, że najpierw zajrzę tu do najbliższej wioski, żeby zjeść, bo chciałam dojść do Erwy — tłumaczyła się.

Linez, szepnął coś swojemu zwiadowcy. Żołnierz zszedł z wozu i gdzieś poszedł.

— Podsetniczka wysłała nas za setnikiem — zaczęła opowiadać

kocica; nic wiedziała jeszcze o awansie Terezy. — Setnik i Astat dostali się do niewoli. Tam nie ma gdzie się chować, jest tak ciężko, panie, jak jeszcze nigdy nie było — wyjaśniała trochę chaotycznie. — Siedzimy w Trzech Wsiach, w takim spalonym domu. Na śniegu zostają nasze ślady, bardzo wyraźne, i właściwie nie można się ruszyć. Siedzimy wszyscy w dziurze pod kawałkiem spalonego dachu, na takiej grubej belce, która się do końca nie spaliła... Raz zabiłam ptaka — pochwaliła się — nie lubię surowego, ale zjadłam, był bardzo duży i wszyscy żeśmy się najedli... Z tego miejsca, komendancie, bardzo dobrze widać całą okolicę, więc nigdzie żeśmy nie chodzili, tylko patrzyliśmy...

Ambegen ujrzał nagle, jak naprawdę wygląda służba kociego zwiadowcy. Posyłało się takiego, a on wracał i składał meldunek... Teraz głodna, wyczerpana kocica, która wreszcie znalazła się pośród swoich, trochę meldowała, a trochę się żaliła, mówiąc więcej i mniej powściągliwie, niż zwykły to robić koty... Pomyślał o grupce kosmatych legionistów, od tygodnia czatujących na osmalonej belce, nie grubszej pewnie, niż udo, trzęsących się na mrozie, potem ociekających wodą z topniejącego na resztkach dachu śniegu. Z jedną wroną za cały kilkudniowy posiłek...

— Ale właściwie mało wiemy o tym, co się działo z setnikiem — ciągnęła legionistka. — Już nie jest w niewoli, Astat też chodził wolno. Jak setnik posłał go do Erwy, to znaczy myślimy, że do Erwy, Astat dostał od Alerów jakiś znak, taką tarczę na wysokiej żerdzi. To chyba był znak dla wszystkich srebrnych, żeby zostawili go w spokój u, dlatego jeśli Astat nie doszedł, to pewnie zabili go złoci. Setnik przez cały czas chodzi z takim jednym alerskim wojownikiem, to nie jest wódz wszystkich, ale ktoś bardzo ważny. Dorlot nie pamięta, czy to ten, z którym setnik kiedyś rozmawiał, przy Trzech Wsiach, ale chyba ten. I właściwie już nic więcej o setniku nie wiemy... To pewnie bardzo mało, komendancie. Ale nie da się podejść tak blisko, żeby zobaczyć więcej.

— Co dalej?

— Ten ich potwór, komendancie, ten z kamienia. Oni go rozkuwają.

— Nie rozumiem.

— No, rozkuwają. Cały czas tłuką w niego, mają dużo żelaznych narzędzi, chyba zabranych z wiosek. Wszędzie jest pełno gruzu. Na jednym boku, przy samym grzbiecie tego potwora, niedawno przekuli się

do środka. Tam w środku coś jest. Coś innego, nie skała. Coś złotego. Chcieliśmy sprawdzić, więc jeden poszedł w nocy i wlaź na tego potwora...

Ambegen pokręcił głową, sam do siebie. Nie, nie dało się powiedzieć, żeby koty czuły specjalny respekt przed tym, co tak bardzo niepokoiło lud/i... Zwiadowcy Dorlota łazili sobie po alerskim bogu. Kocica zamilkła.

— Dalej, dalej.

— A po co? Nie, to nie, komendancie. Dorlot mówił, że z wami nie można się dogadać i że bym była cierpliwa... Ale ja nie jestem cierpliwa, nie w ten sposób. Skończyłam.

Zdezorientowany, próbował zrozumieć, o co chodzi. Nagle pojął — i nie wiedział, czy lepiej śmiać się, czy złościć.

— Pokręciłem głową, legionistko — rzekł surowo — bo mam taki obyczaj, kiedy myślę. Wierzę w każde twoje słowo, bez zastrzeżeń.

Kosmata żołnierka wcale nie była ślepa w tych ciemnościach, niczym kret — lub nie przymierzając on, czy Linez. Całe zajście wyglądało niepoważnie... Jednak cieszył się, że oprócz magnata (który właśnie parsknął przez nos, próbując zapanować nad śmiechem) nie był przy tym obecny żaden żołnierz...

— No dobrze — pozwoliła się udobruchać. Lecz przeprosić, rzecz jasna, wcale nie zamierzała.

— Wlaź na smoka — odpowiedział Linez, z wyraźnym uśmiechem w głosie.

— Wlaź tam, ale dopiero przedwczoraj, bo zaczęła się odwilż, srebrni udeptali wszędzie śnieg, a nie padał już nowy, i dało się chodzić bez zostawiania śladów. W tej dziurze, pod skałą, jest taki dziwny piasek, ale bardzo dziwny, duże, okrągłe ziarenka. Alerowie wykopują ten piasek, a potem palą. On się pali. Właściwie to spalili tylko trochę, zaraz po tym, jak wykuli dziurę. Ale ciągle kują dalej, najbardziej od spodu, tak jakby chcieli zrobić drugą dziurę, przez którą wszystko się wysypie. Ten potwór jest z bardzo twardego kamienia, wolno im idzie, chociaż kują ze wszystkich sił. Dziwne, komendancie, prawda? Setnik Rawat chodził z Alerami wokół tego potwora i chyba coś im doradzał, wydawało się nam, że normalnie z nimi rozmawia. I od przedwczoraj właśnie zaczęli obkładać całego tego potwora drewnem, zrobili już bardzo duże zapasy, chyba z tysiąc ich rąbało drzewa na skraju lasu, potem je ciągnęli

wehfetami. Ale zaczęły przybiegać coraz większe złote zgraje. Musieli przerwać kucie, już tylko ściągają drewno, ale coraz więcej wojowników potrzebnych jest do bitwy. Najlepiej idzie im właśnie w lesie, byliśmy tam jeszcze zanim zajęliśmy belkę we wsi i żeśmy widzieli różne umocnienia i pułapki. Dorlot mówił, że to się nazywa — wilcze doły. Teraz złoci chyba w nie wpadają, a srebrni potrafią bardzo wysoko skakać, łapią się gałęzi i skaczą na złotych z góry, widzieliśmy wczoraj coś takiego na samym skraju lasu.

Ambegen skinął głową. Kocica potwierdzała wcześniejsze ustalenia zwiadowców.

— Setnik Rawat... — zaczęła. — Nie, o setniku już nic nie wiem. Podsetniczka kazała... Ale już nic więcej nie wiemy.

— Ile ty masz lat, legionistko? — ni przypiął, ni przyłatał, zagadnął B. E. R. Linez.

— Siedem — powiedziała zaczepnie... i mężczyźni prawie uśmiechnęli się w mroku, bo w niskim, trochę chropawym głosie usłyszeli prawdziwie dziewczęce wyzwanie.

W samej rzeczy, rozmawiali z podlotkiem... Koty, odkąd Szerń darowała im rozum, żyły prawie tak długo, jak ludzie, ale szybciej dorastały i później się starzały. Siedem lat — to było jak czternaście, piętnaście u człowieka. Umysł tego kociaka był już w pełni dojrzały, ale suma doświadczeń — no przecież siedmioletnia!

— A jak długo w legii?

— Rok. Już prawie.

Ambegen westchnął mimo woli.

— Dalej, legionistko — ponaglił. — Zostaw setnika w spokoju, teraz sprawy wojskowe. Dziesiątnik nie wysłał cię przecież tylko z tymi wieściami?

— Nie, panie. Dorlot... dziesiątnik Dorlot kazał mi dokładnie zapamiętać liczby i miejsca, gdzie stoją oddziały. Od wielu dni liczymy Alerów i wiemy bardzo dokładnie o siłach, jakie są w tej okolicy. Dziesiątnik mówił, że to może kiedyś się przydać. Jak mi narysujesz mapę, komendancie, to pokażę. Wiem, co to jest mapa — znów się pochwaliła. — Wiem, że to jest tak samo, jak naprawdę, tylko mniejsze, i narysowane.

— Jednak nie obędzie się bez świecy — rzekł zadowolony Ambegen.

— Poślę — rzekł Linez.

— O... — powiedziała nagle kocica.

Nim zdążyli zapytać, co oznacza „o”, powrócił zwiadowca odesłany wcześniej przez magnata. Linez wziął coś od niego.

— Zostań tutaj — polecił. — Też przyniosłeś trochę świeżych wiadomości, zdaje się?

— Tak, wasza godność.

Linez postawił gdzieś w mroku płaski, cynowy talerz.

— Suszona ryba! — powiedziała kocica z miłością. — Prawdziwa suszona ryba!

— Zjedz — pozwolił Ambegen. — Porozmawiamy o tej mapie... ale potem, boję się, że będziesz musiała wrócić do swojego dziesiętnika. Zaniesiesz mu trochę jedzenia i bardzo dużo rozkazów... Chyba znowu pójdziecie na

zwiady.

Było jasne, że nie pośpi. Nie żałował.

*

Panowała jeszcze głucha noc, gdy ruszyli następni zwiadowcy. Zaraz potem nastąpiła pobudka, pospieszny posiłek i wymarsz wszystkich sił.

Step, nieznacznie pofałdowany, prawie wszędzie wyglądał tak samo; nad-setnik nie musiał trzymać się żadnych dróg (przede wszystkim nie mógł, z powodu ich braku), ale też nie istniały żadne terenowe przeszkody. Maszerując w ciemnościach w stronę Suchego Boru, od razu rozwijał swe siły w ugrupowanie bojowe. Miał do tego dość miejsca. Podzielił jazdę dla osłonięcia obu skrzydeł, stworzył silne centrum z łuczników, ciężkozbrojnych zaś posłał za ich plecy, do odwodu. Rozmiękła, pokryta resztkami wodnistego śniegu ziemia nie sprzyjała szarżom jazdy, nawet tak lekkiej i zwrotnej, jak cesarska. Nadsetnik zdawał sobie z tego sprawę. Ale wiedział już, jak rozegra swoją bitwę. Wstępny plan ułożył na podstawie wyjaśnień, złożonych przez młodziutką podkomendną Dorlota, uzupełnionych przez najświeższe wieści od zwiadowcy Lineza. A teraz, gdy wstający dzień zaczął mu odsłaniać rozległą, ciągnącą się aż do lasu równinę, zyskał pewność, że nie trzeba żadnych zmian.

Hen, daleko przed nim, płonęły liczne ogniska, powoli gubiące swój blask w coraz silniejszym świetle świtu. Pod lasem, na równinie, większe

i mniejsze oddziały toczyły bezładne boje. Na prawo od tego miejsca, z rzednącego półmroku wyłaniać się poczęła czarna plama doszczętnie zniszczonej wsi, a obok nieforemny, niewyraźny garb, będący przekleństwem snów Agatry.

Jadący przed linią żołnierzy Ambegen, otoczony przez gońców, wezwał do siebie Terezę i Lineza. Rozmawiał z nimi, kilkakrotnie pokazując rozkopane wzgórze; osłaniał oczy dłonią, bo jaśniejące na wschodzie niebo oślepiało i znów patrzył — prawie ostentacyjnie.

Rzeczywiście. Nadsetnik nic nie chciał od wezwanej dwójki, pragnął tylko, by żołnierze dokładnie zobaczyli, że dowódcy oglądają przekłętą pagórek, nie boją się wcale kamiennego smoka; owszem, patrzą nań z ciekawością, z uwagą, bez pośpiechu... Dopiął swego. Sprowokowani legioniści skierowali spojrzenia tam, gdzie on... i najpierw odwracali je pospiesznie, gdy tylko pojęli, na co patrzą. Lecz potem wielu uświadomiło sobie, że jeśli od patrzenia istotnie pojawiają się niedobre sny — no to już spojrzeli, trudna rada! Teraz, równie dobrze, mogli patrzeć bez końca. I patrzyli — a za nimi inni.

Ambegen, gdy nagapił się do woli (nie tylko zresztą na smoka; błędem byłoby także poświęcanie mu nadmiernej uwagi), odesłał setników do oddziałów — i dalej jechał na czele, w asyście konnych kurierów.

Ostatni przemarsz udał się tak samo, jak wszystkie poprzednie przemarsze: starannie obliczywszy, kiedy ruszyć i jakie tempo utrzymać, Ambegen dotarł na pole bitwy w najlepszym dla siebie momencie. Wyłaniająca się z porannej szarówki, niebezpiecznie bliska linia żołnierzy, tak silna, jakiej nie było od czasu bitwy pod Alkawa, maszerująca prosto i bez wahań — wywarła piorunujące wrażenie. Zamieszanie pod lasem wzmogło się tak bardzo, jakby naraz ktoś oblał wszystkich walczących wrzątkiem. Jakież grupy i grupki rozbiegały się w różne strony, wrzaski i ryki przybrały na sile, wybijając się nad stłumiony gwar bitewny, już od dawna dochodzący do uszu żołnierzy. Całe oddziały srebrnych wyrywały się z kłębowiska, uchodząc w stronę szarego, niewyraźnego garbu, inne zgraje, chyba nie tylko srebrne, ale także złote, biegły do lasu, biły się po drodze, szły w rozsypkę... Ambegen spokojnie, równo parł naprzód, jakby tym marszowym krokiem zamierzał wejść w sam środek kotłowaniny. Przy wciąż narastającym

zamieszaniu, zbliżył się do Alerów na mniej, niż pół mili — i stanął. Po czym zaczął niszczyć wrogie armie niewłaściwie nie robiąc, tylko stojąc...

Nie wiadomo, kto przed świtem brał górę pod lasem — meldunki ostatnich zwiadowców były dosyć niepewne i sprzeczne. Ale teraz zwyciężali złoci. Srebrni wojownicy wyłączali z bitwy coraz większe siły, na łeb na szyję ustawiając je tak, by osłonić wzgórze przed możliwym uderzeniem legionistów. Pospiesznie, ale i niezdarnie, formowała się dość cienka, chociaż długa linia. Nie trzeba było szczególnie wnikliwej obserwacji, żeby poznać, iż wojownicy są zmęczeni, często kontuzjowani, wehfety poranione, przez co jeszcze mniej posłuszne, niż zwykle... Ambegen, jakby podejmując wyzwanie, posunął się w tamtym kierunku — tylko odrobinę — i znów stanął. Lecz ten słaby ruch najzupełniej wystarczył, by wypadły skądś nowe oddziały, jeszcze bardziej wzmacniając linię broniącą wzgórze.

Ambegen czekał.

Czas płynął.

Bitwa pod lasem zaczynała zmieniać się w masakrę; srebrni Alerowie zostawili tam zbyt małe siły. Przez czas jakiś mogły one powstrzymać złote zgraje — ale właśnie tylko przez czas jakiś... I ten czas powoli się kończył. Ku Trzem Wsiom, a także w stronę nieforemnego, przybranego mnóstwem porąbanych drzew garbu, zaczęły pryskać pojedyncze złote sfory, nie mające już pod lasem przeciwnika, który mógłby je skutecznie zatrzymać. Srebrni przypuścili ku nim bohaterskie, desperackie kontrataki. Pobili jednych, wykruszyli się w starciu z drugimi. Napłynęły jakieś nowe, jezdne i piesze oddziały od Trzech Wsi, a także od okrytego setkami gałęzi potwora. Wciąż tam prowadzono jakieś prace. Ambegen niecierpliwił się; według tego, co usłyszał od wysłanniczki

Dorlota, największe siły srebrnych bity się w Suchym Borze, na wprost zniszczonej wsi. Musiały być tam jakieś rezerwy! Nadsetnik chciał je zobaczyć i przekonać się, do czego zostaną użyte.

W kłębowisku pod Suchym Borem pojawiły się nowe siły złotych. Dwie wielkie gromady rudych stworów, długimi, choć cięższymi niż zwykle susami śmigających nad rozmiękłą ziemią, spływały wzdłuż skraju lasu, od zachodu, przybывая widać z obwodu Erwy. Jedna z tych gromad runęła na niedobitki srebrnych, druga — obrała sobie za cel legionistów. Do ryczącej, szarżującej gromady dwustu, czy nawet trzystu

pokracznym, groźnym półzwierzę, dołączyła jakaś mała zgraja, wyprysnąwszy z bitewnego zamieszania. Ambegen dostał, co chciał!

Przemknął wzdłuż linii swych żołnierzy, rzucając rozkazy mijanym setnikom; ci natychmiast wprzęgli do pracy dowódców półsetek i klinów. Rozbrzmiała świstawka Terezy; rozległ się okrzyk Lineza. Kilka świstawek oficerów jazdy natychmiast podjęło sygnał; kilka głosów podsetników piechoty powtórzyło okrzyk. Osady czterystu strzał dotknęły czterystu cięciw, czterysta par ramion pokonało opór jesionowych i cisowych łączysk — i chmura poderwała się ku niebu! Świstawki i okrzyki rozbrzmiały z nową siłą, pierwsze wypuszczone strzały jeszcze mknęły, jeszcze spadały spod czystego, zimowego nieba, gdy ramiona i dłonie wybornych armektańskich łuczniczków powtórzyły wszystkie czynności — i czterysta nowych pocisków wyprysnęło z przejmującym jękiem, bardziej stromo, bardziej w górę, z uwzględnieniem poprawki na ruch wroga. Mnogi turkot tłukących śnieg i ziemię grotów przeplótł się z odgłosem licznych miękkich uderzeń — a w następnym momencie konni i piesi łucznicy wypuszczali już śmierć po raz trzeci.

Kilkaset kroków przed nimi z rykiem przetoczył się zjeżony drzewcami strzał kłęb, ruszył dalej — i wpadł pod następną ulewę! Sadzące skokami potwory nabijały się na promienie tkwiących w ziemi pocisków, krusząc je swoim ciężarem, miotały na wszystkie strony, z pękami pierzysk w karkach, grzbietach i ramionach, obalały próbujących biec dalej towarzyszy — a w ten krwawy chaos spadła trzecia chmara zimnych, stalowych grotów. Świstawka setniczki wibrowała nieustannie, rozedrganym trelem: „Każdy sam wybiera cel!” Podsetnicy Lineza dawali krzykiem identyczny rozkaz: „Każdy sam!” Żołnierze z pierwszych szeregów napinali teraz łuki w dowolnym, najwygodniejszym dla siebie tempie, mierząc w to, co jeszcze biegło, co jeszcze posuwało się do przodu. Sprawnie wybierali pojedyncze cele, wybór narzucało wyszkolenie; nie strzelali na krzyż. Bili na odległość coraz mniejszą, ślali strzały nisko, poziomo, jakby wymierzali pchnięcia grotami długich włóczni. Tymczasem tylne szeregi piechoty rozchodziły się wstecz i na boki... Porażona, skłębiona zgraja rozpiezchła się na wszystkie strony świata, rycząc, ujadając i zawodząc, unosząc przyszpilone do korpusów kwiecie białych, żółtych i niebieskich piór.

Kilkadziesiąt rudych stworów tarzało się po ziemi, plamiąc śnieg szkarłatną posoką, łamiąc tkwiące w ciałach drzewca i wbijając groty jeszcze głębiej; kilkanaście pokrak leżało nieruchomo...

Trzy lub cztery dziesiątki bezmyślnie i zajadle podjęły przerwany atak.

Cienka, czołowa linia łuczników w mgnieniu oka zapadła się w głąb szyku – i cztery kliny ciężkozbrojnych biegiem runęły przez otwartą bramę. Dwa czołowe kliny huknęły jak młotem, zderzywszy się ze złotymi wyrwały w ich bezładnym szyku dziurę; dwa następne rozbiegły się na boki, zgarniając to, co zostało. Przemieniwszy napastników w porąbaną miazgę, tarczownicy zgasili pobojuwisko najeżone strzałami łuczników — i wrócili, unosząc czterech rannych towarzyszy.

Szyk lekkiej piechoty zaraz zwarł się na powrót.

Tak sprawdzili się w pierwszym swoim boju, prowadzeni przez weteranów spod Alkawy, ciężkozbrojni żołnierze z uzupełnień, wyłazący ze skóry, byle tylko dorównać łucznikom!

Ambegen nawet nie patrzył na koniec tej masakry; rzucił aż cztery kliny, by dać nowym żołnierzom miazdzącą przewagę nad wrogiem — i nie mogli przegrać tej pierwszej, najważniejszej w swoim życiu walki. Bardziej obchodziło go jednak, jak ową demonstrację odebrali srebrni pod wzgórzem... Ale najpierw, wyciągniętym kłusem, przejechał wzdłuż szyku z podniesioną ręką — i to ramię wyciągnięte ku niebu powiedziało żołnierzom: „Widziałem!” Nadsetnik doskonale zdawał sobie sprawę, że ci ludzie w orężnym szeregu, srodzy wojownicy, są zupełnie jak dzieci... Trzeba im poświęcać uwagę, bacznie obserwować poczynania, bo wtedy się starają, czując, że robią coś ważnego i nieobojętnego.

Ufał im! Byli najlepszymi żołnierzami na świecie. Do legii przyjmowano tylko ludzi z najtwardszego żelaza, przetapiano w szkoleniowym tyglu i zmieniano w wojenne narzędzie tak dobre, jak to tylko możliwe. Dostał to narzędzie do ręki — i naprawdę cała reszta zależała jedynie od niego. Rozumnie, właściwie użyte, to narzędzie zawieść nie mogło. Zawieść mógł tylko rzemieślnik, gdyby okazał się partaczem.

Pracował więc. Nie chciał zaniedbać niczego.

Teraz obserwował Alerów.

Srebrni wyrywali spod Trzech Wsi co się dało! Ze skraju lasu, gdzie

były wilcze doły, wspomniane przez szarą legionistkę, wychodziły nieduże oddziały i łączyły się w większe, po czym ruszały do boju przeciw złotym. Zmusił wroga do zużycia ostatnich odwodów. Z długiej linii jeźdźców na wehfetach, która osłaniała wzgórze przed jego żołnierzami, nie wazono się zabrać nawet jednego wojownika; mało tego — dosłano tam dość spory, bardziej zwarty od innych, więc zapewne doborowy oddział. Pokazał swoją siłę i widział, że wróg prędzej ją przecenia, niżli nie docenia. Tego chciał, tak właśnie być miało! Teraz już tylko mógł czekać na efekty. Wszystko zależało od tego, czy odciągnął od złotych wystarczające siły, by zdołali zniszczyć srebrnych na równinie — bądź przełamać się przez ich nadwątloną obronę w Suchym Borze. Od tego zależało, czy zwycięży.

Przybyłe z pomocą od Trzech Wsi zgraje jeźdźców raz jeszcze zatrzymały złotych pod lasem, wyniszczyły przenikające w stronę wzgórza sfory. Bitwa rozpałała się na nowo.

Jeden z asystujących Ambegenowi gońców przechylił się w kulbace i wskazał dowódcy mały oddział, który oderwał się właśnie od linii alerskich jeźdźców. Nadsetnik przysłonił oczy dłonią. Nagle aż uniósł się w strzemionach; na czele tej grupki jechał Rawat! Nie było wątpliwości, ten jeździec dosiadał konia, nie wehfeta.

— Setniczka Tereza do mnie! — ostro krzyknął do gońca. Jeździec ruszył z kopyta. Ambegen wycelował palec w drugiego.

— I jego godność Linez! Do mnie, już!

Kolejny posłaniec pognał w stronę linii legionistów.

Ambegen wrócił spojrzeniem do zbliżającej się zgrai. Nie był zaskoczony „wizytą” Rawata. Ale chciał mieć świadków tej rozmowy, świadków wiarygodnych... a zarazem takich, których mógłby, w razie czego, poprosić o milczenie.

— Czekajcie tu! — rzekł do kurierów, którzy jeszcze mu pozostali.

Drobnym kłusem ruszył na spotkanie setnika. Przemierzył pięćdziesiąt kroków i zatrzymał się. Czekał.

Przygnali Linez i Tereza. Gestem nakazał im stanąć obok. Rawat, zatrzymawszy Alerów, ostatnią część drogi pokonywał sam.

Obserwując coraz bliższego jeźdźcę, Ambegen zastanawiał się, co teraz myśli ten... człowiek. Niewiele brakowało, by po raz pierwszy użył w myślach słowa, którego wystrzegął się dotąd: zdrajca. Bo kimże był ten

oficer, biegnący właśnie ku niemu jako wysłannik śmiertelnego wroga? Czy nie było zdradą prowadzenie konszachtów z przeciwnikiem, bez pozwolenia i wiedzy przełożonych? I to konszachtów dobrowolnych, nie wymuszonych żadną sytuacją; przecież nie był Rawat jakimś dowódcą zmuszonego do kapitulacji oddziału, próbującym wyjednać jak najlepsze warunki. Nic go nie zniewoliło do tego, co zrobił.

A jednak słowo zdrajca nie chciało tu pasować... Ambegen zastanawiał się, czy aby nie z tego powodu, że Rawat przez dwa lata z okładem był mu szczerym i oddanym przyjacielem? Ale nie. Chodziło o coś innego.

Setnik zwolnił i zbliżył się stępa. Ambegen uczył szczery żal, widząc wychudłą, bladą twarz, kiedyś ogorzałą od wiatru, błyszczące, jakby rozgorączkowane oczy, a wreszcie — trochę siwych włosów na skroni... Komendant Erwy ciężko płacił za wszystkie swoje decyzje.

Przez chwilę milczeli. Rawat długo patrzył na Ambegena, potem przeniósł wzrok na setniczkę i skinął jej głową; podobnie powitał Lineza, z którym zetknął się kiedyś. I znów wrócił spojrzeniem do swojego dowódcy.

— Nie mogłem uwierzyć, gdy was tu zobaczyłem... — rzekł z chrypką.

— Nie mogłem uwierzyć, gdy cię nie zobaczyłem — odparł na to Ambegen.

— Po powrocie do Erwy. Porzuciłeś swoich żołnierzy.

— Przekazałem komendę i dopiero wtedy...

— Porzuciłeś swoich żołnierzy — powtórzył z naciskiem Ambegen. Rawat zamilkł.

— No, ale nie traćmy czasu... Z czym cię przysłał twój nowy komendant? Twarz setnika poczerwieniała.

— Nie mam nowego komendanta — rzekł z wysiłkiem. Ambegen przypatrywał się bitwie pod lasem. Wciąż nie było widać rozstrzygnięcia.

— Chciałbym... Wiem, o co w tym wszystkim chodzi — powiedział Rawat.

— Chcę uniknąć czegoś, co jest niepotrzebne. Oni — nie odwracając się, wskazał za swoje plecy — stoją tu i czekają, zamiast atakować, bo wiedzą, że nie musimy się bić...

— Nie atakują, bo się boją — spokojnie przerwał Ambegen. — Pod Alkawa atakowali, ale wtedy...

— To żołnierze, tacy jak my! W tej linii stoi półtora tysiąca żołnierzy! Chcesz urządzać tu drugą Alkawę?! Mało ci było tamtej klęski?

— Może mało... Ale tobie, widzę, wystarczyła. Poddasz cały Armekt? Czy na razie tylko te ziemie?

— Niczego nie poddam! Czy wysłuchasz mnie wreszcie? Ambegen, nie przyszedłem do ciebie, żeby... Chcę wyjaśnić! Powiedzieć ci, po co tu przyszli, i powiedzieć kiedy odejdą! Wysłuchaj mnie, a potem podejmij decyzję. Taką, jaką uznasz za słuszną. Jeśli nie interesuje cię to wszystko, to... to nie wiem. Ta bitwa jest niepotrzebna, cała ta wojna jest niepotrzebna! Ale musiała się rozpocząć, bo wcześniej nie było nikogo takiego, jak ja. Nikogo obdarzonego umiejętnością porozumienia się z nimi.

— Obdarzonego? Dla ciebie to jest dar? Dla Agatry to było przekleństwo...

— Dla Agatry, bo Agatra jest głupia! — gwałtownie powiedział Rawat. — Można się otworzyć na ten dar, szukać w nim prawdy, szukać prawdy w przychodzących snach, a wtedy pojawią się następne sny, odsłaniające coraz więcej i więcej! Ale można też tego nie robić, tylko bać się, i bez przerwy pytać „co to będzie, co ze mną będzie?”... Wtedy zamiast prawdy, przyśnią się odpowiedzi, pokazujące właśnie wszystko, co wydarzy się złego!

— A co teraz z tym darem? — zapytała nagle Tereza, zbliżając się odrobinę. — Czy aby nie zniknął?

— Tak, zniknął! — Rawat nagle chwycił się za głowę. — Jak z wami rozmawiać? Nie mam czasu na wyjaśnienie wszystkiego, chcę powiedzieć o najważniejszym, ale ciągle mi nie dajecie!

— A dokąd ci tak spieszo? — z głupia frant spytał Ambegen. — Czy dzieje się coś złego?

— Dzieje się! Właśnie, że się dzieje! To jest bóg złotych i srebrnych Alerów, ułomny bóg, który został wypędzony spod ich nieba i pogrzebany tutaj, pod Pasmami Szerni! Pod tą kamienną powłoką jest ukryta żywa część Wstęg Aleru... Powiedziane jest, że pewnego dnia Aler wróci po swoją część, pogrzebaną na ziemiach Szereru, gdzie odcięta od reszty mocy, skrytej nad alerskim niebem, nie ma żadnej siły. I to właśnie się stało! Wstęgi Aleru przypląnęły tutaj i zabiorą swoją część, tę część, która ma moc obdarzania rozumem! Siły Aleru tam, nad tym miejscem —

pokazał obłożony drewnem posąg — są teraz tak zwarte, tak gęste, że każdy człowiek poza mną, chyba gotów postradać tam zmysły! Nie zbliżajcie się do posągu! Słyszysz mnie, Ambegen? Stoisz na samym brzegu tego, co nazwaliśmy jężorem i co? Nic nie czujesz? No właśnie o to chodzi, że nic! Żadnych „czarnych dni”, żadnego złego nastroju! Wszystko ściągnięte jest tam! Najmniejszy cień, cała aura, otaczająca Złotą Wstęgę, która przyszła po swoją część, wszystko skupione jest tam!

— Dlaczego więc to wojsko stanęło mi na drodze? Gdybym ja znał takie miejsce, gdzie wrogie armie tracą zmysły...

— Ambegen, oni o tym nie wiedzą! Myślisz, że im powiedziałem? Ambegen! — obok goryczy, w głosie setnika brzmiał głęboki żal. — Ja... przecież ja nie jestem jakimś zdrajcą, Ambegen! Oni tak samo znają ludzi, jak my ich, zrozum to! Oni nic nie czują pod naszym niebem, szybciej się męczą i dlatego tak rzadko biją się na piechotę, chociaż wehfety są marne do szarży. Ale też o wiele szybciej goją im się rany... Skąd mają wiedzieć, że z nami jest inaczej? Ja dostałem swoje sny od ich boga... i nawet nie umiem im wyjaśnić, o co chodzi! Przecież oni nie śpią i nie śnią! Jak zasnąłem, to myśleli, że umarłem! Kiedy oni oglądają śpiących ludzi? Te sny to jakiś niezwykły przypadek, to mógł dostać tylko człowiek, bo już nawet nie kot! A srebrni, oni... — szukał słowa — to są właśnie takie koty Aleru! Wiedzą o siłach ponad światem, ale ich nie czują! Wiesz, kto je czuje? Złoci! Ci tutaj, srebrni wojownicy, których tysiące już zginęły w obronie uśpionego boga, bronią go tylko po to, żeby zniszczyć! Czy ty wiesz, co żyje pod ich niebem?! Czy ty wiesz, jaki to świat?! — rozgorączkowany Rawat prawie krzyczał. — Tam już nie zostało nic, czemu warto by było dać rozum! A jednak zostanie dany! Bestiom gorszym jeszcze niż złoci, które teraz są tylko zwierzętami, głupimi zwierzętami! Gdy jednak zyskają świadomość, zmasakrują, wymordują tam wszystko! A potem przyjdą do nas, Ambegen!

Zamilkł roztrzęsiony.

Nadsetnik znowu patrzył na walkę pod lasem.

— Podejmuję się wytępić wszystko, cokolwiek stamtąd przyjdzie — rzekł wreszcie. — Nie wytępię tylko jednego, co zresztą znikąd nie przyszło: nieśmiertelnej ludzkiej głupoty. Ale opowiadaj dalej, to ciekawe. Mam sporo czasu, mogę słuchać do końca.

— Do jakiego końca? Chcesz czekać, aż złoci pobiją tych srebrnych

żołnierzy, tam pod lasem? A potem rzuca się tutaj, na oddziały, które skierowano przeciw tobie? I co wtedy?

— Nic wtedy. Opowiadaj, Rawat, o smoku. Ach nie, nie o smoku... O alerskim bogu, który wszystkim zamierza dać rozum, chociaż zaczął od zabrania go tobie.

— Ty mi nie wierzysz... — niegłówno powiedział setnik.

Ambegen zwrócił się do milczącego Lineza i przygryzającej usta setniczki:

— Człowiek, który w środku bitwy przyjeżdża do mnie i udaje, że jest jakimś mędrcom-Przyjętym, mówi „ty mi nie wierzysz”.

— Złoci są lepszym dziełem tego boga, niż srebrni... Dla niego lepszym — bezbarwnie powiedział Rawat, jakby chciał już tylko, dla spokoju sumienia, zachować przeświadczenie, iż uczynił wszystko, co było w jego mocy. — Ich rozum to dzieło kalekie, ale za to są o wiele mocniej związani ze Wstęgami, które dały im tę... namiastkę myślenia. Złoci przybywają tu na wezwanie tych Wstęg. Jeszcze dzień, a może dwa dni, i rozkuty zostanie fundament tej skały... Uśpiona część Złotej Wstęgi ma postać...

— Kulistych ziarenek — wpadł mu w słowo Ambegen. — Żółty piasek, złożony z drobnych kulek.

— Skąd... skąd o tym wiesz?

— Można je spalić. Czemu więc nie spalić całego smoka, i już? Widzę, że jest dokładnie do tego przygotowany.

— Spalenie to ostateczność! Ambegen, to jest niezniszczalne! Może to unicestwić tylko inna potęga, taka jak Szerń! Paląc te ziarna, uwalnia się ich treść, która wraca do macierzystej Wstęgi! Rozprasza się, ale wraca. I po jakimś czasie zostanie zebrana znowu w jedną całość, taką całość, jak to! — pokazał boga Alerów. — Powstanie nowy bóg. Nie wiadomo jaki, nie wiadomo gdzie... Te ziarenka trzeba rozproszyć, rozsypać na wielkiej przestrzeni, zmieszać ze zwykłym piaskiem, zatopić w morzu... Ale na naszej ziemi! Pasma Szerni nie zniszczą ich, nie zaatakują, bo te drobinki zawierają moc uśpioną, niedostrzegalną dla obcej potęgi... A Wstęgi Aleru nie skupią się nad nimi, no bo jak? Spalenie to ostateczność — powtórzył. — Nie wiadomo zresztą, czy się uda, skała się nie pali, można ją tylko rozgrzać. To może być za mało! Ta skała jest twarda jak żelazo, nigdy w życiu nie widziałem nic takiego!

— Co słyszę? — drwiąco zapytał Ambegen. — Twoi srebrni wojownicy zamierzają rozwieźć po całym świecie górę piasku? A ile wozów trzeba do tego? Tysiąc? Czy będą przenosić to w koszach, opędzając się przed złotymi?

— Złoci najpierw przyszli tu za srebrnymi tak, jak wilki ciągną za stadem owiec! — tłumaczył Rawat. — Oni pożerają zabitych, dla nich to tylko mięso! Przyszli tam, gdzie było go dużo! Ale teraz, te sfory tutaj, zjawily się tak licznie dlatego, że właśnie zaczęto palić ich boga! Ambegen, to żyje! Jest uspione, ale żyje! To żywa część, stworzona z nieożywionej potęgi! Pięć dni temu, gdy wykuto wreszcie pierwszą dziurę w tej skale, to było tak, jakby ktoś przebił mi czaszkę! Nie mogli mnie dobudzić, trzymałem się za łeb i zdychałem! Zapytaj Agatrę, ona też musiała to mieć! Nie ważyłem się zasnąć tak długo, aż skończyli dłubać w tej dziurze... Gdy już była dość duża, wydobyli trochę tych ziaren i spalili, naruszyli jakąś część tej istoty — wyjaśniał gwałtownie, żarliwie. — I wiesz, co wtedy się stało? Moje sny odeszły, przepadły gdzieś bez śladu! Ale to nie wszystko, bo krzyk tego, co się paliło, zwabił tu jakąś złotą sforę, która rzuciła się na srebrnych, ale jak! Nikt tutaj nie wiedział, że złoci tak to czują, tak, jakby to ich przypiekano! Od tamtej chwili nie spalono nawet drobinki, ale już było za późno, widzisz przecież, co tu przybiegło! Te sfory już nawet nie wiedzą, po co przyszły, ale przyszły, są tutaj! Podpal całego tego smoka, a zobaczysz, co będzie, już ich nie zatrzymasz przy pomocy łuków, Ambegen! Mało tego, poczekaj parę dni, a zwali się tu wszystko, co skacze po ziemiach Aleru! Tysiąc, dziesięć tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy złotych... nie wiem, ilu! A jednak oni go podpalą, jeśli będą mieli przegrać tak, czy inaczej! Zrozumiałeś?! Ambegen, pomóż srebrnym pokonać złotych, a wszyscy na tym wygramy! Zyskają na tym dwa światy, tylko pomyśl! Patrz, Ambegen, przecież oni przegrywają, to rzeź! — krzyknął, pokazując usłane setkami, jeśli nie tysiącami trupów pobojowisko pod lasem. — Muszę wracać, bo gotowi podpalać już w tej chwili...! Oni gotowi są zginąć, byle dopiąć swego, przecież tam, za granicą, zostały ich wioski, które znikną z powierzchni ziemi, jeśli ten bóg obdarzy rozumem następne dzikie bestie! Muszę wracać, powiem im, że się namyślasz... Tak? Ambegen!

— Nie, Rawat.

— Ambegen! — oficer prawie prosił. — Zastanów się, Ambegen!

— Przestań, Rawat — nadsetnik mówił spokojnie, lecz dobitnie. — Nie zawrę żadnego przymierza, powiedz im to otwarcie, mówię jako oficer Legii Armektańskiej, broniący tego okręgu. Zbawianie obcych światów nie jest moją sprawą, nie obchodzą mnie żadni bogowie, ulepieni z jakichś Wstęg. To wszystko, Rawat.

Podniósł rękę.

— Czekaj, nie, nie wszystko. Chcę ci jeszcze powiedzieć, że ratowanie światów najlepiej chyba zacząć od ratowania własnego kraju... Może byś tak wreszcie zaczął go ratować?

Skinął na swoich oficerów — i odjechali wszyscy, zostawiając samotnego konnego mężczyznę między liniami dwóch wojsk.

*

Zabrali czekających na nich gońców i zbliżyli się do linii żołnierzy.

— A jeśli...? — zapytała nagle Tereza. — Jeśli to wszystko prawda? Jeśli spalą tego boga i nadciągną tu tysiące złotych? Ambegen wstrzymał konia.

— No to świetnie, niech nadciągają... Tobie także coś się śniło, setniczko? — zapytał, po czym zwrócił spojrzenie na Lineza. — A ty, panie? Także jesteś mędrce-Przyjętym, albo innym uczonym, i wybornie rozstrzygniesz cały problem? Tak, jak jego godność setnik D. L. Rawat?

Nie czekając na odpowiedź, ruszył dalej.

— Ja mu wierzę — oznajmił, wzruszając ramionami. — Jestem pewien, że powiedział samą prawdę. Albo raczej to, co uznał za prawdę. Ale każdy winien znać swoje miejsce, i jego miejsce jest tutaj, w tym szeregu — znowu wstrzymał wierzchowca. — Ja nie wiem, co jest dobre, ale wiem na pewno, co jest złe: otóż złe jest, gdy żołnierz, zamiast robić to, za co mu płacą, próbuje być zarazem i mędrce, i politykiem! Jak sobie to wyobrażasz? — zwrócił się wprost do Terezy. — Że tu, teraz, na tym polu bitwy, w jednej chwili postanowię, co jest dobre dla dwóch światów (dla dwóch światów, słyszysz? już nawet nie dwóch narodów!), czerpiąc całą wiedzę z jednej, jedynej rozmowy? Ci nieszczęśni srebrni Alerowie jakoś nie cackali się z Armektem, przyszli tutaj, paląc wioski i mordując chłopów, wyrzynając w pień żołnierzy, wszystko to dla ratowania swego świata! I co jeszcze zrobią, żeby go uratować? Puszczą z dymem cały Szerer? Rozsieją u nas jakieś świństwo, dobrze! Może potem

przyjdą zbierać je z powrotem, wyjdzie bowiem na jaw, że się pomylili! Przecież nawet z tego, co powiedział Rawat, jasno widać, że oni o tych siłach nie mają bladego pojęcia, ale owszem, próbują przy nich grzebać! Nie! Wyrznię ich, bo od tego tutaj jestem, a tych, co uciekną mi spod miecza, na zbity pysk wyrzucę tam, skąd przyszli! Potem niech się zbierają!, co rządzą tym krajem, niech wzywają łysych dziadków z białymi brodami — i niech radzą! Zapytają o radę żołnierza? — huknął się w pierś. — Żołnierz przyjdzie, doradzi. Ale najpierw niech udowodni, że poprze żelazem wszystko, co uradzą! Koniec! Skończyły się przemowy, powiedziałem! Do oddziałów!

— Tak, panie!

Odjechali galopem.

Na równinie pod lasem zwierzęca zajadłość szła o lepsze z fanatycznym uporem. Chaotyczna bitwa, jaką ludzie ujrzeni o świcie, była wzorem porządku i ładu w porównaniu z tym, co działo się teraz. Toczoło dziesiątki i setki potyczek, utarczek, pojedynków... Poranieni złoci umykali na łeb, na szyję, ścigali ich jeźdźcy na wehfetach; gdzie indziej jakieś liczne sfory miotały się od zgrai do zgrai, rozpędzały je, przenikały dalej w stronę smoka, niczym wilki ciągnące do zapachu krwi — widać to, co odstłonił rozkuty kamienny pancerz, jakoś je przyzywało... Szły za tymi sforami bezładne, skrwawione, wyczerpane oddziały srebrnych jeźdźców, dościgały, osaczały, nie puszczały dalej... Czasem zgniatały otoczonych złotych; innym razem pękał właśnie pierścień okrążenia... Spod samego alerskiego boga cofała się — co tam cofała, uciekała na złamanie karku! — wielka gromada rudych poczwar, odparta, porąbana narzędziami do kucia skały; próbowali ją ścigać piesi wojownicy. I kolejne dwie duże sfory, mknące ku linii zostawionej dla odparcia legionistów. Ich drogi przecięły się nagle, żadna sfera nie ustąpiła i nieoczekiwanie — pokraczne stwory jęły mordować się nawzajem, po zderzeniu, które wyzwoliło ich wściekłość. Taki widok nie był zresztą czymś szczególnie rzadkim, wprawdzie niezbyt często były się całe grupy, ale bratobójcze pojedynki wszczynano przy lada okazji. Gdyby Złote Plemiona umiały stworzyć armię, ba! wiedziały chociaż, po co tutaj przyszły, byłoby już dawno po bitwie. Ale w samym środku rozległego pobojowiska wielka, może trzysta łbów licząca sfera, upojona zwycięstwem rozwłóczyła właśnie trupy, pożywiając się nimi, rycząc,

ujadając, waląc się pięściami po szerokich piersiach... Hen na samym skraju lasu inna grupa, dla odmiany niewielka, wyraźnie odpoczywała, hałasując tylko, wywijając maczugami i strasząc przebiegające oddziały srebrnych. Jeszcze inna gromada, tak ogromna, że sama jedna, bez żadnej pomocy, mogłaby rozstrzygnąć losy bitwy, przemieszczała się bez celu tam i nazad... Wreszcie, jakby posłuszna jakiemuś tajemnemu wezwaniu, ruszyła wielkim pędem w stronę smoka. Ale po przebyciu ćwierci mili zatrzymała ją garstka półżwycych jeźdźców na poranionych wehfetach; oddziałek ów, rzuciwszy się do ucieczki, zrozumiałej przy dwudziestokrotnej przewadze wroga, nieoczekiwanie pociągnął za sobą całe stado. Rycząc, kilkaset rudych potworów dobywało wszystkich sił, byle tylko dogonić parudziesięciu jeźdźców. Udało się! Wielkie kłębowisko porwało uchodzących — ale znowu zniknął z oczu cel bitwy...

Czujni gońcy wskazali nadsetnikowi jakiś drobny punkcik na południowym wschodzie. Ambegen uniósł się w strzemionach, ale ładna kurierka (nie tak głupia, jak mówiono) miała lepszy wzrok.

— Koty, panie!

Ambegen opadł na siodło, marszcząc brwi i licząc w myślach drogę, jaką musieli przemierzyć zwiadowcy, wielkim łukiem okrążając pole bitwy, po powrocie z przespiegów... Że udało im się w nocy wymknąć ze wsi — wiedział; gdyby ich zabito, albo choć spostrzeżono, Rawat nie byłby zdumiony jego wiedzą o tym, co zawiera posąg... Kocia grupka zbliżała się szybko, ale nie tak szybko, jak by życzył sobie nadsetnik. Wkrótce wyszło na jaw, dlaczego: dwa ogromne gadba szły wytrwałym kocim truchtem (z pełną szybkością koty nie umiały długo biec) prowadząc między sobą coś małego, szarego, co zdawało się wyteżać wszystkie siły... Ambegen domyślił się, że Dorlot odesłał mu wszystko, co było zawadą w dalszych zwiadach: zbyt duże do skrytych podchodów kocury — i zbyt małą, zbyt słabą kotkę... Gadba w pierwszych słowach potwierdziły domysł.

— Dziesiętnik z trójkowym poszli dalej — rzekł mruklawie czarny grubas z białymi łapami; cztery takie olbrzymy wyrównałyby chyba wagę niedużego mężczyzny lub prawie każdej kobiety!

— Grombelardczyk? — zapytał Ambegen w języku swego kraju.

— Obaj — w ten sam sposób odrzekł drugi gadba, nie tak gruby, ale

wcale niewiele mniejszy od czarnego. — Gwardziści z Rahgaru. Po kontrakcie.

Ambegenomal nie zaświstał; nawet nie wiedział, że ma wojowników z głośnej w całym Szererze kociej półsetki rahgarskiej! Dalej pytał po grombelardzku, nie chcąc żeby gońcy posłyszeli złe wieści, gdyby takie były.

— Jak w jęzorze?

Mała, szara legionistka leżała opodal na boku, zziajana, półżywa, wytrzeszczając bursztynowe oczy. Nos, zwykle chyba różowy, był teraz zupełnie czerwony.

— W jęzorze bitwy, komendancie. Dwie, trzy mile stąd, srebrni zatrzymują złote sfory. Inaczej, niż tutaj. Tam napływają kolejno i kolejno są rozbijane. Ale srebrni gonią resztkami. Dziesiątnik kazał powiedzieć, że nie ma mowy, by zdołali tu przysłać cokolwiek.

— Jesteś wolny, gwardzisto — podziękował Ambegen. — Odpoczywajcie wszyscy. Z Gwardii Grombelardzkiej tutaj? Do zwykłych oddziałów legii? — zapytał jeszcze przez ramię.

— Tutaj jeszcze nie byliśmy, nadsetniku.

I to było całe wyjaśnienie.

Ambegen wrócił spojrzeniem do bitwy. Nic się nie zmieniło: srebrni wykruszali się szybko, ale złoci coraz mniej wiedzieli, czego chcą... Zaczęło go to złościć; zdawał sobie sprawę, że nie może dłużej trzymać bezczynnych żołnierzy... Zapatrzą się na bitwę, ostygną, przyzwyczają do myśli, że wszystko rozegra się bez nich... Musiał uruchomić swoje wojsko, poderwać choćby na chwilę. Postanowił raz jeszcze czynnie wpłynąć na bieg wypadków i... popełnił błąd!

Nadsetnik wcale nie był wybornym taktykiem; owszem, znał się na rzeczy, lecz działania na polu bitwy stanowiły jednak jego najslabszy punkt... Z żelazną wytrwałością umiał stać na pozycji; tak samo mógł przebijać się przez wojska przeciwnika... ale to już było wszystko właściwie. Świetnie przygotował swą kampanię; cóż, gdy bitwę zaplanował tak samo, dłubiąc w mapie, którą nosił w głowie, rozważając bardziej to, co przeciwnik pomyśli, niż co zrobi — zwłaszcza, jeśli na myślenie zabraknie czasu... Znakomicie wczuł się w położenie wodza srebrnych Alerów i przewidział jego decyzje, ale teraz brakło mu wyczucia, niewłaściwie ocenił sytuację i wykonał ruch, jakiego dobry

dowódca polowy na pewno wykonać nie powinien: powtórzył sztuczkę, która raz się udała, przeciągnął tym razem strunę — i kompletnie zburzył wszystko, co osiągnął dotąd. Bo naruszył chwiejną równowagę.

— Tereza — zarządził, podjeżdżając — weźmiesz całą jazdę i ruszysz w stronę ich linii. Nie chcę, żebyś atakowała, masz ich tylko sprowokować do ściągnięcia jeszcze paru oddziałów. Jeszcze trochę ulżymy złotym.

— Tak, panie! — powiedziała setniczka, chwytając swoją świstawkę i... zawahała się nagle. — Ale...

— Wiem, że to nie jest ziemia do szarży! — uciał zniecierpliwiony, znowu oglądając beznadziejną bieganinę pod lasem. — Ale masz szarżować tylko na niby... Ruszaj już.

Marszcząc brwi patrzyła na szeroką linię srebrnej jazdy.

— To nie ziemia... Ja, panie...

I Ambegen, od wielu dni żyjący w napięciu, przemęczony, teraz jeszcze rozdrażniony zarówno bezmyślną młócką pod lasem, jak i niedawną rozmową z ostatecznie utraconym przyjacielem, nie wytrzymał:

— Patrz! — zawołał rozjuszony, pokazując duży oddział srebrnej jazdy, który odszedł od linii przed posągami, ruszając przeciw niedalekiej złotej sforcie. — Ruszaj zaraz, albo cię zastąpię pierwszym z brzegu podsetnikiem! Koniec, powiedziałem!

Dziewczyna wypiękniała.

— Dobrze! — wrzasnęła, szczerząc zęby. I do tyłu, do swoich oficerów, nie świstawką, a głosem:

— Stępa-kłusem-marsz-maarsz!!

Rozbrzmiały świstawki podsetników, powtarzające rozkaz. Linia jazdy drgnęła i poszła, prowadzona najpierw ku centrum, dla połączenia z grupą spływającą od drugiego skrzydła. Spotkały się, wyrównały, środek zajęła do-świadczona, złożona z najlepszych ludzi, stara półsetka Terezy, na lewo od niej trzy kliny legionistów, na prawo — trzy żołnierzy prywatnych. Jeźdźcy magnata znali sygnały cesarskich, szkolono ich zresztą tak samo, bo nie było lepszego sposobu szkolenia. Przywódczyni jazdy uniosła się jeszcze w strzemionach, odwróciła do tyłu i przez lukę między oddziałami krzyknęła co sił w płucach:

— Lii-neeze!!!

Ambegen, ruszający cały szyk wolno naprzód, śladem jeźdźców, usłyszał ten okrzyk — lecz nie pojął, o co chodzi. Linez też usłyszał — ale wręcz przeciwnie, nie tylko łatwo zrozumiał przyczyny tej nagłej poufałości, ale i ogarnął wszystko, co setniczka chciała mu przekazać. Zresztą sam już widział, co będzie! Głos Terezy odpowiedział mu tylko sposób postępowania; przywódczyni jazdy liczyła na niego.

Rzeczywiście tak było. Setniczka nie raz i nie dwa razy współdziałała z pieszymi łucznikami, więc ujrawszy robotę magnata przy strzeleckiej walce ze złotymi, miała wyobrażenie, iż ten człowiek zna się na rzeczy. Żywiła nadzieję, że jeszcze nie zapomniał, jak się podejmuje decyzje. Ruszała do tej „szarzy na niby” świetnie wiedząc, jaki chleb z tej mąki wyrośnie: ćwierćtysięczna linia żołnierzy wyzywała sześciokrotnie liczniejszą jazdę przeciwnika! I wyzwanie zostało podjęte!

Ambegen myślał jak topornik: atak ciężkozbrojnych przyjmowało się w miejscu... Mógł wykonać słaby ruch całym swoim ugrupowaniem na początku bitwy; ale nie mógł powtarzać tego, wysuwając naprzód jazdę. Sprowokował kontrszarżę całej srebrnej linii; półtora tysiąca Alerów na wehfetach ruszyło na spotkanie Terezy. Tego już nie dało się zatrzymać, pozostało tylko pobić wroga trzykrotnie mniejszymi siłami!

Linez galopem przypadł do Ambegena. Pochylił się ku niemu i cisnął przez zęby, tak żeby nie słyszeli żołnierze:

— Na litość, komendancie, idź za mną, a może jeszcze ktoś wyniesie z tego głowę!

Pokazał kliny ciężkozbrojnych, zawrócił do swoich i poderwał ich do biegu za jeźdźcami. Łucznicy gnali po rozmiękłej ziemi, jakby chcieli dogonić jazdę! Ale przy tak długiej linii nieprzyjaciela jedyne, co zostało do zrobienia, to uderzyć w nią jak najszybciej i przełamać w centrum, zanim spłyną tam większe siły ze skrzydeł. Czekanie w miejscu, aż przeciwnik rozniesie Terezę i otoczy zewsząd piechotę, było samobójstwem, niczym innym! Setniczka nie mogła już zawrócić, przegrupować się i skutecznie współdziałać z piechotą, posyłając chmury strzał, jak poprzednio. Nie było na to czasu! Stanełaby w szyku tylko po to, żeby w miejscu przyjąć szarżę wroga! Jedyne atak dawał jeszcze jakieś szansę...

Dowódcy armektańskich żołnierzy mieli dosyć czasu, by napatrzeć się na wroga ugrupowanie i ocenić, jakie wojska wchodzą w jego skład.

Przede wszystkim poszarpane już w walkach, przypadkowe, wyciągnięte skąd się dąto, więc na pewno nie zgrane... Zbyt szeroko rozpostarte, by dąto się nimi łatwo pokierować — Alerowie rozciągnęli swój szyk, bo konie były szybsze od wehfetów i zbyt ciasno skupione siły ludzie mogli wymanewrować. Ale przede wszystkim była to linia złożona właśnie z Alerów! Z dzielnych, lecz niekarnych wojowników na wytrwałych, ale nieposłusznych zwierzętach. Tereza rozważywszy to w okamgnieniu, podjęła decyzję z szybkością właściwą dowódcom jazdy, którzy rzadko mieli czas na zadumę. I była to słuszna decyzja!

Lecz Ambegen, w ciągu paru chwil zaledwie, kompletnie stracił panowanie nad bitwą. Przez pół dnia pociągał za sznurki, tak jakby osobiście dowodził wszystkimi trzema armiami. Teraz, na własne życzenie, uczynił z siebie dowódcę stu dwudziestu toporników, bo tyle zostało mu w ręku. Pojął swój błąd — ale umiał przyjąć go do wiadomości, i dopiero to naprawdę pokazało, jak świetnym, mimo wszystko, jest dowódcą. Nie łapał się za głowę, nie próbował zapobiec nieuniknionemu, tylko wszedł w zaistniałą sytuację i zawierzył los bitwy setnikom, bo to było najlepsze, co mógł jeszcze uczynić. Krzyknął na oficerów swoich ciężkich klinów, zeskoczył z konia, powierzając go gońcom, ale wcześniej odczepił od kulbaki swój topór. W momencie, gdy Linez porywał łuczników do biegu, nadsetnik zrzucił już z ramion swój wojskowy płaszcz odstawiając, lśniący zimną stalą, prosty kirys tarczownika. Chciał prowadzić ciężkozbrojnych pieszo, żeby własne nogi mu podpowiadały, jak szybko i jak długo ci ludzie mogą biec. Wskazał kierunek podsetnikom — i pognał, ale tak, jakby chciał wyprzedzić i łuczników, i jazdę. Cztery kliny ciężkiej piechoty runęły jego śladem!... A wtedy niepojęta Pani Arilora, widząc tych pięciuset armektańskich żołnierzy, co porwali się na rzecz niemożliwą, uśmiechnęła się do nich i zaczęła rozdawać klejnoty... Dopisało im szczęście wojenne. Jedyne szczęście na świecie, które nigdy nie bierze się znikąd...

Bo najpierw rozsypał się sam koniec lewego skrzydła Alerów, gdzie odesłano najslabsze, najbardziej skrwawione oddziały; lewe skrzydło, najdalej odsunięte od zamętu na równinie pod lasem, mogło odpoczywać — gdy oddziały skrzydła prawego, najsilniejsze w szyku, musiały być gotowe do odparcia możliwego ataku Złotyeh Plemion. Teraz, w lewej części linii, osłabione ranami wehfety, od trzech dni zmuszane do

wysiłku, zdradziły swoich panów. Odma-wiały posłuszeństwa, walczyły z jeźdźcami, uciekały, zostawały w tyle... Kilka zwierząt padło — pewnie mogłyby jeszcze stać w szeregu, ale biec już nie potrafiły. W ten sposób rozpadł się kraniec szyku, złożony z jakiejś półtorej setki jeźdźców, zaś całe w ogóle lewe skrzydło wyraźnie łamało się i zostawało w tyle. Nie mogąc nadążyć za centrum, tworzyło w tył wygięte ramię podkowy

— gdy powinno się zginać odwrotnie.

Drugie ramię, wygięte tak samo, powstało z potężnego skrzydła prawego

— i tym razem nie wehfety były winne, ani ranni wojownicy. Olbrzymia sfera złotych, ta sama, która wcześniej goniła bez sensu paru jeźdźców, rozdrażniona widać nagłym ruchem mas wojska, co tchu nadbiegała z oddali, mając do przebycia jeszcze trzecią część mili. Jednak pęd prawego skrzydła niezwłocznie został wstrzymany; zwracano je czołem ku nowemu zagrożeniu, które mogło okazać się śmiertelne. Gdyby stado wpadło na tyły srebrnych jeźdźców, pragnących oskrzydlić cesarskich, nastąpiłaby zwyczajna masakra. Pół tysiąca z górą Alerów wyłamało się z podjętej kontrszarzy, bo nie było innego rozwiązania.

Naprzeciw jeźdźców Terezy pozostało nagle samo centrum. Zwarte, złożone z dość silnych oddziałów, ale nie mogące przeskrydzić jej szyku. Prowadził je samotny, wysunięty przed czoło wojownik; dla setniczki punkt za jego plecami był miejscem, w które chciała uderzyć.

Prowadziła wciąż kłusem, spokojnie, kłus pozwalał panować nad szarżą. Konie poruszały się ciężiej, niż zwykle, zimne błoto stepu chwyciło je za kopyta. W połowie drogi, którą miała do przebycia, posłała swoim sygnał: „Klinami — na boki!” — i oddziały rozeszły się wachlarzem, jakby to one pragnęły oskrzydlić silniejszego nieprzyjaciela. Alerska linia rozciągnęła się bardziej, łatwo czyniąc ten zamiar niemożliwym i natychmiast świstawka posłała nowy dźwięk: „Kliny — do mnie!”, a potem jeszcze: „Galopem!” — i znowu, nieustannie: „Do mnie! do mnie! do mnie!”

A wtedy zaszło wydarzenie, które potem obrosło legendą, żołnierską legendą: wierzchowce jeszcze szły kłusem, ale już przechodziły do galopu, kiedy gdzieś, spomiędzy zwierających się w pięść klinów jazdy, wystrzeliły do przodu, pędząc szybciej niż konie, dwa podłużne, śmigające tuż nad ziemią kształty. I pomknęły jeszcze szybciej, i jeszcze,

zostawiając legionistów za sobą!... Dwaj gwardziści gadba jednocześnie wyskoczyli w powietrze i zderzyli się z samotnym wojownikiem, zrzucając go z grzbietu wehfeta! W mgnieniu oka skłębiła się tam masa trzech czy czterech alerskich wierzchowców, tyluż jeźdźców...! Środek szyku, omijając przeszkodę, utracił pierwotną spoistość, wojownicy poskramiali zbuntowane zwierzęta, zderzające się bokami, przestraszone...

Ale chwilę wcześniej zdarzyło się coś jeszcze: oto w ślad za gwardzistami gadba, z wielkim trudem wydostało się przed jazdę małe szare stworzenie... Nie wszyscy je nawet dojrżeli, konie z kłusa przechodziły w galop, ale stara półsetka Terezy, idąca za swoją setniczką, zobaczyła zupełnie wyraźnie: wprost pod kopyta ich koni pakowała się maleńka, szara legionistka, śmieszny, męzny króliczek, pędzący na spotkanie zbrojnej, groźnej chmary. I nie było nic bardziej krzepiącego, nic większego, nic piękniejszego! Mały kociak, pragnący dotrzymać kroku potężnym wojownikom gadba. Kocica wpadła w błotnistą kałużę — a gnająca już galopem Tereza przechyliła się w kulbace i porwała ją za futro na grzbiecie, unosząc spod kopyt szarżującej jazdy! Armektańska konnica wchłonęła swą setniczkę, i zwierzała się coraz bardziej, do ostatniej chwili, konie szły już prawie stłoczone, pochylały się włócznie... i nastąpiło zderzenie! Zbyttno rozproszony, rozciągnięty na boki manewrem Terezy, dodatkowo zmieszany przez koty srebrny szyk, przyjął uderzenie zwartej ściany armektańskich oddziałów, z których środkowy, największy, skupiony był w mocny taran. Pierwsze szeregi wroga zostały wgniecione w ziemię, drugie rozbite, trzecie odepchnięte... Ale rozciągnięcie srebrnej linii, chociaż osłabiło jej spoistość, pozwoliło jednak wyjść Alerom na skrzydła i za plecy armektańskich jeźdźców.

Była tam zmęczona, zziajana i spocona lekka piechota Lineza! Kliny działały samodzielnie, jedne przystawały bliżej, inne dalej, trochę chaotycznie, nierówno, ramiona łuczników drżały jeszcze po biegu, ale strzały poszły na niewielką odległość — i trafiły, zmieszały wrogą jazdę! Żołnierze nie strzelali tak składnie, tak celnie, jak wtedy, do złotej sfory, nie było gęstych chmur pocisków, spadających razem na ziemię. Ale jednak łucznicy trafiali, bo trudno było nie trafić na odległość stu kroków... pięćdziesięciu kroków... dwudziestu...! Próba wyjścia na tyły konnicy i odcięcia jej od piechoty została udaremniona.

Wyłączone z walki przeciw ludziom prawe skrzydło Alerów uderzało właśnie na złotych, przypuszczając desperacki, rozpaczliwy kontratak.

Spóźnione zgraje skrzydła lewego próbowały dołączyć do centrum, zagrażając łucznikom Lineza!

Z hukiem blach, tłukących o tarcze, nadbiegały z odsieczą żelazne olbrzymy Ambegena. Ci żołnierze poznali już dziś swoją siłę, wiedzieli, że uderzą jak młot!

Tereza przebiła się przez wroga, otwierając drogę piechocie! Łucznicy stali strzałą za strzałą, na prawo, na lewo i do przodu, nad głowami tarczowników i jeźdźców, w głąb wrogiego ugrupowania!

Ambegen zmiotł jakąś zgraję niczym stertę śmiecia. Rzucił się na spotkanie następnej, nieporadnej, bezładnej, jak wszystko na lewym skrzydle. Rozniósł ją! I parł dalej! Dopomogli mu najbliżsi łucznicy, bez wahania chwyciwszy za miecze, uniesieni powodzeniem ciężkozbrojnych.

Linez wrzeszczał, wyłączając z walki klin za klinem i rzucając je w otwartą przez jeźdźców ulicę. Jego własna półsetka runęła z mieczami na resztki złamanego alerskiego pazura, który wcześniej chciał się wrazić w plecy jeźdźców — i skłębiła się, uwięzła w morderczej, obustronnej rąbaninie. Dalej, z boku, olbrzymia złota sfera rozbijała srebrnych wojowników. Ambegen wsparty klinem łuczników ostatecznie osadził słabe lewe skrzydło. Tereza wiązała całe centrum. Setka lekkozbrojnych przeszła przez ulicę, była na tyłach wroga! Wsparła ją, wyrwana z wyłomu, niepotrzebna już półsetka konnicy. Porażone od tyłu strzałami lewe skrzydło Alerów pękało...!

I pękło, rozsypało się zupełnie! Ambegen porozrywał je, odrzucił, zmusił do ucieczki, a wtedy razem z Linezem wsparł potężnie uwikłanych w bój jeźdźców. To, co pozostało z alerskiego centrum, znalazło się nagle w potrzasku, naciskane z trzech stron przez liczniejszych, silniejszych, lepiej zbrojnych, upojonych widocznym już zwycięstwem żołnierzy! Skrwawieni konni łucznicy, otrzymawszy pomoc piechoty, poderwali się raz jeszcze: zgnieciono kłęb Alerów, stłamszono, wreszcie wyrzucono — niczym kupę żwiru z miotającej maszyny obłęźniczej — prosto na spotkanie ściganych przez zajadłą złotą sferę pobratymców. Obie grupy częściowo rozbiegły się na boki, częściowo zderzyły, wypadli w to wszystko złoci... Ale Ambegen był już

panem placu boju, odzyskał swoją armię, poszarpaną, zmieszaną, ale miał ją w ręku, trzymał, nie wypuszczał. Żołnierze przebiegali wśród leżących na ziemi ciał, porywali swoich rannych, ciągnęli ich, wlekli, osłaniani przez grupy i grupki jezdnych. Konni łucznicy pędzili tu i tam, niszczyli drobne odpryski obu plemion, wywabiali za sobą w pościg większe grupy, nie puszczali do swojej piechoty! Linez i Ambegen odchodzili na południe, krok za krokiem, opędzając się strzałami od tego, co zdołało przeniknąć przez zaporę jazdy. Wreszcie przenikliwy głos świstawki został powtórzony wielokrotnie — i to było hasło: „Odwrót!”

Armektańskie wojsko wychodziło z bitwy, zostawiając, pogrążone w przedwieczornej szarówce, mordujące się nawzajem, wyniszczone wrogie gromady. Ambegen osiągnął swój cel.

Tereza spadła z konia dopiero pół mili od poboju.

14.

Tabory Lineza, zawezwane przez wysłanych gońców, wyszły na spotkanie oddziałów. Rannych ułożono na wozach, otoczono opieką. Były szarpie, była woda i wódka, były pledy do okrycia — było wszystko. Ambegen zakończył swą kampanię nie inaczej, niż zaczął: rozumnie. Jeszcze wtedy, gdy słał pierwszych posłańców do magnata, przypominał, że po bitwie będą ranni... Rzecz tak bardzo oczywista, a zarazem tak trudna do zapamiętania przez dowódców, którzy świetnie wiedzieli, jak zacząć — ale nie myśleli o tym, co dalej...

Wczesna noc zimowa okryła znużone, skrwawione, lecz zwycięskie, z podniesionym czołem wracające zastępy. Pokazano tym żołnierzom, że mogą porażać wrogie armie samym swym widokiem, a do reszty rozbijać — orężem. Dano dowód, że tysiące to za mało, by pokonać setki takich, jak oni. Po miesiącach porażek, bałaganu i głodu — pięć wspaniałych dni, uwieńczonych świetnym zwycięstwem, było dla tych ludzi nagrodą. Przecież nigdy nie bali się trudów, nie bali się walki, nie bali się nawet śmierci. Bali się tylko tego, że są słabi, niepotrzebni, że można ich bić i zwyciężać, gdy oni sami tego nie potrafią.

Przywrócono im moc i wiarę.

Nocny postój wypadł tam, gdzie przed bitwą. Silne ubezpieczenia, złożone z samych ochotników, zostały wysunięte w stronę poboju — chociaż był to właściwie zbytek ostrożności. Ambegen nie wierzył, by cokolwiek przyszło tu za nimi. Linez radził, by wozy z rannymi poszły dalej, do najbliższej wioski, uznał jednak w końcu racje nadsetnika. Ci żołnierze nie mogli mieć lepszej opieki od chłopów, niż tutaj — od własnych towarzyszy. Wożenie ich po rozmięklej ziemi, po wertepach, w środku nocy, na chyboczących się i skrzypiących wozach, nie miało żadnego sensu. Lepiej mogli wypocząć tutaj, pod tymi samymi drzewami, spod których ruszali do bitwy. I na tym stanęło.

Lekko ranny w ramię Ambegen stał oparty o wóz, który zeszłej nocy miał służyć mu za sypialnię. Patrzył na potężną, mimo odległości, łunę, drgającą pod ciemnym niebem. Po pewnym czasie zbliżył się Linez. I

stanął tak samo, oparty, spoglądając na czerwoną poświatę.

Bardzo długo milczeli.

— Widzisz, panie — rzekł wreszcie magnat — z bitwami to jest tak: jeśli przegrasz, powiedzą „błąd dowódcy”; jeśli wygrasz — „śmiałe posunięcie”... Ambegen parsknął przez nos.

— Nawet nie o tym myślę... Ale, rzecz jasna, masz całkowitą słuszność. Nikt nie rozlicza zwycięzców. Naprawdę, wasza godność, pod Alkawa zrobiłem znacznie więcej, niż tutaj... I męczono mnie istnym śledztwem, omal nie zniszczono mi kariery. A teraz? Co z tego, że i moją głowę, i wojsko, uratowali setnicy? Nic z tego. Ambegen zwyciężył!

— Wasza godność, to ty przyprowadziłeś tutaj wojsko, nikt inny — z powagą przypomniał Linez. — Pomogliśmy ci zakończyć to, co zaczęłeś, i nic więcej.

— Widzisz, panie, ja chciałbym zawsze mieć takich oficerów. Każdy dowódca chciałby mieć takich oficerów. Którzy mu pomogą — i nic więcej... Zamilkli obaj.

— Rozmawiałem z nim — powiedział Armektańczyk. — Wciąż siedzi przy rannych.

Ambegen wiedział, o kim mówi Linez.

— Na jego miejscu też bym przy nich siedział — rzekł sucho. — Ale raczej nie patrzyłbym im w oczy.

— Wasza godność zbyt surowo osądzasz tego oficera...

— Nieprawda! — zaprzeczył nadsetnik. — Wręcz przeciwnie, osądzam go bardzo łagodnie.

Odstąpił nagle od wozu i stanął przed Linezem.

— Czy ty myślisz, panie, że ja jestem jakimś krwiopijcą? Potworem, który pławi się w rozkoszy, skazując całe krainy na zagładę? Wasza godność, wróg jest na tej ziemi, twojej ziemi! Powtórzę ci coś, co niedawno usłyszałem od swojej podkomendnej, bo to słowa, które winien sobie wbić do głowy każdy żołnierz i każdy polityk: otóż można dogadywać się z wrogiem, można okazać mu łaskę, a niechby nawet i pomóc! Ale najpierw trzeba go powalić i przyłożyć sztych miecza do gardła!

— Niemniej są takie chwile, gdy decyzję trzeba podjąć natychmiast. Gdy okazja jest jedyna i podobna nie powtórzy się więcej. Może, panie, właśnie trzymaliśmy sztych na gardle srebrnych? Teraz — wskazał łunę

— już się stało... Jeśli rzeczywiście ten bóg odrodzi się na powrót, i jeśli obdarzy rozumem potwory...

— Jeśli — przerwał Ambegen. — Otóż, panie: jeśli. Wzruszył ramionami.

— Bo skąd pewność, że tak właśnie się stanie? — zapytał. — Dlatego, że tak powiedział Rawat? Cała jego wiedza bierze się z dziwnych snów... Że te sny są prawdziwe, w to nie wątpię, przecież nauczyły go nawet języka Srebrnych Plemion. Ale wszystkie objaśnienia pochodzą od wroga. Czy spojrzalesz na to z drugiej strony, panie? Ja spojrzełem. Może dlatego, że od paru dni stale stawiam się w położeniu wodza srebrnych Alerów... Tylko popatrz: tutaj, zaraz, w tej chwili przychodzi do nas srebrny wojownik — Ambegen ukazywał miejsce obok siebie, jakby rzeczywiście miał tam stanąć Aler — i powiada: śniłem o waszym świecie! A my mu na to: znakomicie, dzielny wojowniku, otóż mamy tu taki kłopot, pożerają nas dzikie bestie, a jak nam nie pomożecie, to przyjdą jeszcze gorsze i nas zjedzą do reszty! Ależ dzielny wojowniku, czy nie będzie ci przykro, jak nas zjedzą? Nie dopuść!

Linez mimo woli parsknął krótkim śmiechem. Zaraz spoważniał na powrót i pokiwał głową.

— Rzeczywiście, panie, nie myślałem o tym w ten sposób... — zastanowił się. — To naprawdę szczególne, odsłaniać przed żołnierzem odwiecznego wroga najślabsze swoje punkty. Ba, i mało tego, puścić go jeszcze z powrotem, by wszystko powtórzył swoim...

— Ano widzisz, panie. Alerowie mogli uwierzyć w dobre intencje Rawata, tak jak ja mógłbym uwierzyć Alerowi, który stanąłby tutaj, mówiąc po armektańsku. Ale uwierzyć nie znaczy zaufać! Jest, panie, zupełnie niemożliwe, byśmy odesłali takiego wojownika, wyposażając go w wiedzę o tym, co robić, żeby nas zniszczyć. A gdyby jednak był szpiegiem? Sądzę, wasza godność — skonkludował Ambegen — że Rawat posłużył srebrnym za narzędzie. Pokazał im, że ma dużą wiedzę o ich świecie, wiedzę bardzo dla nich niebezpieczną. Nie mogąc tej wiedzy unicestwić (bo skąd pewność, że nie mamy więcej takich ludzi, jak Rawat?) udzielili mu wyjaśnień, ale takich, które mogły obrócić tę wiedzę na ich korzyść. I w krytycznym momencie puścili go do nas. Czy rozumiesz mnie, wasza godność?

Linez patrzył w mrok.

— Bez trudu. Biorąc, panie, twój przykład, gdyby ten alerski wojownik — wskazał miejsce obok Ambegena — wiedział o jakichś wewnętrznych wrogach Cesarstwa, to byśmy mu wmawiali, że ten wróg stanowi zagrożenie także dla Aleru.

— No więc teraz, wasza godność, gdybyś miał (ale tak w dwóch słowach) powtórzyć wszystko, co powiedział Rawat, a co dotyczyło tylko nas, nie Aleru i kamiennych bogów... Hm?

Linez pokiwał głową.

— Właściwie same ostrzeżenia i pogróżki... Że jak ich zmusimy do spalenia smoka, to przybędą tutaj całe hordy złotych. A potem przyjdą jeszcze gorsi, obdarzeni nowym rozumem. Cała reszta...

— Cała reszta to piękna bajda o nieszczęsnym, potulnym narodzie, który nic nie robi, tylko broni swoich wiosek. Bo ci srebrni Alerowie, wasza godność, to jest taki naród poczciwy, który obojętne, jak by nie wzrósł w siłę, będzie całkiem dla nas niegroźny, a więc można i trzeba mu pomóc... Ja, panie, dowodziłem tam setkami ludzi, którzy lada chwila mogli zostać wyrznięci do nogi, właśnie przez tych poczciwych Alerów. Nie mogłem pozwolić sobie na dawanie wiary takim bredniom. Boli mnie, że oficer taki, jak Rawat... Przychodzi do mnie, i nic, nawet pół, nawet ćwierć złego słowa o srebrnych. Siedzi u nich od tygodnia, i nie znalazł nic, co warto by potępić, przed czym warto by ostrzec przyjaciela! Ale nie, bo to ja, wasza godność, przyszedłem tam krzywdzić niewinnych... — w słowach nadsetnika zabrzmiała szczerą gorycz.

Zaległo długie milczenie.

— Zbyt surowo oceniasz go, panie — raz jeszcze powiedział Armektańczyk. — Rozmawiałem z nim przed chwilą — powtórzył. — On siedzi przy rannych żołnierzach, jakby chciał ich przeprosić za te rany, myśli teraz, że gdyby był z nimi, to by wielu z tych ran mogło nie być... Wielkie słowa, jak przymierza i światy, przestają znaczyć cokolwiek, kiedy weźmie się za rękę umierającego chłopaka, który już nie będzie strzelał z łuku... Nie ma już snów o sojuszu, bo to właśnie były tylko sny, a teraz są zabici na poboju i ranni ludzie na wozach, można ich dotknąć, to rzeczywistość! I ta rzeczywistość mu mówi, że zabrakło go tam, gdzie najbardziej był potrzebny i mógł zrobić najwięcej dobrego.

— Owszem, mógł. Ale nie zrobił. Chcesz ujmować się, panie, za każdym, kto mógł zrobić coś dobrego, i nie zrobił? Wiesz, ilu jest takich

na świecie?

— Wasza godność, ten człowiek przez trzy miesiące żył w dwóch światach. Wcześniej miał sposobność przekonać się, że porozumienie jest możliwe, a nawet łatwe, jeśli obu stronom na tym zależy. To wywarło na nim wielkie wrażenie, chyba nawet większe, niż sam sądził. Ponadto... nie powiedział mi o tym, ale wiem... jego życie zaczęło rozsypywać się nagle. Męczony tymi snami, przestał sprawdzać się jako dowódca i widział to, a z drugiej strony, nie miał dokąd uciec, nie miał do czego wrócić — Linez przekonywał z dziwną żarliwością. — To człowiek czynu, więc zaczął gorączkowo szukać nowego miejsca dla siebie, i zajął pierwsze, jakie dojrzał, i już nie chciał go stracić, więc gotów był oszukiwać sam siebie i zamykać oczy na to, co widzieli inni... Ja, wasza godność — zwierzył się nieoczekiwanie — rozumiem go, bo sam kiedyś byłem w podobnej sytuacji. Nie bez powodu porzuciłem wojsko... Może dzisiaj, panie, dzięki tobie uczyniłem coś, czego nie umiałem uczynić przed laty... Chcę za to podziękować, ale chcę też powiedzieć, że jeśli — nawet o tym nie wiedząc — dałeś mi dzisiaj szansę odkupienia czegoś, to na podobną szansę zasługuje także ten oficer.

Linez zamilkł, trochę wzruszony.

Ambegen postać chwilę, potem odszedł parę kroków na bok i spoglądał na daleką łunę.

— Chodźmy, wasza godność — powiedział po jakimś czasie. — Pokażemy się naszym podkomendnym.

*

Szeroko rozłożeni wokół lasku żołnierze wstawali na widok dowódców. Noc była równie jasna, jak poprzednia; w świetle gwiazd i księżyca widać było uśmiechy na twarzach zmęczonych, lecz zadowolonych ludzi. Wydano już wieczorny posiłek, pomimo to nikt jeszcze nie spał; ważniejsze od wypoczynku było dzielenie się wrażeniami, prowadzenie sporów o to, jak wielkie odnieśli zwycięstwo. Linez i Ambegen chodzili od oddziału do oddziału, słuchając rozmów, zagadując do żołnierzy, pytając o to, czy tamto. Wszędzie już było wiadomo, co oznacza wielka łuna, choć, rzecz jasna, wojsko nie miało pojęcia, że ten ogień niechybnie ściągnie nowe tysiące Alerów...

— Liczysz więc, panie — zapytał Linez, gdy przez chwilę byli sami, idąc w stronę następnego oddziału — że wyniknie z tego pożytek dla

nas?

— Liczę? Jestem prawie pewien — oznajmił Ambegen. — Tylko pomyśl, wasza godność: tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy rozwścieczonych bestii, które zgromadzą się tutaj i nie znajdą wroga! Wymordują się nawzajem, jestem o tym przekonany! Nic nie zniszczą, bo nic już tutaj do zniszczenia nie ma, tak samo jest zresztą na szlaku, którym od paru miesięcy złoci chodzą do jezora. Same zgliszcza, nie ma już czego żałować. Zwabiamy ich tym ogniem na pustynię, pozostanie tylko pilnować, by jakieś luźne gromady nie rozlały się dalej po kraju. Ale już niedługo będziemy mieli tutaj parę tysięcy żołnierzy. Mam zamiar poprosić jego godność Lineza — lekko skłonił głowę; wyraźnie był w dobrym humorze — o chłopów ze wszystkich okolicznych wiosek, z narzędziami do kopania ziemi i do prac ciesielskich. Będą opłaceni z wojskowej kasy, także i ty, panie, otrzymasz pokrycie wszelkich strat i wydatków. Omówimy to później dokładnie... Trzeba będzie przygotować kwatery w twoich dobrach. Przyjdą duże tabory, więc myślę, że dowódca tych wojsk zdoła dokarmić także i wieśniaków...

— Dowódca tych wojsk? — zastanowił się Linez. — Ależ, wasza godność, doprawdy nie sądziłem, że stać cię na kokieterię... Jutro rano pójda gońcy do Toru, a gdy wrócą, będziesz już tysięcznikiem i naczelnym wodzem tej armii!

— Liczę na to — przyznał Ambegen.

Po czym zaraz nawiązał do przerwane go wątku:

— Zatoczmy tu obóz warowny, zdolny pomieścić do półtora tysiąca piechoty. Dasz mi chłopów, którzy to zbudują, wasza godność? Pomyślimy, gdzie go umiejscowić, to nie może być zbyt blisko Trzech Wsi, ale jednocześnie nie za daleko. A właściwie dlaczego nie tutaj? — rozejrzał się nagle dokoła. — Rozległe wzniesienie, no i lasek, który dostarczy budulca... Spróbujemy jutro wykopać tutaj studnię... Jeśli będzie woda, to pozostanie tylko zwabiać pod ten obóz rozproszone sfory z tego mrowia, którym Rawat tak potrząsał... Zobaczymy, jak złoci zdobywają warowne obozy. Bo jak zdobywają stаницe, to wiem: z rykiem latają wokół palisady... Już się cieszę na samą myśl o tym, że przy znikomych stratach narzniemy ich tu więcej, niż we wszystkich wojskowych okręgach narznięto ich przez ostatnie pół wieku. Srebrni pogrążeni, złoci wytrzebieni... Podoba mi się to wszystko. Będzie mi tu

brakowało Terezy, jakże jej żałuję! — sposepniał nagle, kręcąc głową. — Wyobrażałem już sobie, że całą jazdę, która tutaj przyjdzie, zebraną w jeden póllegion, da się pod komendę właśnie jej! Wyrwałbym dla niej następny awans, choćby siłą! Potrzebuję dowódcy, który umiałby przypilnować, żebym nie siedział w tym obozie odcięty od świata i głodny. Teraz nie mam nikogo takiego...

— Możemy nie zdążyć z tym wszystkim, wasza godność — zauważył Linez, myśląc o warownym obozie. — Złoci potrzebują dwóch, trzech dni, żeby tutaj dotrzeć.

— Nie, panie — spokojnie zaprzeczył Ambegen. — Owszem, tyle potrzebowali. Ale teraz potrzebują znacznie więcej... Po takiej odwilży, Lezena nawet w górnym biegu jest trudna do przebycia, złoci będą miotać się na jej brzegu, i tyle... Słyszałeś kiedyś, panie, o pływających złotych? Jeszcze w takiej lodowatej wodzie? Ano właśnie.

— Myślałeś o tym już wtedy, wasza godność — rzekł Linez z ogromnym uznaniem. — Tam, na polu bitwy. Naprawdę, mój podziw dla ciebie stale rośnie.

— Jak świat światem — skonstatował Ambegen — rzeki były liniami obrony i hamowały postępy najeźdźców. Nic nowego nie wymyśliłem, a w Erwie, nad brzegiem Lezeny, siedziałem przez parę lat. Zapomniałbym o własnej głowie, ale nie o tej rzece. Chodźmy dalej, panie, trzeba jeszcze zajrzeć do rannych, a potem... Nie spaliśmy minionej nocy — przypomniał — i już ledwie trzymam się na nogach... Czekaj!

W mroku rozbrzmiewało nawoływanie. Jakiś żołnierz szukał komendanta.

— Do mnie, żołnierzu! — zawołał Linez. — Tutaj! Pojawił się zdyszany legionista.

— Zwiadowcy, wasza godność! — wysapał.

— Koty? — ożywił się Ambegen.

— Tak, panie. Ja ich tutaj...

— Gdzie są?

— Tam, gdzie wozy z rannymi.

— Właśnie tam idziemy — rzekł Linez — Wracaj i powiedz, że mają czekać.

— Tak, panie!

Żołnierz oddalił się biegiem.

Ambegen i Linez przez długą chwilę spoglądali po sobie. Za chwilę mieli się dowiedzieć, czego tak naprawdę udało im się dokonać. Czy odnieśli wielkie zwycięstwo, czy też tylko stoczyli, krzepiącą dla żołnierzy, potyczkę... Wszystkie dalsze plany, wszystkie zamierzenia, choć pozornie oparte na solidnych podstawach, już za chwilę mogły się zawalić. Miało o tym przesądzić parę słów kociego zwiadowcy.

— No to...

— No to chodźmy.

Ruszyli skrajem zagajnika.

Dorlot i jeszcze jeden kocur siedzieli na wozie, gdzie spoczywał mocno poraniony, czarny gwardzista gadba. Jego towarzysz został na pobojuwisku, przyplacając swój wspaniały wyczyn życiem... Koci dziesiętnik rozmawiał z podkomendnym. Linez i Ambegen pochwycili parę słów, ale była to rozmowa zbyt zwięzła dla człowieka:

— ... znowu, ale także?

— Werk.

— Potem. Żeby?

— Znowu. Tak samo, jak w Ragharze.

— Werk. Rozumiem.

Dorlot dostrzegł komendanta i natychmiast zwrócił się ku niemu:

— Zwiad zakończony, nadsetniku. Straciłem połowę swoich.

— Mów, Dorlot — polecił Ambegen.

— Jesteś gospodarzem pola bitwy, panie. Możesz tam wracać, choćby zaraz. Srebrnych nie ma, podłożyli ogień i uszli. Kiedy rozpało się na dobre, złotym coś się stało, bo w jednej chwili roznieśli tych srebrnych, którzy nie uciekli. Teraz złoci masakrują się nawzajem, całe sfory poszły prosto w ten ogień. Rano nie będzie tam nic, co mogłoby się choć czołgać o własnych siłach. W głębi jezora wszystkie srebrne zgraje odchodzą na północ. Wygrałeś wojnę, komendancie.

Ambegen na krótką chwilę przymknął oczy.

— Będą nowe wojny, dziesiętniku — obiecał.

— No to będziesz je wygrywał, dowódco, a ja będę chodził na zwiady — dla Dorlota temat był już wyczerpany. — Gdzie jest Agatra, komendancie? Nie mogę się o nią dopytać. I brakuje mi jednej żołnierki.

— Agatra śpi — niewyraźnie rozbrzmiało w mroku. — Rany niepiękne, ale powierzchowne... Śpi spokojnie, nie budź jej. Już nie będzie

wróżebnych snów.

Kobieta z obwiązaną twarzą ciężko oparła się o wóz.

Gdzieś, w ciemności, rozbrzmiał głuchy jęk rannego.

— Oszalałaś? — ostro zapytał Ambegen. — Znowu zaczniesz krwawić, masz leżeć, gdzie ci kazałem! Na wozie!

— Głupstwo... — powiedziała, przykładając rękę do opatrzonego policzka; widać jednak bolało. — Kto ci, panie, naopowiadał, że z powodu dwóch marnych strzał w plecach pozwolę się wozic jak tłumok? Te ich strzały nie mają nawet porządnych grotów... W tyłek nie dostałam i mogę siedzieć w siodle. Bardziej martwi mnie twarz, taka blizna od brody aż do ucha bardzo rzadko poprawia urodę...

— Tereza! — ostrzegł Ambegen. Linez zaczął się śmiać.

— Masz swoją nadsetniczkę dla konnego półlegionu, wasza godność — powiedział. — Nawet nie chciało mi się słuchać, jak to ci brakuje oficera... Przecież ona za tydzień będzie prowadzić szarżę!

— Nadsetniczka i konny półlegion... — wymamrotała Tereza, ciągle z ręką przy twarzy. — Na Szerń, ależ to brzmi!

— Widzę cię, Kamala — powiedział Dorlot i Ambegen przekonał się nagle, że koty mają poczucie humoru. — Co to, przeszłaś do jazdy?

— Przeszłam — powiedziała z karku Terezy, spod jej włosów. — Umiem już siedzieć na koniu tak, żeby nie przeszkadzać! A setniczka powiedziała, że każe zrobić dla mnie taką sakwę ze skóry, żeby ją przyczepić przy siodle!

Ambegen słuchał z rosnącym niedowierzaniem. Wreszcie oparł się o wóz tak, jak Tereza. Ogarnęło go wielkie znużenie, ale razem z tym znużeniem spłynęła jakaś ulga. Odeszło ogromne napięcie, w którym żył od kilku dni. Stojąc przy wozie, pośród tych oficerów, którzy byli jego zbrojnymi ramionami, i tych zwiadowców, którzy potrafili zastąpić mu oczy, odkrył, że się pomylił... Bo nie było prawdą, iż tylko on jeden, samotny, trwał u boku swojej pani Arilory. Z tymi tutaj, żołnierzami, mógł sprostać każdemu wyzwaniu. I ta myśl przynosiła wielki, wielki spokój.

Dojrzał samotny cień w mroku i powiedział głośno:

— Setnik Rawat! Nagle wszyscy zamilkli.

Oficer zbliżył się wolno i stanął przed Ambegenem. Komendant milczał przez długą chwilę.

— Chcę obszerny raport, na piśmie — powiedział wreszcie sucho, nieprzyjaźnie. — Wszystko, co wiemy o Srebrnych i Złoty Plemionach. Przemyślane! — podkreślił. — Przypuszczenia mają być oddzielone od faktów. Trzeba to przesłać do Toru. Ponadto jakiś słownik, najprostsze słowa... Słowo „pokój” też tam może być. Przyda się... po wojnie.

Rawat wolno uniósł spojrzenie.

— Nawet nie spytałeś o swojego łucznika, o Astata, czy w ogóle do mnie doszedł — z goryczą powiedział Ambegen. — Twój towarzysz, przyjaciel i żołnierz.

— Wiem, że zginął — padła głucha odpowiedź. — Znaleźli jego relfs... to znaczy tarczę.

Nadsetnik trochę złagodniał.

— Ten raport to sprawa na później... Nie wiem, czy Erwa jeszcze stoi. Mocno wątpię. Ale z drugiej strony, złoci gnali tutaj jak wściekli, a srebrni mieli większe kłopoty, niż jakaś opuszczona stacja... Może jest szansa ocalenia tej placówki. Może nie jest zniszczona do końca... — oderwał plecy od wozu. — To twoja stacja, Rawat, jesteś jej komendantem. Rano weźmiesz dwa kliny jazdy, pognasz do Erwy, jeśli będzie trzeba, to przebijesz się nawet, i utrzymasz ją, albo to, co z niej zostało, o ile to nie są same zgliszcza. Będzie mi potrzebny silny punkt obserwacyjny nad Lezeną.

Rawat milczał. Chciał powiedzieć „tak, panie” — i nie mógł. Nie wierzył, by żołnierze chcieli iść pod jego dowództwem. Pod komendą oficera, który już raz ich porzucił.

— Będzie potrzebny zwiadowca — rzekł Dorlot. Na sąsiednim wozie ktoś się poruszył.

— Ja tylko... trochę w nogę... — rzekł jakiś człowiek, sepleniąc. — Ale stary dziesiętnik, nawet jak kulawy, to się przyda! Jak tylko setniczka pozwoli...

— Dobrze, Rest — powiedziała Tereza, nie odwracając głowy.

— Tak, panie — rzekł Rawat ochryple, patrząc na Ambegena. Odwrócił się nagle, i prawie biegiem ruszył przed siebie, żeby w blasku księżyca nie dojrzeli grubej łzy, płynącej mu po twarzy. Był setnikiem Legii Armeckańskiej.

Strona redakcyjna

Copyright © by Feliks W. Kres

Skład i korekta: Paweł Dembowski

Ilustracja na okładce: Wiktor Wasniecowa

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-937597-6-7

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>